

Kinsella Sophie

Pamiętasz mnie?

Lexi, zwana Krzywozębulą lub Rozczochrańcem, budzi się w szpitalu po wypadku. Ma proste zęby, elegancką fryzurę i ze zdumieniem dowiadyuje się, że jest już rok 2007, choć przecież był 2004! Mało tego, ma przystojnego męża, mieszka we wspaniałym domu, jeździ mercedesem, a z podrzędnej pracownicy firmy z wykładzinami stała się dyrektorem! Czyż nie o takim życiu marzyła? A jednak coś tu nie gra... Co zrobiła, że nie odzywają się do niej dawni przyjaciele? Dlaczego nie kocha swego męża? Kim jest przystojny Jon, który twierdzi, że mają ze sobą romans? Co się właściwie z nią stało?

Prolog

Najbardziej zasrany ze wszystkich zasranych, naprawdę zasranych wieczorów, jakie przeżyłam w całym moim gównianym życiu.

W skali od jeden do dziesięciu... minus sześć. A wcale nie mam jakichś wygórowanych oczekiwań. Deszcz ścieka mi za kołnierz, gdy przestępuję z jednej obtartej stopy na drugą. Naciągam dżinsową kurtkę na głowę, robiąc z niej prowizoryczny parasol, ale wodoodporna to ona za bardzo nie jest. Marzę tylko o tym, żeby złapać taksówkę, wrócić do domu, zrzucić te głupie buty i zrobić sobie porządną gorącą kąpiel. Ale sterczymy tu od dziesięciu minut, a taksówki ani śladu.

Nie czuję palców u stóp. Nigdy więcej nie kupię butów w Cut-Price Fashion. Kupiłam te botki w zeszłym tygodniu na wyprzedaży (czarna lakierowana skóra, płaskie obcasy, zawsze chodzę na płaskich). Były pół numeru za małe, ale sprzedawczyni powiedziała, że się rozciągną i że wydłużają mi nogi. A ja jej uwierzyłam. Naprawdę jestem największą frajerką na świecie.

Stoimy wszystkie razem na rogu jakiejś ulicy w południowo-zachodnim Londynie, gdzie jestem po raz pierwszy; z klubu dochodzi stłumiona dudniąca muzyka. Pracuje tu siostra Carolyn, która załatwiła nam tańsze bilety, więc przywlek-

łyśmy się tu ten kawał drogi. Ale teraz trzeba wrócić do domu, a tylko ja rozglądam się za taksówką. Fi zajęła jedyną bramę w okolicy i wsuwa właśnie język do gardła facetowi, z którym przed chwilą gawędziła w barze. Byłby całkiem niezły, gdyby nie ten dziwaczny wąsik No i jest niższy od Fi, ale tak bywa z większością facetów biorąc pod uwagę, że Fi liczy sobie prawie metr osiemdziesiąt wzrostu. Ma długie ciemne włosy i szerokie usta a do tego ten jej śmiech; rzy jak koń. Gdy ją naprawdę coś rozśmieszy, potrafi poderwać na nogi całe biuro.

Kilka kroków dalej Carolyn i Debs usiłują zmieścić się pod gazetą, ramię przy ramieniu, zawodząc *Its Raining Men* jakby wciąż były na karaoke.

- Lexi! - wrzeszczy Debs, wyciągając zapraszająco rękę Chce, żebym się do nich przyłączyła. Śpiewa dalej: - Pada deszcz facetów!"

Jej długie blond włosy skołtuniły się od wilgoci, ale jest w świetnym humorze. Debs ma dwie pasje: karaoke i projektowanie biżuterii. Właśnie dziś włożyłam kolczyki jej roboty które podarowała mi na urodziny: maleńkie srebrne Ls z wiszącymi perełkami.

- Żaden cholerny deszcz facetów! - wołam ponuro -Zwykły deszcz!

Ja też uwielbiam karaoke, ale dziś wieczorem nie w głowie mi śpiewanie. Jestem kompletnie zdołowana, mam ochotę uciec od wszystkich i skulić się gdzieś w kącie. Gdyby tylko, tak jak obiecał, zjawił się Dave Nieudacznik! Po tych wszystkich tekstach „ale ja cię kocham, Lexi", po tym, jak się zaklinał, że będzie o dziesiątej. Przez cały czas siedziałam i czekałam, gapiąc się na drzwi, chociaż dziewczyny już nieraz mówiły, żebym dała sobie z nim spokój. Czuję się teraz jak idiotka.

Dave Nieudacznik pracuje w telezakupach i jest moim chłopakiem od czasu, gdy zesłaliśmy się na barbecue u przyjaciółki Carolyn ostatniego lata. Nie nazywam go Nieudacz-

nikiem, żeby mu dopiec, to tylko przezwisko. Nikt nie pamięta, skąd się wzięło, a on sam nie mówi, wciąż zresztą usiłuje nakłonić ludzi, żeby nazywali go inaczej. Jakiś czas temu zaczął mówić o sobie „Butch”, bo wydaje mu się, że wygląda jak Bruce Willis w *Pulp Fiction*. Jest ostrzyżony prawie na zero, ale na tym podobieństwo się kończy.

W każdym razie nowa ksywa się nie przyjęła. Dla kolegów z pracy jest po prostu Dave'em Nieudacznikiem, tak jak ja Krzywozębulą. Nazywają mnie tak od jedenastego roku życia. A czasami Rozzochrańcem. Nie ma co ukrywać, włosy mam skręcone jak sprężynki, a zęby trochę krzywe. Ale zawsze mówię, że nadają mojej twarzy charakter.

(Właściwie to nieprawda. To Fi twierdzi, że takie zęby nadają mojej twarzy charakter. Jeśli o mnie chodzi, zamierzam zrobić z nimi porządek, jak tylko będę miała trochę kasy. Mam czas, żeby się przygotować do myśli o aparacie na zębach, którego prawdopodobnie się nie doczekam).

Na horyzoncie pojawia się taksówka, więc natychmiast podnoszę rękę, ale łapią ją jacyś ludzie przede mną. Świetnie. Wsuwam żałośnie dłonie do kieszeni i wlepiam wzrok w zalaną deszczem ulicę, wypatrując następnego żółtego koguta.

Chodzi nie tylko o to, że wystawił mnie Dave Nieudacznik. Jest jeszcze sprawa premii. Dziś był w pracy koniec roku finansowego. Wszyscy otrzymali paski płacowe z informacją, ile dostali, i zaczęli skakać z radości, bo okazuje się, że sprzedaż w latach 2003 - 2004 była wyższa, niż ktokolwiek się spodziewał. To tak jakby Boże Narodzenie przyszło miesiąc wcześniej. Przez całe popołudnie nikt nie mówił o niczym innym, tylko o tym, co zamierza za tę forszę kupić. Carolyn zaczęła planować ze swoim chłopakiem święta w Nowym Jorku. Debs umówiła się na pasemka u Nicky Ciarke; zawsze miała ochotę je sobie zrobić. Fi zadzwoniła do Harveya Nicholisa i zamówiła nową modną torbę o nazwie „Paddington” czy jakoś tak.

No, a ja? Figa z makiem. Nie dlatego, że nie pracowałam

ciężko, że nie wywiązywałam się ze swoich obowiązków; po prostu, żeby dostać premię, trzeba przepracować w firmie cały rok, a ja przyszedłam do pracy o tydzień za późno. Za ledwie tydzień. To niesprawiedliwe. Zwykle sknerstwo. Mówię wam, gdybyście zapytali mnie, co o tym sądzę... Wszystko jedno. Jakby Simon Johnson miał pytać o zdanie zastępcę zastępcy młodszego kierownika sprzedaży (wykładziny podłogowe)... To inna sprawa; moje stanowisko nie mogłoby się gorzej nazywać. To żenujące. I ledwie mieści się na wizytówce. Im dłuższy tytuł, stwierdzam, tym bardziej główniana praca. Wydaje im się, że zamydlą ci oczy nazwą i nie zauważysz, że siedzisz w kącie nad najgorszą robotą, której nikt inny nie chce wziąć.

Samochód przejeżdża przez kałużę obok chodnika i odskakuje do tyłu, ale za późno. Twarz oblewa mi strumień wody. Słyszę, że w bramie atmosfera staje się coraz gorętsza. Fi mruczy namiętnie do ucha tego „niezłego”. Dochodzi do mnie kilka znajomych słów i mimo że nie jestem w nastroju, muszę zacisnąć mocno usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Kilka miesięcy temu zorganizowałyśmy babski wieczór i pod koniec zaczęłyśmy zwierzać się sobie ze świństw, które mówimy* gdy jesteśmy napalone. Fi za każdym razem powtarza to samo i brzmi to jak groźba: „Chyba spływają ze mnie majtki”.

Poważnie. Jakiegoś faceta to bierze?

Cóż. Sądząc po podbojach Fi, najwyraźniej tak.

Debs przyznała się, że jedyne słowo, jakiego z powagą używa podczas seksu, to „ostry”. Mówi więc tylko „ale jesteś ostry”, „ostra zabawa”. Ale coś wam powiem: takiej lasce jak Debs chyba nie potrzeba szerszego repertuaru.

Carolyn chodzi z Mattem już z milion lat i oświadczyła, że w ogóle nie mówi nic w łóżku oprócz „och”, „wyżej”, czy kiedyś, gdy już dochodził: „O cholera, nie wyłączyłam prostownicy do włosów!”. Nie wiem, czy naprawdę o tym myślała; ma dość specyficzne poczucie humoru, tak samo jak Matt.

Oboje są bardzo bystrzy, nawet błyskotliwi, ale na lu-

zie. Kiedy spotykamy się wszyscy razem, ci dwoje obrzucają się takimi inwektywami, że nie wiadomo, czy mówią serio, czy nie. Nie jestem nawet pewna, czy sami to wiedzą.

Kiedy przyszła kolej na mnie, powiedziałam szczerze, że prawie facetowi komplementy. Jak z Dave'em Nieudacznikiem. Zawsze mówię: „Masz piękne ramiona” i: „Masz takie piękne oczy”. Nie przyznałam się, że mówię to wszystko, bo zawsze w głębi ducha liczę na to, że facet się zrewanżuje i powie, że jestem piękna.

I nie przyznałam się, że do tej pory się tego nie doczekałam.

Nieważne. Nie ma sprawy.

- Hej, Lexi.

Unoszę głowę i widzę, że Fi odkleiła się od „niezłego”. Podchodzi do mnie, naciąga sobie moją kurtkę na głowę i wyjmuję szminkę.

- Hej - mówię, mrugając powiekami, żeby strząsnąć z rzęs krople deszczu. - Kochaś już sobie poszedł?

- Tak, żeby powiedzieć dziewczynie, z którą przyszedł, że odchodzi.

- Fi!

- No co? - Fi nie wykazuje skruchy. - Nie byli parą. W każdym razie niedługo. - Starannie pociąga usta jaskrawą czerwienią. - Kupię sobie nowe kosmetyki - mówi, patrząc ze zmarszczonym czołem na końcówkę szminki. - Christiana Diora, cały zestaw. Teraz mnie stać!

- Słusznie! - Kiwam głową, starając się, żeby zabrzmiało to entuzjastycznie.

Chwilę później Fi reflektuje się i spogląda na mnie ze skruchą.

- O rany! Sorry, Lexi. - Obejmuje mnie ramieniem i ściska. - Należała ci się ta premia. To nie fair.

- Och, w porządku. - Próbuję się uśmiechnąć. - W przyszłym roku.

- Naprawdę nic ci nie jest? - Fi patrzy na mnie spod zmrużonych powiek. - Chcesz pójść na drinka czy coś takiego?

- Nie, muszę położyć się do łóżka. Jutro wczesnie wstaję. Fi nagle wszystko sobie przypomina i zagryza wargę.

- Jezu! O tym też zapomniałam. Przez tę premię i w ogóle... Lexi, tak mi przykro. Ostatnio nie najlepiej ci się wiedzie.

- Nic się nie stało! - odpowiadam szybko. - Staram się nie przejmować.

Nikt nie lubi takich, co smęcą. Zmuszam się więc do radosnego uśmiechu, żeby pokazać, jak świetnie się czuję, wystawiona do wiatru przez faceta, pozbawiona premii dziewczyna z krzywymi zębami, której właśnie umarł ojciec. Fi milczy przez chwilę, a jej zielone oczy błyszczą w światłach reflektorów przejeżdżających samochodów.

- Jeszcze będziesz miała swoje pięć minut - mówi.

- Tak sądzisz?

- Uhm. - Kiwa energicznie głową. - Musisz tylko w to wierzyć. No już. - Ścisza mnie. - Jak tam, baba z ciebie czy mors? - Fi mówi tak od czasu, gdy miałyśmy po piętnaście lat, i za każdym razem udaje jej się mnie rozśmieszyć. - I wiesz co? - dodaje. - Myślę, że twój tata by chciał, żebyś przyszła na jego pogrzeb skacowana. Spotkała tatę kilka razy. Pewnie ma rację.

- Hej, Lexi. - Głos Fi nagle łagodnieje i muszę wziąć się w garść. Jestem wytrącona z równowagi i słysząc, że mówi coś miłego o ojcu, mogłabym się rozkleić. To znaczy, nie znałam go za dobrze i w ogóle, ale w końcu ojca ma się tylko jednego... - Masz jakąś rezerwową prezerwatywę? - Jej głos wcina się w moje myśli.

Spoko. Zalew współczucia chyba mi nie grozi, niepotrzebnie się martwiłam.

- Tak na wszelki wypadek - dodaje z szelmowskim uśmieszkiem. - To znaczy pewnie tylko pogawędzimy sobie o polityce światowej czy coś takiego.

- Uhm. Na pewno. - Grzebię w zielonej torebce Accessorize, prezencie urodzinowym, szukając portmonetki od kompletu, po czym wyjmuję prezerwatywę, którą podaję jej dyskretnie.

- Dzięki, kochana. - Cmoka mnie w policzek. - Słuchaj, może chciałabyś wpaść do mnie jutro wieczorem? Jak już będzie po wszystkim? Ugotuję spaghetti carbonara.

- O tak. - Uśmiecham się z wdzięcznością. - Bardzo chętnie. Zadzwoń do ciebie. - Już nie mogę się doczekać. Talerz przepysznego makaronu, kieliszek wina i relacja z pogrzebu. Fi potrafi sprawić, że najsmutniejsze przeżycie wydaje się śmieszne, w końcu będziemy zrywać boki z uciechy... -Hej, jedzie taksówka! Ta-ksi! - Podbiegam do krawężnika, gdy tymczasem taksówka się zatrzymuje. Macham na Debs i Carolyn, które śpiewają teraz na cały głos *Dancing Queen*. Carolyn ma krople deszczu na okularach i o pięć nut wyprzedza Debs. - Tutaj! - Pochylam się do okna, mokre włosy spadają mi na twarz, i mówię do taksówkarza: - Mógłby pan nas najpierw zawieźć do Balham, a potem...

- Sorry, mała, żadnego karaoke. - Taksówkarz przerywa mi brutalnie, patrząc z niechęcią na Debs i Carolyn.

Gapię się na niego, zbita z tropu.

- Jak to „żadnego karaoke”?

- Nie wpuszczę tu żadnych bab, żeby mi się darły do ucha, bo ogłuchnę. To chyba żarty. Nie można szykanować ludzi za śpiewanie. Ależ...

- Moja taksówka i ja tu rządę. Żadnego picia, żadnego ćpania, żadnego karaoke. Zanim zdążę odpowiedzieć, wciska gaz do dechy i odjeżdża z rykiem silnika.

- Nie może pan zakazać karaoke! - Wściekła, krzyczę za taksówką. - To... dyskryminacja! To wbrew prawu! To...

Urywam bezradnie i rozglądam się po chodniku. Fi znowu zniknęła w ramionach „niezłego”. Debs i Carolyn odstawiają

najgorszą wersję *Dancing Queen*, jaką w życiu słyszałam; trudno winić taksjarza. Ulicą śmigają samochody, jeden za drugim, zlewając nas wodą od góry do dołu; deszcz przesiąka przez kurtkę i cieknie po włosach; myśli kłębią mi się w głowie jak skarpety w wirówce.

Nigdy nie złapiemy taksówki. Będziemy sterczały w tym deszczu przez całą noc. Te drinki bananowe to czysta trucizna, powinnam była skończyć na czwartym. Jutro pogrzeb ojca. Nigdy dotąd nie byłam na żadnym pogrzebie. Co będzie, jeśli się rozbeczę i wszyscy będą się na mnie gapić? Dave Nieudacznik pewnie jest teraz w łóżku z jakąś inną dziewczyną, mówi jej, że jest piękna, o ona jęczy: „Butch! Butch!”. Stopy mam w pęcherzach i zamarzniete na kość...

- Taksi! - krzyczę odruchowo, zanim jeszcze wypatrzę w oddali żółtego koguta. Taksówka jedzie ulicą, sygnalizując skręt w lewo. - Nie skręcaj! - Macham jak szalona. - Tutaj! Tutaj!

Muszę ją złapać. Muszę. Ściskając kurczowo kurtkę nad głową, pędzę chodnikiem; ślizgam się i krzyczę, aż dostaję chrypy:

- Taksi! Taksi!

Podbiegam do rogu, na chodniku tłoczą się ludzie, więc ich omijam i pędzę po schodach jakiegoś wielkiego budynku państwowego. Jest tam otoczony balustradą podest, od którego w prawo i w lewo odchodzą schody. Tam złapię taksówkę, potem zbiegnę i wskoczę do niej.

- TAKSI! TAAAKSIII!

Jest! Podjeżdża. Dzięki Ci, Boże! Wreszcie. Wrócę do domu, wezmę kąpiel, zapomnę o całym tym dniu.

- Tutaj! - wołam. - Już idę, proszę pocze...

Ku swojej konsternacji widzę w dole na chodniku faceta w garniturze, podchodzącego do taksówki.

- Jest nasza! - ryczę i gnam na dół po schodach. - Jest nasza! To ja ją zatrzymałam! Niech się pan nawet nie waży... Uuuh! Uuuuu!

Gdy wpadam w poślizg na mokrym stopniu, nie bardzo wiem, co się dzieje. Potem, kiedy się przewracam, wciąż nie chce mi się w to wierzyć. Potknęłam się w tych głupich, tanich lakierowanych kozakach! Spadam po schodach na łeb na szyję, jak trzylatka. Desperacko próbuję złapać się kamiennej balustrady, ścieram sobie skórę, wykręcam rękę, upuszczam torebkę... Chcę się czegoś uchwycić, czegokolwiek, ale nie mogę się zatrzymać...

Cholera jasna.

Jestem coraz bliżej ziemi, nie mogę temu zaradzić, to naprawdę, naprawdę będzie bolało...

1

Jak długo nie śpię? Jest już rano?

Czuję się fatalnie. Co się stało w nocy? Boże, boli mnie głowa. Dobra, przestanę pić, koniec z tym. Jestem zamroczona, nie mogę myśleć, nie mówiąc już o...

Auu. Jak długo nie śpię?

Łeb mi pęka, przed oczami mgła. A w ustach pustynia. W życiu nie miałam takiego kaca. Koniec z piciem, już nigdy. Ktoś do mnie mówi...? Nie, muszę się przespać...

Jak długo nie śpię? Od pięciu minut? Od pół godziny? Trudno się zorientować. A w ogóle jaki to dzień?

Przez chwilę leżę spokojnie. Głowę rozsadza mi pulsujący ból, jakby ktoś rozbijał w niej beton młotem pneumatycznym. Zaszło mi w gardle i wszystko mnie boli. Skórę mam suchą jak pergamin.

Gdzie ja byłam w nocy? Co z moją głową? Mam wrażenie, że wszystko zasnuwa mgła.

Już nigdy nie wezmę do ust ani kropli alkoholu. Musiałam się zatruć czy co? Usiłuję przypomnieć sobie ostatnią noc, ale powracają do mnie tylko jakieś głupoty. Dawne wspomnienia

i obrazy przewijają się bez porządku, jakby ktoś bawił się iPodem w mojej głowie.

Słoneczniki kołyszące się na tle błękitnego nieba...

Amy jako nowo narodzone dziecko, przypominająca różową kielbasę w kocyku...

Porcja posolonych frytek na drewnianym talerzu w pubie; gorące promienie słońca na mojej szyi; siedzący naprzeciwko tata w panamie na głowie wydmuchuje dym z papierosa i mówi do mnie: „Jedz, kochanie”...

Wyścigi w workach podczas dni sportu w szkole. O Boże, tylko nie to... Próbuję odsunąć od siebie to wspomnienie, ale jest za późno, już wraca... Mam siedem lat i wyprzedzam resztę zawodników o całe mile, ale to takie nieprzyjemne być samej na czele, więc czekam na pozostałych. Doganiają mnie, w zamieszaniu przewracam się i dobiegam na metę ostatnia. Wciąż czuję to upokorzenie, słyszę śmiech, w gardle mam pył, smak bananów...

Stop. Jakimś cudem udaje mi się zmusić mózg, żeby uspokoił się na chwilę.

Banany.

Z mgły wyłania się inne wspomnienie. Rozpaczliwie próbuję je zatrzymać, utrwalić... Jest. Bananowe drinki.

Piliśmy bananowe drinki w jakimś klubie. Tylko to jestem w stanie sobie przypomnieć. Cholerne bananowe drinki. Co oni, u licha, do nich dodają?

Nie mogę otworzyć oczu. Powieki mi opadają, kleją mi się oczy, jak wtedy, gdy przymocowałam sobie sztuczne rzęsy jakimś podejrzanym klajstrem z supermarketu, a gdy następnego rana powlokłam się do łazienki, jedno oko miałam zlepione na amen, a na nim tkwiło coś, co przypominało zdechłego pająka. Pięknie, Lexi, pięknie.

Ostrożnie przesuwam rękę na pierś i słyszę szelest pościeli. Brzmi to jednak jakoś inaczej niż w domu.

W powietrzu unosi się dziwny cytrynowy zapach, a ja mam na sobie mięk-

ką bawełnianą koszulkę, której nie znam. Gdzie ja jestem? Co, do diabła...

Hej, chyba nie najarałam się czegoś?

O cholera. Czyżbym zdradziła Dave'a Nieudacznika? Mam na sobie za dużą koszulkę jakiegoś gorącego faceta, którą pożyczyłam sobie od niego po namiętnym całonocnym seksie, i dlatego czuję się taka rozbita i obolała...

Nie, nigdy w życiu nie dopuściłam się zdrady. Musiałam więc zostać na noc u którejś z dziewczyn czy coś takiego. Wstanę, wezmę prysznic...

Z dużym wysiłkiem otwieram oczy i unoszę głowę o kilka centymetrów.

Cholera. Co jest?

Leżę w mrocznym pokoju, na żelaznym łóżku. Po prawej stronie mam pulpit z przyciskami. Na nocnym stoliku stoi bukiet kwiatów. Przełykając ze strachu ślinę, widzę, że do lewej ręki mam podłączoną kroplówkę, na statywie wisi worek z jakimś płynem.

To niemożliwe. Jestem w szpitalu.

Co się stało?

Zmuszam mózg do pracy, ale jest jak wielki pusty balon. Muszę się napić mocnej kawy. Próbuję rozejrzeć się po pokoju w poszukiwaniu jakichś tropów, ale oczy odmawiają mi posłuszeństwa. Nie chcą nic widzieć, pragną tylko kropli, a ciało domaga się trzech aspiryn. Opadam na poduszkę, zamykam oczy i czekam. No, dalej! Przecież muszę sobie przypomnieć, co się zdarzyło. Przecież nie mogłam się aż tak upić... A może?

Trzymam się kurczowo tego jedyne wspomnienia, jakby to była wyspa na oceanie. Drinki bananowe... bananowe drinki... myśl... myśl...

Destiny's Child. Tak! Napływają inne wspomnienia. Powoli, powoli, fragmentami. Nachos z serem.

Nędzne stołki barowe z podartymi winylowymi obiciami.

Wybrałam się na imprezę z dziewczynami z pracy. Szem-

rany klub z różowym neonem na suficie... gdzieś tam na zadupiu. Pamiętam, że sączyłam koktajl, całkowicie podłamana.

Dlaczego byłam w takim dołku?

Premia. Oczywiście. Znowu przewraca się mi się w żołądku. I Dave Nieudacznik nie przyszedł. Podwójny cios. Ale to jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego wylądowałam w szpitalu. Marszczę czoło i wyteżam pamięć. Pamiętam, że tańczyłyśmy jak wariatki do piosenki Kylie i śpiewałyśmy **We Are Family** do maszyny od karaoke, wszystkie cztery, ramię w ramię. Przypominam też sobie mgliście, jak wyszłyśmy na chwiejnych nogach, żeby złapać taksówkę.

A później... już nic. Totalna pustka.

To dziwne. Wyślę esemesa do Fi i zapytam ją, co się stało. Wyciągam rękę w kierunku nocnego stolika i dociera do mnie, że nie ma tam telefonu. Ani na krześle, ani w szufladzie.

Gdzie mój telefon? Gdzie się podziały wszystkie moje rzeczy?

O Boże! Zostałam napadnięta? Najwyraźniej. Jakiś małolat w kapturze walnął mnie w łeb, wyłożyłam się na chodniku, więc wezwano karetkę i...

Nachodzi mnie jeszcze bardziej przerażająca myśl. Jaką miałam na sobie bieliznę?!

Wyrywa mi się cichy jęk. Naprawdę kiepska sprawa. Mogłam włożyć te obciachowe szare majty i stanik, które wyciągam z dna szafy, gdy brudy już wylażą z kosza. Albo te sprane cytrynowe figi z porwaną koronką, ze Snoopym.

To nie mogło być nic wyjściowego, dla Dave'a Nieudacznika nie ma się co wysilać, szkoda zachodu. Krzywiąc się, obracam głowę z boku na bok, ale nigdzie nie widzę swoich ciuchów ani nic. Lekarze musieli oddać je do spalenia w specjalnym szpitalnym piecu do palenia obciachowej bielizny.

Wciąż nie mam pojęcia, jak się tu znalazłam. Mam naprawdę sucho w gardle, oddałabym życie za szklankę porządnego zimnego soku pomarańczowego. Ale, ale, skoro już o to

chodzi, to gdzie są ci wszyscy lekarze i pielęgniarki? A gdybym tak była umierająca?

- Halo?! - wołam cicho. Mój głos brzmi tak, jakby ktoś przeciągnął tarką po drewnianej podłodze. Czekam na odpowiedź, ale wciąż panuje cisza. Jestem pewna, że nikt mnie nie słyszy przez te grube drzwi.

Potem przychodzi mi do głowy, że trzeba nacisnąć guzik na pulpicie. Wybieram jeden z nich, z symbolem człowieka, i po chwili drzwi się otwierają. Zdziałało! Wchodzi siwowłosa pielęgniarka w ciemnoniebieskim kitlu i uśmiecha się do mnie.

- Cześć, Lexi! - mówi. - Dobrze się czujesz?

- Uhm, w porządku, dziękuję. Pić mi się chce. I boli mnie głowa.

- Przyniosę ci proszek przeciwbólowy. - Podaje mi plastikowy kubek z wodą i pomaga usiąść. - Wypij to.

- Dzięki - mówię, wypiwszy duszkiem wodę. - Więc... jak się domyślam, jestem w szpitalu? Czy może w jakimś supernowoczesnym spa?

Pielęgniarka się uśmiecha.

- Przykro mi. To szpital. Nie pamiętasz, jak się tu znalazłaś?

- Nie. - Kręcę głową. - Prawdę mówiąc, wszystko wydaje mi się jakieś zamglone.

- To dlatego, że zostałaś mocno uderzona w głowę. Pamiętasz coś w związku z wypadkiem?

Wypadek... wypadek... I nagle wszystko mi się przypomina. Oczywiście. Sprint do taksówki po kamiennych stopniach mokrych od deszczu i wywrotka w tych głupich tanich butach...

Jeezu! Musiałam nieźle wyrznąć się w głowę.

- Taaak. Chyba tak. - Kiwam głową. - Coś niecoś. Więc... która jest godzina?

- Ósma wieczorem.

Ósma? Rany kota. Byłam nieprzytomna przez cały dzień?

- Mam na imię Maureen. - Pielęgniarka bierze ode mnie kubek. - Przeniesiono cię do tego pokoju kilka godzin temu. Rozmawiałyśmy już ze sobą parę razy, wiesz?

- Naprawdę? - pytam zdziwiona. - Co mówiłam?

- Trochę bełkotałaś, ale stale pytałaś, czy coś było „ba-dziewne”. - Marszczy brwi niepewnie. - A może „obcia-chowe”?

Super. Nie tylko noszę obciachową bieliznę, ale jeszcze rozmawiam o tym z nieznajomymi.

- Obciachowe? - Staram się sprawiać wrażenie zaskoczonej. - Nie mam pojęcia, o co mogło mi chodzić.

- Cóż, teraz już mówisz całkiem do rzeczy. - Maureen strzepuje mi poduszkę. - Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

- Poprosiłabym o sok pomarańczowy, jeśli macie. I nie widzę nigdzie mojego telefonu ani torebki.

- Wszystkie wartościowe rzeczy zdeponowano w bezpiecznym miejscu. Zaraz się dowiem. -

Wychodzi, a ja rozglądam się po pokoju, wciąż otumaniona. Czuję się tak, jakbym ułożyła zaledwie maleńki fragment puzzli. Wciąż nie wiem, w jakim jestem szpitalu... jak się tu dostałam... Czy ktoś zawiadomił moją rodzinę? I jest jeszcze coś, co mnie niepokoi...

Chciałam wrócić do domu. Tak. Nie mylę się. Powtarzałam, że muszę wrócić do domu, bo następnego dnia mam wcześniej pobudkę. Bo...

O nie. Szlag by to trafił.

Pogrzeb taty. Miał się odbyć następnego dnia, o jedenastej. Co oznacza...

Przespałam go? Odruchowo próbuję zwlec się z łóżka, ale gdy siadam, zaczyna kręcić mi się w głowie. W końcu poddaję się. Jeśli nie byłam na pogrzebie, to siła wyższa. Nic nie mogę na to poradzić.

Tak naprawdę nie znałam taty dobrze. Rzadko go widywałam, był dla mnie raczej jak wujek. Taki wesoły, łobuzer-

ski wujek, który przynosi słodczyce na Boże Narodzenie i zalatuje alkoholem oraz papierosami. Jego śmierć nie była dla mnie wstrząsem. Miał operację wszczepienia bypassów i wszyscy wiedzieli, że ryzyko wynosi fifty-fifty. Ale powinnam tam być dziś, razem z mamą i Amy. Bo Amy ma dopiero dwanaście lat, i w dodatku jest nieśmiała. Nagle widzę ją, jak siedzi w kaplicy obok mamy, z poważną buzią pod tą jej grzywką kucyka szetlandzkiego, i ściska w rękach starego, postrzępionego niebieskiego lewka. Nie jest przygotowana na widok ojca w trumnie, bez siostry przy boku, która trzymałaby ją za rękę.

Gdy tak leżę i wyobrażam sobie, jak Amy stara się być dzielna, zachowywać jak dorosła, czuję, że po twarzy płyną mi łzy. Jest dzień pogrzebu taty, a ja leżę w szpitalu z potwornym bólem głowy, ze złamaną pewnie nogą czy coś takiego.

A zeszłego wieczoru wystawił mnie mój facet. I nikt mnie nie odwiedza, uzmysławiam sobie nagle. Gdzie są wszyscy moi zatroskani przyjaciele i rodzina, którzy powinni siedzieć przy łóżku i trzymać mnie za rękę?

Cóż... Przypuszczam, że mama była z Amy na pogrzebie. A Dave Nieudacznik niech spada. Ale co z Fi i resztą? Gdzie one są? Kiedy pomyślę, że wszystkie odwiedzałyśmy Debs, gdy usunięto jej wrośnięty paznokieć u stopy... Praktycznie obozowałyśmy u niej na podłodze, przynosiłyśmy czasopisma i kawę ze Starbucks, i raz zafundowałyśmy pedikiur, kiedy palec się wygoił. Ale tylko tego paznokcia.

A ja byłam nieprzytomna, pod kroplówką i w ogóle. Najwyraźniej nikogo to jednak nie obchodzi. Świetnie. Cholera, po prostu... ekstra!

Znów łzy spływają mi po twarzy, w chwili gdy otwierają się drzwi i wchodzi Maureen. Niesie tacę i reklamówkę z moim nazwiskiem wypisanym markerem „Lexi Smart”.

- Ojej! - woła, widząc, że ocieram oczy. - Boli cię? - Podaje mi tabletkę i kubeczek wody. - To powinno pomóc.

- Bardzo dziękuję. - Połykam pigułkę, popijając wodą. - Ale chodzi o coś innego. O moje życie. - Rozkładałam bezradnie ręce. - To totalna kłapa, od początku do końca.

- Ależ skąd - uspokajająco mówi Maureen. - Czasami wszystko wydaje się...

- Może mi pani wierzyć. Prawdziwa kłapa.

- Jestem pewna, że...

- Moja tak zwana kariera zmierza donikąd, facet zeszłego wieczoru wystawił mnie do wiatru i nie mam pieniędzy. I zalewam sąsiadów ohydłą brązową wodą, która cieknie ze zlewu - dodaję, przypomniawszy sobie o tym, i dreszcz przebiega mi po plecach. - Pewnie podadzą mnie za to do sądu. I właśnie umarł mój ojciec.

Cisza. Maureen wygląda na kompletnie zdezorientowaną.

- To wydaje się... przykre - mówi w końcu. - Ale na pewno wszystko się dobrze ułoży.

- Tak powiedziała moja przyjaciółka Fi! - Nagle widzę przed oczami błyszczące w deszczu oczy Fi. - I proszę, wylądowałam w szpitalu! - Macham ręką w geście rozpaczony. - I to ma być dobre zakończenie?

- No... nie wiem, kochanie. - Maureen bezradnie omija mnie wzrokiem.

- Za każdym razem, gdy myślę, że jest dno, robi się jeszcze gorzej! - Wycieram nos i wzdycham ciężko. - Czy nie byłoby cudownie, gdyby choć raz, raz w życiu, wszystko się rzeczywiście jakimś cudem ułożyło?

- Hmm. Powinniśmy mieć nadzieję, prawda? - Maureen posyła mi współczujący uśmiech i wyciąga rękę, żeby zabrać ode mnie kubeczek.

Podaję go, i wtedy nagle widzę swoje paznokcie. Jasna cholera. Co, do diabła...

Paznokcie mam zawsze obgryzione do skóry, tak że staram się ich nie pokazywać. Ale teraz wyglądają niesamowicie. Zadbane, pomalowane jasnoróżowym lakierem i... długie. Patrzę na nie ze zdumieniem, usiłuję sobie przypomnieć,

jak to się stało, że je mam. Zrobiłyśmy sobie w nocy mani-kiur, a ja o tym nie pamiętam? Strzeliłam sobie akrylowe paznokcie? Musi to być jakaś fantastyczna nowa technika, bo nie widzę złączeń ani nic podobnego.

- A przy okazji, tu masz torebkę - dodaje Maureen, kładąc reklamówkę na łóżku. - Przyniosę ci ten sok.

- Dziękuję - rzucam, patrząc ze zdziwieniem na reklamówkę. -1 za torebkę. Myślałam, że ktoś ją rąbnął.

No, przynajmniej odzyskałam swoje rzeczy. Jeśli dopisze mi szczęście, bateria nie będzie jeszcze rozładowana i wyślę kilka esemesów... Gdy Maureen otwiera już drzwi, żeby wyjść, sięgam do reklamówki i... wyjmuję dużą elegancką torebkę Louis Vuittona z rączkami z koźlej skóry, błyszczącą i zdecydowanie drogą.

No fajnie. Wzdycham z rozczarowaniem. To nie moje. Pomyłono mnie z kimś. Jak ja, Lexi Smart, mogłabym mieć torebkę Louis Vuittona.

- Przepraszam, to nie moje! - wołam, ale drzwi za Maureen już się zamknęły.

Przez chwilę patrzę smętnie na torebkę, zastanawiając się, do kogo może należeć. Na pewno do jakiejś bogatej dziewczyny, która leży na tym samym piętrze. W końcu upuszczam ją na podłogę, opadam na poduszki i zamykam oczy.

2

Budzę się i widzę pierwsze promienie słońca, które przesuwają się za zaciągniętymi zasłonami. Na stoliku nocnym stoi szklanka soku, a Maureen krząta się w kącie. Kroplówka jakimś cudem zniknęła i czuję się prawie normalnie.

- Cześć, Maureen - mówię zachrypniętym głosem. -Która godzina?

Pielęgniarka odwraca się, unosząc brwi.

19

- Pamiętasz mnie?

- Jasne - odpowiadam ze zdziwieniem. - Poznałyśmy się zeszłego wieczoru. I rozmawiałyśmy.

- Doskonale! To znaczy, że wychodzisz z amnezji pourazowej. Nie przerażaj się! - dodaje z uśmiechem. - To normalny stan dezorientacji po urazie głowy.

Instynktownie dotykam ręką czoła i wyczuwam opatrunek. O rany! Naprawdę musiałam się porządnie wygruzić na tych schodach.

- Dochodzisz do zdrowia. - Poklepuje mnie po ramieniu. - Przyniosę ci świeży sok.

Rozlega się pukanie do drzwi, które zaraz się otwierają, i wchodzi wysoka, szczupła kobieta około pięćdziesiątki. Ma niebieskie oczy, wydatne kości policzkowe i falujące siwawe włosy w lekkim nieładzie. Ubrana jest w długą wzorzystą sukienkę i czerwoną pikowaną kamizelkę, ma naszyjnik z bursztynów, a w ręce trzyma papierową torbę.

To mama. To znaczy na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Nie wiem, dlaczego w ogóle mam wątpliwości.

- Ależ tu grzeją! - wykrzykuje swoim wysokim dziewczęcym głosem.

Okej, to na pewno mama.

- Zaraz zemdleję! - Wachluje się. - A miałam taką stresującą podróż... - Zerka w stronę łóżka i jakby po namyśle pyta Maureen: - Jak się dziś czuje?

Maureen się uśmiecha.

- Lexi jest dziś w zdecydowanie lepszej formie. Znacznie mniej zagubiona niż wczoraj.

- Dzięki Bogu i za to! - Mama leciutko ścisza głos. - Wczoraj miałam wrażenie, jakbym mówiła do kogoś obłąkanego albo... opóźnionego w rozwoju.

- Lexi nie jest umyślowo chora - odpowiada Maureen spokojnie. - Rozumie wszystko, co pani mówi. Prawda jest taka, że ledwie słucham. Nie mogę przestać gapić się na mamę. Co z nią nie tak? Wygląda jakoś inaczej.

Jeszcze szczuplejsza. I jakby... starsza. Gdy podchodzi bliżej i staje w świetle, które pada przez okno, wygląda jeszcze gorzej.

Może jest chora?

Nie. Wiedziałabym, gdyby chorowała. Ale słowo daję, można odnieść wrażenie, że postarzała się przez jedną noc. Kupię jej na gwiazdkę jakiś creme de la mer, postanawiam.

- Witaj, kochanie - mówi za głośno i zbyt wyraźnie. - To ja. Twoja matka. - Podaje mi papierową torbę, w której znajduje się szampon, i całuje mnie w policzek.

Wdycham znajomy zapach psów i herbatki różanej, który ją otacza, i... to śmieszne, ale czuję, że do oczu napływają mi łzy. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo czuję się samotna.

- Cześć, mamó. - Wyciągam ręce, żeby ją uścisnąć, ale moje ramiona trafiają w pustkę.

Już się odsunęła i spogląda na swój mały złoty zegarek.

- Obawiam się, że nie mogę zostać już ani minutki - mówi z pewnym napięciem, jakby świat miał eksplodować, gdyby zatrzymała się tu dłużej. - Mam wizytę u specjalisty w sprawie Roly'ego.

- Roly'ego?

- Z ostatniego miotu Smoky, kochanie. - Mama spogląda na mnie z przyganą. - Chyba pamiętasz małego Roly'ego.

Nie wiem, dlaczego mama oczekuje, że zapamiętam imiona jej psów. Jest ich ze dwadzieścia, wszystkie to whippety, i za każdym razem, gdy wpadam do domu, mam wrażenie, że pojawił się kolejny. W naszej rodzinie nigdy nie było zwierząt aż do tego roku, gdy skończyłam siedemnaście lat. Z urlopu w Walii mama przywiozła szczenię whippetta. W ciągu nocy zamieniło się to u niej w prawdziwą manię.

Naprawdę lubię psy. Tak mi się zdaje. Ale niekoniecznie wtedy, gdy ze sześć z nich skacze na ciebie za każdym razem, gdy otwierasz drzwi frontowe. Gdy próbujesz przysiąść na sofie czy na fotelu, zawsze miejsce jest zajęte przez psa. A największe prezenty pod choinką są dla nich.

Mama wyjmuje z torebki buteleczkę waleriany. Wyciska trzy krople na język, a potem bierze głęboki oddech.

- Ruch na ulicach jest straszny - mówi. - Ludzie w Londynie są tacy agresywni. Miałam bardzo niemiłą wymianę zdań z facetem w vanie.

- Co się stało? - pytam, choć wiem, że mama jedynie pokręci głową.

- Nie mówmy o tym, kochanie. - Krzywi się, jakby ktoś namawiał ją na wspomnienia z pobytu w obozie koncentracyjnym. - Zapomnijmy o tym.

W życiu mamy jest wiele bolesnych spraw, o których nie chce mówić. Na przykład o moich nowych butach, które zostały pogryzione przez psy w zeszłe Boże Narodzenie. Albo o ciągłych skargach samorządu lokalnego na psie kupy na naszej ulicy. Albo, prawdę mówiąc, o nieporządku w ogóle. W życiu.

- Przyniosłam ci kartkę - mówi, gmerając w torebce. -Gdzie ona jest? Od Andrew i Sylvii. Patrzę na nią zdziwiona.

- Od kogo?

- Od Andrew i Sylvii z sąsiedztwa! - mówi, jakby to było oczywiste. - Naszych sąsiadów! Nasi sąsiedzi nie nazywają się Andrew i Sylvia, tylko Philip i Maggie.

- Mamo...

- W każdym razie przesyłają ci serdeczności - przerywa mi. - A Andrew chce cię prosić o poradę na temat jazdy na nartach.

Jazdy na nartach? Nie umiem jeździć na nartach.

- Mamo... - Przykładam rękę do czoła, zapominając o urazie, i krzywię się. - O czym ty mówisz?

- Jestem! - Do pokoju wraca Maureen, która przynosi sok pomarańczowy. - Doktor Harman już idzie, żeby do ciebie zajrzeć.

- Muszę lecieć, kochanie. - Mama zrywa się na równe

nogi. - Zostawiłam samochód na jakimś nieziemsko drogim parkingu. No i te śródmiejskie taryfy.

Będzie mnie to kosztowało z osiem funtów!

Tu też się coś nie zgadza. Taryfa za parkowanie w centrum nie wynosi osiem funtów. Jestem pewna, że tylko piąta-ka, chociaż nie jeżdżę samochodem.

Żołądek podchodzi mi do gardła. O mój Boże, mama popada w demencję. Bez wątpienia. Zaczyna się starzeć w wieku pięćdziesięciu czterech lat. Będę musiała porozmawiać o niej z lekarzem.

- Przyjdę później z Amy i Erikiem - mówi, zmierzając do drzwi.

Erikiem? Czasami nadaje swoim psom naprawdę dziwne imiona.

- Fajnie, mamó. - Uśmiecham się promiennie, żeby ją zadowolić. - Nie mogę się doczekać.

Popijając sok, czuję się poruszona. Wszyscy uważają, że ich matki są trochę szurnięte. Ale to już poważny odchyl. A jeśli będzie musiała się przenieść do domu opieki? Co ja zrobię z tymi wszystkimi psami?

Rozmyślania przerywa mi pukanie do drzwi. Wchodzi dość młody lekarz o ciemnych włosach, a za nim jacyś ludzie w kitlach.

- Witaj, Lexi - mówi sympatycznie, z ożywieniem. - Nazywam się Harman, należę do zespołu neurologów. A to Nicole, wykwalifikowana pielęgniarka, oraz Diana i Garth, nasi młodzi stażyści po medycynie. Jak się czujesz?

- Całkiem dobrze! Poza tym, że mam dziwne odczucia w lewej ręce - mówię. - Tak, jakbym na niej spała i jest trochę sztywna.

Gdy unoszę rękę, żeby ją zademonstrować, znowu nie mogę napatrzeć się na ten manikiur. Koniecznie muszę zapytać Fi, gdzie byłyśmy wieczorem.

- Dobrze. - Lekarz kiwa głową. - Przyjrzymy się temu;

może potrzebna będzie fizykoterapia. Ale najpierw zadam ci kilka pytań. Nie denerwuj się, jeśli niektóre z nich wydadzą ci się oczywiste. - Posyła mi profesjonalny uśmiech i mam wrażenie, że mówił to wszystko już wcześniej tysiące razy. -Możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz?

- Lexi Smart - odpowiadam szybko.

Doktor Harman kiwa głową i stawia ptaszek na blankiecie.

- Kiedy się urodziłaś?

- W siedemdziesiątym dziewiątym.

- Bardzo dobrze. - Kolejny ptaszek. - Posłuchaj, Lexi, podczas wypadku samochodowego uderzyłaś głową w przednią szybę. Wykryliśmy niewielki obrzęk mózgu, ale wygląda na to, że miałaś dużo szczęścia. Mimo to muszę jeszcze zrobić kilka testów. - Unosi długopis. - Spójrz na czubek tego długopisu, a ja przesunę nim z boku na bok...

Lekarze nigdy nie dopuszczają cię do głosu, zauważyliście?

- Chwileczkę! - Macham ręką. - Pomyliliście mnie z kimś. Nie miałam wypadku samochodowego.

Doktor Harman marszczy czoło i przerzuca dwie kartki wstecz w swoim notatniku.

- Mam tu napisane: „pacjentka po wypadku samochodowym”. - Patrzy na współpracowników, szukając u nich potwierdzenia.

Dlaczego pyta tych ludzi? Ja najlepiej wiem, co się ze mną działo.

- Musieli źle zapisać - oświadczam stanowczo. - Byłam w klubie z koleżankami, biegłyśmy do taksówki i wywróciłam się. Całkiem dobrze to pamiętam.

Doktor Harman i Maureen wymieniają zdziwione spojrzenia.

- To był na pewno wypadek samochodowy - mruczy Maureen. - Dwa pojazdy, zderzenie boczne.

Zeszłam na erkę akurat, gdy ją przywieźli. I tego drugiego kierowcę. Wydaje mi się, że miał jakieś drobne złamanie.

- Nie mogłam mieć wypadku samochodowego. - Staram

się zachować cierpliwość. - Nie mam wozu. Nie umiem nawet prowadzić!

Zamierzam się kiedyś nauczyć. Tylko że odkąd mieszkam w Londynie, nie było takiej potrzeby, lekcje są drogie, a poza tym nie stać mnie na samochód.

- Ma pani... - Doktor Harman przerzuca kartkę za kartką i mruży oczy: - Mercedesa typu kabriolet.

- Mercedesa? - Prycham śmiechem. - Mówi pan poważnie?

- Tak tu jest napisane...

- Proszę posłuchać - przerywam mu najuprzejmiej, jak potrafię. - Powiem panu, ile zarabia dwudziestopięcioletnia zastępczyni kierownika sprzedaży w Deller Carpets, dobra? A pan mi wtedy powie, czy kogoś takiego stać na mercedesa typu kabriolet.

Doktor Harman już otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale wtrąca się stażystka, która klepie go w ramię. Gryzmoli na mojej karcie i na twarzy Harmana pojawia się zdumienie. Spogląda na stażystkę, która unosi brwi, zerka na mnie, po czym znowu wskazuje kartę. Oboje wyglądają jak odrzuceni kandydaci do szkoły mimów.

Doktor Harman podchodzi bliżej i patrzy na mnie z poważną, skupioną miną. Czuję ściskanie w żołądku. Oglądałam *Ostry dyżur* i wiem, co oznacza taki wyraz twarzy.

„Lexi, zrobiliśmy ci tomografię i zobaczyliśmy coś, czego się nie spodziewaliśmy. Ale to nie musi być nic poważnego”.

Tylko że zawsze jest, prawda? Bo po co by cię pokazywali w filmie?

- Czy coś jest ze mną nie tak? - pytam agresywnie, usiłując stłumić przerażenie w głosie. - Powiedźcie mi!

Przebiegam myślą wszystkie możliwości. Rak. Dziura w sercu. Amputacja nogi. Może już straciłam nogę, tylko nie chcę mi o tym powiedzieć. Ukradkowo macam ręką po kocu.

- Lexi, chcę ci zadać następne pytanie. - Doktor Harman

mówi bardzo łagodnym głosem. - Możesz mi powiedzieć, który mamy rok?

- Który mamy rok? - Patrząc na niego, zbity z tropu.

- Nie denerwuj się - dodaje uspokajająco. - Po prostu powiedz, który według ciebie mamy rok. To jedno ze standardowych pytań.

Przesuwam spojrzeniem po twarzach obecnych. Domyślam się, że to jakaś sztuczka, ale nie potrafię dociec jaka.

- Dwa tysiące czwarty.

W pokoju zapada cisza, jakby wszyscy bali się odetchnąć.

- Dobra. - Doktor Harman przysiadł na moim łóżku. - Lexi, jest dziś szósty maja dwa tysiące siódmego roku. Ma minę pełną powagi. Pozostali też są poważni. Natychmiast coś strasznego zaczyna mi świtać w głowie, ale potem z ulgą chwytam, o co chodzi. To podpucha!

- Ha, ha. - Przewracam oczami. - Bardzo śmieszne. Fi wam to podsunęła? Czy Carolyn?

- Nie znam nikogo o imieniu Fi ani też żadnej Carolyn - odpowiada doktor, nie spuszczać ze mnie wzroku. - I wcale nie żartuję.

- On mówi poważnie, Lexi - włącza się stażystka. - Mamy rok dwa tysiące siódmy.

- Ależ... to będzie dopiero w przyszłości - rzucam głupio. - A może chcecie powiedzieć, że wynaleziono wehikuł czasu? - Śmieję się wymuszenie, ale nikt się do mnie nie przyłącza.

- Lexi, to musi być dla ciebie szok - mówi Maureen, łagodnie kładąc rękę na moim ramieniu. - Ale to prawda. Jest maj dwa tysiące siódmego roku.

Mam wrażenie, że nie kontaktują dwie części mojego mózgu. Słyszę, co oni mówią, ale to przecież po prostu absurdalne. Jeszcze wczoraj był rok dwa tysiące czwarty. Jakim cudem przeskoczyliśmy trzy lata do przodu?

- Posłuchajcie, nie może być dwa tysiące siódmy - mówię w końcu, starając się nie pokazywać po sobie, że jestem

wytracona z równowagi. - Mamy rok dwa tysiące czwarty. Nie jestem głupia...

- Tylko się nie denerwuj - mówi doktor Harman, patrząc ostrzegawczo na pozostałych. - Powoli. Może nam opowiesz, co zapamiętałaś jako ostatnią rzecz?

- W porządku... - Przecieram dłońmi twarz. - Ostatnie, co pamiętam, to fakt, że wczoraj wieczorem wyskoczyłam z koleżankami z pracy na miasto. Był piątek. Wybrałyśmy się do klubu... Potem w deszczu usiłowałyśmy złapać taksówkę, poślizgnęłam się na schodach i upadłam. Obudziłam się w szpitalu. Był dwudziesty lutego dwa tysiące czwartego roku. - Głos mi drży. - Pamiętam dobrze datę, bo następnego dnia był pogrzeb mojego taty! Nie poszłam, bo wylądowałam tutaj!

- Lexi, to wszystko zdarzyło się ponad trzy lata temu -mówi cicho Maureen.

Sprawia wrażenie przekonanej. Wszyscy zresztą wydają się pewni swego. Gdy patrzę na ich twarze, narasta we mnie panika. Jest dwa tysiące czwarty rok, wiem to i już. Czuję się jak w dwa tysiące czwartym roku.

- Co jeszcze pamiętasz? - pyta doktor Harman. - Wstecz od tego wieczoru.

- Nie wiem - odpowiadam obronnym tonem. - Byłam w pracy... przeprowadzkę do nowego mieszkania... Wszystko!

- Wszystko widzisz wyraźnie, nie za mgłą?

- Może troszkę zamglone - przyznaję niechętnie, gdy otwierają się drzwi.

Stażystka wyszła przed chwilą i teraz wróciła, niosąc „Daily Mail”. Podchodzi do łóżka i zerkna na Harmana.

- Mogę?-pyta.

- Tak. - Harman kiwa głową. - To dobry pomysł.

- Spójrz, Lexi. - Dziewczyna wskazuje datę obok nagłówka. - To dzisiejsza gazeta.

Doznaję potężnego szoku, spoglądając na datę: 6 maja 2007. Ale przecież... to tylko druk na papierze, niczego nie

dowodzi. Przesuwam wzrokiem niżej, na zdjęcie Tony'ego Blaira.

- Boże, ale się posunął! - wrywa mi się mimowolnie. „Tak jak mama” - przebiega mi przez myśl i nagle czuję ciarki na plecach.

Ale... to też jeszcze o niczym nie świadczy. Może po prostu światło było niekorzystne.

Drżącymi rękami przewracam kartkę gazety. W pokoju panuje kompletna cisza, wszyscy przyglądają mi się z napięciem. Mój wzrok wędruje niepewnie po tytułach: **Wzrost stóp procentowych, Królowa z wizytą państwową**, a potem widzę reklamę: **Cala fantasy w przecenie - w tym „Harry Potter i Księżę Półkrwi”**.

Teraz naprawdę jeżą mi się włoski na całym ciele. Przeczytałam cały cykl książek o Harrym Potterze, wszystkie pięć części. Nie przypominam sobie jednak żadnego Księcia Półkrwi.

- Co to jest? - Starając się, żeby zabrzmiało to całkiem zwyczajnie, wskazuję reklamę. - Co to za **Harry Potter i Księżę Półkrwi**

- To ostatnia książka z cyklu - wyjaśnia Diana, stażystka. - Wyszła wieki temu.

Brakuje mi tchu.

- Istnieje szósta część **Harry'ego Pottera**?

- Niebawem ukaze się siódma! - Garth, drugi stażysta, skwapliwie występuje naprzód. - A zgadnij, co stało się pod koniec szóstej...

- Ciii! - wykrzykuje Nicole. - Nie zdradzaj jej!

Sprzeczają się, ale ich nie słucham. Wlepiam wzrok w gazetę, aż wreszcie dociera do mnie prawda. To dlatego wszystko wydawało się bez sensu. To nie mamie się pomieszało, tylko mnie...

- Więc leżałam tu w śpiączce... - Z trudem przełykam ślinę. - ...przez trzy lata?

Nie mogę w to uwierzyć. Zapadłam w śpiączkę. Wszyscy

czekali trzy lata, aż się obudzę. Życie toczyło się beze mnie. Rodzina i przyjaciele pewnie nagrywali dla mnie taśmy, siedzieli przy mnie, śpiewali mi piosenki i tak dalej... Ale doktor Harman kręci przecząco głową.

- Nie, Lexi. Trafiłaś tu zaledwie pięć dni temu. Co takiego?!

Dość. Więcej nie zniosę. Znalazłam się w szpitalu pięć dni temu w 2004 roku, ale teraz jakimś cudem jest 2007? Gdzie my jesteśmy, w jakiejś przeklętej Narnii?

- Nie rozumiem! - mówię bezradnie, odrzucając gazetę. - Mam halucynacje? Zwariowałam?

- Nie! - odpowiada stanowczo doktor Harman. - Lexi, myślę, że cierpisz na tak zwaną amnezję wsteczną. To typowy stan po urazach głowy, ale zdaje się, że w twoim wypadku może to być stan długotrwały...

Mówi dalej, ale jego słowa przepływają obok mnie. Gdy spoglądam na innych, nagle nabieram podejrzeń. Wyglądają dziwnie, jak nieprawdziwi. To nie są żadni pracownicy szpitala. Czy to w ogóle szpital?!

- Rąbnęliście mi nerki? - wybucham z paniką w głosie. - Co ze mną zrobiliście? Nie możecie mnie tu zatrzymać. Wzywam policję... - Próbuję wygramolić się z łóżka.

- Lexi. - Nicole przytrzymuje mnie za ramiona. - Nikt nie chce ci zrobić krzywdy. Doktor Harman mówi prawdę. Straciłaś pamięć i jesteś zdezorientowana.

- To naturalne, że wpadasz w panikę i podejrzewasz jakiś spisek. Ale nie okłamujemy cię. - Doktor Harman z powagą patrzy mi w oczy. - Nie pamiętasz kawałka własnego życia, Lexi. Po prostu nie możesz sobie przypomnieć. I to wszystko.

Chce mi się płakać. Nie mogę się zorientować, czy kłamię, czy to wszystko nie jest jakaś mistyfikacja. Czy powinnam im zaufać, a może rzucić się do ucieczki? W głowie mi się mąci...

I wtedy nagle nieruchomieję. Gdy się miotałam po łóżku, podwinął mi się rękaw szpitalnej koszuli i dostrzegam przy

łokciu małą wyraźną bliznę w kształcie litery V. Nigdy jej nie widziałam. Nie znam tej blizny. Nie jest wcale świeża. Musi mieć co najmniej kilka miesięcy.

- Lexi, dobrze się czujesz? - pyta doktor.

Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Nie mogę oderwać spojrzenia od nieznanej mi blizny.

- Dobrze się czujesz? - powtarza.

Serce mi wali w piersi, powoli sunę wzrokiem po rękach. Te paznokcie to nie żaden akryl, co?

Akrylowe tak nie wyglądają. To moje prawdziwe, najprawdziwsze paznokcie. A niemożliwe, żeby tak urosły przez pięć dni.

Mam wrażenie, że wypłynęłam pomiędzy szuwarów i znalazłam się w mętnej wodzie na głębokości kilometra.

- Więc mówicie... - Odchrząkuje. - Że nie pamiętam trzech lat życia.

- Cóż, na to w tej chwili wygląda. - Doktor Harman kiwa głową.

- Czy mogłabym jeszcze raz spojrzeć na gazetę? - Ręce mi się trzęsą, gdy biorę ją od pielęgniarki.

Przewracam strony i na wszystkich widzę u góry tę samą datę: 6 maja 2007. 6 maja 2007.

Naprawdę więc jest rok 2007. Co oznacza, że muszę mieć...

O mój Boże! Mam dwadzieścia osiem lat. Jestem stara.

3

Przynieśli mi filiżankę porządnej mocnej herbaty. Bo herbata dobrze robi na amnezję, nieprawdaż?

Nie, stop. Nie bądź taka sarkastyczna. Jestem wdzięczna za tę herbatę. Przynajmniej jest to coś rzeczywistego.

38

Gdy doktor Harman opowiada o badaniach neurologicznych i tomografii komputerowej, jakoś udaje mi się pozbierać. Spokojnie kiwam głową, jakbym chciała powiedzieć: „Uhm, nie ma problemu. Nie rusza mnie to wszystko”. Ale tak naprawdę mnie rusza. Jestem w rozsypce. Prawda wali mnie jak obuchem, raz po raz, aż kręci mi się w głowie.

Kiedy wreszcie wywołują doktora biperem i musi wyjść, czuję wielką ulgę. Nie mam ochoty już z nikim rozmawiać. I tak nie byłam w stanie śledzić tego wszystkiego, o czym mówił. Pociągam łyk herbaty i osuwam się na poduszki. (Dobra, odwołuję to, co powiedziałam o herbacie. Jest najlepszą rzeczą, jakiej kosztowałam od dłuższego czasu).

Maureen skończyła zmianę i teraz została ze mną pielęgniarzka o blond włosach, Nicole, która gryzmoli coś na mojej karcie.

- Jak się czujesz? - pyta.

- Bardzo, bardzo, bardzo dziwnie. - Próbuję się uśmiechnąć.

- Och, świetnie to rozumiem. - Odpowiada uśmiechem, współczującym. - Ale spokojnie. Twój umysł próbuje się załadować.

Patrzę na nią, gdy spogląda na zegarek i odnotowuje godzinę.

- Czy ludzie z amnezją odzyskują pamięć? - zagaduję.

- Przeważnie tak. - Kiwa uspokajająco głową.

Zaciskam powieki i z całym siłą próbuję cofnąć się myślami w przeszłość. Czekam, żeby pojawił się jakiś obraz, żeby coś wychynęło na powierzchnię.

Nic z tego. Tylko ciemność, nie ma żadnego punktu zaczepienia.

- No to opowiedz mi coś o roku dwa tysiące siódmym. - Otwieram oczy. - Kto jest premierem? Kto prezydentem USA?

- Wciąż Tony Blair - odpowiada. - A prezydentem Stanów Zjednoczonych Bush.

- Och. Nic się nie zmieniło. - Rozglądam się dookoła. - Rozwiązali problem globalnego ocieplenia? Wynaleźli lek na AIDS?

Nicole wzrusza ramionami.

- Jeszcze nie.

Wydawałoby się, że w ciągu trzech lat powinno zdarzyć się coś więcej. Że świat pójdzie naprzód. Prawdę mówiąc, jestem trochę rozczarowana rokiem 2007.

- Przynieść ci jakieś czasopismo? - pyta Nicole. - Zorganizuję śniadanie... - Znika za drzwiami, a potem wraca i podaje mi egzemplarz „Hello!”.

Przebiegam wzrokiem po hasłach na okładce, i jestem w szoku.

- „Jennifer Aniston i jej nowy facet”. - Niepewnie czytam na głos te słowa. - Co za nowy facet? Po co jej?

- A tak. - Nicole beztrąsko podąża za moim spojrzeniem. - Nie wiesz, że rozstała się z Bradem Pittem?

- Jennifer i Brad się rozeszli? - Patrzę na nią ze zdumieniem. - Chyba żartujesz! To niemożliwe!

- On związał się z Angeliną Jolie. Mają córeczkę.

- Nie! - jęczę. - On i Jen byli taką dobraną parą! Wyglądali razem świetnie, mieli takie urocze ślubne zdjęcie i w ogóle...

- Rozwiedli się. - Nicole wzrusza ramionami, jakby to nie była żadna sprawa.

Nie mogę tego przeboleć. Jennifer i Brad się rozwiedli. Świat już nie jest taki sam.

- Wszyscy już się do tego przyzwyczaili. - Nicole poklepuje mnie po ramieniu. - Przyniosę śniadanie. Chciałabyś angielskie, kontynentalne czy koszyk owoców? A może wszystkie trzy?

- Hmm... poproszę o kontynentalne. Bardzo dziękuję. - Zaglądam do czasopisma, a potem składam je znowu. - Zaraz, zaraz. Koszyk owoców? Czyżby publiczna służba zdrowia nagle dostała zastrzyk pieniędzy z budżetu czy co?

- To nie publiczna służba zdrowia. - Uśmiecha się. - Jesteś w prywatnym skrzydle szpitala. Prywatnym? Nie stać mnie na prywatne leczenie.

- Doleję ci świeżej herbaty... - Podnosi elegancki porcelanowy imbryk i zaczyna nalewać.

- Stop! - wołam w panice. Nie piję więcej herbaty. Filiżanka kosztuje pewnie z pięć funtów.

- Coś nie tak? - pyta zaskoczona Nicole.

- Nie stać mnie na to wszystko - mówię jednym tchem, zakłopotana. - Przepraszam, nie wiem, dlaczego znalazłam się w tym bajeranckim pokoju. Powinni mnie zawieźć do szpitala publicznej służby zdrowia. Chętnie się przeniosę...

- Wszystko pokrywa twoje prywatne ubezpieczenie zdrowotne - wyjaśnia ze zdziwioną miną. - Nie martw się.

- Och! - mówię zaskoczona. - Aha.

Płacę prywatnie na ubezpieczenie zdrowotne? Oczywiście, że tak. Mam dwadzieścia osiem lat. Jestem przezorna. Skończyłam dwadzieścia osiem lat.

Niczym cios w żołądek uderza mnie nowa myśl. Stałam się innym człowiekiem. Nie jestem już sobą. To znaczy, oczywiście, ja to ja. Ale dwudziestoosmioletnia ja. Ktokolwiek to jest. Patrzę na moją dwudziestoosmioletnią dłoń, jakby w poszukiwaniu wyjaśnienia. Ktoś, kto najwyraźniej może sobie pozwolić na indywidualne ubezpieczenie zdrowotne, naprawdę dobry manikiur i...

Chwileczkę. Powoli odwracam głowę i skupiam wzrok na błyszczącej torebce od Louis Vuittona. Nie. To niemożliwe. Ta warta miliony, designerska torebka w stylu gwiazdy filmowej przecież nie może... - Nicole... - Przetykam ślinę, starając się mówić w sposób nonszalancki. - Jak sądzisz... Czy ta torebka... jest moja?

- Chyba tak. - Kiwa głową. - Sprawdźę... - Zagląda do torebki, wyjmując portfel od kompletu i otwiera go z trzaskiem. - Tak, twoja. - Odwraca portfel, żeby pokazać mi platynową kartę Amex z wytłoczonym nazwiskiem Lexi Smart.

Obwody w głowie mi się przegrzewają, gdy patrzę na te wypukłe literki. Ta platynowa karta kredytowa należy do mnie. Torebka też.

- Ale takie torebki kosztują... z tysiąc funtów - mówię zdławionym głosem.

- Wiem. - Nicole nagle parska śmiechem. - No odpręż się. Jest twoja!

Ostrożnie gładzę rączkę, ledwie ośmielam się jej dotknąć. Nie mogę uwierzyć, że to moja własność.

To znaczy... skąd ją mam? Zarabiam furę pieniędzy czy co?

- Więc naprawdę miałam wypadek? - Unoszę głowę i patrzę na Nicole, nagle czując potrzebę, żeby dowiedzieć się wszystkiego o sobie, i to jak najprędzej. - Naprawdę prowadziłam samochód?

Mercedesa?

- Najwyraźniej tak. - Zauważa moją niedowierzającą minę. - Nie miałaś mercedesa w dwa tysiące czwartym?

- Żartujesz? Nawet nie umiem prowadzić!

Kiedy nauczyłam się jeździć? Od kiedy stać mnie na de-signerskie torebki i mercedesy, na miłość boską?!

- Zobacz, co masz w torebce - podsuwa Nicole. - Może coś przywoła wspomnienia.

- Okej. Dobry pomysł.

Mdli mnie, gdy przyciągam do siebie otwartą torebkę. Ze środka wydobywa się zapach skóry zmieszany z jakimiś nieznanymi mi perfumami. Wsadzam rękę i pierwszą rzeczą, jaką wyjmuję, jest mała poślaczana puderniczka marki Estee Lauder. Od razu otwieram ją, żeby spojrzeć do lusterka.

- Masz kilka zadrapań na twarzy, Lexi - szybko rzuca Nicole. - Nie przestrasz się, wkrótce się zagoją.

Widząc swoje oczy w maleńkim lusterku, natychmiast czuję ulgę. To wciąż ja, mimo że mam duże draśnięcie na powiece. Poruszam lusterkiem, żeby zobaczyć więcej; wzdrygam się, ujrawszy bandaż na głowie. Przesuwam puderniczkę w dół; oto moje usta, dziwnie pełne i różowe, jakbym się całowała przez całą noc, i...

O mój Boże!

To nie moje zęby. Wszystkie proste i bielusieńkie. Wszystkie lśnią. Patrzę na usta obcej osoby.

- No i co? W porządku? - Głos Nicole wyrwa mnie z osłupienia. - Lexi?

- Mogę prosić o większe lustro? - wyrzucam z siebie w końcu. - Może jest tu jakieś, które mogłabyś przynieść?

- W łazience wisi lustro. - Podchodzi do mnie. - To nawet dobry pomysł, żebyś się przeszła. Pomogę ci...

Złazę z wysokiego żelaznego łóżka. Mam miękkie nogi, ale jakoś udaje mi się dowlec do przyległej łazienki.

- Dobra - mówi Nicole przed zamknięciem drzwi. - Jesteś trochę poharatana i posiniaczona, więc możesz przeżyć szok, gdy zobaczysz swoje odbicie. Jesteś na to gotowa?

- Tak. Nic mi nie będzie. - Biorę głęboki oddech i przygotowuję się psychicznie.

Nicole zamyka drzwi, za którymi ukazuje się duże lustro. Czy to... ja?

Zatyka mnie. Nogi uginają się pode mną. Przytrzymuję się wieszaka na ręczniki, żeby złapać równowagę.

- Wiem, że te szramy źle wyglądają. - Nicole obejmuje mnie mocno. - Ale wierz mi, to tylko powierzchowne skaleczenia.

Nie patrzę nawet na zadrapania. Ani na bandaże i plastry na czole. Tylko na to, co znajduje się niżej.

- To nie... - Wskazuję odbicie w lustrze. - Nie wyglądałam tak.

Przymykam oczy i przywołuję obraz dawnej siebie, żeby się upewnić, że nie zwariowałam. Kręcone włosy w mysim kolorze, niebieskie oczy, trochę więcej ciała, niżbym sobie życzyła. Miła twarz, ale nic szczególnego. Czarne kreski wokół oczu i jaskraworóżowa szminka z Tesco. Lexi Smart w zwykłym wydaniu. Potem znowu otwieram oczy. Patrzy na mnie zupełnie inna dziewczyna. Włosy trochę zmierzwiły mi się podczas wy-

padku, ale są błyszczące, w nieznanym mi odcieniu kasztanowym i zupełnie proste, bez ani jednego loczka. Paznokcie u stóp mam idealnie różowe i wypolerowane. Nogi opalone na złotobrazowo i szczuplejsze niż przedtem. I bardziej wyćwiczone.

- Co się zmieniło? - Nicole patrzy z ciekawością na moje odbicie.

- Wszystko! - udaje mi się wykrztusić. - Cała wyglądam... jak odpicowana.

- Odpicowana? - Śmieje się.

- Włosy, nogi, zęby... - Nie mogę oderwać wzroku od tej nieskazitelnej perłowej bieli. Musiały kosztować fortunę.

- Są bardzo ładne! - Uprzejmie skłania głowę.

- Nie. O nie, nie. - Kręcę energicznie głową. - Nie rozumiesz. Miałam najokropniejsze zęby na świecie. Nazywali mnie Krzywozębulą.

- W życiu bym nie pomyślała. - Nicole unosi brew w zdziwieniu.

- I zrzuciłam sporo kilogramów... Mam inną twarz... Nie wiem dokładnie, na czym to polega... - Przyglądam się swoim rysom, usiłując dociec, co się zmieniło. Mam cienkie zadbane brwi... usta jakimś cudem wydają się pełniejsze... Zbliżam się do lustra, wiedziona nagłym podejrzeniem.

Czyżbym coś ze sobą zrobiła? Zamieniłam się w kogoś, kto sobie coś poprawił?

Odsuwam się od lustra, bo kręci mi się w głowie.

- Spokojnie - ostrzega Nicole, podchodząc do mnie szybko. - Przeżyłaś szok. Może powinnaś posuwać się małymi krokami.

Ignorując ją, chwytam torebkę Louis Vuittona i zaczynam ją opróżniać, przyglądając się uważnie każdej rzeczy, jakby kryła w sobie jakąś informację. Boże, tylko spójrzcie na ten towar. Breloczek przy kluczach - od Tiffany'ego, okulary przeciwsłoneczne - od Prądy, szminka - Lancôme, żadne tam Tesco.

Oto mały jasnozielony notes Smythsona. Waham się przez moment i zbieram się na odwagę. Otwieram go. Ze zdumieniem widzę własny charakter pisma. Po wewnętrznej stronie okładki widnieje: „Lexi Smart, 2007”. To ja musiałam napisać. To ja nabazgrałam tego pierzastego ptaszka w rogu. Ale absolutnie nie pamiętam, że bym to robiła.

Czując się tak, jakbym szpiegowała samą siebie, zaczynam przerzucać małe kartki. Na każdej z niej zapisane są spotkania. **12.30 lunch. Drinki P. Spotkanie z Gili - szata graficzna.** Wszędzie tylko inicjały i skróty. Niewiele z tego rozumiem. Szybko przechodzę na koniec notesu i wypada z niego plik wizytówek. Podnoszę jedną z nich, zerkam na nazwisko, i zastygam.

To wizytówka służbowa, firmy, w której pracuję, Deller Carpets, choć jest na niej nowe, modne logo. I nazwisko, wydrukowane grafitem:

Lexi Smart Dyrektor działu wykładzin

Grunt usuwa mi się spod nóg.

- Lexi? - Nicole patrzy na mnie z niepokojem. - Bardzo zbladłaś.

- Spójrz na to. - Wyciągam wizytówkę, usiłując wziąć się w garść. - Na mojej wizytówce jest napisane „dyrektor”. To tak, jakbym była szefową całego działu. Jak mogę być szefową? - Mówię bardziej piskliwym głosem, niżbym zamierzała. - Pracuję w tej firmie dopiero rok. Nie dostałam nawet premii. Drżącymi rękami wsuwam wizytówkę do notesu i ponownie sięgam po torebkę. Muszę znaleźć telefon. Muszę zadzwonić do koleżanek, do rodziny, do kogoś, kto wie, co się dzieje...

Mam.

To nowy zgrabny model, którego nie znam, ale mimo to łatwy do rozpracowania. Nie mam żadnych wiadomości gło-

sowych, ale jest za to nieprzeczytany esemes. Wybieram go i spoglądam na małe wyświetlacz.

Spóźnię się, zadzwonię, jak znajdę chwilę. E.

Co za E.? Zachodzę w głowę, ale nie mogę przypomnieć sobie nikogo ze znajomych o imieniu na E. Ktoś nowy w pracy? Przechodzę do odebranych esemesów, i pierwszy z nich też jest od E.: ***Nie wydaje mi się. E.***

E. to moja nowa najlepsza przyjaciółka czy co?

Później przejrzę resztę wiadomości. Teraz muszę pogadać z kimś, kto mnie zna, kto jest w stanie mi powiedzieć, co wydarzyło się w moim życiu przez ostatnie trzy lata... Wybieram w trybie skróconym numer Fi i czekam na połączenie, przebierając paznokciami po aparacie.

„Cześć, dzwonisz do Fiony Roper, proszę, zostaw wiadomość”.

- Cześć, Fi - mówię zaraz po sygnale. - To ja, Lexi! Słuchaj, wiem, że to dziwnie brzmi, ale miałam wypadek. Jestem w szpitalu i po prostu... muszę z tobą porozmawiać. To dość ważne. Możesz do mnie oddzwonić? Pa! - Gdy zamykam klapkę telefonu, Nicole z przyganą kładzie na nim rękę.

- Tu nie wolno tego używać - mówi. - Ale możesz korzystać z telefonu stacjonarnego. Przyniosę ci aparat bezprzewodowy.

- Dobra. - Kiwam głową. - Dzięki.

Zabieram się do przeglądania odebranych esemesów, gdy znowu ktoś puka do drzwi i wchodzi następna pielęgniarka, która trzyma dwie torby.

- Mam tu twoje ubrania... - Kładzie na łóżko reklamówkę.

Sięgam do środka, wydaję parę ciemnych dżinsów i patrzę na nie. Co to ma być? Stan za wysoki, a nogawki za wąskie, niemal jak rajstopy. Jak niby mają wejść pod to buty?

- Seven For All Mankind - komentuje Nicole, unosząc brwi. - Świetne.

Seven co?

- Chciałabym takie mieć. - Z zachwytem gładzi nogawkę. - Ze dwieście funtów za parę, co? Dwieście funtów?! Za dzinsy?!

- A to twoja biżuteria - informuje druga pielęgniarka, podając mi przezroczystą plastikową torebkę. - Trzeba było ci ją zdjąć przed tomografią.

Wciąż osłupiała z powodu dzinsów, biorę od niej torebkę. Nigdy nie nosiłam biżuterii, jeśli nie liczyć kolczyków z Topshopu czy swatcha. Czując się jak dziecko w dzień świętego Mikołaja, zaglądam do torebki i wyciągam jakieś splątane złote rzeczy. To bransoletka z klepanego złota, która wygląda na drogą, i naszyjnik do kompletu, plus zegarek.

- O rany! Ładne. - Ostrożnie wsuwam bransoletkę na rękę, a potem znowu sięgam do torebki i wydaję wiszące kolczyki. O złote elementy zaczepił się pierścionek i po chwili delikatnego rozplątywania udaje mi się go oddzielić.

Pielęgniarki z wrażenia wciągają głośno powietrze. Któraś szepcze:

- O mój Boże!

Trzymam pierścionek z wielkim, lśniącym brylantem. Taki, jakie dostają bohaterki w filmach. Albo jakie widuje na granatowym aksamicie na wystawie jubilera, bez metki. W końcu odrywam od niego wzrok i widzę, że obie pielęgniarki wciąż są pod wrażeniem.

- Hej! - wykrzykuje nagle Nicole. - Jest jeszcze coś. Daj rękę, Lexi... - Odwraca torebkę i chwyta ją za rozek. Przez chwilę nic, a potem na moją dłoń wypada prosta złota obrączka.

Gdy na nią patrzę, zaczyna mi szumieć w uszach.

- Musisz być mężatką! - woła wesoło Nicole.

Nie. To odpada. Na pewno bym wiedziała, gdybym była zamężna! Amnezja czy nie amnezja, coś bym przecież czuła w głębi duszy? Gdy niezgrabnie trzymam obrączkę w palcach, robi mi się na przemian gorąco i zimno.

- Wiadomo. - Druga pielęgniarka kiwa głową. - A jakże. Nie pamiętasz, kochanie?

Kręcę głową w osłupieniu.

- Nie pamiętasz swojego ślubu? - Nicole wygląda na przejętą. - Nie pamiętasz męża?

- Nie. - Nagle patrzę na nie z przerażeniem. - Chyba nie wyszłam za Dave'a Nieudacznika, co?

- A skąd mamy wiedzieć? - Nicole chichocze i ręką zasłania usta. - O przepraszam. Ale miałaś takie obrzydzenie na twarzy... Wiesz, jak on ma na imię? - Spogląda na koleżankę, która kręci przeczącą głową.

- Niestety nie. Byłam na innym oddziale. Ale wiem, że masz męża.

- Popatrz, na obrączce jest coś wygrawerowane! - woła Nicole, biorąc ją ode mnie. - **A.S. i E.G., 3 czerwca 2005. Zbliża** się druga rocznica. - Oddaje mi obrączkę. - A.S. to ty?

Mam przyspieszony oddech. To musi być prawda. Wygrawerowana w szczerym złocie.

- Tak, A.S. to ja - odpowiadam w końcu. - A., czyli Alexia. Ale nie mam pojęcia, kim jest E.G.

To ten E. z telefonu, uświadamiam sobie nagle. To on wysłał mi esemesy. Mój mąż.

- Chyba potrzebuję zimnej wody. - Czuję, że kręci mi się w głowie. Idę do łazienki, ochlapuję twarz zimną wodą, a potem nachyliłam się nad emaliowaną umywalką i patrzę na swoje pokancerowane, znajome i nieznanne odbicie. Mam wrażenie, jakbym zaraz miała się rozsypać. Czy ktoś mógł mi wyciąć taki nieziemski numer? Mam halucynacje?

Jestem dwudziestoosiómiolatką, mam idealnie białe zęby, torebkę Louis Vuittona, wizytówkę z tytułem dyrektora i męża. Tylko jak, cholera, do tego doszło?

4

Edward. Ethan. Errol.

Minęła godzina, a ja wciąż jestem w szoku. Bez przerwy patrzę z niedowierzaniem na moją obrączkę, która spoczywa na szafce przy łóżku. Ja, Lexi Smart, mam męża. Nie czuję się jeszcze taka stara, żeby go mieć.

Elliot. Eamonn. Egbert. Błagam, Boże, tylko nie Egbert.

Przetrząsnęłam torebkę Louis Vuittona. Przejrzałam dokładnie cały notes. Przeleciałam wszystkie numery telefonów zapisane w komórce. Ale wciąż nie wiem, jakie imię kryje się za literą E.

Wydawałoby się, że co jak co, ale imię męża się pamięta. Że jest wyryte w duszy.

Kiedy drzwi się otwierają, sztywnieję, prawie pewna, że to on. Ale to znowu mama, zaróżowiona i zaaferowana.

- Ci strażnicy miejscy są bez serca. Byłam tylko dwadzieścia minut u weterynarza, a oni...

- Mamo, mam amnezję - przerywam jej czym prędzej. - Straciłam pamięć. Wypadł mi z pamięci kawał życia. Naprawdę. .. j jestem oszołomiona.

- Och. Tak, rzeczywiście pielęgniarka o tym wspominała. - Przez chwilę patrzy mi w oczy, a potem umyka wzrokiem w bok.

Mama nie jest najlepsza w kontakcie wzrokowym, nigdy nie była. Kiedyś, w dzieciństwie, bardzo mnie to frustrowało, ale teraz traktuję to jako jedną z jej specyficznych cech. Jak to, że nigdy nie potrafi zapamiętać tytułów programów telewizyjnych i choćby powtarzało jej się sto razy,

Simpsonowie to nie „Rodzina Simpsonów”. Teraz usiadła i zdejmuje kamizelkę.

- Świetnie wiem, jak się czujesz - zaczyna. - Z każdym dniem pogarsza mi się pamięć. Właśnie wczoraj...

- Mamo. - Wciągam głęboko powietrze, usiłując zachować spokój. - Nie masz pojęcia, jak się czuję. Zupełnie nie tak jak wtedy, gdy człowiek zapomni, gdzie coś odłożył. Za-

pomniałam trzy lata mojego życia! Nie wiem nic o sobie z dwa tysiące siódmego roku. Wyglądam inaczej, nic nie jest takie samo, a jeszcze znajduję obrączkę i pierścionek, które najwyraźniej należą do mnie. Muszę się czegoś dowiedzieć... -Głos mi się łamie z przejęcia. - Mammo... naprawdę jestem mężatką?

- Oczywiście, że tak! - Mama wydaje się zdumiona, że o to pytam. - Erie będzie tu lada chwila. Już ci o tym mówiłam.

- Erie to mój mąż? - Wytrzeszczam oczy. - Myślałam, że Erie to pies.

- Pies? - Mama unosi brwi. - Boże drogi! Naprawdę dostałaś w głowę! Erie. Na próbę powtarzam w myślach: „Mój mąż Erie”.

Nic mi to nie mówi. Imię nie wywołuje żadnych skojarzeń ani emocji.

„Kocham cię, Ericu”.

„I nie opuszczę cię aż do śmierci, Ericu”.

Czekam na jakąś reakcję ze strony mojego ciała. Może coś we mnie drgnie? Obudzą się jakieś komórki odpowiedzialne za uczucie miłości? Ale czuję zupełną pustkę, nic, zero.

- Miał dziś rano bardzo ważne spotkanie. Ale i tak siedzi przy tobie dzień i noc.

- Uhm. - Trawię tę informację. - Więc... jaki on jest?

- Bardzo sympatyczny - odpowiada mama, jakby mówiła o psie.

- Czy jest... - Urywam.

Nie potrafię zapytać, czy jest przystojny. To byłoby naprawdę niskie z mojej strony. A jeśli mama pominie to pytanie i powie, że facet ma doskonałe poczucie humoru?

A jeżeli jest gruby?

O Boże! A jeśli poznałam go jako wartościowego człowieka, gdy korespondowaliśmy ze sobą przez Internet, tylko teraz o tym wszystkim zapomniałam i będę musiała udawać, że jego wygląd nie ma dla mnie znaczenia?

Zapadam w milczenie i patrzę na sukienkę Laury Ashley, na oko tak z siedemdziesiątego piątego roku, którą mama ma na sobie. Falbanki już kilkakrotnie wychodziły z mody, ale ona jakoś nie zwraca na to uwagi. Wciąż nosi te same ciuchy co wtedy, gdy poznała tatę. Takie same rozwichrzone długie włosy; taka sama perłowa szminka. Jakby wydawało jej się, że wciąż ma dwadzieścia lat.

Alebym jej o tym nie powiedziała. Nigdy nie łączyły nas takie relacje, żebyśmy gadały sobie po babsku. Kiedyś próbowałam się jej zwierzyć, gdy zerwałam z moim pierwszym chłopakiem. Gruby błąd. Nie okazała współczucia, nie przytuliła mnie ani nawet nie słuchała zbyt uważnie. Zarumieniła się natomiast i stała szorstka, jakbym specjalnie chciała ją zranić, mówiąc o związkach z facetami. Czułam się tak, jakbym negocjowała lokalizację pola minowego; jakbym dotknęła czułych punktów w jej życiu, o których istnieniu nawet nie wiedziałam.

Poddałam się więc wtedy i zadzwoniłam do Fi.

- Udało ci się zamówić dla mnie ten materiał obiciowy, Lexi? - Mama budzi mnie z zamyślenia. - Przez Internet -dodaje, widząc moje zbaraniałe spojrzenie. - Miałaś to zrobić w zeszłym tygodniu. Czy ona w ogóle słyszała, co przed chwilą powiedziałam?

- Mamo, nie wiem - odpowiadam wolno i wyraźnie. -Nie pamiętam niczego z trzech ostatnich lat.

- O przepraszam, kochanie. - Mama klepie się w czoło. -Ależ jestem głupia.

- Nie wiem, co robiłam w zeszłym tygodniu ani w zeszłym roku... ani kim jest mój własny mąż. -

Rozkładam ręce. - Prawdę mówiąc, to dość przerażające.

- Oczywiście. Absolutnie. - Mama kiwa głową z nieobecny wyrazem oczu, jakby przetwarzała dopiero moje słowa. -Tylko problem polega na tym, kochanie, że nie pamiętasz też adresu tej strony internetowej. Więc gdybyś przypadkiem sobie przypomniała...

- Dam ci znać, okej? - burczę mimo woli. - Jeśli wróci mi pamięć, pierwsze, co zrobię, to zadzwonię do ciebie w sprawie obić. Jezu!

- Nie ma potrzeby podnosić głosu, Lexi! - mówi, otwierając szeroko oczy.

W porządku. Więc w roku 2007 mama nadal doprowadza mnie do szału. Chyba powinnam już na tyle dojrzeć, żeby nie irytować się na matkę? Odruchowo zaczynam obgryzać paznokcie. Ale zaraz przestaję. Dwudziestoosmioletnia Lexi dba o paznokcie.

- Więc czym on się zajmuje? - Wracam do tematu mojego tak zwanego męża. Wciąż nie mogę uwierzyć, że naprawdę istnieje.

- Kto, Erie?

- Tak! Oczywiście, że Erie.

- Sprzedaje nieruchomości - odpowiada mama, jakbym powinna to wiedzieć. - Nawet dobrze mu idzie.

Wysłałam za pośrednika w handlu nieruchomościami imieniem Erie.

Jak to się stało? Dlaczego?

- Mieszkamy u mnie?

- W twoim mieszkaniu? - Mama wydaje się rozbawiona. - Kochanie, sprzedałaś swoje mieszkanie dawno temu. Mieszkasz teraz z mężem!

- Sprzedałam je? - Czuję bolesne ukłucie. - Ale przecież dopiero co je kupiłam!

Uwielbiam moje mieszkanie. Leży w Balham i jest maleńkie, ale przytulne, ma niebieskie ramy okienne, które sama pomalowałam, i śliczną miękką aksamitną kanapę, i wszędzie stosy kolorowych poduszek, i kolorowe lampki wokół lustra. Fi i Carolyn pomogły mi wprowadzić się do niego przed dwoma miesiącami, pomalowałyśmy łazienkę srebrną farbą w sprayu, a potem spryskałyśmy także nasze dżinsy.

I to wszystko przypadło. Mieszkam z mężem. Z moim ślubnym mężem.

Po raz setny spoglądam na obrączkę i pierścionek z brylantem. Potem odruchowo zerkam na rękę mamy. Wciąż nosi pierścionek od taty, mimo tego, jak ojciec traktował ją przez te wszystkie lata...

Tata. Pogrzeb taty.

Jakby ktoś ścisnął mi żołądek, naprawdę mocno.

- Mamo - próbuję ostrożnie. - Naprawdę przykro mi, że nie byłam na pogrzebie taty. Czy wszystko... no wiesz, poszło dobrze?

- Ależ byłaś na pogrzebie, kochanie. - Patrzy na mnie, jakbym postradała zmysły. - Byłaś na nim.

- Och. - Gapię się na nią, zdezorientowana. - Słusznie. Oczywiście, że tak. Tylko nic z tego nie pamiętam.

Ciężko wzdychając, opieram się na poduszkach. Nie pamiętam własnego ślubu, nie pamiętam pogrzebu taty. Dwa najważniejsze wydarzenia w moim życiu, a czuję się, jakbym je przegapiła. - Więc jak było?

- Och, wszystko poszło jak na tego typu uroczystościach... - Mama sprawia wrażenie wytrąconej z równowagi, jak zawsze kiedy wraca temat taty.

- Było dużo ludzi?

Na jej twarzy znowu pojawia się zboląły wyraz.

- Nie mówmy o tym, kochanie. Minęły już lata. - Wstaje, jakby chciała uniknąć moich pytań. - Jadłaś coś na lunch? Ja nie miałam na to czasu, przegryzłam tylko tost i jajko na twardo. Pójdę i przyniosę coś dla nas obu. I przypilnuję, żebyś zjadła jak trzeba, Lexi - dodaje. - Koniec z tą obsesją an-tywęglowodanową. Nie umrzesz od jednego ziemniaka.

Antywęglowodanową? To dlatego mam taką figurę? Spoglądam na moje nowe, szczupłe nogi. Trzeba przyznać, że wyglądają, jakby nie miały do czynienia z ziemniakami.

- Zmieniłam się bardzo, jeśli chodzi o wygląd, co? - Nie

mogę się powstrzymać, ale mówię to z pewną nieśmiałością. - Włosy... zęby...

- Tak, chyba rzeczywiście jesteś inna. - Patrzy na mnie niepewnie. - To stało się stopniowo, tak że nawet nie zwróciłam uwagi.

Na miłość boską! Jak można nie zauważyć, że córka zmienia się z zaniedbanej, tłustawej Krzywozębuli w szczupłą, opaloną, odpicowaną kobietę?

- Zaraz wracam. - Mama bierze swoją wyszywaną torebkę na ramię. - Za chwilę przyjdzie Amy

- Amy jest tutaj? - Poprawia mi się humor, gdy wyobrażam sobie moją siostrzyczkę w różowym bezrękawniku z misia, džinsach z wyszywanymi kwiatami i w tych odjazdowych tenisówkach, które świecą, gdy tańczy.

- Chciała kupić na dole coś czekoladowego. - Mama otwiera drzwi. - Uwielbia te miętowe kitkaty.

Drzwi zamykają się za nią, a ja wciąż wpatruję się w nie. Wymyślili miętowe kitkaty?

Rok 2007 to już zupełnie inny świat.

Amy nie jest moją siostrą przyrodnią czy przybraną, jak sądzi większość osób. Jest moją stuprocentową siostrą. Ale ludzie są trochę zdezorientowani, bo, po pierwsze, jest między nami dwanaście lat różnicy; po drugie, mama i tata rozeszli się przed jej narodzeniem.

Może „rozeszli się” to za mocne słowo. Nie wiem dokładnie, jak to wyglądało, wiem jedynie, że ojciec nie był dużo w domu, kiedy dorastałam. Prawdziwy powód stanowiło jednak to, że był nieodpowiedzialnym kombinatorem. Miałam osiem lat, gdy usłyszałam, że tak nazwała go jedna z ciotek na przyjęciu bożonarodzeniowym. Gdy mnie zauważyły, zmieszały się i zmieniły temat, więc domyśliłam się, że „nieodpowiedzialny” to jakaś straszliwa obelga. I tak mi już zostało.

„Nieodpowiedzialny”.

Gdy po raz pierwszy zniknął z dorflu, miałam siedem lat.

Mama powiedziała, że wyjechał w podróż służbową do Ameryki, więc kiedy Melissa oświadczyła w szkole, że widziała go w Co-op z kobietą w czerwonych dżinsach, zarzuciłam jej, że jest podłą kłamczuchą. Wrócił do domu po kilku tygodniach; wyglądał na zmęczonego, z powodu zmiany stref czasowych, jak wyjaśnił. Kiedy zaczęłam go zamęczać o prezent, wyjął paczkę gumy do żucia Wrigley. Nazwałam ją moją amerykańską gumą i pokazywałam wszystkim w szkole, dopóki Melissa nie zwróciła uwagi na naklejkę z ceną z Co-op. Nigdy nie zdradziłam się przed tatą, że znam prawdę, przed mamą też nie. Zawsze czułam, że nie był w Ameryce, od samego początku.

Kilka lat później przepadł znowu, tym razem na kilka miesięcy. Zaczął handlować nieruchomościami w Hiszpanii, ale zakończyło się to klapą. Potem wdał się w jakieś szemrane interesy, polegające na zdobywaniu pakietów kontrolnych coraz większych spółek, i próbował w to wciągnąć wszystkich swoich znajomych. W tym czasie wpadł w alkoholizm... Następnie nawiązał romans z jakąś Hiszpanką, ale mama znowu przyjęła go z powrotem. Wreszcie, ze trzy lata temu, na dobre przeprowadził się do Hiszpanii, najwyraźniej, żeby uciec przed urzędem podatkowym.

Mama miała przez te lata różnych „kolegów”, ale rodzice się nie rozwiedli; nigdy tak naprawdę się nie rozstali. I najwyraźniej podczas jednej z tych jego radosnych wizyt na Boże Narodzenie, „ja stawiam, moje kochane”, mama i on musieli...

Dobra. Nie chcę sobie tego wyobrażać. Przybyła nam Amy i już. A to najbardziej urocza istota na świecie, z upodobaniem bawiąca się na swojej macie disco dance i gotowa po sto razy zaplatać mi włosy.

W pokoju jest cicho i smutno po wyjściu mamy. Nalewam sobie wody do szklanki i popijam wolno. Opadają mnie czarne myśli, jakbym znalazła się na miejscu wybuchu bomby. Czuję się jak ekspert w dziedzinie medycyny sądowej, który zbiera strzępy dowodów, próbując złożyć je w całość.

Słyszą delikatne pukanie do drzwi i unoszą głowę.

- Tak? Proszę wejść!

- Cześć, Lexi.

Nieznana mi dziewczyna w wieku mniej więcej siedemnastu lat nieśmiało wchodzi do pokoju. Jest wysoka i chuda, dżinsy zsuwają jej się z bioder, ma kolczyk w pępku, nastroszone włosy z niebieskimi pasmami i z sześć warstw tuszu do rzęs.

Krzywi się na mój widok.

- Nadal wyglądasz beznadziejnie.

- Och! - odpowiadam zaskoczona. Dziewczyna przygląda mi się, mrużąc oczy.

- Lexi, to ja. Chyba mnie poznajesz, co?

- Ach! - Robię przeproszającą minę. - Naprawdę bardzo mi przykro, ale jestem po wypadku i wciąż mam problemy z pamięcią. To znaczy... jestem pewna, że się znamy...

- Lexi... - W jej głosie słychać rozczarowanie, niemal urazę. - To przecież ja! Amy.

Odbiera mi mowę. Więcej niż mowę. To nie może być moja mała siostrzyczka.

Ale najwyraźniej tak jest. Amy zamieniła się w tyczkowatą, arogancką nastolatkę, praktycznie osobę dorosłą. Gdy kręci się po pokoju, biorąc do ręki różne rzeczy i odstawiając je, nie mogę się nadziwić, że tak wyrosła. Że jest taka pewna siebie.

- Jest tu coś do jedzenia? Umieram z głodu. - Ma ten sam słodki, chropawy głos co kiedyś, ale teraz go moduluje. Brzmi to chłodniej, przemądrzale.

- Mama przyniesie mi lunch. Mogę się z tobą podzielić, jeśli chcesz.

- Super. - Przysiada na krześle i przerzuca długie nogi przez poręcz, demonstrując szare zamszowe buty za kostkę, na wysokich cienkich obcasach. - Więc nic nie pamiętasz? To rewelka.

- Żadna rewelka - odpowiadam. - Raczej makabra. Pamiętam wszystko do dnia pogrzebu taty... a potem nic, zupełnie nic. Nie mogę sobie też przypomnieć pierwszych dni w szpitalu. To tak, jakbym obudziła się pierwszy raz zeszłej nocy.
- Bomba! - Otwiera szeroko oczy. - Więc nie pamiętasz, że cię odwiedzałam?
- Nie. Pamiętam cię z okresu, gdy miałaś dwanaście lat. Z kucykiem i z aparatem na zębach. Z tymi ślicznymi wsuwkami, które nosiłaś.
- Nawet mi nie przypominaj. - Amy udaje odruch wymiotny. Potem marszczy brwi w zamyśleniu. - Więc... wyjaśnijmy to sobie. Totalnie nie pamiętasz nic z ostatnich trzech lat.
- To jak wielka czarna dziura. A i wcześniejsze niektóre rzeczy są zamglone. Najwyraźniej jestem mężatką. - Śmieję się nerwowo. - To dla mnie nowość! Byłaś druhną na moim ślubie czy jak?
- Uhm - mówi z roztargnieniem. - Było super. Hej, Lexi, nie chcę przypominać o tym teraz, gdy tak źle z tobą i w ogóle, ale... - Z dziwną miną kręci w palcach kosmyk włosów.
- Co takiego? - Patrzę na nią ze zdziwieniem. - No, mów.
- Jesteś mi winna siedemdziesiąt funciaków. - Przepraszająco wzrusza ramionami. - Pożyczyłaś je ode mnie w zeszłym tygodniu, kiedy nie zadziałała twoja karta kredytowa, i powiedziałaś, że oddasz. Pewnie nie pamiętasz...
- Och - mówię zdeprymowana. - Oczywiście. Weź sobie z mojej portmonetki. - Wskazuję torebkę Louis Vuittona. - Nie wiem, czy jest tam jakaś gotówka.
- Znajdzie się - odpowiada Amy, z lekkim uśmieszkiem rozsuwając sprawnie zamek. - Dzięki! - Wsuwa do kieszeni banknoty i znowu przerzuca nogi przez poręcz, bawiąc się srebrnymi bransoletkami na ręce. Potem spogląda na mnie, nagle czujna. - Czekać chwilę. A wiesz o... - Urywa.
- O czym?

Patrzy na mnie badawczo zmrużonymi, pełnymi niedowierzania oczami.

- Nikt ci nie powiedział, co?

- O czymże?

- Jezu. Chyba chcą cię przygotować do tego, ale... To znaczy... - Kręci głową, obgryzając paznokcie. - Bo ja osobiście uważam, że powinnaś dowiedzieć się wcześniej niż później.

- Co takiego? - Ogarnia mnie lekkie przerażenie. - No co, Amy? Powiedz mi wreszcie!

Przez moment jakby się namyśla, a potem wstaje.

- Poczekaj chwilę. - Znika z pokoju na parę minut. Wreszcie drzwi się otwierają i staje w nich Amy, trzymająca na rękach mniej więcej roczne dziecko o azjatyckich rysach. Mały ma na sobie śpioszki, dzierży w rączce kubek z sokiem i uśmiecha się do mnie promiennie.

- To Lennon - mówi Amy, a jej twarz łagodnieje. - Twój synek.

Patrzę na nich oboje, osłupiała z przerażenia. O czym ona mówi?

- Zdaje się, że nie pamiętasz? - Amy z czułością głaska go po włoskach. - Adoptowałaś go w Wietnamie sześć miesięcy temu. To było wydarzenie! Musiałaś przeszmygłować go w plecaku. Omal cię nie złapali!

Adoptowałam dziecko?

Robi mi się zimno. To niemożliwe, żebym była mamą. Nie jestem na to gotowa. Kompletnie nie znam się na dzieciach.

- Przywitaj się ze swoim maleństwem! - Amy podchodzi z dzieckiem do łóżka, stukając wysokimi obcasami. - A tak przy okazji, mówi do ciebie „muma”.

Muma?

- Cześć, Lennon - wykrztuszam w końcu nieswoim głosem. - To ja, twoja muma. - Staram się przybrać matczyzny, ćwierkający ton. - Chodź do mummy!

Unoszę wzrok i widzę, że Amy dziwnie drgają usta. Nagle parska śmiechem i zasłania usta ręką.

- Przepraszam!

- Amy, o co chodzi? - Patrzę na nią, domyślając się powoli prawdy. - To wcale nie jest moje dziecko?

- Przechodząc, zauważyłam go z korytarza - wyrzucił z siebie. - Nie mogłam się powstrzymać. Ale miałaś minę! - Skręca się w paroksyzmie śmiechu. - „Chodź do mummy”!

Zza drzwi dochodzą stłumione krzyki i płacz.

- To muszą być jego rodzice! - syczę z konsternacją. - Ty cholerna mała... Odnieś go natychmiast!

Nie mogę jej darować. Była takim słodkim, niewinnym dzieckiem. Z kciukiem w buzi bez przerwy oglądała *Barbie Sleeping Beauty*. Co się z nią zrobiło?

- O mało nie dostałam ataku serca - mówię z gniewem, gdy wraca, niosąc dietetyczną colę. - Gdybym umarła, to byłaby twoja wina.

- Musisz zacząć jarzyć - odpowiada, krzywiąc usta w niemiłym uśmiechu. - Ludzie mogą ci wcisnąć każdy kit.

Wyjmuje pasek gumy do żucia i zaczyna go odpakowywać. Potem pochyła się do przodu.

- Hej, Lexi - mówi przyciszonym głosem. - Naprawdę masz amnezję, czy tylko udajesz? Nikomu nie pisnę ani słówka.

- Co takiego? Po co miałabym udawać?

- Pomyślałam, że może chciałaś się od czegoś wyślizgać. Na przykład od wizyty u dentysty.

- No skąd! To wszystko prawda!

- Okej. Nieważne. - Wzrusza ramionami i częstuje mnie gumą.

- Nie, dzięki. - Obejmuję ramionami kolana, nagle podłamana. Amy ma rację. Ludzie mogą mnie wykorzystywać, i to jak. Tak wiele muszę się dowiedzieć, a nawet nie wiem, od czego zacząć.

Cóż. Mogłabym zacząć od sprawy oczywistej.

- Amy... - Staram się mówić od niechcienia. - Jaki jest ten mój mąż? Jak on... wygląda?
- O rany! - Amy otwiera szeroko czy. - Jasne! Nie masz pojęcia, jaki on jest!
- Mama powiedziała, że sympatyczny. - Staram się ukryć obawy.
- Uroczy. - Poważnie kiwa głową. - Naprawdę ma poczucie humoru. A ten garb to mu zoperują.
- Uhm. Świetny strzał, Amy. - Przewracam oczami.
- Lexi! Naprawdę byłoby mu przykro, gdyby to usłyszał! - Amy sprawia wrażenie zaskoczonej. - Jest rok dwa tysiące siódmy. Wygląd nie dyskryminuje ludzi. A Erie to taki miły, kochający facet. To nie jego wina, że w dzieciństwie przetracono mu kręgosłup. Tyle osiągnął. Naprawdę zasługuje na podziw.
- Robi mi się gorąco ze wstydu. Może mój mąż rzeczywiście ma garb. Nie powinnam być garbusofobem. Wszystko jedno, jak wygląda; jestem pewna, że miałam powody, aby wybrać go na męża.
- Może chodzić? - pytam nerwowo.
- Zaczął chodzić podczas waszego ślubu - mówi Amy z zamglonym od wspomnień wzrokiem. - Wstał z wózka inwalidzkiego, żeby złożyć przysięgę. Wszyscy mieli łzy w oczach. Pastor ledwie mógł mówić ze wzruszenia... - Znowu drgają jej kąciki ust.
- Ty mała świnió! - wykrzykuję. - Nie ma żadnego garbu, do cholery, prawda?
- Przepraszam. - Zaczyna chichotać bezradnie. - Ale to taki świetny ubaw.
- To żaden ubaw! - Łapię się za włosy, zapominając o urazie głowy, i krzywię z bólu. - To moje życie. Nie mam pojęcia, kim jest mój mąż ani jak go poznałam, i w ogóle.
- Okej. - Jakby ustępuje. - To było tak: wdalaś się w rozmowę na ulicy z tym siwym starym dziadem. Miał na imię Erie...

- Zamknij się! Jeśli ty mi nie powiesz, zapytam mamę.
- Dobra! - Opuszcza ręce z rezygnacją. - Poważnie chcesz wiedzieć?
- Tak!
- No to w porządku. Poznałaś go w programie telewizyjnym.
- Próbuj dalej. - Unoszę wzrok do nieba.
- Ale to prawda! Teraz cię nie bajeruję. Brałaś udział w reality show pod tytułem *Ambicja*. Ludzie próbują tam dostać się na szczyt w biznesie. On był jednym z jurorów, a ty zawodniczką. Nie zaszłaś za wysoko, ale poznałaś Erica i zaiskrzyło między wami.
- Cisza. Czekam, żeby wybuchła śmiechem i rzuciła jakąś puentę, ale ona tylko pociąga łyk dietetycznej coli. - Występowałam w reality show? - pytam sceptycznie.
- Uhm. To było naprawdę super. Wszyscy moi znajomi oglądali i wszyscy głosowaliśmy na ciebie. Powinnaś była wygrać!
- Obserwuję ją uważnie, ma całkiem poważną minę. Mówi prawdę? Czyżbym rzeczywiście wystąpiła w telewizji?
- Po kiego licha wzięłam udział w takim programie?
- Żeby zostać szefową? - Amy wzrusza ramionami. - Po to, żeby się rozwijać zawodowo. Wtedy właśnie zrobiłaś sobie zęby i włosy, bo chciałaś dobrze wypaść w telewizji.
- Ale wcale nie jestem ambitna. To znaczy nie aż tak...
- Żarty sobie robisz? - Amy szeroko otwiera oczy. - No co ty? Jesteś najambitniejszą osobą na świecie! Kiedy twój szef złożył wypowiedzenie, od razu zawańczyłaś o jego stanowisko. Wszystkie grube ryby z twojej firmy widziały cię w telewizji i naprawdę były pod wrażeniem. Więc otrzymałaś to stanowisko. Przypominają mi się wizytówki w notesie. „Lexi Smart. Dyrektor działu wykładzin”.
- Jesteś najmłodszym dyrektorem w historii firmy. Było super, gdy dostałaś tę robotę - dodaje Amy. -
Poszliśmy

wszyscy to uczcić, postawiłaś szampana... - Wyciąga z ust długą nitkę gumy. - Nic z tego nie pamiętasz?

- Nie! Nic a nic!

Drzwi się otwierają i pojawia się mama z tacą w rękach, na której znajduje się przykryty talerz, pucharek z musem czekoladowym i szklanka wody.

- No to jestem - mówi. - Przyniosłam ci lazanie. I wiesz co? Erie już tu jest!

- Tutaj? - Krew ucieka mi do nóg. - Chcesz powiedzieć... że jest tu, w szpitalu?

Mama potwierdza skinieniem głowy.

- Idzie do ciebie! Powiedziałam mu, żeby dał ci chwilę, bo musisz się ogarnąć.

Chwilę? Chwila mi nie wystarczy. To wszystko dzieje się za szybko. Nie jestem przygotowana na to, żeby mieć dwadzieścia osiem lat. Nie mówiąc już o spotkaniu z rzekomym mężem.

- Mamo, nie jestem pewna, czy sobie z tym poradzę -mówię w panice. - Bo ja... nie czuję się na siłach, żeby go poznać. Może powinniśmy umówić się na jutro. Kiedy już się ze wszystkim trochę oswoję.

- Lexi, kochanie! - protestuje mama. - Nie możesz odtrącić własnego męża. Rzucił sprawy zawodowe i przyjechał, żeby się z tobą zobaczyć!

- Ale ja go nie znam! Nie będę wiedziała, co powiedzieć ani co zrobić...

- Kochanie, to twój mąż. - Klepie mnie uspokajająco po ręce. - Nie ma się czym martwić.

- On może uruchomić twoją pamięć - włącza się Amy, która zaczęła częstować się musem i zjada wierzchnią jego warstwę. - Może na jego widok zawołasz: „Ericu! Najdroższy! Wszystko sobie przypominam!”.

- Zamknij się - warczę. - I zostaw mój mus.

- Ty nie jadasz węglowodanów - odszczekuje się. - Tego

też nie pamiętasz? - Prowokująco macha mi przed oczami łyżeczką.

- Pudło, Amy - odpowiadam, przewracając oczami. - Nie ma mowy, żebym zrezygnowała z musu czekoladowego.

- Nie bierzesz czekolady do ust. Prawda, mamó? Z powodu kalorii nie skosztowałaś nawet tortu weselnego. Na pewno wpuszcza mnie w maliny. Nigdy w życiu nie odmówiłabym sobie czekolady. Już mam powiedzieć, żeby się odwaliła i oddała mi mus, gdy rozlega się pukanie do drzwi i stłumiony męski głos pyta:

- Jak tam?

- O mój Boże! - Dzikim wzrokiem patrzę na twarze mamy i siostry. - O mój Boże! To on? Już jest?

- Poczekaj momencik, Ericu! - woła mama przez drzwi, a potem szepcze do mnie: - Zrób coś ze sobą, moje dziecko! Wyglądasz tak, jakby ktoś przeciągnął cię przez żywoplot.

- Daj jej spokój, mamó - mówi Amy. - Została wydobyta z wraku samochodu, nie pamiętasz?

- To chociaż szybciotko przyczeszę ci włosy... - Mama podchodzi do mnie z małym grzebykiem i zaczyna szarpać mnie za głowę.

- Au! - protestuję. - Przez ciebie jeszcze pogłębi mi się amnezja!

- No już. - Pociąga grzebykiem ostatni raz i przeciera mi twarz rogiem chusteczki. - Gotowa?

- Mam otworzyć drzwi? - pyta Amy.

- Nie! Poczekaj jeszcze... sekundę.

Żołądek podchodzi mi do gardła. Nie mogę tak po prostu spotkać się z obcym człowiekiem, który najwyraźniej jest moim mężem. To zbyt niesamowite.

- Mamó, proszę. - Odwracam się do niej. - To za wcześnie. Powiedz mu, żeby przyszedł później. Jutro. Albo nawet że musimy odłożyć spotkanie na kilka tygodni.

- Nie bądź głuptasem, kochanie - śmieje się mama. Jak

może się śmiać? - To twój mąż. Miałaś wypadek samochodowy, a on zamartwia się o ciebie, i tak kazałyśmy biedakowi czekać zbyt długo!

Gdy mama rusza do drzwi, zaciskam dłonie na pościeli tak mocno, że bieleją mi czubki palców.

- A jeśli go znienawidzę? Jeśli nie będzie między nami żadnej chemii? - wyrywa mi się. - Czy on naprawdę oczekuje, że wrócę i z nim zamieszka?

- Zobaczysz, jak rozwinie się sytuacja - mówi mama wymijająco. - Naprawdę, Lexi, nie ma czym się przejmować. Jest bardzo miły.

- Dopóki nie wspomina się o jego tupeciku - wtrąca Amy. - Ani o nazistowskiej przeszłości.

- Amy! - Mama cmoka z dezaprobatą i otwiera drzwi. -Ericu! Bardzo przepraszam, że tak długo kazałyśmy ci czekać. Wejdz.

Następuje nieznośnie długa pauza, a potem drzwi otwierają się szeroko i do pokoju, niosąc olbrzymi bukiet kwiatów, wchodzi najbardziej zabójczo przystojny facet, jakiego w życiu widziałam.

5

Zaniemówiłam z wrażenia. Patrzę, na niego i rodzi się we mnie niedowierzanie. Ten facet jest naprawdę przystojny aż do bólu. Przystojny jak jakiś model od Armaniego. Ma brązowe kręcone włosy, krótko ostrzyżone, niebieskie oczy, szerokie ramiona i drogi garnitur. Kwadratową szczękę. I jest nienagannie ogolony.

Jak zdobyłam takiego faceta? Jak to się stało'? Jak? Jak?

- Cześć - mówi, ma głęboki, aksamitny głos, jak aktor.

- Cześć! - udaje mi się wydusić z siebie.

Patrzę na jego potężną pierś. Musi codziennie ćwiczyć.

64

Potem spoglądam na wypolerowane buty, designerski zegarek...

Znowu przenoszę wzrok na jego włosy. Nigdy nie przypuszczałam, że wyjdę za kogoś o kręconych włosach. Zabawne. Nie żebym miała coś przeciwko kręconym włosom. To znaczy, on wygląda z nimi fantastycznie.

- Kochanie moje. - Podchodzi do łóżka, szeleszcząc opakowaniem drogich kwiatów. - Wyglądasz o wiele lepiej niż wczoraj. I ten pokój jest sympatyczniejszy od poprzedniego. Jak się czujesz?

- Czuję się dobrze. Eee... dziękuję bardzo.

Biorę od niego bukiet. To najbardziej zdumiewający, elegancki, designerski bukiet, jaki do tej pory widziałam, cały w odcieniach bieli i brązowych szarości. Gdzie, u licha, można zdobyć brązowoszare róże?

- Więc... ty jesteś Erie? - dodaję ot tak, żeby mieć sto procent pewności.

Na jego twarzy odmalowuje się szok, ale mimo to przywołuje uśmiech.

- Tak. Zgadza się. Jestem Erie. Wciąż mnie nie poznajesz?

- Nie bardzo. Prawdę mówiąc... zupełnie nie.

- Mówiłam ci - świergocze mama, kiwając głową. - Tak mi przykro. Ale jestem pewna, że wkrótce wszystko sobie przypomni, jeśli się naprawdę postara.

- Co to ma znaczyć? - Posyłam jej urażone spojrzenie.

- Och, kochanie - mówi mama. - Takie sprawy to często tylko kwestia dobrej woli, tak czytałam. Nie ma to jak potęga umysłu.

- Staram się sobie przypomnieć, nie rozumiesz? - mówię z oburzeniem. - Myślisz, że podoba mi się ta sytuacja?

- Tylko spokojnie - wtrąca Erie, nie zwracając uwagi na mamę. Siada na łóżku. - Sprawdźmy, czy uda nam się przywołać wspomnienia. Mogę? - Kiwa głową, patrząc na moją rękę.

- Uhm... tak. Dobrze - odpowiadam.

Erie ujmuję moją dłoń. Ma przyjemną w dotyku rękę, ciepłą i silną. Ale to ręka nieznanego.

- Lexi, to ja - mówi stanowczym, dźwięcznym głosem. - Erie. Twój mąż. Jesteśmy małżeństwem prawie dwa lata.

Jestem jak zahipnotyzowana. Z bliska ten mój mąż wygląda jeszcze lepiej. Ma gładką, opaloną skórę, a zęby idealnie białe i lśniące.

O mój Boże, uprawiałam z tym facetem seks - uświadamiam sobie nagle.

On widział mnie nagą. Ściągał ze mnie bieliznę. Robiliśmy ze sobą nie wiadomo co, a ja go nawet nie poznaję. Przynajmniej sędzę, że ściągał ze mnie bieliznę i robiliśmy nie wiadomo co. Nie mogę przecież o to zapytać, nie przy mamie.

Zastanawiam się, jaki jest w łóżku. Ukradkiem sunę wzrokiem po jego ciele. Hmm, wyszłam za niego za mąż. Musi być niezły...

- Coś zaprzęta ci głowę? - Erie zauważa mój błędzący wzrok. - Kochanie, jeśli masz jakieś pytania, po prostu je zadaj.

- Nic takiego! - Oblewam się rumieńcem. - Nic. Przepraszam. Mów dalej.

- Poznaliśmy się prawie trzy lata temu - ciągnie Erie - na przyjęciu w Pyramid TV. Produkują tam *Ambicję*, reality show, w którym oboje braliśmy udział. Natychmiast wpadliśmy sobie w oko.

Pobraliśmy się w czerwcu, a miesiąc miodowy spędziliśmy w Paryżu. Mieliśmy apartament w „Georges V”. Było cudownie. Byliśmy na Montmartrze, poszliśmy do Luwru, co rano piliśmy cafe au lait... - Przerzywa. - Przypominasz sobie coś z tego?

- Nie bardzo - odpowiadam z poczuciem winy. - Przykro mi.

Może mama ma rację. Powinnam bardziej wyteńczyć pamięć. No dalej. Paryż. Mona Lisa. Mężczyźni w pasiastych koszulach. Myśl, myśl. Sięgam pamięcią wstecz, desperacko

próbując wpasować twarz Erica w obrazy Paryża, uruchomić pamięć...

- Wjechaliśmy na wieżę Eiffla? - pytam w końcu.

- Tak! - Twarz mu się rozjaśnia. - Przypominasz sobie? Staliśmy na wietrze i robiliśmy sobie zdjęcia...

- Nie - przerywam. - Tak tylko rzuciłam. Wiesz, Paryż... wieża Eiffla... wydawało mi się to całkiem prawdopodobne.

- Ach. - Kiwa głową z wyraźnym rozczarowaniem i milkniemy.

Ku mojej lekkiej uldze rozlega się pukanie do drzwi, więc wołam:

- Proszę!

Wchodzi Nicole, niosąc blok kartek na podkładce do pisania.

- Muszę tylko szybciućko zmierzyć ciśnienie - zaczyna, a potem urywa, gdy widzi, że Erie trzyma mnie za rękę. -Och, przepraszam. Nie chciałam przeszkadzać.

- Nie ma sprawy! - mówię. - To Nicole, jedna z pielęgniarek, które się mną opiekują. - Wskazuję zebranych w pokoju. - To moja mama, siostra... i mój mąż, który - tu znacząco spoglądam jej w oczy - ma na imię Erie.

- Erie! - Nicole rozbłyskują oczy. - Bardzo mi miło pana poznać.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Erie skłania głowę. - Jestem dożgonnie pani wdzięczny za opiekę nad żoną.

Żoną. Na to słowo żołądek mi się ściska. Jestem jego żoną. To wszystko jest takie dorosłe. Założę się, że mamy kredyt na hipotekę. I alarm antywłamaniowy.

- Ależ nie, po mojej. - Nicole rzuca mu profesjonalny uśmiech. - Lexi jest wspaniałą pacjentką. -

Wkłada mi ramię w rękaw ciśnieniomierza i zwraca ku mnie twarz. - Teraz go napompuję... Jest boski! - mówi bezgłośnie, dyskretnie pokazując w moją stronę uniesiony kciuk, i mimowolnie się rozpromieniam.

To prawda. Mój mąż jest boski. Nigdy dotąd nie byłam

nawet na randce z kimś z jego ligi. Nie mówiąc już o wyjściu za mąż. Nie mówiąc o wyjeździe do Paryża i croissantach na śniadanie w hotelu „Georges V”.

- Bardzo chętnie wspomogę finansowo szpital - mówi Erie do Nicole, a jego głęboki aktorski głos wypełnia pokój. - Jeśli macie jakiś specjalny cel czy fundusz pomocy...

- Byłoby wspaniale! - wykrzykuje Nicole. - Prowadzimy zbiórkę pieniędzy na nowy skaner.

- Może zorganizowałbym bieg maratoński na ten cel? - sugeruje. - Co roku urządzam maraton pod jakimś hasłem.

Pękam z dumy. Żaden z moich dotychczasowych chłopaków me brał udziału w maratonie. Dave Nieudacznik ledwie potrafił przebyć dystans od kanapy do telewizora.

- Świetnie! - mówi Nicole, unosząc brwi, gdy spuszcza powietrze z rękawa. - To prawdziwa przyjemność poznać pana. Lexi, ciśnienie wygląda nieźle... - Zapisuje coś na mojej karcie. - Czy to twój lunch? - dorzuca, zauważając nietknięte jedzenie na tacy.

- Och tak. Zapomniałam o nim zupełnie.

- Musisz jeść. I muszę prosić, żeby nie siedzieli tu państwo długo. - Zwraca się do mamy i Amy: - Wiem, że chcą panie być jak najdłużej z Lexi, ale jest jeszcze słaba. Potrzebuje spokoju.

- Zrobię wszystko, co będzie trzeba. - Erie ściska mnie za rękę. - Przede wszystkim zależy mi, żeby żona wróciła do zdrowia.

Mama i Amy zaczynają się zbierać, on jednak nie rusza się z miejsca.

- Chciałbym, żebyśmy zostali przez chwilę sami - mówi. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Lexi.

- Och - mówię w przyпіływie lęku. - Eee... świetnie! Mama i Amy podchodzą, żeby uściskać mnie na pożegnanie, a mama szybkim ruchem jeszcze próbuje uładzić mi włosy. Potem zamykają się za nimi drzwi i zostaję sama z Eri-kiem w niezręcznej ciszy.

- Więc... - odzywa się Erie w końcu.
- Więc. To wszystko... jest takie dziwne. - Próbuję zaśmiać się lekko, ale nic z tego nie wychodzi.
Erie patrzy na mnie, marszcząc brwi.
- Lekarze mówili, czy kiedykolwiek odzyskasz pamięć?
- Uważają, że tak. Ale nie wiedzą kiedy.
Erie podchodzi do okna, jakby pogrążony w myślach.
- Więc trzeba czekać - mówi w końcu. - Czy mogę coś zrobić, żeby przyspieszyć ten proces?
- Nie wiem - odpowiadam bezradnie. - Może opowiedziałbyś mi coś o nas i naszym związku?
- Oczywiście. Dobry pomysł. - Odwraca się, jego sylwetka rysuje się na tle okna. - Co byś chciała wiedzieć? Pytaj, o co tylko chcesz.
- Hmm... gdzie mieszkamy?
- W Kensington, w apartamencie stylizowanym na loft. - Wymawia poszczególne słowa, jakby były napisane wielkimi literami. - Na tym polega mój biznes. Styl życia a la loft. - Gdy mówi „styl życia a la loft”, wykonuje zamaszty symetryczny gest obiema rękami, jakby przesuwając cegły na taśmie.
O rany. Mieszkamy w Kensington! Zastanawiam się nad następnym pytaniem, ale wszystkie wydają mi się tak od rzeczy, że milczę, jakbym grała na zwłokę.
- Co robimy? - pytam w końcu.
- Jemy dobre rzeczy, oglądamy filmy. W zeszłym tygodniu byliśmy na balecie. Później poszliśmy na kolację do „Ivy”.
- „Ivy?”
Zdumiona, wciągając głęboko powietrze. Byłam tam na kolacji?
Dlaczego nic z tego nie pamiętam? Zaciskam mocno powieki, starając się pobudzić mózg do pracy.
Ale daremnie. Wreszcie otwieram oczy, choć trochę kręci mi się w głowie, i widzę, że Erie zauważył na szafce obrączkę i pierścionek.

- To twoja obrączka, prawda? - Unosi głowę i patrzy na mnie ze zdziwieniem. - Dlaczego tu leży?
- Zdjęli mi ją przed tomografią - wyjaśniam.
- Mogę? - Bierze obrączkę i ujmuje moją lewą rękę. Nagle wpadam w popłoch.
- Ja... eee... nie... - Odruchowo wyrywam rękę z jego dłoni i Erie się wzdryga. - Przepraszam - mówię po chwili krępującej ciszy. - Naprawdę mi przykro. Po prostu... jesteś dla mnie nieznanym.
- Oczywiście. - Erie odwraca się, wciąż trzymając obrączkę. - Oczywiście. To było głupie z mojej strony.

O Boże, wydaje się naprawdę zraniony. Nie powinnam była nazwać go nieznanym. Tylko „przyjacielem, którego jeszcze nie poznałam”.

- Naprawdę bardzo cię przepraszam, Ericu. - Zagryzam wargę. - Naprawdę chcę cię poznać... kocham cię i w ogóle Musisz być wspaniałym człowiekiem, bo inaczej bym za ciebie nie wyszła. I wyglądasz świetnie - dodaję pokrzepiająco. - Nie spodziewałam się, że będziesz taki przystojny. To znaczy... mój ostatni chłopak do pięt ci nie dorastał.

Unoszę wzrok i widzę, że Erie patrzy na mnie uważnie.

- Dziwne - mówi w końcu. - Nie jesteś sobą. Lekarze mnie uprzedzali, ale nie zdawałem sobie sprawy, że będzie aż tak. - Przez chwilę wydaje się załamany, ale znowu prostuje ramiona. - Nieważne.

Wkrótce przywrócimy cię do formy Wiem, że tak. - Delikatnie odkłada obrączkę na szarękę, siada na łóżku i bierze mnie za rękę. - I na wszelki wypadek, żebyś wiedziała, Lexi... kocham cię.

- Naprawdę? - Odruchowo posyłam mu zachwycony uśmiech. - To... cudownie. Wielkie dzięki! Żaden z moich chłopaków nigdy nie powiedział „kocham cię” w taki sposób - tak jak należy, w środku dnia, jak dorosły człowiek, nie po pijaku ani w trakcie seksu. Muszę się zrewanżować. Tylko co mam powiedzieć?

„Ja też cię kocham”.

Nie.

„Ja też chyba cię kocham”. Nie.

- Ericu, jestem pewna, że też cię kocham, gdzieś tam, w głębi duszy - mówię w końcu, biorąc go za rękę. -1 wszystko sobie przypomnę. Może nie dzisiaj. I być może nie jutro. Ale... zawsze będziemy mieć nasz Paryż. - Urywam, rozważając własne słowa. - W każdym razie ty będziesz go miał. I będziesz mógł mi o nim opowiedzieć.

Wydaje się zaskoczony.

- Zjedz lunch i odpocznij. - Poklepuje mnie po ramieniu. - Zostawię cię teraz w spokoju.

- Może obudzę się jutro i wszystko sobie przypomnę -mówię z nadzieją, gdy Erie wstaje.

- Oby. - Przez chwilę przygląda mi się uważnie. - Ale nawet jeśli się tak nie stanie, najdroższa, poradzimy sobie. Umowa stoi?

- Stoi. - Kiwam głową.

- No to na razie.

Wychodzi po cichu. Przez moment siedzę w bezruchu. Znowu zaczyna łupać mi w głowie i czuję się oszołomiona. Trochę było tego za dużo. Amy ufarbowała włosy na niebiesko, Brad Pitt ma dziecko z Angeliną Jolie, a mnie trafił się fantastyczny mąż, który właśnie powiedział, że mnie kocha. Obawiam się, że zasnę i obudzę się z powrotem w 2004 roku -skacowana, na podłodze u Carolyn - stwierdzając, że to był tylko sen.

6

Ale to nie był sen. Budzę się następnego ranka i wciąż jest 2007 rok. Wciąż mam idealnie białe zęby i lśniąca kasztanowate włosy. I wciąż moja pamięć to jedna wielka czarna dziu

63

ra. Jem właśnie trzeci tost i popijam herbatę, gdy otwierają się drzwi i wchodzi Nicole, pchając przed sobą wózek pełen kwiatów. Wlepiam w nie wzrok, zdumiona ich różnorodnością. Musi ich być ze dwadzieścia rodzajów. Bukiety... orchidee w doniczkach... wspaniałe róże...

- Więc... któreś z nich są dla mnie? - Nie mogę się powstrzymać przed tym pytaniem.

Nicole wygląda na zdziwioną.

- Wszystkie. Zostały w twoim poprzednim pokoju.

- Wszystkie? - Krztuszę się herbatą.

- Jesteś popularna! Zabrakło nam wazonów! - Podaje mi plik bilecików. - To dla ciebie.

- O rany! - Biorę pierwszy z bilecików i czytam:

Lexi, kochana. Dbaj o siebie, do zobaczenia wkrótce, ucałowania. Rosalie.

Rosalie? Nie znam nikogo o imieniu Rosalie. Speszona, odkładam bilecik na później i czytam następny.

Najlepsze życzenia i szybkiego powrotu do zdrowia. Tim i Suki.

Tima i Suki też nie znam.

Lexi, wracaj szybko do zdrowia! Niebawem znowu wyciś-niesz ze trzysty! Od wszystkich koleżanek z siłowni. Wycisnę ze trzysty? Ja?

Cóż, zdaje się, że to wyjaśnia sprawę moich umięśnionych nóg. Sięgam po następną kartkę, nareszcie od kogoś, kogo znam.

Zdrowiej szybko, Lexi. Najlepsze życzenia od Fi, Debs, Carolyn i całego zespołu wykładowców.

Gdy czytam znajome imiona, czuję, że robi mi się ciepło w środku. Może to głupie, ale już myślałam, że moje przyjaciółki o mnie zapomniały.

- Ten twój mąż jest fantastyczny! - Nicole przywołuje mnie do rzeczywistości.

- Tak sądzisz? - Staram się mówić nonszalancko. - Uhm, jest chyba dość atrakcyjny...

- Jest niesamowity! Wiesz co? Obszedł wczoraj cały oddział, dziękując nam wszystkim za opiekę nad tobą. Niewielu ludzi robi coś takiego.

- Nigdy nie chodziłam z takim facetem jak Erie! - Porzucam nonszalancki ton i przestaję się zgrywać.

- Szczerze mówiąc, wciąż nie mogę uwierzyć, że to mój mąż. To znaczy, że ja... I on.

Ktoś puka do drzwi i Nicole woła:

- Proszę!

Wchodzą mama i Amy, obie zgrzane i spocone, taszcząc wspólnie sześć reklamówek wyładowanych albumami na zdjęcia i kopertami.

- Dzień dobry! - Nicole uśmiecha się, przytrzymując im drzwi. - Lexi czuje się dziś znacznie lepiej, na pewno ta wiadomość panie ucieszy!

- Och, nie powie mi pani, że wszystko sobie przypomniała! - Mamie rzędzie mina. - To po co przyniosłyśmy te wszystkie zdjęcia? Wie pani, ile ważą te albumy? A na dodatek nie mogłyśmy znaleźć wolnego miejsca na parkingu...

- Wciąż cierpi na poważny zanik pamięci - przerywa jej Nicole.

- Dzięki Bogu! - Mama nagle zauważa wyraz twarzy pielęgniarki. - To znaczy... Lexi, kochanie, przyniosłyśmy trochę zdjęć, żeby ci pokazać. Może pomogą ci odzyskać pamięć.

Z nagłym podnieceniem ogarniam wzrokiem torby. Te zdjęcia na pewno pomogą mi zapełnić lukę w pamięci. Ukażą moją przemianę z Krzywozębuli w... tę osobę, którą teraz jestem.

- Do dzieła! - Odkładam bileciki przysłane z kwiatami i siadam. - Pokażcie mi moje życie!

Wiele się uczę podczas tego pobytu w szpitalu. Jednego na pewno się nauczyłam skutecznie - jeśli twój krewny ma amnezję i chcesz mu pomóc odzyskać pamięć, pokaż mu jakąkolwiek starą fotografię, nieważne którą. Minęło dziesięć

minut, a ja jeszcze nie widziałam ani jednego zdjęcia, bo mama i Amy kłóca się, od którego zacząć.

- Przecież nie chcemy jej przytłoczyć - powtarza mama, gdy przekopują się obie przez zdjęcia. -
- Dobra, jest. - Wyjmuje fotografię w tekturowej ramce.
- Nie ma mowy. - Amy odbierają mamie. - Mam tu syfa na brodzie. Wyglądam koszmarnie.
- Amy, to tylko maleńki pryszczyk. Prawie go nie widać.
- Widać, widać. A na tym wyglądam jeszcze koszmar-niej! - Zaczyna drzeć na strzępki oba zdjęcia.

Ja siedzę i czekam, żeby dowiedzieć się czegoś o moim straconym życiu, a Amy drze dowody?

- Nie będę patrzeć na twoje syfy! - wołam. - Pokażcie mi wreszcie jakieś zdjęcie! Pierwsze z brzegu!
- No dobrze. - Mama podchodzi do łóżka, trzymając fotografię bez ramki. - Pokażę ci je, Lexi. A ty przyjrzyj się dobrze i powiedz, czy z czymś ci się kojarzy. Gotowa? - Mama odwraca zdjęcie.

Jest na nim pies przebrany za świętego Mikołaja.

- Mamo. - Próbuję zapanować nad frustracją. - Po co pokazujesz mi psa?
- Kochanie, ależ to Tosca! - Mama sprawia wrażenie urażonej. - W dwa tysiące czwartym musiała wyglądać inaczej. A to Rachel z Amy, zdjęcie z zeszłego tygodnia, obie wyglądają ślicznie...
- Wyglądam tu ohydnie. - Amy wyrywa jej fotografię i drze ją, zanim zdążyłam zerknąć.
- Przestań drzeć te zdjęcia! - wrzeszczę. - Mamo, przyniosłyście jeszcze jakieś inne zdjęcia? Na przykład ludzi?
- Hej, Lexi, a to pamiętasz? - Amy podchodzi do mnie, unosząc w palcach charakterystyczny naszyjnik z nefrytową różą.

Mrużę oczy, przyglądając mu się i desperacko usiłując go sobie przypomnieć.

- Nie - oświadczam w końcu. - W ogóle go nie kojarzę.

- Super. Więc mogę go sobie zatrzymać?

- Amy! - strofuje ją mama. Z niezadowoleniem przerzuca zdjęcia, które trzyma w rękach. - Może powinniśmy poczekać, aż Erie przywiezie DVD ze ślubu. Jeśli to nie przywróci ci pamięci, to koniec. DVD ze ślubu. Z mojego ślubu.

Za każdym razem, gdy o tym myślę, żołądek mi się kurczy z podniecenia i niecierpliwości. Mam film ze ślubu. Wzięłam ślub! Nie mogę oswoić się z tym faktem. Nie potrafię nawet wyobrazić sobie siebie jako panny młodej. Miałam na sobie bombiastą kieckę z trenem, welon i jakiś szkaradny stroik z kwiatów? Boję się nawet o to zapytać.

- Więc... wydaje się miły - mówię. - To znaczy Erie. Mój mąż.

- Jest ekstra. - Mama kiwa głową z roztargnieniem, wciąż gmerając wśród zdjęć psów. - Bardzo angażuje się w działalność dobroczynną. Czy raczej jego firma. Ale firma należy do niego, więc na jedno wychodzi.

- Ma własną firmę? - Marszczę brwi, zbita z tropu. - Myślałam, że jest pośrednikiem w handlu nieruchomościami.

- To firma, która sprzedaje nieruchomości, kochanie. Wielkie kompleksy loftów w całym Londynie. Wyprzedali dużą część udziałów w zeszłym roku, ale Erie wciąż ma pakiet kontrolny.

- Zarobił milion funciaków - dodaje Amy, która wciąż kuca przy torbie ze zdjęciami.

- Co takiego? - Wytrzeszczam oczy.

- Jest obrzydliwie bogaty. - Unosi wzrok. - Och, daj spokój. Tylko nie mów, że się nie domyślałaś? Znowu pukanie do drzwi.

- Lexi? Mogę wejść?

O mój Boże. To on. Pospiesznie zerkam do lusterka i spryskuję się perfumami Chanel, które znalazłam w torebce Louis Vuittona.

- Wejdz, Ericu! - woła mama.

Drzwi otwierają się na oścież i staje w nich on, dzierząc dwie reklamówki, kolejny bukiet kwiatów i elegancki koszyk pełen owoców. Ma na sobie pasiastą koszulę, jasnobrązowe spodnie, żółty kaszmirowy pulower i mokasyny z chwaściami.

- Cześć, kochanie. - Odkłada wszystko, co przyniósł, na podłogę, podchodzi do mnie i delikatnie całuje mnie w policzek. - Jak się masz?

- Znacznie lepiej, dzięki. - Uśmiecham się do niego.

- Ale wciąż nie wie, kim jesteś - wcina się Amy. - Widzi obcego faceta w żółtym blezerze.

Eric nie sprawia wrażenia speszonego. Może już się przyzwyczyił do arogancji Amy.

- Coś na to zaradzimy już dziś - mówi energicznie i unosi torbę. - Przyniosłem zdjęcia, płyty DVD, pamiątki... Poznasz na nowo swoje życie. Barbaro, włożysz ślubne DVD do odtwarzacza? - Podaje mamie błyszczący krążek. - A to na początek, Lexi... nasze zdjęcia ślubne. - Kładzie na łóżku drogi album oprawiony w kozłą skórę, a ja z niedowierzaniem patrzę na wytłoczony tytuł:

Alexia i Erie 3 czerwca 2005

Otwieram go i szczęka mi opada. Patrzę na czarno-białą fotografię, która przedstawia mnie jako pannę młodą. Mam na sobie długą białą suknię typu tuba i włosy spięte w gładki kok, w rękach trzymam minimalistyczny bukiet lilii. Nic bombiastego z tego, co widzę.

Bezszelestnie przewracam kartkę. Oto Erie, który stoi obok mnie w stroju wieczorowym. Na następnym zdjęciu wznosimy kieliszki szampana i uśmiechamy się do siebie. Wyglądamy nieskazitelnie. Jak ludzie w czasopiśmie.

To mój ślub. Mój własny najprawdziwszy ślub. Gdybym potrzebowała potwierdzenia... to jest potwierdzenie.

Z odbiornika telewizyjnego nagle dochodzą nakładające się na siebie śmiechy i dźwięki rozmów. Unoszę głowę i przeżywam kolejny szok. Na ekranie ja i Erie w ślubnych strojach pozujemy do zdjęć. Stoimy obok wielkiego białego tortu, trzymając razem nóż, śmiejąc się z czegoś poza polem widzenia. Nie mogę oderwać wzroku od siebie samej.

- Postanowiliśmy, że nie będziemy nagrywać ceremonii -wyjaśnia Erie. - To już przyjęcie weselne.

- Aha. - Mój głos jest trochę schrypnięty.

Nigdy specjalnie nie brały mnie śluby. Ale gdy patrzę, jak kroimy tort, uśmiechamy się do aparatów fotograficznych, pozujemy dla kogoś, kto nie zdążył zrobić zdjęcia... zaczynają piec mnie oczy. To dzień mojego ślubu, podobno najszcześniejszy dzień w życiu, a ja nic z niego nie pamiętam.

Kamera wędruje po okręgu, filmując twarze ludzi, których nie rozpoznaję. Dostrzegam mamę, w granatowym kostiumie, i Amy, która ma na sobie purpurową sukienkę na ramiączkach. Jesteśmy w jakimś przestronnym, nowoczesnym wnętrzu o szklanych ścianach, z modnymi krzesłami i kompozycjami kwiatowymi, które stoją wszędzie. Ludzie rozchodzą się po wielkim tarasie z kieliszkami szampana w dłoniach. - Gdzie to jest?-pytam.

- Kochanie... - Erie śmieje się ze skrzepowaniem. - To nasze mieszkanie.

- Nasze mieszkanie? Strasznie wielkie! Tylko spójrzcie na to!

- To penthouse. - Kiwa głową. - Porządnej wielkości. „Porządnej wielkości”? Wygląda jak boisko piłki nożnej.

Moje mieszkanie w Balham zmieściłoby się z powodzeniem na jednym z tych dywanów.

- A to kto? - Wskazuję ładną dziewczynę w różowej sukience na ramiączkach, która szepcze mi coś do ucha.

- To Rosalie. Twoja najlepsza przyjaciółka.

Moja najlepsza przyjaciółka? Pierwszy raz w życiu widzę tę kobietę. Jest chuda i opalona, ma wielkie niebieskie oczy,

masywną bransoletkę na nadgarstku i okulary przeciwsłoneczne odsunięte na jasne, kalifornijskie blond włosy.

Przysłała mi kwiaty, przypominam sobie nagle. ***Lexi, kochana. Ucałowania, Rosalie.***

- Czy ona pracuje w Deller Carpets?

- Nie! - Erie uśmiecha się, jakbym powiedziała dowcip. - Ten fragment jest śmieszny. - Wskazuje ekran telewizora. Kamera podąża za nami, gdy wychodzimy na taras. Słyszę własny śmiech i to, jak mówię: „Erie, co tam knujesz?”. Wszyscy z jakiegoś powodu spoglądają w górę, nie mam pojęcia, dlaczego...

Wtedy kamera robi zbliżenie i już widzę, o co chodzi. Pojawia się napis na niebie: ***Lexi, będę Cię kochał aż do śmierci.*** Wszyscy na ekranie głęboko wciągają powietrze z wrażenia i wskazują w górę, widzę, że sama też patrzę w niebo, osłaniam dłonią oczy, a potem całuję Erica.

Mój mąż w ramach niespodzianki zorganizował coś takiego w dzień naszego ślubu, a ja, jasna cholera, nic z tego nie pamiętam? Chce mi się płakać.

- A teraz my podczas wakacji na Mauritiusie, w zeszłym roku... - Erie przeskoczył dalej na DVD, a ja z niedowierzaniem patrzę w ekran. Czy ta dziewczyna w czerwonym kostiumie kąpielowym ze stringami, która idzie plażą, to ja? Mam zaplecione włosy, jestem opalona i szczupła. Wyglądam jak laska, na którą zwykle patrzy się z zawiścią.

- A to my na balu dobroczynnym. - Erie znowu przeskakuje dalej i znowu pojawiajemy się oboje na ekranie. Mam na sobie seksowną niebieską wieczorową suknię, tańczę z Eri-kiem w wytwornej sali balowej.

- Erie jest bardzo hojny, jeśli chodzi o działalność dobroczynną- mówi mama, ale jej nie odpowiadam. Moją uwagę przykuwa przystojny ciemnowłosy facet, który stoi przy parkiecie. Chwileczkę. Czy ja go skądś nie znam?

Znam. Ależ znam. Na pewno go rozpoznaję. Wreszcie!

- Lexi? - Eric zauważa moją minę. - Czy coś stymuluje twoją pamięć?
- Tak! - Nie mogę powściągnąć radosnego uśmiechu. - Pamiętam tego faceta po lewej. - Wskazuję ekran. - Nie bardzo wiem, kto to jest, ale na pewno go znam. Naprawdę dobrze! Jest serdeczny i zabawny, wydaje mi się, że może być lekarzem... a może poznałam go w kasynie...
- Lexi... - Eric przerywa mi delikatnie. - To George Clooney, aktor filmowy. Był gościem na balu.
- Och. - Pocieram nos, skonsternowana. - No tak. George Clooney. Jasne, że tak. Osuwam się na poduszki,
podłamana.

Kiedy pomyślę o tych wszystkich obrzydliwych, żenujących rzeczach, które zostały mi w pamięci! To, jak musiałam zjeść w szkole kaszkę manną, kiedy miałam siedem lat, i omal nie zwymiotowałam. Jak w wieku piętnastu lat wyszłam z basenu w białym kostiumie kąpielowym, który zrobił się przezroczysty, i śmiali się ze mnie wszyscy chłopcy. Pamiętam swoje upokorzenie, jakby to było wczoraj. A nie pamiętam, jak szłam idealną piaszczystą plażą na Mauritiusie. Nie pamiętam, jak tańczyłam z mężem na jakimś wielkim balu. Halo, mój mózgu? Masz jakieś priorytety?

- Zeszłego wieczoru czytałam o amnezji - mówi Amy, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. - Wiesz, co najlepiej stymuluje pamięć? Zapach. Może powinnaś powąchać Erica.
- To prawda - nieoczekiwanie włącza się mama. - Jak ten facet, Proust. Jeden niuch babeczki i wszystko wraca.

- No dalej - mówi zachęcająco Amy. - Warto spróbować, no nie?

Zakłopotana, zerkam na Erica.

- Nie miałbyś nic przeciwko temu, gdyby... cię powąchała, Ericu?

- Ależ skąd! Spróbujmy. - Siada na łóżku i zatrzymuje DVD. - Mam unieść ręce czy...

- Uhm, chyba tak...

Erie naprawdę podnosi ręce. Pochylam się ostrożnie i przysuwam nos do jego pachy. Czuję zapach mydła i płynu po goleniu, a także delikatną męską woń. Ale żaden obraz nie staje mi przed oczami.

Oprócz George'a Clooneya z *Ocean 's Eleven*.

Ale może nie będę o tym mówiła.

- No i co? - Erie zastyga w pozycji z uniesionymi ramionami.

- Na razie nic - odpowiadam, wachając ponownie. - To znaczy nic konkretnego...

- Powinnaś powąchać jego krocze - doradza Amy.

- Dziecko drogie... - słabym głosem mówi mama.

Nie mogę się powstrzymać i zerkam na krocze Erica. Krocze, które poślubiłam. Wygląda całkiem okazale, choć tak naprawdę nigdy nie wiadomo. Ciekawa jestem...

Nie. Nie pora teraz na to.

- Wiecie, co powinniście zrobić? Pójść ze sobą do łóżka -mówi Amy w niezręcznej ciszy, i strzela z gumy do żucia. -Powinniście nawzajem poczuć ostry zapach swoich fizycznych...

- Amy! - mama wchodzi jej w słowo. - Kochanie! Dość tego!

- Ja tylko radzę! To naturalna terapia w przypadku amnezji!

- Hmm. - Erie opuszcza rękę. - Niewiele to dało.

- No nie.

Może Amy ma rację. Może powinniśmy pójść ze sobą do łóżka. Zerkam z ukosa na Erica, i jestem pewna, że pomyślał o tym samym.

- Spokojnie. Mamy czas. - Uśmiecha się, zamykając album, ale widzę, że jest zawiedziony.

- A co będzie, jeśli pamięć nigdy mi nie wróci? - Przesuwam spojrzeniem po obecnych. - Co będzie, jeżeli stracę te wszystkie wspomnienia na dobre i nigdy nic sobie nie przypomnę? Już nigdy w życiu?

Gdy tak spoglądam na ich przygnębione twarze, nagle czuję się bezradna i bezbronna. Jak wtedy, gdy siadł mi komputer i straciłam wszystkie moje e-maile, tylko tysiąc razy gorzej. Facet od sprzętu wciąż mi powtarzał, że powinnam robić kopie. Ale jak zrobić kopię własnego życia?

Po południu mam wizytę u neuropatologa. To sympatyczny facet w dżinsach, imieniem Neil, siedzę z nim przy stole i rozwiązuję testy. I muszę powiedzieć, że nieźle mi idzie! Zapamiętuję większość z dwudziestu wyrazów na liście; pamiętam historyjkę; zrobiłam rysunek z pamięci.

- Bardzo dobrze sobie radzisz, lxxi - mówi Neil, odhaczając ostatni punkt. - Nadal przejawiasz zdolności kierownicze, pamięć krótkotrwała funkcjonuje u ciebie całkiem nieźle, biorąc wszystko pod uwagę, i nie masz większych problemów poznawczych... ale cierpisz na poważną amnezję wsteczną. To bardzo rzadko spotykana dolegliwość.

- Ale dlaczego?

- Cóż, wszystko wynika z tego, w jaki sposób uderzyłaś się w głowę. - Z ożywieniem pochyła się do przodu, rysuje kontur głowy na kartce z bloku i zaczyna go wypełniać. - Doznałaś urazu, który nazywamy przyspieszeniowo-opóźnieniowym. Kiedy rzuciło cię na przednią szybę, twój mózg uderzył w czaszkę, a jego mały fragment został, powiedzmy, zgnieciony. Możliwe, że uszkodziłaś sobie magazyn pamięci, a może zdolność przywoływania wspomnień. Magazyn jest cały, ale... jak by tu powiedzieć, nie potrafisz otworzyć do niego drzwi.

Oczy mu błyszczą, jakby to wszystko było naprawdę niesamowite, a ja powinnam być podniecona tym, co się ze mną dzieje.

- Możecie mi zaaplikować wstrząsy elektryczne? - pytam z frustracją. - Walnąć mnie w głowę czy coś takiego?

- Obawiam się, że nie. - Wygląda na rozbawionego. - Wbrew powszechnemu przekonaniu uderzenie w głowę pac-

jenta cierpiącego na amnezję nie pomaga przywrócić mu pamięci. Więc nie próbuj tego robić w domu.

- Odsuwa krzesło. - Odprowadzę cię do pokoju.

Okazuje się, że mama i Amy nadal oglądają DVD, a Erie rozmawia przez telefon komórkowy.

Natychmiast jednak kończy rozmowę i zamyka klapkę aparatu.

- No i jak poszło?

- Coś sobie przypomniałaś, kochanie? - wtrąca mama.

- Nic-wyznaję.

- Gdy tylko Lexi znajdzie się w znanym sobie otoczeniu, prawdopodobnie całkiem naturalnie wróci jej pamięć - mówi Neil uspokajająco. - Chociaż to może potrwać dłuższy czas.

- W porządku. - Erie skwapliwie kiwa głową. - Więc co dalej?

- Hmm. - Neil przerzuca notatki. - Jesteś w dobrej formie fizycznej, Lexi. Chyba wypiszemy cię jutro. Umówmy się, że za miesiąc przyjedziesz do mnie na wizytę. Do tego czasu najlepszym miejscem dla ciebie będzie dom. - Uśmiecha się. - Jestem pewien, że chcesz już tam wrócić.

- Tak! - potwierdzam po chwili. - Dom. Świetnie.

Już gdy wypowiadam te słowa, dociera do mnie, że w gruncie rzeczy nie wiem, co mam na myśli, mówiąc „dom”. Domem przecież było dla mnie mieszkanie w Balham. Ale przepadło.

- Jaki jest twój adres? - Wyjmuje długopis. - Muszę go zanotować.

- Eee... nie wiem.

- Ja panu zapiszę - mówi Erie usłużnie i bierze długopis. To wariactwo. Nie wiem nawet, gdzie mieszkam. Jestem jak jakaś szurnięta staruszka.

- Cóż, powodzenia, Lexi. - Neil spogląda na Erica i mamę. - Mogą państwo pomóc, udzielając Lexi jak najwięcej informacji o jej życiu. Zapisywać wszystko. Zabierać ją do miejsc, w których była. Jeśli pojawią się jakieś problemy, proszę do mnie dzwonić.

Za Neilem zamykają się drzwi i zapada cisza, słychać tylko dźwięki dochodzące z telewizora. Mama i Erie wymieniają spojrzenia. Gdybym wierzyła w spiskową teorię dziejów, powiedziałabym, że coś knują.

- O co chodzi?

- Kochanie, twoja mama i ja rozmawialiśmy właśnie o tym, jak... - Erie się waha. - Jak roztoczyć nad tobą opiekę po wyjściu ze szpitala.

Roztoczyć nade mną opiekę. Brzmi to tak, jakbym była niebezpiecznym psychopatycznym więźniem.

- Znaleźliśmy się w dość dziwnej sytuacji - ciągnie mój mąż. - Oczywiście, byłbym szczęśliwy, gdybyś chciała wrócić do domu i do dawnego życia. Ale rozumiem, że możesz czuć się skrepowana.

W końcu... nie znasz mnie.

- Rzeczywiście. - Przygryzam wargę. - Nie znam.

- Powiedziałam Ericowi, że możesz zamieszkać na jakiś czas u nas - dorzuca mama. - Oczywiście, będzie trochę zamieszania, musiałybyś dzielić pokój z Jakiem i Florianem, ale to dobre psy...

- W tym pokoju śmierdzi - zauważa Amy.

- Wcale nie śmierdzi, Amy. - Mama sprawia wrażenie oburzonej. - Ten budowlaniec powiedział, że to tylko kwestia suchego... ach, czegoś tam. - Macha ręką.

- To zgnilizna - dodaje Amy, nie odrywając wzroku od ekranu. - I czuć ją wyraźnie.

Zirytowana mama mruga powiekami. Podchodzi do mnie Erie, na jego twarzy maluje się niepokój.

- Lexi, nie sądz, proszę, że poczuję się urażony. Rozumiem, jakie to dla ciebie trudne. Na miłość boską, jestem dla ciebie kimś obcym. - Rozkłada ręce. - Dlaczego, u licha, miałabyś ochotę wrócić ze mną do domu? Wiem, że powinnam coś na to odpowiedzieć, ale moją uwagę nagle przykuwa obraz na ekranie. To ja i Erie na wyścigowej łodzi motorowej. Bóg tylko wie, gdzie jesteśmy, świeci jednak słońce, a morze jest błękitne. Oboje jesteśmy

w okularach przeciwsłonecznych, Erie uśmiecha się do mnie, stojąc za sterami, i oboje wyglądamy wspaniale, jak z filmu o Jamesie Bondzie.

Nie mogę oderwać wzroku od ekranu, jestem jak zahipnotyzowana. „Pragnę takiego życia” - przebiega mi przez myśl. „Jest moje. Zasłużyłam na nie. Nie pozwolę, żeby wyslizgnęło mi się z rąk”.

- Ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął, to przeszkodzić ci w odzyskaniu pamięci. - Erie mówi dalej. -

Cokolwiek zdecydujesz, zrozumie to.

- Dobrze. W porządku. - Pociągam łyk wody, grając na zwłokę. - Tylko... muszę się przez chwilę zastanowić.

Dobra. Rozważmy wszystkie opcje.

Po pierwsze: zalatujący zgnilizną pokój w Kent, który musiałabym dzielić z dwoma whippetami.

Po drugie: wielki loft w Kensington z Erikiem, moim mężem przystojniakiem, który umie prowadzić łódź motorową.

- Wiesz co, Ericu? - mówię powoli, dobierając starannie słowa. - Myślę, że powinnam wrócić z tobą do naszego domu.

- Poważnie? - Rozpromienia się, ale widzę, że jest zaskoczony.

- Jesteś moim mężem - mówię. - Powinnam być przy tobie.

- Ale ty mnie sobie nawet nie przypominasz - odpowiada niepewnie. - Nie znasz mnie.

- Poznam cię na nowo! - odpowiadam z rosnącym entuzjazmem. - Najlepszym sposobem, żeby przypomnieć sobie swoje życie, jest powrót do niego. Będiesz mógł opowiedzieć mi o sobie, o mnie, o naszym małżeństwie... Dowiem się wszystkiego jeszcze raz! A lekarz powiedział, że znajome otoczenie pomaga. Pobudzi moją zdolność przywoływania wspomnień czy tak jakoś.

Jestem coraz bardziej przekonana do tego pomysłu. Nic

nie wiem o moim mężu ani o życiu z nim. Wysłałam jednak za przystojnego multimilionera, który mnie kocha, ma wielki penthouse i kupuje mi brązowszare róże. Nie odrzucę tego wszystkiego z powodu takiego drobiazgu, że go sobie nie przypominam.

Każdy musi pracować nad swoim małżeństwem w taki czy inny sposób. Ja będę musiała popracować jedynie nad przypomnieniem sobie swojego małżonka.

- Erie, naprawdę chcę wrócić z tobą do domu - mówię z taką szczerością, na jaką tylko potrafię się zdobyć. - Jestem pewna, że stanowią świetne, kochające się małżeństwo. Wszystko się ułoży.

- Byłoby cudownie, gdybyś wróciła. - Erie wciąż wygląda na zakłopotanego. - Ale, proszę, nie czuj się w żaden sposób zobowiązana...

- Nie robię tego ze względu na zobowiązania! Tylko dlatego, że... uważam to za słuszne.

- Myślę, że to bardzo dobry pomysł - włącza się mama.

- No to w porządku - mówię. - Ustalono.

- Pewnie nie będziesz chciała... - Erie wije się niepewnie. - To znaczy... przeniosę się do pokoju gościnnego.

- Byłabym wdzięczna - mówię, próbując się dostosować do jego oficjalnego tonu. - Dziękuję ci, Ericu.

- Cóż, jeśli jesteś pewna co do tego... - Rozjaśnia się jego twarz. - Zróbmy to jak trzeba, dobrze? -

Zerka pytająco na obrączkę i pierścionek, które leżą na szafce, a ja podążam za jego wzrokiem.

- Uhm, zróbmy tak! - Kiwam głową z nagłym podnieceniem.

Erie bierze biżuterię, a ja nieśmiało wyciągam lewą rękę. Patrzę znieruchomiała, jak Erie wsuwa ją na mój palec. Najpierw obrączkę ślubną, a potem pierścionek z brylantem. W pokoju zapada cisza, gdy spoglądam na upierścienioną dłoń.

Jasny gwint, ależ wielki ten brylant!

- Wszystko w porządku, Lexi? - pyta Erie. - Dobrze się z nimi czujesz?

- Czuję się... świetnie! Naprawdę. Leżą jak ulał.

Na mojej twarzy wykwita szeroki uśmiech, gdy obracam dłoń raz w tę, raz w tamtą stronę. Mam wrażenie, że ktoś powinien mnie teraz obsypać konfetti albo zaśpiewać *Marsz weselny*. Jeszcze dwa dni temu Dave Nieudacznik wystawił mnie do wiatru w jakimś badziewnym klubie. A dziś jestem zamężna!

7

To z pewnością przeznaczenie, karma.

Musiałam być niezwykle szlachetna w poprzednim wcieleniu. Może uratowałam dzieci z płonącego budynku, poświęciłam życie niesieniu pomocy trędowatym, wymyśliłam koło czy coś takiego. To jedyne wyjaśnienie, dlaczego przypadło mi w udziale takie bajkowe życie.

Oto ja, mknąca nabrzeżem, z moim przystojnym mężem, w jego mercedesie z odkrytym dachem. Powiedziałam „mknąca”, ale tak naprawdę jedziemy z prędkością trzydziestu kilku kilometrów na godzinę. Erie jest bardzo troskliwy, mówi, że zdaje sobie sprawę, jak musi mi być trudno wsiąść znowu do samochodu, i jeżeli źle się poczuję, powinnam natychmiast mu powiedzieć. Ale nic mi nie jest. Nie pamiętam wypadku. To jak historia, która przydarzyła się komuś innemu, z rodzaju tych, na które reagujesz uprzejmym kiwaniem głowy i mówisz: „O nie, to okropne”, ale nawet nie słuchasz uważnie.

Wciąż spoglądam na siebie ze zdumieniem. Mam na sobie wąskie dżinsy, o dwa rozmiary mniejsze, niż nosiłam kiedyś. I top od Miu Miu, którą to markę znałam do tej pory jedynie z czasopism. Erie przyniósł mi torbę ubrań do wyboru,

86

wszystkie tak eleganckie i designerskie, że ledwie ośmieliłam się ich dotknąć, nie mówiąc już o włożeniu na siebie.

Na tylnym siedzeniu spoczywają wszystkie bukiety i upominki z pokoju szpitalnego, wraz z olbrzymim koszem owoców tropikalnych z Deller Carpets. Przyniesiono go z bilecikiem od kobiety imieniem Clare, która pisała, że prześle mi do przeczytania w wolnej chwili protokół z ostatniego zebrania zarządu, i wyrażała nadzieję, że czuję się lepiej. Podpisała się: **Clare Abrahams, asystentka Lexi Smart.**

„Asystentka Lexi Smart”. Mam więc własną asystentkę. I należę do zarządu firmy. Ja!

Zadrapania i sińce na twarzy powoli się goją, zdjęto mi też opatrunek z głowy. Mam świeżo umyte, lśniące włosy i nieskazitelne zęby gwiazdy filmowej. Nie mogę przestać się uśmiechać do każdej błyszczącej powierzchni, jaką napotykam. Właściwie w ogóle nie mogę przestać się uśmiechać, kropka. Może w poprzednim życiu byłam Joanną d'Arc i zamęczono mnie na śmierć. Albo tym facetem z „Titanica”. Tak. Utonęłam w lodowatym morzu i straciłam Kate Winslet, a to jest moja nagroda. Bo ludzie nie dostają bez powodu takiego idealnego życia. To się nie zdarza.

- Wszystko w porządku, kochanie? - Erie na moment kładzie rękę na mojej dłoni. Jego kręcone włosy są zmierzwione od wiatru, a w drogich okularach przeciwsłonecznych błyska słoneczne światło. Wygląda jak facet, którego ludzie z PR od Mercedesa chcieliby widzieć za kierownicą swoich samochodów.

- Tak! - Rozpromieniam się. - Czuję się świetnie! Jestem Kopciuszkiem. Nie, jestem lepsza od Kopciuszka,

bo jej dostał się tylko książę, no nie? Jestem Kopciuszkiem z fantastycznymi zębami i bombową pracą. Erie włącza lewy kierunkowskaz.

- No to jesteśmy... - Zjeżdża z drogi w wielką bramę z filarami, mija strażnika w przeszklonej budce i zatrzymuje się

na miejscu parkingowym, wyłączając silnik. - Chodź, zobaczysz swój dom.

Wiecie, że niektóre rozdmuchane rzeczy okazują się totalną porażką? Na przykład oszczędzasz całe wieki, żeby pójść do drogiej restauracji, a gdy się w końcu do niej wybierzesz, kelnerzy są nadęci, stolik za mały, a pudding smakuje jak gówno.

Otóż z moim domem jest wprost przeciwnie. Okazał się znacznie lepszy, niż przypuszczałam. Gdy się po nim przechadzam, ogarnia mnie coraz większe zdumienie. Ta przestrzeń. To światło. Widok na rzekę. Stoi tu wielka kremowa kanapa w kształcie litery L i szpanerski bar koktajlowy. Kabina prysznicowa to wyłożone marmurem pomieszczenie, w którym zmieściłoby się z pięć osób.

- Pamiętasz coś z tego? - Erie przygląda mi się w napięciu. - Otwierają się jakieś klapki?

- Nie. Ale tu jest obłędnie!

Musimy wydawać tu ekstraprzyjęcia. Już widzę Fi, Carolyn i Debs na stołkach przy barze, tequila leje się strumieniami, z głośników wali muzyka. Przystaję obok kanapy i przesuwam ręką po puszystym obiciu. Jest tak nieskazitelna, miękka, że nie wiem, czy kiedykolwiek ośmielę się na niej usiąść. Może będę musiała nad nią zawisnąć. Dobrze by mi to. zrobiło na mięśnie pośladków.

- Co za fantastyczna sofa! - Spoglądam na Erica. - Musiała kosztować kupę forsy.

- Dziesięć tysięcy funtów. - Erie kiwa głową.

Rany boskie. Cofam rękę. Jak kanapa może tyle kosztować? Czym jest wypchana, kawiolem? Odsuwam się, dziękując Bogu, że nie usiadłam na niej. Zapamiętać: nigdy nie pić czerwonego wina/nie jeść pizzy/ nie zbliżać się do tej wypasionej puszystej kremowej kanapy za dziesięć kawałków.

- Bardzo mi się podoba ta... eee... lampa. - Wskazuję wolno stojący, pofałdowany kawał metalu.

- To kaloryfer. - Erie się uśmiecha.
- Ach, tak - mówię, zmieszana. - Myślałam, że to jest kaloryfer. - Wskazuję staroświecki żelazny kaloryfer, pomalowany na czarno i zawieszony na środku przeciwległej ściany.
- To rzeźba - informuje mnie Erie. - Hectora Jamesa--Johna. **Upadek dezintegracji.**
Podchodzę do niej, zadzieram głowę i patrzę w górę z -mam nadzieję - inteligentnym wyrazem twarzy, charakterystycznym dla wielbicielki sztuki.
Upadek dezintegracji. Czarny kaloryfer. Zero skojarzeń, nic z tego nie rozumiem.
- Bardzo... strukturalna - ryzykuję po chwili.
- Mieliliśmy szczęście, że udało nam się ją zdobyć - mówi Erie, kiwając głową w stronę rzeźby. - Od około ośmiu miesięcy inwestujemy w sztukę niefiguratywną. Pasuje do loftu. No i liczy się portfolio.
- Wzrusza ramionami, jakby to mówiło samo za siebie.
- Oczywiście! - potakuję. - Tak właśnie sądziłam, że aspekt... portfolio... będzie... absolutnie... -
Chrząkam i odwracam głowę.
Trzymaj buzię na kłódkę, Lexi. Gównu wiesz o sztuce nowoczesnej, różnych portfolio i w ogóle o tym, jak to jest być bogatym, więc łatwo możesz się skompromitować.
Odwracam się od dzieła sztuki w kształcie kaloryfera i skupiam się na olbrzymim ekranie, który zajmuje niemal całą ścianę. Po drugiej stronie pokoju, przy stole jadalnym, zauważam drugi ekran, a jeszcze jeden widziałam w sypialni. Erie najwyraźniej lubi telewizję.
- Na co masz ochotę? - Erie zauważa, że się przyglądam. - Może to. - Bierze pilota i włącza ekran.
Chwilę później widzę wielkie jasne ognisko ze strzelającymi w górę płomieniami.
- O rany! - Gapię się, zaskoczona.
- Albo to. - Na ekranie pojawia się kolorowa tropikalna ryba, która pływa wśród wodorostów. - To najnowsze osiąg-

nięcie w technologii systemów obrazu domowego - mówi dumnie mój mąż. - To dzieło sztuki, to rozrywka, to przekaz. Można za pośrednictwem tego e-mailować, słuchać muzyki, czytać książki... Przechowuję tu tysiące dzieł literackich. Możesz mieć nawet wirtualne zwierzątko domowe.

- Zwierzątko? - Oniemiała, wciąż wpatruję się w ekran.

- Każde z nas ma swoje. - Erie się uśmiecha. - To moje, Titan. - Naciska guziki pilota i na ekranie pojawia się wielki pasiasty pajak w szklanym akwarium.

- O mój Boże! - Cofam się z obrzydzeniem. Nigdy nie zachwycalam się pajakami, a ten w dodatku ma z dziesięć nóg. Widać włoski na tych ohydnych nogach. Widać mordę. - Mógłbyś to wyłączyć?

Proszę.

- Co się stało? - Erie wygląda na zdziwionego. - Pokazałem ci Titana podczas twojej pierwszej wizyty tutaj. Powiedziałaś, że jest uroczy.

Super. To była nasza pierwsza randka, powiedziałam, że pajak mi się podoba, bo chciałam być uprzejma, a teraz mam pasztet.

- Wiesz co? - mówię, starając się omijać wzrokiem Titana. - Podczas wypadku mogłam nabawić się arachnofobii. - Staram się, żeby to brzmiało naukowo, jakbym dowiedziała się tego od lekarza czy coś takiego.

- Możliwe. - Erie lekko marszczy czoło, jakby dostrzegał luki w tej teorii. Nie byłoby to trudne.

- Ja też mam zwierzaka? - pytam szybko, żeby odwrócić jego uwagę. - Jakiego?

- Proszę bardzo. - Pstryka w ekran. - Oto Arthur. - Przede mną pojawia się puchaty biały kociak i aż krzyczę z zachwyty.

- Och, prześliczny! - Patrzę, jak bawi się kłębkami sznurka, uderza go łapką i obraca. - Wyrósł na dużego kota?

- Nie. - Erie się uśmiecha. - Pozostanie na zawsze kociakiem. Przez całe twoje życie, jeśli zechcesz. Mają trwałość sto tysięcy lat.

- Ach tak - mówię po chwili. Właściwie to nienormalne. Wirtualny kot, który ma sto tysięcy lat. Dzwoni telefon Erica, który odchyła klapkę, a potem pstryka w kierunku ekranu, żeby przywołać znowu rybkę. - Kochanie, jest już mój kierowca. Tak jak mówiłem, muszę wpaść do biura. Ale Rosalie już tu jedzie, żeby dotrzymać ci towarzystwa. Na razie, jeśli będziesz miała jakieś problemy, możesz zadzwonić do mnie... albo wysłać e-maila za pośrednictwem tego urządzenia. - Wręcza mi biały gadżet z ekranikiem. - Tu masz pilota. Reguluje się nim ogrzewanie, wentylację, oświetlenie, drzwi, zasłony... Każda rzecz jest tu inteligentna. Ale raczej nie będzie ci potrzebny. Wszystko jest ustawione. - Mamy zdalnie sterowany dom? - Chce mi się śmiać.

- To element stylu życia a la loft! - Znowu wykonuje zamaszty gest obiema rękami, a ja kiwam głową, starając się nie zdradzić, pod jakim jestem wrażeniem.

Patrzę, jak Erie narzuca marynarkę na ramiona.

- Więc... jak to się stało, że zaprzyjaźniłam się z Rosalie?

- Jest żoną mojego współnika, Clive'a. Lubicie się.

- Trzyma się ze mną i z innymi dziewczynami z pracy? -pytam. - Lubi Fi i Carolyn? Wychodzimy gdzieś wszystkie razem?

- Kto? - Erie jakby nie rozumiał. Może to jeden z tych facetów, którzy nie interesują się życiem towarzyskim żon.

- Nieważne - mówię szybko. - Dowiem się.

- Gianna wróci później. To nasza gospodyni. Pomoże ci, jeśli będzie trzeba. - Podchodzi do mnie, waha się, a potem bierze mnie za rękę. Ma gładką, nieskazitelną cerę, nawet z bliska, czuję też zapach świetnej wody toaletowej z nutą drewna sandałowego.

- Dzięki, Ericu. - Kładę dłoń na jego rękę i ściskam ją. -Naprawdę jestem ci wdzięczna.

- Witaj w domu, kochanie - odpowiada trochę szorstko. Potem cofa rękę, rusza do drzwi i po chwili zamyka je za sobą.

Jestem sama. Sama w moim domu. Gdy rozglądam się znowu po tym przestronnym wnętrzu, obejmując spojrzeniem sześcienny stolik do kawy z pleksiglasu, skórzany szezlong, albumy o sztuce, uświadamiam sobie, że niewiele jest tu ze mnie samej. Nie ma kolorowych ceramicznych kubków ani świeatełek, ani stosów książek w wydaniu broszurowym.

Cóż, Erie i ja pewnie chcieliśmy zacząć od nowa i wybieraliśmy razem nowe rzeczy. I prawdopodobnie dostaliśmy mnóstwo niezwykłych prezentów ślubnych. Te wazy z niebieskiego szkła na kominku wyglądają, jakby kosztowały majątek.

Podchodzę do wielkich okien i spoglądam na ulicę poniżej. Żadnego hałasu, ruchu, nic. Przyglądam się mężczyźnie który mesie jakąś paczkę do taksówki, i kobiecie szarpiącej się z psem na smyczy. Potem wydaję telefon i zaczynam pisać esemesa do Fi. Muszę porozmawiać z nią o tym wszystkim. Zaproszę ją, zwiniemy się na kanapie, a ona opowie mi wreszcie o moim życiu, począwszy od Erica. Nie umiem opanować niecierpliwego uśmiechu, gdy wciskam guziki.

Cześć! Wróciłam do domu, zadzwoń do mnie! Nie mogę się doczekać, kiedy cię zo!!! Pozdro - Lxxxx

Wysłałam tę samą wiadomość do Carolyn i Debs. Potem odkładałam telefon i okręcam się na lśniącej drewnianej podłodze. Usiłowałam zachować twarz przy Ericu, ale teraz gdy wreszcie jestem sama, mogę dać wyraz radości. Nigdy me przypuszczałam, że będę mieszkać w takim niebywałym mieszkaniu, nigdy.

Nagle parskam śmiechem. To jakieś szaleństwo. Ja. W takim miejscu!

Znowu okręcam się na obcasie, zaczynam wirować z wyciągniętymi na boki ramionami, śmiejąc się wariacko. Ja, Lexi Smart, mieszkam w tym nowoczesnym, zdalnie sterowanym pałacu!

Sorry, Lexi Gardiner.

Ta myśl rozśmiesza mnie jeszcze bardziej. Gdy się obu-

dziłam, nawet nie wiedziałam, jak mam na nazwisko. A gdybym tak nazywała się Pratt-Bottom*? Co bym wtedy powiedziała? „Sorry, Ericu, jesteś świetnym facetem, ale za żadne skarby nie mogę...” Brzdęk. Z zamyślenia wyrywa mnie odgłos rozbijanego szkła. Zatrzymuję się z przerażeniem. Niechcący potrąciłam ręką szklaną panterę wyciągniętą do skoku, która stała na półce. Teraz leży na podłodze w dwóch kawałkach.

Już stłukłam cenną ozdobę, a jestem tu dopiero od trzech minut.

Niech to szlag.

Ostrożnie schylam się i dotykam większego kawałka pantery, tego z ogonem. Ma brzydkie ostre krawędzie, a na podłodze leżą jeszcze drobne odłamki szkła. Za nic nie da się tego skleić.

Robi mi się gorąco. Co mam teraz zrobić? A jeśli ten drobiazg był wart tysiąc funtów? A jeśli to rodzinna pamiątka Erica? O czym ja myślałam, kręcąc tu piruety?

Niepewnie biorę do ręki jeden kawałek szkła, a potem drugi. Będę musiała zamieść te odłamki i...

Myśli przerywa mi elektroniczny brzęczyk. Gwałtownie podnoszę głowę. Wielki ekran naprzeciwko rozświetla się na niebiesko i pojawia się na nim wiadomość napisana dużymi literami:

Cześć, Lexi. Jak się masz?

Cholera! On mnie widzi. Obserwuje mnie. Jak w jakimś Big Brotherze!

Przerażona, zrywam się na równe nogi i chowam kawałki szkła pod poduszkę na kanapie.

- Cześć - z bijącym sercem mówię w stronę niebieskiego ekranu. - Nie chciałam tego zniszczyć, to był wypadek...

Cisza. Ekran jest martwy.

- Ericu?-próbuję jeszcze raz.

* ***Pratt (ang.) - paplanina, szczebiot; bottom - tylek (przyp. tłum.).***

Brak odpowiedzi.

Dobra, może jednak mnie nie widzi. Musiał wysłać e-maila z samochodu. Ostrożnie podchodzę do ekranu i widzę zamontowaną na ścianie klawiaturę z małą srebrną myszką, dyskretnie ukrytą z boku.

Klikam na „odpowiedz” i powoli wystukuję: **Świetnie, dzięki!**

Mogłabym to tam zostawić. Mogłabym wymyślić jakiś sposób, żeby skleić panterę... albo ją podmienić... Nie. Bez przesady. Nie mogę zaczynać życia małżeńskiego od oszukiwania męża. Muszę zebrać się na odwagę i przyznać. **Niechący zbiłam szklaną panterę - piszę. - Naprawdę przepraszam, mam nadzieję, że nie jest unikatowa.**

Naciskam „wyślij” i krążę w pobliżu, czekając na odpowiedź; wciąż sobie przy tym powtarzam, że nie powinnam się martwić. Bo nie mam przecież pewności, że to był bezcenny bibelot, prawda? Może wygraliśmy go na loterii? A może należy do mnie i Erie nigdy go nie lubił? Skąd mam wiedzieć? Skąd mam wiedzieć cokolwiek?

Osuwam się na fotel, nagle przybita myślą, że tak mało wiem o własnym życiu. Gdybym przypuszczała, że dostanę amnezji, przynajmniej porobiłabym notatki. Zostawiłabym sobie jakieś wskazówki. „Uważaj na szklaną panterę, jest warta fortunę. PS. Lubisz pająki”.

Z ekranu dochodzi sygnał. Wstrzymuję oddech i unoszę wzrok: **Oczywiście, że nie jest unikatowa! Nie przejmuj się.**

Czuję wielką ulgę. Wszystko w porządku.

Dzięki! - odpisuję z uśmiechem. - **Już niczego więcej nie stłukę, słowo!**

Nie mogę uwierzyć, że tak się zdenerwowałam. Nie mogę uwierzyć, że upchnęłam rozbitą panterę pod poduszką. Co ze mną, mam pięć lat? To mój dom. Jestem mężatką. I muszę się odpowiednio zachowywać. Wciąż uśmiechając się do siebie, unoszę poduszkę, żeby wyjąć kawałki szkła, i zastygam.

Jasna cholera!

To przekłete szkło pocięło przekłętą kremową kanapę. Musiałam nim zahaczyć, gdy wpychałam je pod poduszkę. Puszysta tkanina jest postrzępiona.

Sofa za dziesięć tysięcy funtów.

Odruchowo spoglądam na ekran, a potem szybko umykam wzrokiem, zdjęta strachem. Nie mogę się przyznać, że kanapę też zniszczyłam. To odpada.

Dobra. Zrobię tak... nie powiem mu dzisiaj. Poczekam na odpowiedniejszą chwilę. Zdenerwowana, układam poduszki tak, żeby nie było widać rozcięcia. No. Wygląda jak nowa. Nikt przecież nie zagląda pod poduszki, mam rację?

Chwytam kawałki rozbitej pantery i ruszam do kuchni, wyposażonej w błyszczące szare lakierowane szafki i gumową podłogę. Znajduję papierowe ręczniki, owijam w nie panterę, lokalizuję kosz na śmieci za opływowymi drzwiczkami jednej z szafek i wrzucam do niego szkło. I po kłopotcie. Już nic więcej nie zniszczę. W apartamencie rozlega się brzęczyk i unoszę głowę, pełna nadziei. To musi być Rosalie, moja nowa najlepsza przyjaciółka. Nie mogę się doczekać, żeby ją poznać.

Rosalie okazuje się jeszcze chudsza niż na ślubnym DVD. Ma na sobie czarne spodnie typu capri, różowy kaszmirowy pulower w serek i wielkie okulary przeciwsłoneczne od Chanel, które odsunęła wysoko na swoje blond włosy. Gdy otwieram drzwi, wydaje piskliwy okrzyk i upuszcza papierową torebkę firmową Jo Malone, trzymaną w ręku.

- O mój Boże, Lexi. Twoja biedna twarz!

- To nic takiego! - uspokajam ją. - Powinnaś była mnie zobaczyć sześć dni temu. Miałam na głowie opatrunek.

- Biedactwo. Co za koszmar. - Podnosi torebkę, a potem całuje mnie w oba policzki. - Przyjechałabym wcześniej, ale wiesz, jak długo czekałam na miejsce w Cheriton Spa.

- Wejdz. - Wskazuję kuchnię. - Masz ochotę na kawę?

- Kotku. - Wygląda na zdziwioną. - Nie piję kawy. Doktor André mi zabronił. Wiesz przecież.

- A tak. - Milknę. - Bo chodzi o to... że nie pamiętam. Mam amnezję.
Rosalie wpatruje się we mnie z uprzejmą nierozumiejącą miną. Czyżby nie wiedziała nic o tym? Erie jej nie powiedział?
- Nie pamiętam nic z ostatnich trzech lat - próbuję od nowa. - Uderzyłam się w głowę i wszystko uleciało mi z pamięci.
- O mój Boże. - Rosalie przykłada rękę do ust. - Erie wspominał o amnezji, mówił, że możesz mnie nie poznać. Myślałam, że żartuje!
- Śmiać mi się chce na widok jej przerażonej miny.
- Nie, nie żartował. Jesteś dla mnie... jak nieznajoma.
- Nieznajoma? - W jej głosie brzmi uraza.
- Erie też był nieznajomy - dodaję pospiesznie. - Odzyskałam przytomność i nie wiedziałam, kim jest. Właściwie wciąż go nie znam. Zapada krótka cisza, podczas której Rosalie trawi te informacje. Oczy jej się rozszerzają; wydyma policzki i przygryza wargę.
- O mój Boże - mówi w końcu. - Koszmar.
- Nie znam tego domu. - Rozkłada szeroko ręce, wskazując otoczenie. - Nie poznaję go. Nie wiem, jak wygląda moje życie. Mogłabyś mi pomóc... opowiedzieć o różnych sprawach...
- Jasne! Usiądźmy. - Kieruje się do kuchni. Rzuciła torebkę Jo Malone na bufet i siada przy modnym stalowym stole śniadaniowym, a ja idę jej śladem, zastanawiając się, czy to ja wybrałam ten stół, czy Erie, czy może zrobiliśmy to wspólnie.
- Unoszę głowę i widzę, że Rosalie mi się przygląda. Uśmiecha się natychmiast, ale najwyraźniej jest przestraszona.
- Wiem - mówię. - To dziwna sytuacja.
- I tak już zostanie ci na zawsze?
- Pamięć może mi wrócić, ale nikt nie wie, czy na pewno. Ani kiedy i w jakim stopniu.

- A poza tym nic ci nie jest?
- Czuję się dobrze, tylko jedną rękę mam trochę niesprawną. - Unoszę lewą dłoń, żeby jej pokazać. - Muszę ćwiczyć. - Zginam rękę, jak nauczył mnie fizykoterapeuta, a Rosalie obserwuje to z pełnym fascynacji przerażeniem.
- Koszmar - szepcze.
- Ale największy problem polega na tym, że nie pamiętam nic z mojego życia od dwa tysiące czwartego roku. Mam w głowie jedną wielką czarną dziurę. Lekarze mówią, że powinnam rozmawiać z przyjaciółmi i starać się odtworzyć obraz, a wtedy może pamięć zacznie działać.
- Oczywiście. - Rosalie kiwa głową. - Wszystko ci opowiem. Co chcesz wiedzieć? - Pochyliła się ku mnie wyczekująco.
- Cóż... - Zastanawiam się przez chwilę. - Jak się poznałyśmy?
- To było ze dwa i pół roku temu. - Kiwa stanowczo głową. - Byłam na przyjęciu i Erie powiedział: „To jest Lexi”. A ja odpowiedziałam: „Cześć!”. I tak się poznałyśmy. - Uśmiecha się promiennie.
- Aha. - Wzruszam przepraszająco ramionami. - Nie pamiętam.
- Byłyśmy u Trudy Swinson. No wiesz, u tej, która kiedyś była stewardesą, ale podczas lotu do Nowego Jorku poznała Adriana. Wszyscy mówią, że go namierzyła, gdy tylko zobaczyła tego jego czarnego amexa... - Urywa, jakby po raz pierwszy uderzyła ją potworność mojej sytuacji. - Nie pamiętasz żadnych plotek?
- No... nie.
- O mój Boże. - Gwałtownie wypuszcza powietrze z płuc. - Dużo będę musiała ci opowiedzieć. Od czego zacząć? Dobra, więc może ode mnie. - Wyjmuje z torebki długopis i zaczyna pisać. - I od mojego męża Clive'a, i tej suki, jego byłej, Daviny. Poczekaj, aż usłyszysz o niej. No i jest Jenna i Petey...

- Spotykamy się czasami z moimi dawnymi przyjaciółkami? - przerywam jej. - Na przykład z Fi i Carolyn? Albo z Debs? Znasz je w ogóle?

- Carolyn... Carolyn... - Rosalie stuka długopisem o zęby, marszcząc brwi z namysłem. - Czy to ta przemiła Francuzka z siłowni?

- Nie, Carolyn to moja koleżanka z pracy. I Fi też. Musiałam o nich wspominać. Przyjaźnię się z Fi od zawsze... W piątki wieczorem wychodziłyśmy razem na miasto...

Rosalie wygląda, jakby miała kompletną pustkę w głowie.

- Kotku, szczerze mówiąc, nie słyszałam, żebyś kiedykolwiek o nich wspominała. Z tego, co wiem, nie zadajesz się z nikim z pracy.

- Co? - Patrzę na nią. - Właśnie że tak! Chodzimy do klubów, odstawiamy się i umawiamy na koktajle... Rosalie się śmieje.

- Lexi, w życiu nie widziałam, żebyś piła koktajl! Ty i Erie pijecie wino. Wino? To nie może być prawda. Jedyne, co wiem o winie, to to, że kupuje się je w Oddbins.

- Wyglądasz na zdezorientowaną - mówi Rosalie z niepokojem. - Zarzuciłam cię informacjami. Zapomnij o plotkach. - Odsuwa od siebie kartkę, na której, jak widzę, spisała listę nazwisk z określeniami typu „suka” albo „słodka”. - Co chciałabyś robić?

- Może to, co zwykle robimy, gdy się spotykamy?

- Oczywiście! - Rosalie zastanawia się przez chwilę i jej czoło się rozpogadza. - Powinnyśmy pójść na siłownię.

- Na siłownię - powtarzam, starając się, by w moim głosie zabrzmiał entuzjazm. - Jasne. Więc... często chodzę na siłownię?

- Kotku, jesteś od niej uzależniona! Co drugi dzień biegasz przez godzinę od szóstej rano. Od szóstej rano? Biegam?

Nigdy nie biegałam. To męczące i cycki ci podskakują.

Kiedys z Fi i Carolyn brałam udział w biegu masowym na dystansie półtora kilometra i o mało nie wyzionęłam ducha. Chociaż i tak byłam lepsza od Fi, która poddała się po dwóch minutach i przeszła resztę drogi, paląc papierosa, a potem pokłóciła się z organizatorami i wykluczono ją z wszelkich przyszłych zbiórek pieniędzy na rzecz badań nad rakiem.

- Nie martw się, zajmiemy się dziś czymś przyjemnym i relaksującym - zapowiada Rosalie uspokajająco. - Masaż albo łagodne rozciąganie ciała. Bierz ciuchy do ćwiczeń i idziemy!

- Dobra! - Milknę na moment. - To trochę krepujące... ale nie wiem, gdzie mam stroje do ćwiczeń. Szafy w sypialni pękają od garniturów Erica. Nie mogę jednak znaleźć nic z moich rzeczy.

Rosalie wygląda na wstrząśniętą.

- Nie wiesz, gdzie są twoje ubrania? - Do jej wielkich niebieskich oczu nagle napływają łzy i zaczyna się wachlować. - Przepraszam. - Przełyka ślinę. - Ale właśnie dotarło do mnie, jakie to musi być dla ciebie przerażające. Zapomnieć o własnej garderobie. - Wciąga głęboko powietrze, żeby odzyskać panowanie nad sobą, a potem ściska mnie za rękę. - Chodź ze mną, kotku. Wszystko ci pokażę. W porządku. Nie mogłam znaleźć swoich ciuchów, dlatego że nie ma ich w szafie. Wiszą w oddzielnym pokoju, za ukrytymi drzwiami, które wyglądają jak lustro. A potrzebowałam całego oddzielnego pokoju, bo jest ich cholernie dużo.

Gdy patrzę na wieszaki, mam wrażenie, że zaraz zemdleję. Nigdy w życiu nie widziałam tylu ubrań poza sklepem. Świeżo wyprasowane białe bluzki, czarne spodnie z eleganckich materiałów, kostiumy w rozmaitych odcieniach, od beżowego po brązoszary. Szyfonowe suknie wieczorowe. Rajstopy zwinięte i poukładane w specjalnej szufladzie. Poskładane jedwabne majtki La Perla, jeszcze z metkami. Nie widzę niczego, co nie wyglądałoby na całkiem nowe i niena-

ganne. Żadnych workowatych džinsów, powyciąganych swetrów, wygodnych piżam.

Przeglądam rząd marynarek; wszystkie wydają się niemal identyczne, tylko guziki mają inne. Nie mogę uwierzyć, że wydałam tyle forsy na żakiety w różnych odcieniach beżu.

- I co o tym sądzisz? - Rosalie przygląda mi się i aż błyszcza jej oczy.

- Niesamowite!

- Ann ma oko. - Kiwa z przekonaniem głową. - Ann, czyli twoja osobista stylistka.

- Mam stylistkę?

- Zajmuje się tylko najważniejszymi kreacjami w sezonie. - Rosalie wyjmuję ciemnoniebieską sukienkę na cieniutkich ramiączkach, z drobnym marszczeniem wokół obrąbka. - Patrz, tę sukienkę miałaś na sobie, gdy się poznałyśmy. Pamiętam, że pomyślałam: „Ach, to ta dziewczyna, dla której Erie stracił głowę”. To była sensacja! A powiem ci, Lexi, że mnóstwo dziewczyn przeżyło zawód, gdy się pobraliście... - Sięga po długą czarną suknię wieczorową. - Tę włożyłaś na mój wieczór z powieścią kryminalną. - Przyklada ją do mnie. - Do tego futrzana narzutka i perły... Nie pamiętasz?

- Nie za bardzo.

- A ta Catherine Walker? Musisz ją pamiętać... Albo Roland Mouret... - Rosalie wyciąga sukienkę za sukienką, z których żadna nie wydaje mi się w najmniejszym stopniu znajoma. Dochodzi do jasnego pokrowca na garderobę i zatrzymuje się przy nim, wstrzymując oddech. Powoli, z nabożeństwem, rozsuwa zamek i wyjmuję białą jedwabną obcisłą suknię, którą widziałam na ślubnym DVD. - Nie przypomina ci się to wszystko?

Gapię się na suknię, usiłując zmusić pamięć do wysiłku... ale nic z tego.

- O mój Boże. - Rosalie zasłania sobie ręką usta. - Ty i Erie powinniście odnowić przysięgę!

Zorganizuję to dla cie-

100

bie! Jako motyw przewodni wybralibyśmy dawną Japonię, mogłabyś wystąpić w kimonie...

- Może! - Przerywam jej. - Za wcześnie na to. To znaczy... przemyślę to...

- Uhm. - Rosalie wygląda na rozczarowaną, gdy z powrotem pakuje suknię ślubną. Ale zaraz jej twarz się rozjaśnia. - Włóż buty. Buty na pewno sobie przypominisz.

Przechodzi na drugą stronę pokoju i otwiera drzwi szafy. Patrzę z niedowierzaniem. Nigdy nie widziałam tylu butów naraz. Wszystkie są starannie poustawiane w rzędkach, większość ma wysokie obcasy. Jak ja chodzę na tych obcasach?

- Niewiarygodne. - Odwracam się do Rosalie. - Nie potrafię chodzić na obcasach. Bóg wie, po co ich tyle nakupowałam.

- Owszem, potrafisz. - Rosalie wygląda na zdziwioną. - Jasna sprawa.

- Nie. - Kręcę głową. - Nigdy nie byłam w stanie chodzić na wysokich obcasach. Przewracam się, wykręcam sobie nogi w kostkach, wyglądam kretyńsko.

- Kotku. - Rosalie robi wielkie oczy. - Ty urodziłaś się na obcasach. Te miałaś na nogach, gdy ostatnio umówiłyśmy się na lunch. - Wyciąga parę czarnych czółenek na dziesięć-ciocentymetrowych szpilkach obciążniętych skórą. Z rodzaju tych, na które w sklepie nawet bym nie spojrzała.

Podeszwy są lekko starte. W środku ledwo widać metkę. Ktoś chodził w tych butach. Ja?

- Włóż je! - nalega Rosalie.

Ostrożnie zsuwam mokasyny i wkładam stopy w wysokie czółenka. Prawie od razu tracę równowagę i przytrzymuję się Rosalie.

- Widzisz? Zaraz się wywalę.

- Lexi, potrafisz w tym chodzić - oświadcza stanowczo Rosalie. - Widziałam.

- Nie potrafię. - Chcę zdjąć buty, ale Rosalie chwyta mnie za rękę.
- Nie! Nie poddawaj się, kotku. Masz to w sobie, wiem, że tak! Musisz... tylko się odblokować!
Robię kolejny krok, ale nogi wyginają mi się w kostkach jak plastelina.
- Nic z tego. - Prycham ze złością. - To nie dla mnie.
- Ależ tak. Spróbuj jeszcze raz! Wczuj się! - Rosalie mówi tak, jakby przygotowywała mnie na olimpiadę. - Możesz to zrobić, Lexi.
Kuśtykam na drugą stronę pokoju i chwytam się zasłony.
- Nigdy tego nie opanuję - mówię z rozpaczą.
- Oczywiście, że opanujesz. Tylko o tym nie myśl. Skup się na czymś innym. Już wiem! Zaśpiewamy piosenkę! „Land of hope nad glor-eee...”. No dalej, Lexi, śpiewaj ze mną!
Niechętnie przyłączam się. Mam nadzieję, że Erie nie ma tu telewizji przemysłowej i nie śledzi nas w tej chwili jakaś kamera.
- A teraz idź! - Rosalie popycha mnie lekko. - Ruszaj!
- „Land of hope and glor-eee...” - Próbując się skupić na tekście pieśni, robię krok naprzód. Potem następny. A potem następny.
O mój Boże. Sukces. Chodzę na wysokich obcasach!
- Widzisz? - pieje Rosalie triumfalnie. - Mówiłam ci! Jesteś stworzona do wysokich obcasów.
Dochodzę do przeciwległej ściany, obracam się pewnie i wracam z radosnym uśmiechem na twarzy.
Czuję się jak modelka!
- Udało mi się! To łatwe!
- Hura! - Rosalie unosi rękę i przybijamy piątkę. Otwiera szufladę, wyjmuje jakieś sportowe ciuchy i wpycha je do wielkiej torby - No to idziemy.

Jedziemy do siłowni samochodem Rosalie. To wypasiony range rover z numerem rejestracyjnym ROS 1 i designerskimi torbami z papieru, które walają się na tylnym siedzeniu.

- Więc czym się zajmujesz? - pytam, gdy wciska się między dwa pasy ruchu.

- Głównie działalnością społeczną. - Kiwa głową z przejęciem.

- O rany. - Jest mi trochę wstyd. Rosalie nie zrobiła na mnie wrażenia osoby prowadzącej działalność społeczną, co tylko pokazuje, że muszę być do niej uprzedzona. - Jaka?

- Planowanie imprez przede wszystkim.

- Na jakiś konkretny cel?

- Nie, przeważnie dla znajomych. No wiesz, gdy potrzebują kogoś do pomocy przy kwiatkach, upominkach na przyjęcia i tak dalej. - Rosalie uśmiecha się ujmująco do kierowcy ciężarówki. -

Proszę, wpuść mnie, panie kierowco... Dziękuję! - Zjeżdża na sąsiedni pas i posyła kierowcy całusa.

- Załatwiam też rozmaite rzeczy dla firmy - dodaje. - Erie jest taki kochany, zawsze angażuje mnie do organizacji lunchów, tego rodzaju spraw. - O cholera, roboty drogowe! - Wjeżdża w obszar trąbiących wściekle kierowców i podkręca dźwięk w radiu.

- Więc lubisz Erica? - Staram się, żeby zabrzmiało to niedbale, ale umieram z pragnienia, aby usłyszeć, co ona o nim sądzi.

- Och, jest idealnym mężem. Absolutnie idealnym. - Zatrzymuje się przed przejściem dla pieszych. - Mój to potwór.

- Naprawdę? - Patrzę na nią.

- Ale pamiętaj, że ja też jestem potworem. - Zwraca ku mnie twarz, w jej oczach maluje się powaga. - Jesteśmy nieprzewidywalni. To związek oparty na miłości i nienawiści. No, jesteśmy na miejscu! - Skręca i zjeżdża na mały parking, zatrzymuje się obok porsche i gasi silnik.

- Słuchaj, tylko się nie przejmuj - mówi, prowadząc mnie

w kierunku dwuskrzydłowych szklanych drzwi. - Wiem, że to będzie dla ciebie trudne, więc ja wszystko załatwię... Cześć! - Kieruje się do recepcji z brązową skórzaną kanapą dla gości i instalacją z wodą i kamykami.

- Witam panie. - Recepcjonistka robi przejętą minę, gdy mnie widzi. - Lexi! Biedactwo! Słyszeliśmy o tym wypadku. Wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest, dziękuję. - Zdobywam się na uśmiech. -Wielkie dzięki za kwiaty.

- Biedna Lexi ma amnezję - mówi Rosalie z naciskiem. -Nie pamięta tego miejsca. W ogóle nic nie pamięta. - Omiata wzrokiem otoczenie, jakby chciała zilustrować to, co mówi. -Na przykład nie pamięta tych drzwi... ani tej rośliny. - Wskazuje wielką pierzastą paproć.

- Wielkie nieba!

- No właśnie. - Rosalie poważnie kiwa głową. - To dla niej koszmar. - Odwraca się do mnie. - Coś sobie przypominasz, Lexi?

- Eee... jakoś nie.

Wszyscy w recepcji wpatrują się we mnie z ciekawością. Czuję się, jakbym należała do cyrku cudaków.

- No, chodź! - Rosalie stanowczo ujmuje mnie pod rękę. -Przebierzemy się. Może wróci ci pamięć, gdy włożysz ciuchy do ćwiczeń.

. Bardziej wytwornych przebieralni nie widziałam. Wszędzie polerowane drewno, prysznic z mozaikami i łagodna muzyka sącząca się z głośników. Znikam w kabinie i wyjmuję legginsy. Potem wciągam trykot.

Ku swojemu przerażeniu uświadamiam sobie, że legginsy mają stringi. Mój tyłek będzie w nich wyglądał jak szafa. Nie mogę się w tym pokazać.

Ale nie mam nic innego. Niechętnie wychylam nos zza drzwi kabiny, zakrywając ręką oczy. To może być naprawdę przykre. Liczę do pięciu i z obawą zerkam przez palce do lustra.

Właściwie nie wyglądam źle. Opuszczam ręce i patrzę na siebie. Jestem wysoka i szczupła, i... w ogóle inna. Na próbę zginam ramię, i wyskakuje biceps, którego wcześniej nie widziałam. Gapię się na niego ze zdziwieniem.

- No! - Rosalie wpada na mnie, przebrana w legginsy i krótki top. - Tędy. - Prowadzi mnie do przestronnej sali, w której na matach do jogi siedzą już szeregi zadbanych kobiet.

- Przepraszamy za spóźnienie - mówi z powagą, rozglądając się po sali. - Ale Lexi ma amnezję. Nic nie pamięta. Żadnej z was.

Mam wrażenie, że Rosalie całkiem dobrze się bawi.

- Cześć. - Macham nieśmiało do wszystkich.

- Słyszałam o twoim wypadku, Lexi. - Podchodzi instruktorka ze współczującym uśmiechem. To smukła kobieta o krótko obciętych blond włosach, na uszach ma słuchawki. - Nie przemęczaj się dzisiaj. Usiądź, gdzie chcesz. Zaczynamy od ćwiczeń na macie...

- W porządku. Dzięki.

- Próbujemy przywrócić jej pamięć - włącza się Rosalie. - Więc zachowujcie się normalnie.

Gdy wszystkie podnoszą ręce, nerwowo biorę matę i siadam na niej. Gimnastyka nigdy nie była moją mocną stroną. Chyba po prostu będę robić to, co reszta, najlepiej jak umiem. Wyciągam przed siebie nogi i sięgam rękami do palców stóp, chociaż nie ma takiej możliwości, żebym kiedykolwiek...

Jasna cholera. Dotykam palców. Właściwie... Jestem w stanie położyć głowę na kolanach. Co się ze mną porobiło?

Z niedowierzaniem wykonuję następne ćwiczenie, i idzie mi bez problemu! Jestem giętka! Moje ciało przybiera każdą pozycję, jakby pamiętało dokładnie wszystko, w przeciwieństwie do mnie.

- A teraz, dla tych, które są w stanie to wykonać - mówi instruktorka - jedna z bardziej zaawansowanych pozycji tanecznych...

Ostrożnie zaczynam przyciągać kostkę i... nie ma oporu! Unoszę nogę nad głowę! Mam ochotę wykrzyknąć: „Patrzcie na mnie!”.

- Nie szarżuj, Lexi. - Instruktorka wydaje się przerażona. - Może odpocznij trochę. W tym tygodniu darujesz sobie szpagat.

Nie ma mowy. Potrafię zrobić szpagat?

Później, w szatni, jestem wprost upojona. Siedzę przed lustrem, susząc włosy i patrząc, jak z wilgotnych mysioszarych przekształcają się w błyszczący kasztan.

- Nie mogę w to uwierzyć - bez przerwy powtarzam Rosalie. - Zawsze byłam niezdara na gimnastyce!

- Kotku, przychodzi ci to zupełnie naturalnie! - Rosalie rozsmarowuje balsam po ciele. - Jesteś najlepsza z całej grupy.

Wyłączam suszarkę, przeczesuję palcami suche już włosy i przyglądam się swojemu odbiciu. Po raz setny moją uwagę przyciągają lśniące białe zęby i pełne różowe usta. W 2004 tak nie wyglądały, wiem to.

- Rosalie. - Przyciszam głos. - Mogę ci zadać... osobiste pytanie?

- Jasna sprawa - odpowiada szeptem.

- Czy ja coś sobie poprawiałam? Na twarzy? Wstrzykiwałam na przykład botoks? Albo... - Mówię jeszcze ciszej, ledwie mogąc uwierzyć, że wypowiadam te słowa - może zrobiłam sobie operację plastyczną?

- Kotku... - Rosalie sprawia wrażenie zgorzzonej. - Ciii! -Przykłada palec do ust.

- Ale...

- Ciii! Oczywiście, że nic takiego nie robiłyśmy! Wszystko mamy totalnie, stuprocentowo naturalne. - Puszcza do mnie oko.

Co to ma znaczyć?

- Rosalie, musisz mi powiedzieć, co sobie poprawiałam... -

Nagle urywam, bo rozprasza mnie własne odbicie w lustrze. Bezwiednie biorę spinki ze stojącej przede mną misy i automatycznie zgarniam włosy. W ciągu jakichś trzydziestu sekund upinam idealny kok.

Jak, u licha, udało mi się to zrobić?!

Gdy oglądam swoje dłonie, czuję, że narasta we mnie lekka histeria. Co jeszcze umiem zrobić?

Rozbroić bombę? Zabić kogoś jednym ciosem?

- O co chodzi? - Rosalie zauważa moje spojrzenie.

- Tak po prostu upięłam włosy. - Wskazuję na swoje odbicie w lustrze. - Popatrz. To niewiarygodne.

Nigdy wcześniej tego nie robiłam.

- Ależ tak. - Wygląda na zaskoczoną. - Codziennie tak czesziesz się do pracy.

- Nie pamiętam tego. To tak jakby... w moje ciało wstąpiła jakaś superwoman czy coś. Umiem chodzić na wysokich obcasach, umiem upinać włosy, umiem zrobić szpagat... Jestem j akąś nadkobietą! To nie j a. - Kotku, to jesteś ty. - Rosalie ściska mnie za ramię. -Lepiej przyzwyczaj się do tego!

Jemy lunch w barze z sokami i gawędzimy z kilkoma dziewczynami, najwyraźniej moimi znajomymi, a potem Rosalie odwozi mnie do domu. Gdy jedziemy windą na górę, nagle czuję się wyczerpana.

- Co teraz? - pyta Rosalie, kiedy wchodzimy do mieszkania. - Chcesz obejrzeć swoje inne ciuchy?

Może kostiumy kąpielowe!

- Właściwie czuję się wykończona - odpowiadam przepraszająco. - Nie obrazisz się, jeśli trochę odpocznę?

- Jasna sprawa, że nie! - Poklepuje mnie po ramieniu. -Poczekam tu na ciebie, upewnię się, że wszystko w porządku.

- Nie bądź głupia. - Uśmiecham się. - Nic mi się nie stanie do powrotu Erica, naprawdę. I... dzięki, Rosalie. Byłaś bardzo miła.

- Kochana dziewczyna. - Ściska mnie i bierze torebkę. -Zadzwoń. Uważaj na siebie! - Jest już w połowie drogi do drzwi, gdy przychodzi mi do głowy pewna myśl.

- Rosalie! - wołam za nią. - Co mam zrobić Ericowi na kolację?

Odwraca się i patrzy na mnie nierozumiejącym wzrokiem. Zdaje się, że to dziwne pytanie, nie wiem dlaczego.

- Pomyślałam, że może wiesz, co on najbardziej lubi. -Śmieję się niezręcznie.

- Kotku... - Rosalie mruga powiekami. - Kotku, ty nie gotujesz kolacji. Robi to Gianna. Wasza gospodyni. Jest teraz na zakupach, a gdy wróci, przygotuje kolację, pościeli łóżka...

- Racja. Oczywiście. - Kiwam głową, pospiesznie usiłując przybrać taką minę, jakbym to wiedziała od początku.

Do cholery. To naprawdę zupełnie inne życie. Nigdy wcześniej nie zatrudniałam nawet sprzątaczkę, a teraz gospodyni! Jak w pięciogwiazdkowym hotelu.

- Cóż, to chyba położę się do łóżka - mówię. - Pa! Rosalie cmoka mnie w policzki i zamyka za sobą drzwi,

a ja idę do sypialni, urządzonej na kremowo, z meblami z eleganckiego ciemnego drewna, z wielkim łóżkiem, obitym zamszem. Erie nalegał, żebym zajęła główną sypialnię, to bardzo szlachetne z jego strony. To znaczy tamta zapasowa jest też całkiem okazała, Erie ma tam własne jacuzzi, więc nie powinien się skarżyć.

Zrzucam buty z nóg, wsuwam się pod kołdrę i czuję, że od razu się odprężam. To najwygodniejsze łóżko, w jakim kiedykolwiek spałam, w całym moim życiu. Moszczę sobie miejsce, rozkoszując się gładką pościelą i idealnie miękkimi poduszkami. Mmm, fajnie. Zamykam oczy i ucinam sobie drzemkę...

Budzi mnie przytłumione światło i brzęk naczyń.

- Kochanie? - dochodzi głos zza drzwi. - Nie śpisz już?

- Och. - Siadam nieprzytomna i przecieram oczy. - Eee... cześć.

Drzwi się otwierają i wchodzi Erie, niosąc tacę i reklamówkę.

- Długo spałaś. Przyniosłem ci kolację. - Podchodzi do łóżka, stawia tacę i zapala lampkę. - Tajska zupa z kurczaka.

- Uwielbiam tajska zupę z kurczaka! - mówię z zachwytem. - Dzięki!

Erie uśmiecha się i podaje mi łyżkę.

- Rosalie mówiła mi, że pojechałyście obie na siłownię.

- Tak. Było super. - Biorę do ust łyżkę zupy, która okazuje się przepyszna. - Boże, już konałam z głodu. Nie mógłbyś mi jeszcze przynieść kawałka chleba? - Unoszę głowę. - Żeby wytrzeć miskę do czysta?

- Chleba? - Erie marszczy czoło ze zdziwioną miną. - Kochanie, nie mamy w domu chleba. Żadne z nas nie je węglowodanów.

Słusznie. Zapomniałam o tej całej sprawie z węglowodanami.

- Nie szkodzi! - Uśmiecham się do niego i zjadam następną łyżkę zupy. Mogę się obejść bez węglowodanów. Żaden problem.

- Co przypomina mi, że mam dla ciebie mały upominek - mówi Erie. - A właściwie nawet dwa. To pierwszy... Sięga do reklamówki i wyjmuje laminowaną książkę z metalowym zamknięciem, którą wręcza mi zamaszystym gestem. Na okładce widnieje kolorowe zdjęcie przedstawiające mnie i Erica w strojach ślubnych, a tytuł głosi:

Erie i Lexi Gardiner; niezbędnik małżeński.

- Pamiętasz, że lekarz radził nam, abyśmy spisywali wszystkie szczegóły naszego życia małżeńskiego? - Erie sprawia wrażenie bardzo dumnego. - Więc zrobiłem dla ciebie taki niezbędnik. Gdybyś miała jakieś pytania dotyczące naszego małżeństwa i wspólnego życia, odpowiedź znajdziesz tutaj.

101

Odwracam pierwszą kartkę - i widzę frontysepis: *Erie i Lexi*

Lepsze małżeństwo na rzecz lepszego świata.

- Mamy jakąś misję? - Jestem zaszokowana.

- Właśnie to wymyśliłem. - Erie skromnie wzrusza ramionami. -1 co o tym sądzisz?

- Fantastyczne! - Przeglądam książkę. - Na zadrukowanych stronach pojawiają się nagłówki, zdjęcia i nawet jakieś ręcznie wyrysowane diagramy. Widzę rozdziały poświęcone wakacjom, rodzinie, praniu, weekendom...

- Ułożyłem hasła w porządku alfabetycznym - informuje Erie. - I zamieściłem indeks. Powinnaś łatwo się w tym poruszać. Zerkam do indeksu i rzucam okiem na hasła.

Języki - s. 24

Pomidory - ss. 2, 23

Szczypce - patrz: barbeeue.

Języki? Natychmiast zacznym szukać strony 24.

- Daj spokój, nie czytaj tego teraz. - Erie delikatnie zamyka niezbędnik. - Musisz coś zjeść i odpocząć. Później zerknę do "Języków", kiedy Erie sobie pójdzie. Kończę zupę i odchylam się na poduszki z westchnieniem zadowolenia.

- Dziękuję ci bardzo, Ericu. To było pyszne.

. - Żaden kłopot, kochanie. - Zabiera tacę i odstawia ją na toaletkę. Wtedy zauważa moje huty, które leżą na podłodze. -Lexi. - Posyła mi uśmiech. - Buty zostawiamy w garderobie.

- Och - mówię. - Przepraszam.

- Nie ma sprawy. Musisz się jeszcze dużo nauczyć. -Znowu zbliża się do łóżka i wsuwa rękę do kieszeni. - A to mój drugi upominek... - Wyjmuje pudełeczko na biżuterię, całe ze skóry.

Gdy na nie patrzę, czuję pełne niedowierzania podniecenie. Mąż daje mi prezent w bajeranckim pudełku na biżuterię.

- Chciałbym ci dać coś, co zapamiętasz jako prezent ode mnie - mówi ze smutnym uśmiechem i ruchem głowy wskazuje pudełeczko. - Otwórz je.

Odchylam wieczko i widzę w środku brylant na złotym łańcuszku.

- Podoba ci się?

- Jest... niesamowity! - udaje mi się wydusić. - Śliczny! Bardzo ci dziękuję!

Erie wyciąga rękę i głaszcze mnie po włosach.

- Cieszę się, że wróciłaś do domu, Lexi.

- I ja się cieszę - odpowiadam z zapalem.

Co nie jest całkiem zgodne z prawdą. Nie mogę uczciwie powiedzieć, że czuję się tu jak w domu. Ale mam wrażenie, jakbym była w pięciogwiazdkowym hotelu, a to nawet lepiej. Wyjmuję brylant i patrzę na niego z przejęciem. Erie tymczasem z czułą miną bawi się kosmykiem moich włosów.

- Ericu... - zaczynam trochę nieśmiało. - Kiedy się poznaliśmy, co we mnie zobaczyłeś? Dlaczego się zakochałeś? Na jego twarzy pojawia się nostalgiczny uśmiech.

- Zakochałem się w tobie, Lexi - mówi - bo jesteś dynamiczna. Dobrze zorganizowana, spragniona sukcesu, tak jak ja. Ludzie mówią, że jesteśmy trudni, ale to nie tak. Jesteśmy po prostu porażająco kompetentni.

- Racja - mówię po krótkiej chwili.

Szczerze mówiąc, nigdy nie myślałam o sobie jako o kimś porażająco kompetentnym. Ale może w 2007 roku taka jestem.

- I zakochałem się w twoich pięknych ustach. - Przesuwa delikatnie palcem po mojej górnej wardze. - I w twoich długich nogach. I w geście, jakim machasz aktówką. Nazwał mnie piękną.

Słucham jak urzeczona. Pragnę, żeby kontynuował te komplementy. Nikt nigdy nie mówił do mnie w ten sposób. - A teraz zostawię cię. - Całuje mnie w czoło i bierze tacę. - Śpij dobrze. Do zobaczenia rano.

103

- Do zobaczenia - mruczę. - Dobranoc, Ericu. Dziękuję ci!

Zamyka drzwi i zostaje sama z wisiorciem, niezbędnikiem małżeńskim i przepełniającą mnie euforią. Mam bajecznego męża. Nie, więcej niż bajecznego. Przyniósł mi tajską zupę z kurczaka, podarował brylant i zakochał się w tym, jak macham aktówką.

W poprzednim życiu musiałam być Ghandim.

8

Czyszczenie zębów nicią dentystyczną - s. 19 Jedzenie, patrz też: codzienne posiłki, kuchnia; jedzenie na mieście - s. 20

Gra wstępna - s. 21.

No, nie! Uwzględnił hasło „gra wstępna”?

Kartkuję niezbędnik od samego rana, od chwili, gdy się obudziłam. Jest totalnie, nieodparcie fascynujący. Czuję się tak, jakbym robiła wywiad na temat samej siebie i swojego życia. Nie wspominając już Erica. Wiem wszystko, począwszy od tego, gdzie kupuje spinki do mankietów, aż po jego opinię o rządzie i comiesięczne badania moszny na ewentualność guza. (To przekracza moje oczekiwania. Naprawdę musiał wspominać o mosznie?).

Przyszła pora na śniadanie, i siedzimy oboje w kuchni. Eric czyta „Financial Timesa”, a ja zaglądam do indeksu, żeby sprawdzić, co zazwyczaj jadam. Ale „gra wstępna” wydaje się znacznie bardziej interesująca niż „jedzenie”. Ukradkiem zaglądam na stronę 21.

O mój Boże. Poważnie, napisał trzy akapity o grze wstępnej! Pod „trybem zwyczajowym” widnieją: „muskanie”, „miarowe ruchy”, „zwykle zgodnie z ruchem wskazówek zegara”, „delikatna stymulacja wewnętrznej strony ud”...

112

Prycham kawą i Erie unosi głowę.

- Wszystko w porządku, kochanie? - Uśmiecha się. - I co, niezbędnik się przydaje? Znajdujesz wszystko, co ci potrzeba?

- O tak! - Pospiesznie przerzucam kartki, żeby znaleźć się na innej stronie, czując się jak dziecko przyłapano na czytaniu świńskich haseł w słowniku. - Właśnie szukałam informacji o tym, co jadłam na śniadanie.

- Gianna zostawiła ci w piekarniku trochę jajecznicy i bekon - wyjaśnia Erie. - Pijesz zwykle ten zielony sok. - Wskazuje stojący na bufecie kubek z czymś, co wygląda jak mętna woda z bagna. - To napój z witaminami, tłumiący naturalne łaknienie.

Powstrzymuję się od wzdrygnięcia.

- Myślę, że dzisiaj go sobie daruję.

Wyjmuję z piecyka jajecznicę na bekonie i staram się stłumić ochotę na trzy kromki pełnoziarnistego tostu, który zwykle do tego jadam.

- Dziś dostarczą ci nowy samochód. - Erie pociąga łyk kawy. - Na miejsce tamtego, który skasowałeś. Chociaż, jak sądzę, nieprędko zechcesz usiąść znowu za kierownicą.

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam - odpowiadam bezradnie.

- No dobrze, zobaczymy. Na razie zresztą i tak nie możesz prowadzić, dopóki nie zdasz ponownie egzaminu na prawo jazdy. - Ociera usta lnianą serwetką i wstaje. - Jeszcze jedno, Lexi. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym wydać skromną kolację w przyszłym tygodniu, dla kilkorga przyjaciół.

- Kolację? - powtarzam z przestachem. Nigdy nie przepadałam za organizowaniem przyjęć, jeśli nie liczyć imprez przed telewizorem, z jedzeniem makaronu na kanapie i oglądaniem *Willa i Grace*.

- Nie ma się czym przejmować. - Lekko kładzie mi rękę na ramieniu. - Gianna zajmie się cateringiem. Ty tylko mu

sisz zadbać o to, żeby pięknie wyglądać. Ale jeśli nie masz ochoty, zapomnijmy o tym.

- Oczywiście, że mam ochotę! - odpowiadam szybko. - To denerwujące, że wszyscy traktują mnie jak inwalidkę. Czuję się świetnie!

- Dobrze. W takim razie mam jeszcze jedną sprawę. Praca. - Erie wkłada marynarkę. - Oczywiście, nie wrócisz jeszcze do pracy w pełnym wymiarze godzin, ale Simon pytał, czy nie chciałabyś wpaść na chwilę do biura. Simon Johnson - wyjaśnia. - Pamiętasz go?

- Simon Johnson? Dyrektor generalny?

- Uhm. - Erie potwierdza, kiwając głową. - Dzwonił wczoraj wieczorem. Dobrze nam się rozmawiało. Miły gość.

- Nie sądziłam, że on w ogóle o mnie słyszał! - mówię z powątpieniem.

- Lexi, jesteś ważnym członkiem kierownictwa wyższego szczebla - tłumaczy cierpliwie. - Oczywiście, że o tobie słyszał.

- No tak. Oczywiście.

Żuję bekon, starając się wyglądać nonszalancko, ale chce mi się śmiać. Coraz bardziej podoba mi się to moje nowe życie. Należę do kierownictwa wyższego szczebla! Simon Johnson wie, kim jestem!

- Zgodziliśmy się, że byłoby dobrze, gdybyś wpadła - ciągnie Erie. - To mogłoby ci pomóc w odzyskaniu pamięci... i uspokoiłoby pracowników twojego działu.

- Myślę, że to świetny pomysł - mówię z entuzjazmem. - Mogłabym poznać moją nową pracę, zobaczyć się z dziewczynami, pójść z nimi na lunch...

- Twoje obowiązki przejął zastępca - informuje Erie, zaglądając do bloczka, który leży na bufecie. - Byron Foster. Tylko do twojego powrotu.

- Byron jest moim zastępcą? - pytam niedowierzająco. - On był kiedyś moim szefem!

Wszystko do góry nogami. W niczym nie można się po-

łapać. Nie mogę się doczekać, kiedy wpadnę do pracy i zobaczę, co się dzieje.

Erie wystukuje coś na swoim blackberry, potem odkłada go i bierze teczkę.

- Miłego dnia, kochanie.

- Tobie też... eee... kochanie! - Wstaję, gdy odwraca ku mnie twarz, i nagle coś między nami iskrzy.

Erie stoi zaledwie kilka centymetrów ode mnie. Czuję zapach jego wody po goleniu i widzę małe draśnięcie w miejscu, gdzie zaciął się żyletką.

- Nie przeczytałam jeszcze całego niezbędnika. - Nagle czuję się skrepowana. - Czy normalnie... pocałowałabym cię na pożegnanie?

- Normalnie tak, pocałowałabyś. - Erie też jest jakiś usztywniony. - Ale, proszę, nie czuj się...

- Nie! Ja chcę! To znaczy... powinniśmy robić wszystko jak zwykle. - W tym momencie rumienię się.

- Więc pocałuję cię w policzek albo... albo w usta...

- W usta. - Erie odchrząkuje. - Czyli jak zwykle.

- Dobrze. - Kiwam głową. - Więc... - Obejmuję go w pasie, starając się, żeby to wypadło naturalnie. - Tak? Powiedz mi, jeśli robię coś inaczej...

- Chyba tylko jedną ręką - odpowiada Erie po chwili namysłu. -1 trochę wyżej.

- W porządku! - Unoszę rękę na wysokość jego ramienia, a drugą opuszczam, czuję się przy tym jak podczas nauki tańca. Potem, usiłując wytrwać w tej pozycji, odchylam głowę.

Erie ma dziwny bąbelek na końcu języka, zauważam nagle. Dobra, nie będę patrzeć. Skupię się na pocałunku. Erie pochyla się, muska ustami moje wargi i nic... Nie czuję nic.

Miałam nadzieję, że nasz pierwszy pocałunek przywoła różnego rodzaju wspomnienia czy uczucia, może nagle powróci do mnie obraz Paryża albo naszego ślubu, albo pierwszych pieszczot... Ale gdy on odsuwa się ode mnie, czuję

totalną, stuprocentową pustkę. Widzę na twarzy Erica wyczekiwanie i zastanawiam się gorączkowo, co by tu pocieszającego powiedzieć.

- Było cudownie! Bardzo...

Urywam, bo nie mogę znaleźć innego słowa niż „szybko”, co z pewnością nie zabrzmiałoby właściwie.

- Czy coś sobie przypomniałaś? - Przygląda mi się badawczo.

- No... nie - mówię ze skruchą. - Ale to nie znaczy... że nie było naprawdę... bo było... Czuję się nawet podniecona! - wyrywa mi się mimowolnie.

Po co, do diabła, to powiedziałam? Wcale nie czuję się podniecona.

- Naprawdę? - Erie ożywia się i odstawia teczkę. O nie. Nie, nie, nie. Tylko nie to.

Nie mogłabym jeszcze pójść z nim do łóżka. Po pierwsze, przecież go nie znam, no, prawie nie znam.

Po drugie, nie zdążyłam przeczytać, co następuje po delikatnej stymulacji wewnętrznej strony ud.

- Nie aż tak podniecona - poprawiam się pospiesznie. - To znaczy tylko na tyle, żeby się zorientować... zrozumieć... że najwyraźniej mieliśmy świetny... jeśli chodzi o sypialnię... obszar...

Przestań. Już. Mówić. Lexi.

- W każdym razie... - Uśmiecham się tak promiennie, jak tylko potrafię. - Miłego dnia. .

- Tobie też. - Delikatnie muska palcami mój policzek, odwraca się i wychodzi.

Słyszę, że drzwi się zamykają i padam na krzesło. Niewiele brakowało. Biorę niezbędnik małżeński i szybko przechodzę do litery „g”. Muszę doczytać grę wstępną do końca.

Nie mówiąc o „fellatio”, zauważam nagle. I o „częstotliwości” (seksualnej).

Dwie godziny i trzy filiżanki kawy później zamykam niezbędny i odchylam się na oparcie krzesła, a głowa wprost pęka mi od nawału informacji. Przeczytałam wszystko od deski do deski i mam już mniej więcej pełny obraz.

Dowiedziałam się, że często spędzamy z Erikiem weekendy w „luksusowych kameralnych hotelach”. Że lubimy oglądać programy publicystyczne poświęcone biznesowi oraz *Prezydencki poker*. I że różnimy się w ocenie *Brokeback Mountain*. Dowiedziałam się przy okazji, że to film o kowbojach gejach. (Kowboje gejami?).

Dowiedziałam się, że Erie i ja uwielbiamy wino z regionu Bordeaux. Że „z determinacją dążę do celu”, „potrafię się skupić” i „pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby tylko wykonać robotę”. Że „nie trawię głupców”, „pogardzam obibokami” i „doceniam w życiu lepsze rzeczy”. Co jest dla mnie pewną nowością.

Wstaję i podchodzę do okna, trawiąc to wszystko, co przeczytałam. Im więcej dowiaduję się o dwudziestoosmioletniej Lexi, tym bardziej czuję, że jest to osoba zupełnie inna niż ja. Nie tylko wygląda inaczej. Jest inna. Jest szefową. Nosi beżowe kostiumy i bieliznę La Perla. Zna się na winach. Nie jada chleba.

Jest dorosła. Oto jaka jest. Spoglądam do lustra, a z jego tafli odpowiada mi spojrzeniem dwudziestoosmioletka.

Jak, u licha, zamieniłam się w nią?

Pod wpływem impulsu idę do sypialni, a przez nią do garderoby. Gdzieś tu muszą być jakieś wskazówki. Siadam przy eleganckiej minimalistycznej toaletce i przyglądam jej się w skupieniu. No właśnie, zacznijmy chociażby od niej. Moja dawna toaletka pomalowana była na różowo i panował na niej totalny bałagan - szaliki, wisiorki wiszące na lustrze, porozstawiane wszędzie słoiczki i pudełeczka z kosmetykami. Tu natomiast panuje nieskazitelny porządek. Srebrne puzdereczka ustawio-

ne w rządkach, misa, w której leży para kolczyków i ręczne lustro w stylu art deco.

Otwieram pierwszą z brzegu szufladę i znajduję starannie poskładane szaliczki, na stosie których leży błyszcząca płyta DVD, podpisana flamastrem *Ambicja cz.1*. Zaciekawiona, biorę ją do ręki, i nagle dociera do mnie, co to jest. To ten program, o którym mówiła Amy. Czyli ja w telewizji!

O mój Boże, muszę to obejrzeć. Po pierwsze dlatego, że konieczne chcę zobaczyć, jak wyglądałam. A po drugie dlatego, że to kolejny element puzzli. Podczas tego reality show Erie zobaczył mnie po raz pierwszy. Udział w nim dał mi kopa w górę, jeśli chodzi o pracę. Prawdopodobnie nie miałam wtedy pojęcia, jak ważny się okaże.

Biegnę do salonu, gdzie w końcu udaje mi się zlokalizować odtwarzacz DVD, ukryty za przezroczystym panelem, i wkładam do niego płytę. Wkrótce na wszystkich ekranach w mieszkaniu, zamontowanych na ścianach, ukazuje się czołówka programu. Przeskakuję pilotem do przodu, dopóki nie pojawia się moja twarz, i wtedy wciskam „start”.

Jestem przygotowana na to, że z zażenowania skulę się w sobie i zanurkuję pod kanapę. Ale nie wyglądam źle! Zęby mam już wybielone, polakierowane czy co tam, choć usta są znacznie węższe niż teraz. (Musiałam wstrzyknąć sobie kolagen, nie ma wątpliwości). Moje kasztanowe włosy są wymodelowane i związane z tyłu w kucyk. Mam na sobie czarny kostium, niebieskozieloną bluzkę i wyglądam na bizneswoman w każdym calu.

„Muszę odnieść sukces - mówię do swojego rozmówcy, którego nie widać. - Muszę wygrać w tym programie”.

O matko. Wydaję się taka poważna. Nie rozumiem nic z tego. Dlaczego nagle zapragnęłam wygrać w biznesowym reality show?

- Dzień dobry, Lexi!

Przestraszona tym głosem, zrywam się na równe nogi. Wciskam „stop” na pilocie i odwróciwszy się, widzę kobietę

po pięćdziesiątce. Ma ciemne, przyprószone siwizną włosy, związane z tyłu, i fartuch w kwiatki, w ręce trzyma plastikowy kubek ze środkami do czyszczenia. Ma też iPoda, przypiętego klipssem do kieszeni fartucha, a ze słuchawek w uszach dobiegają dźwięki muzyki operowej.

- Wstałaś już! - mówi przenikliwym głosem. - Jak się czujesz? Lepiej dziś? - Jej akcent trudno określić, to jakby cockney z nutą włoskiego.

- Jesteś Gianna? - pytam ostrożnie.

- Matko Boska! - Żegna się znakiem krzyża i całuje opuszki palców. - Erie mnie uprzedzał. Poplątało ci się w głowie, biedna dziewczyno.

- Nic mi nie jest, naprawdę - mówię pospiesznie. - Straciłam pamięć i nie mogę sobie przypomnieć wielu rzeczy, więc muszę poznać na nowo swoje życie.

- Aha, no to jestem Gianna. - Stuka się palcem w pierś.

- Świetnie! Dzięki.

Staję z boku, podczas gdy Gianna mija mnie i zaczyna omiatać pierzastą miotełką szklany blat stolika do kawy, nucąc do muzyki z iPoda.

- Oglądałaś swój występ w programie, co? - Zerka zza moich pleców na wielki ekran.

- Och... no tak. Żeby sobie przypomnieć. - Pospiesznie wyłączam DVD.

Gianna zabrała się tymczasem do polerowania kolekcji zdjęć w ramkach.

Wykręcam sobie palce ze skrępowania. Jak mogę tak stać i przyglądać się, jak inna kobieta sprząta mój dom? Może powinnam zaoferować jej pomoc?

- Co mam ugotować dziś na kolację? - pyta, strzepując poduszki na kanapie.

- Ojej - mówię, patrząc na nią z przerażeniem. - Nic! Naprawdę!

Wiem, że jesteśmy bogaci i w ogóle. Ale nie mogę przecież prosić kogoś, żeby ugotował mi kolację. To nieprzyzwoite.

- Nic? - Zatrzymuje się. - Wychodzicie z domu wieczorem?
- Nie! Ja tylko myślałam... może dziś wieczorem sama coś ugotuję.
- Och, rozumiem - mówi. - Cóż, to już zależy od ciebie. -Z zaciętą miną podnosi poduszkę i przetrzepuje ją z jeszcze większym wigorem. - Mam nadzieję, że smakowała ci wczorajsza zupa - dodaje, nie patrząc na mnie.
- Była pyszna! - zapewniam pospiesznie. - Dzięki! Wspaniały aromat.
- To dobrze - mówi sztywno. - Staralam się. O Boże. Chyba się nie obraziła?
- Daj mi znać, co kupić na tę kolację - ciągnie, odkładając poduszkę. - Jeśli masz ochotę na coś nowego, innego...

Cholera. Jednak jest obrażona.

- Albo... No dobrze. - Ze zdenerwowania mówię ochryplym głosem. - Właściwie... tak sobie myślę... może jednak ugotowałabyś coś prostego? Ale nie zadawaj sobie dużego trudu. Kanapka zupełnie wystarczy.

- Kanapka? - Unosi wzrok i patrzy na mnie z niedowierzaniem. - Na kolację?

- Albo... co ci przyjdzie do głowy! To, co lubisz gotować! - Gdy mówię te słowa, wiem, że brzmią idiotycznie. Wycofuję się, biorę magazyn poświęcony nieruchomościom, który leży na bocznym stoliku, i otwieram go na stronie o urządzeniach wodnych w łazience.

Jak mam się do tego wszystkiego przyzwyczaić? Jak, na miłość boską, stałam się kimś, kto ma gospodynię?

- Aj! Ktoś zniszczył kanapę! - W głosie Gianni nagle pojawia się bardziej włoski akcent niż cockney. Jednym ruchem zdejmuje słuchawki i ze zgrozą pokazuje rozdarcie. -Popatrz! Rozerwana! Jeszcze wczoraj rano była w porządku. - Patrzy na mnie ze strachem. - Mówię ci. Zostawiłam ją w najlepszym stanie, żadnych rozdarć, plam...

Krew uderza mi do głowy.

- To... to moja wina - jąkam się. - Ja to zrobiłam.

- Ty?

- Tak - bełkoce. - To było niechcący. Stukłam tę szklaną panterę i... - Oddycham z trudem. - Zamówię nowe obicie, obiecuję. Ale proszę nic nie mówić Ericowi. On nie wie.

- Nie wie? - Gianna sprawia wrażenie oszołomionej.

- Przykryłam rozdarcie poduszką. - Przełykam ślinę. - Żeby je ukryć.

Gianna z niedowierzaniem patrzy na mnie przez dłuższą chwilę. Odpowiadam błagalnym spojrzeniem, nie mogąc złapać tchu. Potem jej pełna powagi twarz zaczyna drgać i Gianna zanosi się śmiechem. Odkłada poduszkę i klepie mnie po rękę.

- Zasyję to. Drobnutkim ścięgiem. Nawet nie zauważy.

- Naprawdę? - Czuję wielką ulgę. - Och, dzięki Bogu. To byłoby cudownie. Byłabym ci bardzo wdzięczna.

Gianna przygląda mi się z konsternacją, założywszy pełne ramiona na piersi.

- Na pewno nic ci się nie stało podczas tego uderzenia w głowę? - pyta w końcu. - Nie wszczepili ci nowej... osobowości?

- Co takiego? - Śmieję się niepewnie. - Nie sędzę... - Słyszę brzęczyk przy drzwiach. - Och. Zobaczę, kto to. - Pospiesznie ruszam do drzwi frontowych i podnoszę słuchawkę domofonu. - Tak, słucham?

- Halo? - odpowiada gardłowy głos. - Samochód dla państwa Gardiner.

Mój nowy samochód stoi przed budynkiem na miejscu parkingowym, które według słów portiera jest moim prywatnym miejscem. To srebrny mercedes; rozpoznaję markę po znaczku na masce. Kabriolet. Poza tym niewiele więcej potrafię powiedzieć, chyba to tylko, że musiał kosztować majątek.

- Proszę tu podpisać... i tu też... - Facet, który przyprowadził samochód, podsuwa mi blankiet na podkładce.

- Okej. - Gryzmołę we wskazanym miejscu.

- To pani kluczyki... nalepka na szybę potwierdzająca opłacenia podatku... wszystkie dokumenty... Szerokiej drogi, kochanie. - Wyjmuje mi z ręki długopis i wychodzi za bramę, pozostawiając mnie samą z samochodem, plikiem papierów i kompletem błyszczących kluczyków. Przesuwam je między palcami, czując dreszcz podniecenia.

Nigdy nie ekscytowałam się samochodami.

Ależ też nigdy wcześniej nie stałam tak blisko lśniącego nowością mercedesa. Nowiutkiego mercedesa, który należy wyłącznie do mnie.

Tylko zajrzę do środka. Instynktownie wyciągam breloczek z kluczykami i naciskam guzik - a potem podskakuję, gdy samochód wydaje sygnał i błyska światłami.

Cóż. Najwyraźniej robiłam to już. Otwieram drzwi, wsuwam się na fotel kierowcy i wciągam powietrze w nozdrza.

O rany. To jest dopiero samochód. Gówniane renault Da-ve'a Nieudacznika w ogóle nie może się z nim równać. Unosi się w nim wspaniała, odurzająca woń nowej skóry. Fotele są szerokie i wygodne. Deskę rozdzielczą pokrywa lśniące drewno. Ostrożnie kładę dłonie na kierownicy. Mam wrażenie, że ujmują ją całkiem naturalnie, jakby tu było właśnie ich miejsce. Nie mam ochoty ich cofnąć.

Siedzę tak przez dłuższą chwilę, patrząc, jak brama otwiera się i zamyka, gdy wyjeżdża bmw.

Ale przecież... umiem prowadzić. Na jakimś etapie tego nowego życia musiałam zrobić prawo jazdy, nawet jeśli tego nie pamiętam.

To świetny samochód. Grzechem byłoby się nim nie przejechać.

Na próbę wsuwam kluczyk do stacyjki. Pasuje! Przekręcam go, tak jak to robią inni, i silnik warczy protestacyjnie. Cholera. Co zrobiłam nie tak? Przekręcam kluczyk jeszcze raz, teraz ostrożniej, i tym razem nic nie warczy, tylko na desce zapala się kilka lampek.

Co teraz? Spoglądam na kontrolki z nadzieją, że mnie zainspirują, ale nic z tego. Nie mam pojęcia, jak się prowadzi to чудо. Taka jest prawda. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek siedziała za kierownicą. Ale przecież... robiłam to już. To jak chodzenie na wysokich obcasach, umiejętność, której się nie zapomina. Muszę tylko zdać się na intuicję. Jeśli skupię się na czymś innym, to może okaże się, że prowadzę automatycznie.

Stanowczym gestem kładę ręce na kierownicy. Dobra. Pomyśl o czymś innym. La, la, la. Nie myśl o prowadzeniu wozu. Pozwól, żeby twoje ciało przeszło na automatycznego pilota. Może powinnam coś zaśpiewać, poprzednio to zadziałało.

- „Land of hope and glor-eee - zaczynam, fałszując. -Mother of the freee...”

O mój Boże. To działa. Moje ręce i nogi poruszają się w sposób zsynchronizowany. Boję się na nie spojrzeć; wolę nie wiedzieć, co robią. Wiem tylko, że włączyłam silnik i wcisnęłam jeden z pedałów, rozlega się jakiś pomruk... Udało się! Uruchomiłam samochód!

Słyszę warkot silnika, jakby wóz chciał ruszyć w drogę. Dobra, tylko spokojnie. Biorę głęboki oddech, ale gdzieś w zakamarkach duszy umieram ze strachu. Siedzę za kierownicą mercedesa, silnik pracuje, a ja nawet nie wiem, jak to się stało.

Dobra. Weź się w garść, Lexi.

Hamulec. Wiem, co to jest. I dźwignia zmiany biegów. Ostrożnie puszczam sprzęgło - i samochód powoli rusza do przodu.

Czym prędzej naciskam jeden z pedałów, żeby zatrzymać wóz, ale on skacze ze złowróżbnym zgrzytnięciem. Niech to szlag. To nie był przyjemny dźwięk. Unoszę stopę i samochód znowu toczy się do przodu. Nie jestem pewna, czy tego chcę. Próbując zachować spokój, jeszcze raz wciskam pedał, tym razem mocno. Ale teraz wóz się nie zatrzymuje, tylko

nieubłaganie jedzie do przodu. Wciskam pedał ponownie i obroty się zwiększają, jak w samochodzie wyścigowym.

- Cholera! - mówię, niemal bełkocąc ze strachu. - Dobra... tylko się zatrzymaj. Stój! - Szarpie kierownicę, ale to nic nie daje. Nie wiem, jak zapanować nad tym potworem. Powoli toczymy się w stronę drogich samochodów, zaparkowanych naprzeciwko, a ja nie wiem, jak się zatrzymać. W desperacji wciskam jednocześnie dwa pedały, czemu towarzyszy przenikliwy odgłos zarzynanego silnika. O Boże, Boże... Twarz mnie pali; ręce mi się pocą. Nie powinnam była w ogóle wsiadać do samochodu. Jeśli go rozbiję, Erie rozwiedzie się ze mną i nie będę mogła go o to winić.

- Stop! - wołam znowu.

Nagle zauważam ciemnowłosego mężczyznę w dżinsach, który wchodzi przez bramę. Widzi, że toczę się w kierunku sportowych wozów, i jego twarz wykrzywia przerażenie.

- Stój! - wrzeszczy. Słyszę jego głos, choć tłumią go szyby.

- Nie umiem! - odkrzykuję rozpaczliwie.

- Skręć! - Naśladuje skręt kierownicy.

Kierownica. Jasne. Jestem kretynką. Kręcę w prawo, prawie wyłamując sobie ramiona w stawach, i udaje mi się zmienić kierunek jazdy. Tylko że teraz zmierzam prosto w stronę muru z cegieł.

- Hamuj! - Facet biegnie obok mnie. - Hamuj, Lexi!

- Aleja nie...

- Hamuj, na miłość boską! - krzyczy.

Hamulec ręczny, przypominam sobie nagle. Szybko. Zaciągam go obiema rękami i samochód zatrzymuje się z gwałtownym szarpnięciem. Silnik wciąż jest na chodzie, ale przynajmniej wóz stoi w miejscu. I w nic nie walnęłam.

Oddycham szybko i chrapliwie; ręce wciąż mam zaciśnięte na hamulcu ręcznym. Nigdy już nie usiądę za kierownicą. Przenigdy.

- Nic ci nie jest? - Facet staje obok mojego okna. Po chwili udaje mi się zdjąć jedną rękę z hamulca. Dżgam na oślep wszystkie przyciski w samochodzie, aż wreszcie szyba opada. - Co się stało?

- Nic... Wpadłam w panikę. Właściwie nie umiem prowadzić. Myślałam, że pamiętam, jak to się robi. Przeraziłam się... - Nagle czuję, że ni stąd, ni zowąd po policzku spływa mi łza. - Przepraszam - mówię, tłumiąc szloch. - Jestem trochę wytrącona z równowagi. Bo mam amnezję...

Unoszę głowę i widzę, że facet patrzy na mnie, jakbym mówiła w obcym języku. Ma dość uderzającą twarz, zauważam. Wydatne kości policzkowe, ciemnoszare oczy, ukośne brwi, ściągnięte teraz, i ciemnobrązowe rozwichrzzone włosy. Ubrany jest w zwykły T-shirt, dżinsy i wygląda na nieco starszego ode mnie, może trochę po trzydziestce.

Wydaje się kompletnie osłupiały. Co nie powinno być dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że zszedł na parking, zajęty własnymi sprawami, i natknął się na dziewczynę, która o mało nie rozbiła samochodu, a teraz mówi, że ma amnezję.

Może mi nie wierzy, myślę z nagłym przerażeniem. Może myśli, że prowadziłam po pijaku i to tylko wymówka.

- Miałam wypadek samochodowy, kilka dni temu - wyjaśniam pospiesznie. - Naprawdę. Uderzyłam się w głowę, proszę popatrzeć. - Pokazuję widoczne jeszcze zadrapania na twarzy.

- Wiem, że miałaś wypadek - mówi w końcu. Ma bardzo charakterystyczny głos, oschły i dość głęboki. Każde słowo, które wypowiada, zdaje się mieć szczególną wagę. - Słyszałem o tym.

- Chwileczkę! - Cmokam, nagle coś sobie uświadamiając. - Zawołał mnie pan po imieniu. Czy my się znamy?

Na jego twarzy odmalowuje się zdumienie. Widzę, że przygląda mi się, jakby nie wierzył w to, co mówię; jakby czegoś szukał.

- Nie pamiętasz mnie? - pyta w końcu.

- No nie - odpowiadam, wzruszając lekko ramionami. -Przepraszam, nie chcę być niegrzeczna, ale nie pamiętam nikogo, kogo poznałam w ciągu ostatnich trzech lat. Przyjaciół... nawet męża. Był dla mnie zupełnie jak obcy! Mój własny mąż! Może pan w to uwierzyć?

Uśmiecham się, ale facet nie odwzajemnia uśmiechu, ani też nie wyraża współczucia. Wyraz jego twarzy mnie niepokoi.

- Chcesz, żebym zaparkował ten samochód? - pyta nagle.

- O tak. Poproszę. - Zerkam niespokojnie na moją lewą rękę, która wciąż ściska hamulec ręczny. - Mogę to puścić? Samochód nie ruszy?

Na jego twarzy pojawia się nikły uśmiech.

- Nie. Nie ruszy. Możesz puścić hamulec.

Ostrożnie rozwieram dłoń, która praktycznie zeszywniała, i macham nią, żeby rozluźnić mięśnie.

- Bardzo dziękuję - mówię, wysiadając. - To całkiem nowy samochód. Gdybym go rozbiła, nawet wolę sobie nie wyobrażać, co by... - Krzywię się na samą myśl. - Mąż mi go kupił, w zastępstwie tamtego poprzedniego. Zna pan mojego męża? Erica Gardinera?

- Tak - odpowiada po krótkiej chwili. - Znam go.

Wsiada do samochodu, zamyka drzwi i daje mi znak, żebym zeszła z drogi. Zaraz potem z wprawą wjeżdża bezpiecznie na miejsce parkingowe.

- Dzięki - mówię żarliwie, gdy wysiada. - Naprawdę jestem wdzięczna za pomoc.

Czekam, żeby odpowiedział: „Żaden problem” albo: „Zawsze do usług”, ale on sprawia wrażenie zamyślnego.

- Jak to jest z tą amnezją? - pyta, patrząc na mnie. - Już nigdy nie wrócą wspomnienia?

- Mogą wrócić w każdej chwili - wyjaśniam. - Albo nie. Nikt tego nie wie. Próbuję poznać na nowo swoje życie. Erie bardzo mi pomaga, wprowadza mnie w sprawy związane z naszym małżeństwem i w ogóle. To idealny mąż! -

Uśmiecham się znowu, próbując rozładować atmosferę. -Więc... gdzie jest twoje miejsce w tym obrazku?

Zero odpowiedzi. Ten gość wsadził ręce do kieszeni i gapi się w niebo. Naprawdę nie rozumiem, o co mu chodzi.

W końcu opuszcza głowę i patrzy na mnie. Twarz ma skrzywioną, jakby coś go bolało. Może i boli. Ma migrenę albo co.

- Muszę iść - mówi.

- W porządku. W każdym razie jeszcze raz dziękuję -rzucam uprzejmie. -I bardzo mi było miło cię poznać. To znaczy, jak mówisz, znaliśmy się w moim poprzednim życiu, ale... No wiesz, co chcę powiedzieć! - Wyciągam rękę na pożegnanie, ale on spogląda na nią, jakby nie rozumiał tego gestu.

- Cześć, Lxxi. - Obraca się na pięcie.

- Cześć...! - wołam za nim, ale nagle urywam.

Co za dziwny typ. Nawet nie powiedział, jak się nazywa.

9

Fi to najbardziej bezpośrednia osoba, jaką znam. Poznałyśmy się w wieku sześciu lat, gdy jako „nowa” znalazłam się na placu zabaw. Już wtedy była wyższa ode mnie o głowę, ciemne włosy miała związane w kucyki, mówiła donośnym, pewnym głosem. Powiedziała mi, że moja plastikowa ska-kanka jest do bani i wyliczyła wszystkie jej wady. Potem, kiedy już miałam się rozryczeć, zaproponowała, że pożycz mi swoją.

Taka jest Fi. Potrafi dokopać ludziom tą swoją bezpośredniością i wie o tym. Kiedy powie coś nie tak, przewraca oczami i zasłania usta ręką. Ale w głębi duszy jest serdeczna i dobra. I świetna na zebraniach. Kiedy inni gędzą, ona od razu przechodzi do rzeczy, nie wstawia kitu.

To Fi podsunęła mi pomysł, żebym zatrudniła się w Deller

119

Carpets. Pracowała tam od trzech lat, gdy Frenshaws, firma, w której byłam zatrudniona wcześniej, została przejęta przez inną hiszpańską firmę i część nas zredukowano. W Deller Carpets otwierali dział wykładzin i Fi zaproponowała, żebym zaniósła CV do jej szefa, Gavina, i... udało się. Dostałam pracę.

Pracując razem, Fi i ja jeszcze bardziej zbliżyłyśmy się do siebie. W dni robocze chodziłyśmy na lunch, w weekendy do kina, wysyłałyśmy do siebie esemesy, gdy Gavin „spuszczał łomot” zespołowi, jak to nazywał. Przyjaźnię się też z Carolyn i Debs, ale to do Fi dzwonię najpierw, żeby podzielić się wieściami; to ona pierwsza przychodzi mi na myśl, gdy dzieje się coś śmiesznego.

Dlatego to bardzo dziwne, że do tej pory się nie odezwała. Od czasu, gdy wyszłam ze szpitala, esemesowałam do niej kilkakrotnie. Nagrałam dwie wiadomości na jej pocztę głosową. Wysłałam dwa dowcipne e-maile i nawet napisałam kartkę z podziękowaniami za kwiaty. Ale nie dostałam odpowiedzi. Może po prostu jest zajęta, powtarzam sobie. Albo wyjechała na jakieś szkolenie, albo zachorowała na grypę... Jest milion powodów tego milczenia.

No, wszystko jedno. Dziś jadę do pracy, więc się z nią zobaczę. I z całą resztą.

Patrzę na siebie w wielkim lustrze wiszącym w garderobie. Lexi 2004 wkładała zwykle do pracy czarne spodnie z Next, bluzkę z promocji w New Look i mokasyny ze ścia-chanymi obcasami.

Ale z tym już koniec. Mam na sobie najstaranniej wyprasowaną bluzkę, jaką kiedykolwiek włożyłam, drogą, z szerokimi mankietami, od Prądy. Do tego czarny kostium z ołówkową spódnicą i wciętym w pasie żakietem. Na nogach mam delikatne, błyszczące rajstopy Charnos i buty z lakierowanej skóry, o szpiczastych noskach. Włosy, świeżo umyte i wymodelowane, ułożyłam w mój słynny kok.

Wyglądam jak z ilustracji w książeczce dziecięcej. Typowa szefowa.

Do pokoju wchodzi Erie, a ja wykonuję obrót.

- Jak wyglądam?

- Świetnie! - Kiwa głową, ale wydaje się zaskoczony moim pytaniem. Pewnie dla niego taki strój jest czymś normalnym, podczas gdy ja nie wyobrażam sobie, że będę się w tym czuła inaczej niż w przebraniu.

- Gotowa?

- Chyba tak! - Biorę torebkę, wielką, od Bottega Veneta, którą znalazłam w szafie.

Wczoraj próbowałam zagadnąć Erica o Fi, ale ledwo ją pamiętał, chociaż to moja najlepsza przyjaciółka, była na naszym ślubie i tak dalej. Wygląda na to, że jedyną moją przyjaciółką, jaką on zna, jest Rosalie, a i to tylko dlatego, że to żona Clive'a.

Nieważne. Jest dobrze. Dzisiaj zobaczę się z Fi, wszystko się wyjaśni i wróci na swoje miejsce.

Wyskoczmy na drinka podczas lunchu i pogadamy sobie jak za dawnych dobrych czasów.

- Nie zapomnij tego! - Erie otwiera szafę w rogu. Wyjmuje zgrabną czarną aktówkę i podaje mi. - Podarowałem ci ją, kiedy się pobraliśmy.

- O rany, ale piękna! - Jest wykonana z mięciutkiej kozłej skórki, a z przodu ma dyskretnie wytłoczone inicjały L.G.

- Wiem, że w pracy używasz panieńskiego nazwiska - mówi Erie - ale chciałem, żeby coś przypominało ci o mnie. Jest taki romantyczny. Idealny.

- Muszę już iść. Za pięć minut podjedzie po ciebie samochód. Baw się dobrze. - Całuje mnie i wychodzi. Usłyszawszy, że drzwi frontowe się zamknęły, biorę aktówkę i oglądam ją, zastanawiając się, co do niej włożyć. Nigdy wcześniej nie używałam teczki, zawsze wszystko nosiłam w torebce. W końcu przekładam z niej do aktówki paczkę chusteczek higienicznych i listek aspiryny. Dorzucam jeszcze długopis. Mam wrażenie, że pakuję tornister przed pierwszym dniem w szkole. Gdy wsuwam długopis do je-

dwabnej kieszonki, trafiam palcami na coś cienkiego, jak wizytówka, i wyciągam to.

To nie wizytówka, to zdjęcie, które przedstawia mnie, Fi, Debs i Carolyn. Fotografia z dawnych czasów, zanim zmieniłam fryzurę. Kiedy miałam jeszcze krzywe zęby. Siedzimy w barze, wszystkie w błyszczących topach, mamy zaróżowione policzki, a nad naszymi głowami wiszą kolorowe wstęgi. Fi obejmuje mnie ręką za szyję, ja trzymam w zębach parasolkę do drinków, i wszystkie śmiejemy się histerycznie. Nie mogę powstrzymać uśmiechu na ten widok.

Całkiem dobrze pamiętam ten wieczór. Debs właśnie rzuciła swojego chłopaka, okropnego urzędnika bankowego imieniem Mitchell, i ruszyłyśmy w miasto z misją, żeby pomóc jej o nim zapomnieć. W połowie zabawy, gdy Mitchell zadzwonił do Debs na komórkę, odebrała Carolyn, udając rosyjską call-girl, która myśli, że ktoś ją zamawia. Carolyn miała piątkę z rosyjskiego, więc była całkiem przekonująca i Mitchell naprawdę wpadł w popłoch, niezależnie od tego, co mówił później. Wszystkie przysłuchiwałyśmy się temu przez system głośnomówiący i myślałam, że skonam ze śmiechu.

Wciąż się uśmiechając, wsuwam z powrotem zdjęcie do przegródki i zamykam zamek błyskawiczny. Biorę teczkę i przeglądam się w lustrze. Szefowa idzie do pracy.

- Cześć - mówię do swojego odbicia, próbując przybrać rzeczowy ton. - Dzień dobry wszystkim. Lexi Smart, dyrektor działu wykładzin. A tak. Jestem szefową.

O Boże. Wcale nie czuję się jak szefowa. Może odnajdę się w tej roli, gdy będę już na miejscu.

Deller Carpets to firma, którą wszyscy znają z reklam telewizyjnych w latach osiemdziesiątych. W pierwszej z nich występowała kobieta leżąca w sklepie na dywanie w niebieskie zawijasy, rzekomo tak miękkim i wygodnym, że natychmiast musiała przespać się na nim z głupkowskim sprze-

dawcą. Następna reklama pokazywała ją, jak wychodzi za męża za głupkowatego sprzedawcę i idą do ołtarza po kwiecistym dywanie marki Deller. Potem mają bliźnięta, które nie zasną, jeśli nie będą miały niebiesko-różowego dywanika w pokoju.

Były to dość nędzne reklamy, ale dzięki nim nazwa Deller Carpets stała się znana w każdym domu. I na tym polega pewien kłopot. Przed kilkoma laty firma próbowała zmienić nazwę po prostu na Deller. Było już nowe logo, nowa strategia i tak dalej. Ale nikt tego nie zauważył. Mówiłaś, że pracujesz w Deller, a wszyscy marszczyli czoło i pytali: „To znaczy w Deller Carpets?”.

Ironia losu polega też na tym, że dywany to tylko ułamek naszej działalności. Z dziesięć lat temu dział konserwacji zaczął produkować maszyny do prania dywanów, które sprzedawano wysyłkowo i które stały się niezmiernie popularne. Rozszerzono więc ofertę o wszelkiego rodzaju produkty do czyszczenia oraz inne gadżety i sprzedaż wysyłkowa osiągnęła wielkie obroty. Firma ma też w asortymencie tkaniny dekoracyjne i obiciowe. A biedne stare dywany zeszły na boczny tor. Problem w tym, że przestały być modne. Wszędzie tylko klepka i panele podłogowe. Sprzedajemy też panele, ale mało kto o tym wie, bo wszyscy myślą, że wciąż nazywamy się Deller Carpets. I koło się zamyka. Wiem, że dywany już nie są cool, szczególnie te wzorzyste. Jednak w głębi duszy naprawdę je kocham. Szczególnie wzory vintage z lat siedemdziesiątych. Mam na biurku stary wzornik i stale go przeglądam podczas długich, nużących rozmów telefonicznych. A kiedyś w magazynie znalazłam całe pudełko próbek. Nikt ich nie chciał, więc wzięłam je do swojego pokoju i przypinałam próbki na ścianie nad biurkiem.

To znaczy nad moim dawnym biurkiem. Przypuszczam, że potem zostałam przeniesiona gdzieś indziej. Gdy kieruję się do znanego mi budynku przy Victoria Palace Road, czu-

ję, że mam z wrażenia ściśnięty żołądek. Wszystko wygląda jak zwykle: wysoka jasnoszara bryła z granitowymi filarami u wejścia. Otwieram przeszklone drzwi do recepcji i zatrzymuję się zdziwiona. Foyer jest inne. Wygląda naprawdę nowocześnie! Nie ma kontuaru, tam, gdzie dawniej była ściana, znajdują się szklane przepierzenia, a podłoga jest z niebieskiego metalizującego winylu. Dużo się zmieniło.

- Lexi! - Podbiega do mnie korpulentna kobieta w różowej bluzce i wąskich czarnych spodniach. Ma jasne pasemka we włosach, na ustach szminkę w kolorze fuksji, na nogach czółenka. Nazywa się... Znam ją... szefowa kadr...

- Dana. - Z ulgą rzucam jej imię. - Cześć.

- Lexi. - Wyciąga do mnie rękę. - Witaj z powrotem! Biedactwo! Tak się wszyscy zmartwiliśmy, gdy usłyszeliśmy, co ci się...

- Nic mi nie jest, dzięki. Czuję się już znacznie lepiej.

Idę za Daną po błyszczącej winylowej podłodze i odbieram od niej przepustkę, którą wsuwam w czytnik przy bramce. To też nowość. Kiedyś nie było barierek, tylko strażnik imieniem Reg.

- Dobrze! Proszę tutaj... - Dana prowadzi mnie dalej. - Pomyślałam, że chwilę porozmawiamy w moim gabinecie i wpadniemy na zebranie w sprawie budżetu, a potem pewnie będziesz chciała zajrzeć do swojego działu.

- Świetnie! Dobry pomysł.

Mój dział. A kiedyś należało do mnie tylko biurko i zszywacz.

Jedziemy windą, wysiadamy na drugim piętrze i Dana wprowadza mnie do swojego biura.

- Usiądź. - Przyciąga miękki fotel i siada za biurkiem. - Przede wszystkim musimy porozmawiać o twoim... stanie. - Przycisza dyskretnie głos, jakbym miała jakąś wstydliwą dolegliwość. - Masz amnezję.

- Zgadza się. Ale poza tym jestem w całkiem dobrej formie.

- Świetnie! - Notuje coś na podkładce. - A czy to amnezja czasowa, czy permanentna?
- Cóż... lekarze twierdzą, że w każdej chwili mogę powoli odzyskiwać pamięć.
- Cudownie! - Jej twarz się rozjaśnia. - Oczywiście, z naszego punktu widzenia byłoby najlepiej, gdybyś przypomniała sobie wszystko do dwudziestego pierwszego. Bo wtedy mamy konferencję na temat sprzedaży - dodaje, patrząc na mnie wyczekująco.
- Rozumiem - mówię po chwili. - Zrobię, co tylko będę mogła.
- Więcej nie trzeba! - Śmieje się perliście i odsuwa fotel. - To teraz chodźmy przywitać się z Simonem i resztą. Pamiętasz Simona Johnsona, dyrektora generalnego?
- Oczywiście.

Jak mogłabym nie pamiętać szefa firmy? Pamiętam, że wygłosił mowę na przyjęciu gwiazdkowym. Że przyszedł do naszego działu i zapytał nas o imiona, a Gavin, wtedy nasz szef, łąził za nim jak pies. A teraz chodzę na spotkania z Simonem!

Próbując ukryć zdenerwowanie, idę z Daną korytarzem, a następnie jedziemy windą na ósme piętro. Prowadzi mnie energicznym krokiem pod salę posiedzeń, puka w masywne drzwi i otwiera je.

- Przepraszam, że przeszkadzam! Lexi wpadła z wizytą.
- Lexi! Nasza supergwiazda! - Simon Johnson wstaje ze swojego miejsca u szczytu stołu. Jest wysoki, ma szerokie ramiona - sylwetkę eks oficera - i rzednące brązowawe włosy. Podchodzi do mnie, bierze mnie za rękę, jakbyśmy byli starymi znajomymi, i całuje mnie w policzek. - Jak się czujesz, moja droga?

Właśnie ucałował mnie Simon Johnson! Ucałował mnie dyrektor generalny całej firmy.

- Eee... dobrze, dziękuję! - Staram się zachować spokój. - Już o wiele lepiej.

Rozglądam się po sali, odnotowując obecność wszystkich najpotężniejszych ludzi z firmy, ubranych w garnitury. Byron, który był moim bezpośrednim zwierzchnikiem, siedzi po drugiej stronie stołu. Jest blady, chudy, z tymi swoimi ciemnymi włosami, i ma na sobie jeden z typowych dla siebie krawatów w stylu retro. Posyła mi wąty uśmiech. Odpowiadam tym samym, z ulgą widząc kogoś znajomego.

- Doznałaś poważnego urazu głowy, jak rozumiemy - mówi Simon Johnson swoim melodyjnym głosem nauczyciela szkoły publicznej.

- Owszem.

- Szybko wracaj do zdrowia! - wykrzykuje z udawanym przejęciem. - Byron dobrze sobie radzi jako twój zastępca. - Wskazuje Byrona. - Ale czy możesz mu zaufać, jeśli chodzi o zabezpieczenie budżetu dla waszego działu...

- Nie wiem. - Unoszę brwi. - A mam powody do niepokoju?

Wokół stołu rozlegają się pełne uznania śmiechy i zauważam, że Byron rzuca mi mordercze spojrzenie. Rany kota, to naprawdę miał być żart!

- Ale mówiąc poważnie, Lexi, muszę z tobą porozmawiać na temat naszych ostatnich... ustaleń. - Simon Johnson znacząco skłania głowę. - Zjemy razem lunch, gdy już wrócisz na dobre.

- Oczywiście. - Odpowiadam podobnie konfidencyjnym tonem, chociaż nie mam najmniejszego pojęcia, o czym on mówi.

- Simon... - Dana dyskretnie występuje do przodu. - Lekarze nie wiedzą, czy amnezja Lexi jest czasowa, czy permanentna. Ona może więc mieć pewne problemy z pamięcią...

- To bywa zaletą w tym biznesie - włącza się łysiejący facet z naprzeciwka i znowu rozbrzmiewa śmiech.

- Lexi, mam do ciebie pełne zaufanie - oświadcza Simon Johnson stanowczo. Zwraca się do rudowłosego mężczyzny, który siedzi obok: - Daniel, wy dwoje jeszcze się nie zna

cie, prawda? Daniel jest naszym nowym biegłym rewidentem. Danielu, może widziałeś Lexi w telewizji?

- A tak! - Gdy podajemy sobie ręce, widzę, że facet sobie mnie przypomina. - To pani jest tym cudownym dzieckiem, o którym tyle słyszałem.

Cudownym dzieckiem?

- Tak...? Nie sądzę - odpowiadam niepewnie, czym znowu wzbudzam rozbawienie.

- Nie bądź taka skromna! - Simon posyła mi ciepły uśmiech, a potem odwraca się do Daniela. - Ta młoda kobieta zrobiła zawrotną karierę w naszej firmie, w osiemnaście miesięcy od młodszego zastępcy kierownika sprzedaży do dyrektora działu. Jak już mówiłem wiele razy samej Lexi, powierzenie jej tego stanowiska było ryzykiem, ale nigdy, ani przez moment, nie żałowałem, że je podjąłem. To urodzona przywódczyni. Inspiruje wszystkich. Pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę, ma fascynujące wizje strategii na przyszłość... To bardzo, bardzo zdolny członek kierownictwa. Kończąc, Simon uśmiecha się do mnie szeroko, podobnie jak ten łysiejący facet i kilku innych. Jestem w totalnym szoku. Staję się purpurowa; nogi się pode mną uginają. Nikt nigdy nie mówił o mnie w taki sposób. Nigdy, w całym moim życiu.

- Cóż... dziękuję! - udaje mi się w końcu wydusić.

- Lexi. - Simon wskazuje pusty fotel. - Może się skusisz i zostaniesz na zebraniu poświęconym budżetowi?

- Cóż... - Zerkam na Danę w poszukiwaniu pomocy.

- Lexi nie może dziś zostać długo - oświadcza Dana. -A chcemy jeszcze zajrzeć do działu wykładowców.

- Oczywiście. - Simon Johnson kiwa głową. - Twoja strata. Wszyscy obecni uwielbiają zebrania na temat budżetu. -Mruży oczy z rozbawieniem.

- Nie rozumiesz, że zrobiłam to po to, żeby wyłgać się od tego zebrania? - Wskazuję zadrapania na czole i znowu wszyscy śmieją się głośno.

- Do zobaczenia wkrótce, Lexi - mówi Simon Johnson. -Dbaj o siebie.

Po wyjściu z sali konferencyjnej kręci mi się w głowie z wrażenia. Nie całkiem mogę uwierzyć w to, co się właśnie stało. Żartowałam sobie z Simonem Johnsonem. Jestem cudownym dzieckiem! Mam strategiczne wizje przyszłości!

Liczę tylko na to, że gdzieś je spisałam.

- Pamiętasz, gdzie jest dział wykładzin? - pyta Dana, gdy zjeżdżamy windą. - Wiem, że nie mogą się tam już doczekać, żeby cię zobaczyć.

- Ja też! - mówię z rosnącą pewnością siebie. Wychodzimy z windy i dzwoni telefon Dany.

- Ojej! - mówi Dana, zerknąwszy na wyświetlacz. - Powinnam odebrać. Chcesz zajrzeć do swojego gabinetu? A potem wpadnę po ciebie?

- Jasne!

Idę korytarzem. Wygląda tak jak dawniej: ten sam brązowy dywan, informacje przeciwpożarowe i sztuczne rośliny. Dział wykładzin jest już blisko, po lewej stronie. A po prawej znajduje się gabinet Gavina.

To znaczy mój gabinet.

Mój własny, osobisty gabinet.

Zatrzymuję się na chwilę przed drzwiami, przygotowując się psychicznie do wejścia. Wciąż nie mogę uwierzyć, że to mój gabinet. Tu pracuję.

No dalej. Nie ma się czego bać. Znam tę robotę, tak powiedział Simon Johnson. Gdy wyciągam rękę ku gałce u drzwi, widzę wypadającą z głównego biura dziewczynę około dwudziestki. Na mój widok podnosi dłonie do ust.

- Och! - mówi. - Lexi! Wróciłaś!

- Tak. - Patrzę na nią niepewnie. - Musisz mi wybaczyć, miałam wypadek, nic nie pamiętam...

- Uhm, tak słyszałam. - Wygląda na zdenerwowaną. -Jestem Clare. Twoja asystentka.

- O, cześć! Miło cię poznać! Więc to mój pokój? - Wskazuję głową drzwi gabinetu Gavina.

- Tak. Przynieść ci filiżankę kawy?

- Poproszę! - Staram się ukryć zachwyt. - Byłoby świetnie.

Mam asystentkę, która przynosi mi kawę. Naprawdę mi się powiodło. Wkraczam do gabinetu. Drzwi zamykają się za mną z przyjemnym trzaśnięciem.

O rany. Zapomniałam już, jaki to duży pokój. Stoi w nim wielkie biurko, rośliny doniczkowe, kanapa... i tak dalej. Kładę aktówkę na biurku i podchodzę do okna. Mam nawet ładny widok! Co prawda na inny wysoki budynek, ale mimo wszystko. Mój gabinet! Jestem szefową! Obracam się na pięcie i padam na kanapę, mimowolnie śmiejąc się w euforii. Podskakuję kilka razy, i zastygam w bezruchu, bo rozlega się pukanie do drzwi.

Cholera. Gdyby ktoś wszedł i zobaczył mnie... Wstrzymując oddech, pędzę za biurko, biorę do ręki jakieś papiery i ze zmarszczonym czołem udaję, że je przeglądam.

- Proszę!

- Lexi! - wpada Dana. - Oswajasz się z tym miejscem na nowo? Clare powiedziała mi, że jej nie poznałaś! To nie będzie dla ciebie łatwe, co? Nie zdawałam sobie sprawy... -Kręci głową, na jej czole uwidacznia się zmarszczka. - Więc nic nie pamiętasz?

- Nie - przyznaję. - Ale na pewno wszystko sobie przypomnę... prędzej czy później.

- Miejmy nadzieję, że tak będzie! - Wciąż wygląda na zaniepokojoną. - Chodźmy teraz do twojego działu, zapoznasz się na nowo ze wszystkimi...

Ruszam za nią na korytarz i nagle widzę wychodzącą z głównego biura Fi w krótkiej czarnej spódnicy, botkach i zielonym topie bez rękawów. Wygląda jakoś inaczej, niż ją zapamiętałam, ma rude pasemka we włosach i szczuplejszą

twarz. Ale to ona. Ma nawet te same bransoletki z szylkretu, które zawsze nosiła.

- Fi! - wołam z podnieceniem, niemal upuszczając torebkę. - O mój Boże! To ja, Lexi! Cześć!
Wróciłam!

Fi jest wyraźnie przestraszona. Odwraca się i przez kilka sekund gapi się na mnie, jakbym była niespełna rozumu. Może rzeczywiście jestem trochę za bardzo podekscytowana. Ale tak się cieszę, że ją widzę.

- Cześć, Lexi - mówi w końcu, przyglądając mi się. - Jak się masz?

- Świetnie! - odpowiadam i wyrzucam z siebie potok słów: - A co u ciebie? Wspaniale wyglądasz!
Bardzo mi się podoba twoja nowa fryzura!

Teraz patrzą na mnie wszyscy.

- No dobra. - Staram się opanować. - Może spotkamy się później? Wszystkie razem?

- Uhm... czemu nie. - Fi kiwa głową, nie patrząc mi w oczy.

Dlaczego jest taka powściągliwa? Co się stało? Robi mi się zimno wokół serca. Może dlatego nie odpowiadała na moje wiadomości. Musiałyśmy się ostro poprztykać. I reszta dziewczyn trzyma jej stronę. Tylko nie pamiętam...

- Ty pierwsza, Lexi! - Dana wprowadza mnie do głównego biura, otwartej przestrzeni, bez ścianek działowych. Pięt-naście twarzy unosi się znad biurek i usiłuję stłumić okrzyk zaskoczenia.

To takie dziwne.

Widzę Carolyn, i Debs, i Melanie, i kilka innych osób, które znam. Wszystkie wydają się znajome... Ale minęły trzy lata. Mają inne fryzury, inny makijaż, inne ciuchy. Debs jest bardzo opalona, ramiona ma prawie czarne, jakby właśnie wróciła z egzotycznych wakacji; Carolyn ma nowe okulary, bez oprawek, i jeszcze krócej ostrzyżone włosy niż kiedyś...

Moje dawne biurko. Siedzi za nim dziewczyna o rozjaś-

nianych włosach, zaplecionych w warkocze, która najwyraźniej czuje się przy nim jak u siebie.

- Wiecie wszyscy, że Lexi po wypadku leżała w szpitalu - oznajmia Dana. - Cieszymy się, że nas odwiedziła. Uraz głowy, jakiego doznała, ma skutki uboczne, należy do nich amnezja. Ale jestem pewna, że wszyscy pomożecie jej odnaleźć się i zgotujecie jej huczne powitanie. - Odwraca się do mnie i mruży: - Lexi, chcesz powiedzieć zespołowi parę motywujących słów?

- Motywujących słów? - powtarzam niepewnie.

- Coś inspirującego. - Dana uśmiecha się promiennie. - Zmobilizuj swoich ludzi do walki. - Znowu dzwoni jej telefon. - Przepraszam na chwilę! - Pospiesznie wychodzi na korytarz, i zostaję sama przed moim działem.

Spokojnie. Simon Johnson powiedział, że mam silny instynkt przywódczy. Co to dla mnie!

- Hmm witajcie wszyscy! - Macham dłonią do obecnych ale nikt nie odpowiada. - Chciałam tylko powiedzieć, że niebawem wrócę i... eee... że zachęcam was do rzetelnej pracy - Gorączkowo usiłuję wymyślić coś motywującego. - Jaki dział w firmie jest najlepszy? Nasz! Kto nią trzęsie? Wykładziny!

- Wyrzucam rękę przed siebie, udając cios, jak cheerliderka. - W! Y! K! Ł! A! C!...

- Nie „c”, tylko „dz” - przerywa mi dziewczyna, której nie znam. Stoi z założonymi rękami.

- Słucham? - Urywam bez tchu.

- Nie mówi się „wyklaciny”, tylko „wykładziny”. - Przewraca oczami.

Dwie dziewczyny obok niej zaczynają chichotać, zasłaniając rękami usta, podczas gdy Carolyn i Debs tylko patrzą na mnie.

- Rzeczywiście - mówię, wytrącona z równowagi. - W każdym razie... dobra robota... świetnie się spisaliście...

- Więc wracasz, Lexi? - pyta dziewczyna w czerwonym.

- Nie całkiem...

- Mam do pilnego podpisania wykaz kosztów.
- Ja też! - mówi z sześć osób.
- Rozmawiałaś z Simonem o naszych zadaniach? - Melanie ze zmarszczonym czołem występuje naprzód. - Są zupełnie niewykonalne, bo...
- Co z nowymi komputerami?
- Przeczytałaś mój e-mail?
- Czy zamówienie Thorne Group zostało przydzielone?
Nagle wszyscy w pokoju rzucają się w moją stronę, zasypując mnie pytaniami. Ledwie je wszystkie słyszę, a co dopiero mówić o rozumieniu.
- Nie wiem! - odpowiadam z desperacją. - Przykro mi, nie pamiętam... Do zobaczenia później!
Ciężko dysząc, wybiegam na korytarz, wpadam do swojego gabinetu i zatraskuję za sobą drzwi. Cholera. O co w tym wszystkim chodzi? Słyszę pukanie.
- Tak? - wołam ze ściśniętym gardłem.
- To ja! - Wchodzi Clare, uginając się pod naręczem listów i dokumentów. - Przepraszam cię, że zawracam ci głowę, Lexi, ale skoro już tu jesteś, mogłabyś to szybko przejrzeć? Musisz wrócić do sprawy Tony'ego Dukeasa z Biltons, autoryzować płatność dla Sixpack, podpisać te zrzeczenia, a jakiś facet nazwiskiem Jeremy Northpool dzwonił kilka razy, mówi, że liczy na podjęcie rozmów...
Wyciąga w moją stronę długopis. Spodziewa się, że od razu wezmę się do roboty.
- Nie mogę niczego autoryzować - mówię w panice. - Niczego nie podpiszę. Nigdy nie słyszałam o Tony'ym Dukeście. Nie pamiętam!
- Och. - Plik papierów w rękach Clare opada lekko, a ona sama patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. - No to... kto będzie kierować działem?
- Nie wiem. To znaczy... ja. To moja praca. Wrócę do tego, tylko potrzebuję trochę czasu... Posłuchaj, zostaw mi to

wszystko. - Próbuję wziąć się w garść. - Postaram się to przeczytać. Może coś sobie przypomnę.
- Dobrze - mówi Clare z wyraźną ulgą. Kładzie stos pa-pierzysk na moje biurko. - Zaraz przyniosę ci kawę.

Z mętlikiem w głowie siadam za biurkiem i biorę pierwszy list. Chodzi o jakąś niezłałatwioną reklamację. **Informujemy, że... mogą się Państwo spodziewać natychmiastowej interwencji...** Przechodzę do następnego pisma. To miesięczne przewidywania budżetowe dla wszystkich działów w firmie. Widnieje tam sześć wykresów i samoprzylepna karteczka, na której ktoś napisał: **Co na ten temat sądzisz, Lexi?**

- Twoja kawa. - Clare puka w drzwi.

- A tak - mówię, przybierając rzeczowy ton. - Dziękuję ci, Clare. - Gdy stawia na blacie filiżankę, wskazuję ruchem głowy wykresy. - Ciekawe. Ustosunkuję się do tego... później.

Zaraz po jej wyjściu z rozpaczą opuszczam głowę na biurko. Co mam zrobić? To naprawdę trudna robota. Poważnie, trudna jak cholera.

Jak, u licha, sobie z tym poradzę? Skąd mam wiedzieć, co mówić i jakie podjąć decyzje? Słyszę znów pukanie do drzwi i pospiesznie prostuję się w fotelu, chwytając pierwszy z brzegu papier.

- Wszystko w porządku, Lexi? - To Byron, którzy trzyma butelkę wody i plik kartek. Opiera się o drzwi, jego blade nadgarstki wystają z białych rękawów koszuli. Na jednym z nich znajduje się wielki nowoczesny zegarek, który musiał kosztować kupę forsy, ale wygląda śmiesznie.

- Tak! Jak najbardziej! Myślałam, że jesteś na zebraniu w sprawie budżetu.

- Zrobiliśmy przerwę na lunch.

Ma sarkastyczny, przeciągły sposób mówienia, jakby rozmawiał z kimś, kto jest totalnym debilem. Tak naprawdę nigdy nie umiałam z nim znaleźć wspólnego języka. Teraz obrzuca spojrzeniem stos dokumentów na biurku.

- Już cię wciągnęło, jak widzę?
 - Jeszcze nie całkiem. - Uśmiecham się, ale on nie odwzajemnia uśmiechu.
 - Podjęłaś już decyzję w sprawie Tony'ego Duke'a? Bo wczoraj przycisnęła mnie księgowość...
 - Hmm - waham się. - Właściwie jeszcze niezupełnie... Ja nie... - Przełykam ślinę, oblewając się rumieńcem. - Chodzi o to, że mam amnezję powypadkową, i... - Urywam, wykręcając sobie palce.
- Do Byrona nagle dociera znaczenie moich słów.
- Jezu - mówi, przyjrzawszy mi się uważnie. - Nie wiesz, kto to jest Tony Duke's, prawda?
 - Ja... no cóż... nie. Ale jeśli mógłbyś mi przypomnieć...? Byron ignoruje mnie. Wchodzi do pokoju, uderzając butelką wody o wnętrze dłoni i marszcząc czoło z namysłem.
 - Wyjaśnijmy to sobie - mówi powoli. - Nie pamiętasz absolutnie nic?
- Skóra mi cierpnie. Byron jest jak kot, który poluje na mysz - ocenia, jak słaba jest ofiara. Ostrzy sobie pazury na moje stanowisko.
- Gdy tylko to sobie uświadamiam, czuję się jak idiotka, że wcześniej nie rozgryzłam tego faceta. Oczywiście, że o to mu chodzi. Przeskoczyłam go w hierarchii. Musi pałać do mnie nienawiścią pod tymi pozorami uprzejmości, życzliwości.
- Wcale nie „nic”! - wołam szybko, jakby sama myśl o tym była śmieszna. - Tylko... ostatnie trzy lata są trochę... niewyraźne.
- Ostatnie trzy lata? - Byron odrzuca głowę w tył i śmieje się z niedowierzaniem. - Przepraszam, Lexi, ale wiesz równie dobrze jak ja, że trzy lata w tym biznesie to całe życie!
 - Wkrótce połapię się we wszystkim - mówię, starając się, żeby brzmiało to pewnie. - Lekarze twierdzą, że wszystko może mi się przypomnieć w każdej chwili.
 - Albo w ogóle. - Przybiera zatroskaną, współczującą

minę. - To musi cię bardzo martwić, Lexi. Że już zawsze będziesz miała pustkę w głowie. Odpowiadam na jego spojrzenie tak twardo, jak tylko potrafię. Dobry strzał. Ale tak łatwo nie wytrącisz mnie z równowagi.

- Jestem pewna, że szybko dojdę do normy - mówię dziarsko. - Wrócę do pracy, do kierowania działem... Właśnie odbyłam z Simonem Johnsonem miłą pogawędkę - dorzucam znacząco.

- Uhm. - Nadal w zamyśleniu uderza butelką o dłoń. -Więc co zamierzasz zrobić z Tonym Dukese? Szlag by to! Przechytrzył mnie. Nie potrafię nic powiedzieć o Tonym Dukese, i on to wie.

Przekładam papiery na biurku, żeby zyskać na czasie.

- Może... ty byś podjął decyzję w tej sprawie? - mówię w końcu.

- Bardzo chętnie. - RzUCA mi protekcyjny uśmiech. -Zajmę się wszystkim. Ty tylko dbaj o siebie, Lexi. Musisz wy-dobrzeć, nie ma powodu do pośpiechu. O nic się nie martw!

- Dziękuję ci. - Zmuszam się do uprzejmego tonu. - Doceniam to, Byron.

- No i jak? - W progu staje Dana. - Pogadaliście sobie? Zorientowałaś się w sprawach, Lexi?

- Oczywiście. - Uśmiecham się przez zaciśnięte zęby. -Byron bardzo mi pomaga.

- Jeśli tylko coś jeszcze mógłbym dla ciebie zrobić... -Rozkłada skromnie ręce. - Jestem do dyspozycji. Z całą moją pamięcią!

- Super! - Dana spogląda na zegarek. - Muszę pędzić na lunch, Lexi, ale odprowadzę cię, jeśli już wychodzisz...

- Nie martw się, Dano - odpowiadam pospiesznie. - Zostanę tu jeszcze trochę i przejrzę dokumenty. Nie wyjdę z tego budynku, dopóki nie porozmawiam z Fi. Nie ma mowy.

- W porzo. - Uśmiecha się radośnie. - Miło cię było zobaczyć, Lexi. Pogadamy, jeśli zdecydujesz się wrócić na stałe. - Wykonuje gest naśladujący rozmowę przez telefon, a ja go po niej powtarzam.

- Na razie!

Obydwoje wychodzą i słyszę, jak Byron mówi:

- Dana, mogę zamienić z tobą słówko? Musimy omówić sytuację. Z całym szacunkiem dla Lexi, ale...

Drzwi mojego gabinetu się zamykają, więc podchodzę do nich po cichu. Otwieram je i wystawiam głowę na zewnątrz.

- ...wszystko wskazuje na to, że nie jest w stanie kierować działem... - słyszę głos Byrona, gdy oboje z Daną skracają za róg, idąc do windy.

Drań. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby poczekać, aż znajdzie się poza zasięgiem mojego słuchu.

Wracam do gabinetu, osuwam się na fotel za biurkiem i rękami obejmuję głowę. Cała moja euforia zniknęła. Nie mam pojęcia, jak zdobyłam tę posadę. Biorę jakiś papier z pliku przede mną i patrzę na niego. To coś o składkach ubezpieczeniowych. Skąd znam się na tym wszystkim? Jak do tego doszłam? Mam wrażenie, jakbym obudziła się uczepiona skały na szczycie Mount Everestu, nie wiedząc nawet, co to są raki.

Wzdychając ciężko, odkładam kartkę. Muszę z kimś porozmawiać. Fi. Podnoszę słuchawkę i wystukuję 352, czyli jej wewnętrzny; chyba nie zmienili systemu.

- Dział wykładzin, przy telefonie Fiona Roper.

- Fi, to ja! Lexi - mówię. - Możemy pogadać?

- Oczywiście - odpowiada oficjalnie. - Chcesz, żebym do ciebie przyszła? Czy mam się zapisać na spotkanie u Clare? Serce mi zamiera. Fi wydaje się taka... obca.

- Miałam na myśli to, że mogłybyśmy pogawędzić! Chyba że jesteś zajęta.

- Właśnie miałam pójść na lunch.

- To ja też idę! - mówię z zapalem. - Jak za dawnych

czasów! Oddałabym życie za gorącą czekoladę. Czy w Mo-relli's wciąż mają te pyszne panini?

- Lexi...

- Fi, naprawdę muszę z tobą porozmawiać, dobra? - Ściskam mocniej słuchawkę. - Ja... nic nie pamiętam. To wkurzające. Ta cała sytuacja. - Śmieję się wymuszenie. - Poczekaj chwilę, zaraz będę u ciebie...

Rzucam słuchawkę i chwytam czystą kartkę. Waham się przez moment, a potem piszę pospiesznie:

Proszę, załatw to wszystko, Byron. Wielkie dzięki, Lexi.

Wiem, że sama pcham mu się w łapy, ale w tej chwili myślę tylko o tym, żeby spotkać się z przyjaciółkami. Biorę torebkę i aktówkę, wybiegam z gabinetu, mijam biurko Clare i wpadam do głównego biura działu wykładzin.

- Cześć, Lexi - mówi siedząca najbliżej dziewczyna. - Masz jakąś sprawę?

- Nie, wszystko w porządku, dzięki, po prostu wychodzę z Fi na lunch... - Nie kończę. Nie widzę nigdzie Fi. Ani Carolyn. Ani Debs.

- Chyba właśnie wyszły na lunch. - Dziewczyna wygląda na zdziwioną. - Minęłaś się z nimi o pół minuty.

- Aha. - Staram się ukryć zakłopotanie. - Dzięki. Zdaje się, że umówiliśmy się w holu.

Obracam się na pięcie i ruszam korytarzem tak szybko, jak tylko pozwalają mi wysokie obcasy, na tyle szybko, żeby zobaczyć Debs wchodzącą do windy.

- Poczekajcie! - wołam, puszczając się biegiem. - Jestem tutaj! Debs! - Ale drzwi windy już się zasuwały. Usłyszała mnie. Wiem, że tak.

Myśli kotłują mi się w głowie, gdy otwieram drzwi prowadzące na schody i zbiegam po nich.

Widziały, że idę. Czyżby mnie unikały? Co się, do cholery, stało w ciągu tych trzech lat? Jesteśmy przecież przyjaciółkami. W porządku, wiem, że zostałam ich szefową, ale przecież można przyjaźnić się z szefową, no nie?

No nie?

Zbiegam na pierwsze piętro i wpadam do holu. Pierwsze, co widzę, to Carolyn i Debs zmierzające do szklanych drzwi, przed nimi idzie Fi.

- Hej! - wołam niemal z rozpaczą. - Czekaście!

Gnam za nimi i w końcu dopadam je na schodach przed budynkiem.

- Och. To ty, Lexi. - Fi prycha cicho, co znaczy, że próbuje powstrzymać śmiech.

Chyba wyglądam trochę dziwnie, gdy tak biegnę, zaczerwieniona, w moim czarnym kostiumie, i z kokiem.

- Myślałam, że razem idziemy na lunch! - mówię zdyszana. - Powiedziałam, że zaraz przyjdę!

Milczenie. Żadna nie patrzy mi w oczy. Debs bawi się długim srebrnym wisiorkiem, jej jasne włosy powiewają na wietrze. Carolyn zdjęła okulary i wyciera je o swoją białą bluzkę.

- Co się dzieje? - Staram się mówić spokojnie, ale słyszę w swoim głosie urazę. - Fi, dlaczego nie odpowiedziałaś na żadną moją wiadomość? Czy jest jakiś... problem?

Żadna z nich się nie odzywa. Niemal widzę tę nić porozumienia, która je łączy. Ale nie potrafię już czytać w ich myślach. Już nie jestem jedną z nich.

- Słuchajcie, dziewczyny. - Próbuję się uśmiechnąć. - Proszę was. Musicie mi pomóc. Mam amnezję. Niewiele pamiętam. Czy myśmy się... pokłóciły, czy co?

- Nie. - Fi wzrusza ramionami.

- Nic nie rozumiem. - Patrzę im błagalnie w twarze. - W czasach, które pamiętam, byłyśmy najlepszymi kumpelkami! Wybrałyśmy się do klubu w któryś piątkowy wieczór. Piłyśmy drinki bananowe, Dave Nieudacznik mnie wystawił, byłyśmy na karaoke... pamiętacie?

Fi gwałtownie wciąga powietrze i unosi brwi, patrząc na Carolyn.

- To było dawno temu.

146

- Co się od tego czasu zdarzyło?
- Posłuchaj. - Fi wzdycha. - Zostawmy to. Miałaś wypadek, jesteś chora, nie chcemy cię denerwować...
- Tak, zostawmy to wszystko i zjedźmy razem kanapkę. -Debs zerka na Fi, jakby chciała powiedzieć: „Ustąp jej”.
- Nie traktuj mnie jak idiotki! - Mówię ostrzejszym głosem, niż zamierzałam. - Zapomnijmy o wypadku! Nie jestem upośledzona, nic mi nie jest. Ale muszę znać prawdę. -Z desperacją patrzę na nie. - Jeśli się nie pokłóciłyśmy, to o co chodzi? Co się stało?
- Lxxi, o nic nie chodzi. - Głos Fi brzmi dziwnie. - Po prostu... już się nie kolegujemy. Nie jesteśmy kumpelkami. - Ale dlaczego? - Serce mi wali w piersi, ale staram się zachować spokój. - Dlatego, że jestem teraz waszą szefową?
- Nie dlatego, że jesteś szefową. To nie miałyby znaczenia, gdybyś... - Fi urywa. Wsadza ręce do kieszeni, unikając mojego wzroku. - Jeżeli mam być szczerą, przyczyną jest to, że stałaś się...
- Kim? - W zdumieniu przesuwam wzrokiem po ich twarzach. - No, powiedzcie. Fi wzrusza ramionami. - Nadętą krową.
- Raczej suką z piekła rodem - mruczy Carolyn.
- Mam wrażenie, że powietrze zastygło mi w płucach. Suka z piekła rodem? Ja?
- Nie rozumiem... - dukam w końcu. - Nie jestem dobrą szefową?
- Och, świetną. - Głos Carolyn ocieka złośliwością. -Karzesz nas, gdy się spóźniamy. Odliczasz nam czas na lunch, kontrolujesz zniechęca nasze wydatki... Och, mamy niezły ubaw w dziale wykładzin. Policzki mnie palą, jakbym dostała w twarz.
- Ale ja bym nigdy... Ja taka nie jestem!
- Owszem, jesteś - ucina Carolyn.
- Lexi, sama pytałaś. - Fi przewraca oczami, jak zwykle,

gdy czuje się niezręcznie. - Dlatego właśnie już się nie kolegujemy. Ty chodzisz swoimi drogami, a my swoimi.

- Nie mogę być taka wredna - wyrzucam w końcu z siebie drżącym głosem. - Nie mogę. Jestem waszą przyjaciółką. Dobrze się razem bawimy, wychodzimy wieczorem potańczyć, pijemy... - Oczy pieką mnie od łez. Patrzę na twarze, które tak dobrze znam - choć jednak chyba nie - rozpaczliwie próbując wykrzesać z nich jakąś iskrę, nakłonić je, żeby dostrzegły we mnie dawną Lexi.

- To ja! Lexi. Krzywozębula. Pamiętacie mnie?

- Lexi - mówi Fi niemal łagodnie. - Jesteś naszą szefową. Robimy, co nam każesz, ale nie chodzimy razem na lunch. I już nie umawiamy się wieczorami. - Zarzuca torebkę na ramię, a potem wzdycha. - Dobra, możesz dzisiaj iść z nami, jeśli chcesz...

- Nie - odpowiadam dotknięta. - W porządku, dzięki. Odwracam się na drżących nogach i odchodzę.

10

Jestem w szoku i czuję się otepiała.

Przez całą drogę do domu, gdy siedziałam w taksówce, byłam jakby w transie. Zdołałam uzgodnić z Gianną szczegóły przyjęcia i wysłuchałam mamy, która zadzwoniła, żeby poskarżyć się na ostatnią przepychankę z radą. Jest teraz wczesny wieczór, leżę w kąpieli, ale moje myśli wciąż krążą wokół jednego tematu.

Jestem suką z piekła rodem. Przyjaciółki mnie nienawidzą. Co się, do diabła, stało?

Za każdym razem, gdy przypominam sobie jadowity głos Carolyn, wzdrygam się. Bóg wie, co jej zrobiłam, ale najwyraźniej nie ma dla mnie czasu.

Czy rzeczywiście przez te trzy lata zamieniłam się w potwora? Ale jak? Dlaczego?

Woda stygnie, jest już letnia, i w końcu muszę wyjść z wanny. Wycieram się energicznie, próbując dodać sobie wigoru. Ale obsesyjnie myślę tylko o zdarzeniu w firmie, chociaż już szósta, a ja wydaję przyjęcie.

Przynajmniej nie muszę gotować. Kiedy przyjechałam do domu, Gianna krzątała się w kuchni z jedną ze swoich siostrzenic, podśpiewując do wtóru opery, której dźwięki dobiegały ze słuchawek. Półki w lodówce zastawione są półmiskami sushi i tartinkami, a także cudownie pachnącym pieczonym mięsem. Próbowałam się przyłączyć do przygotowań - nieźle wychodzi mi pieczywo czosnkowe - ale wypędziły mnie. Uznałam więc, że najbezpieczniej będzie w wannie.

Zawijam się w czysty ręcznik i przechodzę na palcach do sypialni, a potem zawracam do garderoby, żeby się przebrać. Rany kota. Już wiem, dlaczego bogaci ludzie są tacy szczupli - z powodu tego ciągłego dreptania po swoich ogromniastych chałupach. W moim dawnym mieszkanku w Balham mogłam z łóżka sięgnąć do szafy. I do telewizora. I do tosterka.

Wyjmuję małą czarną, jakąś kusą bieliznę i maleńkie satynowe pantofelki. W mojej garderobie z 2007 roku nie ma dużych rzeczy. Żadnych mięciutkich swetrzysk; żadnych rozdeptanych butów. Wszystko wąskie, dobrze skrojone, do figury.

Wędruję z powrotem do sypialni i rzucam ręcznik na podłogę.

- Cześć, Lexi!

- Aaa! - Podskakuję wystraszona. Wielki ekran naprzeciwko łóżka rozświetlił się i ukazuje się na nim ogromna twarz Erica. Zasłaniam rękami piersi i nurkuję za fotel.

Jestem naga. I on mnie widzi.

To mój mąż, uzmysławiam sobie nerwowo. Widział mnie gołą nieraz, spokojnie.

Ale jakoś nie czuję się swobodnie.

- Ericu, czy ty mnie widzisz? - pytam piskliwym, lekko zduszonym głosem.

- W tej chwili nie. - Śmieje się. - Przełącz się na kamerę.
- Och! Dobra! - mówię z ulgą. - Daj mi sekundkę... Wciągam sukienkę, a potem pospiesznie zbieram ciuchy, które porzuciłam po pokoju. Dość szybko się przekonałam, że Erie nie lubi, gdy coś wala się po podłodze czy na fotelach. I w ogóle nie znosi bałaganu. Prędko wpycham to wszystko pod kołdrę, ciskam na wierzch poduszkę i wygładzam powierzchnię, jak się da.
- Jestem gotowa! - Podchodzę do ekranu i przełączam regulator na kamerę.
- Cofnij się - instruuje mnie Erie, a ja oddalam się od ekranu. - No, teraz cię widzę! Więc tylko jeszcze jedno spotkanie i jadę do domu. Czy wszystko gotowe na przyjęcie?
- Chyba tak!
- Doskonale. - Jego wielkie rozpixselowane usta rozciągają się w nerwowym uśmiechu. - A jak było w pracy?
- Świetnie! - Jakimś cudem udaje mi się zdobyć na wesoły ton. - Widziałam się z Simonem Johnsonem i z całym działem, i z koleżankami...
- Nie kończę, bo nagle robi mi się gorąco z upokorzenia.
- Znakomicie. - Nie jestem pewna, czy Erie w ogóle słucha, co mówię. - A teraz naprawdę powinnaś się przygotować. No to do zobaczenia, kochanie.
- Poczekaj - mówię pod wpływem impulsu. - Ericu...
- To przecież mój mąż. Może słabo go znam, ale on zna mnie. Kocha mnie. Jeśli jest ktoś, komu mogłabym się zwierzyć ze swoich problemów, jeśli ktoś mógłby mnie pocieszyć, to chyba on.
- Słucham cię! - Erie kiwa głową, jego ruchy na ekranie są zwolnione i jakby nerwowe.
- Fi powiedziała mi dzisiaj... - Ledwie potrafię się zmusić, żeby wypowiedzieć te słowa. - Powiedziała, że jestem suką. Czy to prawda?
- Oczywiście, że nie jesteś.

- Naprawdę? - Czuję przypływ nadziei. - Więc nie jestem suką z piekła rodem?

- Kochanie, na pewno nie jesteś suką z piekła rodem.

Mówi z takim przekonaniem, że oddycham z ulgą. Znajdzie się jakieś wytłumaczenie. Może coś się poplątało, nastąpiło nieporozumienie, wszystko będzie dobrze...

- Powiedziałbym, że jesteś... twarda - dodaje.

Pełen ulgi uśmiech zastyga mi na ustach. Twarda? Nie podoba mi się słowo „twarda”.

- To znaczy „twarda” w pozytywnym sensie? - Staram się, żeby zabrzmiało to od niechcienia. -

Twarda, ale życzliwa i miła?

- Kochanie, masz cel. Masz determinację. Trzymasz swój dział żelazną ręką. Jesteś znakomitą szefową. - Uśmiecha się. - Muszę się rozłączyć. Na razie.

Ekran gaśnie, a ja wpatruję się w niego, niespokojna. Właściwie jestem bardziej przerażona niż kiedykolwiek wcześniej.

Twarda. Czy to nie to samo co „suka z piekła rodem”, tylko ujęte inaczej?

Niezależnie od tego, jaka jest prawda, nie mogę pozwolić sobie, żeby mnie przygnębiała. Muszę zachować spokój. Minęła godzina i trochę poprawił mi się nastrój. Włożyłam nowy wisiołek z brylantem, spryskałam się obficie drogimi perfumami. I strzeliłam sobie po kryjomu kieliszek wina, co od razu zmieniło moje spojrzenie na wszystko.

Może więc nie jest tak idealnie, jak sądziłam. Może straciłam przyjaciółki; może Byron dybie na moje stanowisko; może i nie mam pojęcia, kim jest Tony Dukes. Ale potrafię dojść ze wszystkim do ładu.

Nauczę się roboty od nowa. Naprawię stosunki z Fi i resztą dziewczyn. I wyszukam w Goog-lach Tony'ego Dukesa.

Bo w gruncie rzeczy wciąż jestem największą szczęściarą na świecie. Mam wspaniałego męża, udane małżeństwo

i olśniewające mieszkanie. Wystarczy się tylko rozejrzeć! Dziś wieczorem wygląda jeszcze bardziej bajerancko niż zwykle, aż szczęka opada. Przyszła zamówiona florystka i teraz wszędzie stoją kompozycje z lilii i róż. Stół w jadalni został rozłożony i nakryty: srebrne sztuce i kryształ, na środku dekoracja z kwiatów jak na przyjęciu weselnym. Są nawet wizytówki z kaligraficznie wypisanymi nazwiskami przy nakryciach!

Erie powiedział, że to „zwyczajna skromna kolacja”. Bóg wie, jak wyglądają te oficjalne. Może wówczas przychodzi dziesięciu kamerdynerów w białych rękawiczkach albo coś takiego.

Starannie maluję usta szminką Lancôme i usuwam chusteczką jej nadmiar. Po tym wszystkim nie mogę napatrzeć się na siebie w lustrze. Włosy mam upięte, sukienka leży idealnie, w uszach błyszczą brylantowe kolczyki. Wyglądam jak szykowna dziewczyna z reklamy. Jakby w każdej chwili na ekranie pode mną miało pojawić się jakieś hasło.

„Ferrero Rocher. O lepsze rzeczy w życiu”.

„British Gas. Żeby ci było ciepło w twoim modnym apartamencie w stylu loft za miliony funtów”.

Cofam się o krok i światło automatycznie zmienia się z punktowego, nakierowanego na lustro, w bardziej rozproszone, nastrojowe. „Inteligentny system oświetleniowy” w tym pokoju działa wręcz magicznie; lokalizuje cię za pomocą czujników podczerwieni i dostosowuje się odpowiednio.

Mam ochotę wystawić go na próbę, przebiec po pokoju, krzycząc: „Ha! Wcale nie jesteś taki inteligentny, co?”.

Oczywiście, gdy nie będzie Erica.

- Kochanie! - Podskakuję, a kiedy się odwracam, widzę go stojącego na progu w służbowym garniturze. - Wyglądasz cudownie - oświadcza.

- Dzięki! - Rozpływam się z zadowolenia i poprawiam włosy.

- Tylko jeden drobiazg. Teczka stoi w holu. Czy to na

pewno dobry pomysł? - Uśmiech nie schodzi mu z twarzy, ale w jego głosie słyszę rozdrażnienie. Jasny gwint. Musiałam ją tam zostawić. Byłam tak zaabsorbowana po powrocie do domu, że zrobiłam to odruchowo.

- Zaraz ją zabiorę - mówię pośpiesznie. - Przepraszam.

- Dobrze. - Kiwa głową. - Ale najpierw... spróbuj tego. - Podaje mi kieliszek wina rubinowoczerwonej barwy. - To Chateau Branaire-Ducru. Kupiliśmy je podczas naszej ostatniej podróży do Francji.

Chciałbym znać twoją opinię na jego temat.

- Okej. - Staram się, żeby brzmiało to pewnie. - Jasne.

O nie! Co mam powiedzieć? Ostrożnie biorę łyk i zatrzymuję go w ustach, usiłując na gwałt wymyślić jakieś wyszukane określenie dla tego wina. Skórzaste. Dębowe. Dobry rocznik.

Ale jak się nad tym zastanowić, to wszystko chrzaniecie, nie mam racji? Dobra, powiem, że to bosko treściwy rocznik z nutą truskawki. Nie, czarnej porzeczki. Przęłykam wino i kiwam głową ze znanstwem. - No wiesz, myślę, że jest bos...

- Makabra, prawda? - Erie przerywa mi w pół słowa. - Trąci korkiem. Totalna kompromitacja.

Kompromitacja?

- Ach! Eee... no tak! - Odzyskuję równowagę. - Znacznie przeterminowane. Uhhh! - Robię grymas. - Obrzydliwe!

Mało brakowało. Odstawiam kieliszek na boczny stolik i inteligentny system oświetleniowy znowu reaguje.

- Ericu - zaczynam, starając się nie zdradzić irytacji. - Czy moglibyśmy tak nastawić ten system, żeby światło nie zmieniało się przez cały wieczór? Nie wiem, czy to możliwe...

- Wszystko jest możliwe. - Erie sprawia wrażenie trochę urażonego. - Mamy nieograniczony wybór. O to właśnie chodzi w stylu życia a la loft. - Wręcza mi pilota. - Proszę. Możesz sterować systemem, wybrać nastrój, na jaki masz ochotę. A ja zajmę się wyborem wina.

Ruszam do salonu, odnajduję „oświetlenie” na pilocie i zaczynam eksperymentować z „nastrojami”. „Światło dzienne” jest za jasne. „Kino” za ciemne. „Relaks” zbyt mętne... Pstrykam dalej i dalej. „Czytanie”, „disco”...

Mamy oświetlenie w stylu „disco”? Naciskam guzik na pilocie i wybucham śmiechem, gdy pokój zalewają nagle pulsujące, kolorowe snopy światła. Teraz spróbujmy „stroboskop”. Chwilę później w pokoju zaczyna błyskać białe światło, a ja radośnie wykonuję mechaniczny taniec wokół stolika do kawy. Jak w klubie! Dlaczego Erie nie powiedział mi wcześniej, że mamy coś takiego? Może znalazłby się też suchy lód i lustrzana kula...

- Jezu Chryste, Lexi, co ty wyrabiasz! - Głos Erica wypełnia zalany światłem pokój. - Włączyłaś w całym mieszkaniu światła stroboskopowe! Gianna omal nie odrąbała sobie ręki!

- Przepraszam! - Pełna skruchy gmeram przy pilocie i naciskam guziki, aż wraca „disco”. - Nie mówiłeś mi, że mamy światła dyskotekowe i stroboskopowe! To fantastyczne!

- Nigdy ich nie używamy. - Na twarzy Erica przesuwają się kolorowe światła. - Znajdź coś sensownego, na miłość boską. - Odwraca się i znika.

Mamy oświetlenie dyskotekowe i nigdy z niego nie korzystamy? Co za szkoda! Muszę zaprosić na imprezę Fi i resztę. Podamy wino i coś do przegryzienia, usuniemy wszystko z podłogi i nastawimy sprzęt na cały regulator...

Ale nagle serce mi się ściska z żalu. To nie nastąpi prędko. A może w ogóle.

Przygnębiona, zmieniam oświetlenie na „przyjęcie 1”, równie dobre jak każde inne. Odkładam pilota, podchodzę do okna i wyglądam na ulicę, nagle pełna determinacji. Nie poddam się. To moje przyjaciółki. Dowiem się, o co chodzi. A potem pogodzę się z nimi.

Jeśli chodzi o przyjęcie, miałam plan, który przewidywał, że zapamiętam twarz i imię każdego gościa za pomocą techniki wizualizacji. Ale pomysł ten legł w gruzach, gdy tylko zjawili się trzej golfowi koledzy Erica w identycznych garniturach, o identycznych twarzach, z jeszcze bardziej identycznymi żonami, cała szóstka o imionach typu Greg i Mick, Suki i Pooky. Natychmiast zaczęli rozmawiać o wyjeździe narciarskim, na którym najwyraźniej byliśmy wszyscy.

Popijam drinka i dużo się uśmiecham, a kiedy przybywa jeszcze dziesięć osób naraz, kompletnie tracę rozeznanie, kto jest kim, z wyjątkiem Rosalie, która wpadła na chwilę, przedstawiła mi swojego męża Clive'a - wcale niewyglądającego na potwora, łagodnego faceta w garniturze - a potem gdzieś popędziła.

Po jakimś czasie zaczyna mi dzwonić w uszach i trochę kręci mi się w głowie. Gianna serwuje drinki, jej siostrzenica częstuje gości tartinkami i wszystko wydaje się pod kontrolą. Przepraszam więc mamroczącym głosem łysiejącego faceta, który opowiada mi o elektrycznej gitarze Micka Jaggera, którą właśnie kupił na aukcji dobroczynnej, oddalam się dyskretnie i wychodzę na taras.

Kilka razy głęboko wdycham chłodne powietrze, ale wciąż mam zawroty głowy. Zapada szaroniebieski zmrok i zaczynają włączać się lampy uliczne. Gdy tak spoglądam na Londyn, tracę poczucie rzeczywistości. Czuję się jak ktoś, kto gra rolę dziewczyny w eleganckiej sukience, stojącej na eleganckim tarasie z kieliszkiem szampana w dłoni.

- Pozwól, że przedstawię ci Jona, mojego architekta. -Erie prowadzi ciemnowłosego mężczyznę w czarnych dżinsach i grafitowej lnianej koszuli.

- Miło mi... - zaczynam automatycznie, a potem urywam. - Hej, my się znamy! - wykrzykuję, z ulgą widząc znajomą twarz. - Nie myślę się, prawda? Znajomy z parkingu.

Na twarzy faceta pojawia się dziwny wyraz. Coś jak rozczarowanie. Kiwa głową.

- Tak, *zgadza się*. Jestem tym facetem od samochodu.
 - Jon to nasz twórczy duch - mówi Erie, klepiąc go po plecach. - Ma talent. Ja mam może zmysł finansowy, ale to on... - Przerywa na chwilę. - To on zapoznał świat ze stylem życia a la loft. - Wypowiadając te słowa, znowu macha rękami, jakby przestawiał cegły.
 - Fantastyczne! - Staram się wykazać entuzjazm. Wiem, że na tym polega biznes Erica i w ogóle, ale określenie „styl życia a la loft” zaczyna mnie wkurzać.
 - Jeszcze raz dziękuję za wczorajszą pomoc. - Uśmiecham się uprzejmie do Jona. - Naprawdę uratowałeś mi życie! - Zwracam się do Erica: - Nie mówiłam ci, kochanie, ale próbowałam uruchomić samochód i o mało nie uderzyłam w mur. Jon mi pomógł.
 - Cała przyjemność po mojej stronie. - Jon podnosi do ust drinka. - Więc nadal nic nie pamiętasz?
 - Nic. - Kręcę przecząco głową.
 - To musi być dziwne uczucie.
 - Owszem... ale zaczynam się przyzwyczajać. A Erie bardzo mi pomaga. Nawet napisał dla mnie niezbędnik małżeński, żeby pomóc mi w przypomnieniu sobie wszystkiego. To coś w rodzaju wademekum, podzielonego na rozdziały i w ogóle.
 - Niezbędnik? - powtarza Jon i kręci nosem. - Mówisz poważnie? Niezbędnik?
 - Tak, niezbędnik. - Patrzę na niego podejrzliwie.
 - A, jest Graham. - Erie nie słucha naszej rozmowy. - Muszę mu coś powiedzieć, przepraszam was... - Wchodzi do środka, zostawiając mnie z Jonem architektem.
- Nie wiem, co jest z tym facetem. To znaczy, nie znam go, ale coś mnie w nim niepokoi.
- Co jest złego w niezbędniku małżeńskim? - słyszę własny stanowczy głos.
 - Nic. Zupełnie nic. - Kręci głową. - To bardzo rozsądny

pomysł. Bo inaczej mogłabyś nie wiedzieć, kiedy powinniście się pocałować.

- Jakbyś zgadł! Erie poświęcił cały rozdział... - Nie kończę. - Jon krzywi usta, jakby usiłował powstrzymać śmiech. Uważa, że to śmieszne? - Taki niezbędnik dotyczy bardzo różnych obszarów - mówię lodowatym tonem. - I służy nam obojgu. Sam rozumiesz, Ericowi też nie jest łatwo z żoną, która zupełnie go nie pamięta! A może o tym nie pomyślałeś?

Cisza. Rozbawienie znika z jego twarzy.

- Wierz mi - mówi w końcu. - Świetnie to rozumiem. - Opróżnia szklanę, a potem przez chwilę wpatruje się w jej dno. Unosi wzrok i mam wrażenie, że chce coś powiedzieć, a potem, gdy drzwi na taras się rozsuwają, zmienia zdanie.

- Lexi! - Rosalie podchodzi do nas chwiejnym krokiem z kieliszkiem w ręce. - Cudowne tartinki!

- Och... dzięki! - mówię, z zakłopotaniem przyjmując pochwały za coś, do czego nie przyłożyłam ręki.

- Jeszcze nie próbowałam. Naprawdę dobre?

Rosalie jest trochę skonsternowana.

- Nie mam pojęcia, kotku. Ale wyglądają rewelacyjnie. Słuchajcie, Erie mówi, że zaraz siadamy do stołu.

- O Boże! - Budzi się we mnie poczucie winy. - Zostawiłam go z tym samego. Lepiej wrócę do środka. A w ogóle, czy wy się znacie? - dodaję, gdy ruszają za mną.

- Jasne - odpowiada Jon.

- Jon i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi - wyjaśnia Rosalie słodko. - Prawda, kotku?

- To na razie. - Jon kiwa głową, przyspiesza kroku i znika za szklanymi drzwiami.

- Okropny człowiek. - Rosalie patrzy za nim z krzywą miną.

- Okropny? - powtarzam ze zdziwieniem. - Erie chyba go lubi.

- Och, Erie tak - mówi pogardliwie. - Clive też uważa go

za Bóg wie kogo. Jest wizjonerem, zdobywa nagrody i tak dalej, i tak dalej. - Odrzuca głowę do tyłu. - Ale to najbardziej arogancki facet, jakiego znam. Kiedy go poprosiłam, żeby złożył datek na moją imprezę dobroczynną, odmówił. A nawet mnie wyśmiał.

- Wyśmiał? - pytam zdumiona. - To straszne! A jaki był cel zbiórki?

- Impreza nazywała się Dzień z Jabłkiem - wyjaśnia dumnie. - Sama na to wpadłam. Idea była taka, żebyśmy co roku dawali jabłko każdemu z uczniów z biedniejszych dzielnic. Jabłka mają mnóstwo witamin i minerałów! Takie proste, a takie genialne, prawda?

- Cóż... rzeczywiście ciekawy pomysł - mówię ostrożnie. - I co, wypaliło?

- Na początku szło dobrze - opowiada Rosalie z irytacją. - Rozdaliśmy tysiące jabłek, mieliśmy specjalne koszulki i vana z jabłkiem w logo. Zabawa była świetna! Dopóki rada miejska nie zaczęła przysyłać nam kretyńskich listów o porzuconych na ulicach owocach, w których podobno legło się robactwo.

- O kurczę. - Przygryzam wargę. Prawdę mówiąc, i mnie chce się śmiać.

- Widzisz, na tym polega problem z działalnością dobroczynną - mówi ponuro Rosalie, ścisząc głos.

- Ci lokalni biurokraci wcale nie chcą pomocy.

Dochodzimy do rozsuwanych, drzwi i spoglądam na tłum gości. Dwadzieścia twarzy, których nie znam, śmieje się, rozmawia i wykrzykuje wzajemnie do siebie. Widzę błysk biżuterii i słyszę niskie męskie śmiechy.

- Nie martw się. - Rosalie kładzie mi rękę na ramieniu. - Erie i ja mamy plan. Wszyscy wstaną i przedstawią ci się przy kolacji. - Marszczy brwi. - Kotku, wyglądasz na niezadowoloną.

- Ależ skąd! - Układam usta do uśmiechu. - Wcale nie! To kłamstwo. Jestem bardzo wkurzona. Gdy odnajduję

moje miejsce przy długim szklanym stole, skłaniając głowę i uśmiechając się do pozdrawiających mnie ludzi, czuję się jak w jakimś dziwnym śnie. Wszyscy oni są rzekomo moimi przyjaciółmi. Znają mnie, ale ja widzę ich pierwszy raz w życiu.

- Lexi, kochanie. - Ciemnowłosa kobieta odciąga mnie na bok, gdy podchodzę do mojego krzesła. - Mogę coś ci powiedzieć? - Ścisza głos prawie do szeptu. - Byłam z tobą przez cały dzień piętnastego i dwudziestego pierwszego, dobra?

- Ze mną? - powtarzam, nic nie rozumiejąc.

- Tak. Gdyby Christian cię o to zapytał. Christian, mój mąż. - Wskazuje łysiejącego osobnika zajmującego miejsce naprzeciwko faceta od gitary Micka Jaggera.

- W porządku. - Trawię to przez chwilę. - Naprawdę byliśmy wtedy razem?

- Jasne, że tak! - odpowiada po krótkiej chwili. - Jasne, że byliśmy razem, kochanie! - Ścisza mi rękę i odchodzi.

- Panie i panowie. - Erie wstaje u drugiego końca lśniącego stołu i szmer rozmów cichnie, gdy wszyscy zajmują miejsca. - Witamy w naszym domu. Lexi i ja bardzo się cieszymy, że mogliście do nas przyjść.

Wzrok wszystkich wędruje w moim kierunku, a ja uśmiecham się, zmieszana.

- Jak wiecie, Lexi nadal dają się we znaki skutki wypadku, to znaczy szwankuje jej pamięć. - Erie uśmiecha się ze smutkiem. Facet naprzeciwko parska śmiechem, ale natychmiast ucisza go żona. - Proponuję więc, żeby każde z was przedstawiło się jej. Wstańcie, podajcie swoje imię i może jakiś pamiętny szczegół, który was łączy.

- Czy zdaniem lekarzy to pomoże Lexi odzyskać pamięć? - pyta poważnie wyglądający facet, siedzący po mojej prawej stronie.

- Tego nikt nie wie - odpowiada Erie. - Ale musimy spróbować. Kto chciałby zacząć?

- Ja! Ja zacznę! - mówi Rosalie, zrywając się od stołu. -

Lexi, jestem Rosalie, twoja najlepsza przyjaciółka, co już wiesz. A łączące nas pamiętne wydarzenie nastąpiło wtedy, gdy położono nam wosk i dziewczynę trochę poniosło... -Zaczyna chichotać. - Twoja twarz...

- Co się stało? - pyta kobieta w czerni.

- Nie mogę powiedzieć przy wszystkich! - Rosalie sprawia wrażenie urażonej. - Ale wierzcie mi, to było naprawdę coś godnego zapamiętania. - Spogląda z szerokim uśmiechem wokół stołu, a potem siada.

- Dobrze - mówi Erie trochę zbity z tropu. - Kto następny? Charlie?

- Jestem Charlie Mancroft. - Wstaje mężczyzna siedzący obok Rosalie i skłania głowę, patrząc na mnie. - Pamiętna rzecz zdarzyła nam się, gdy pojechaliśmy wszyscy do Went-worth. Montgomerie uzyskał o jeden poniżej par na osiemnastym dołku. To była niezwykła rozgrywka. - Patrzy na mnie wyczekująco.

- Oczywiście! - Nie mam pojęcia, o czym on mówi. Golf? Albo snooker. - Eee... dziękuję.

Siada, a wtedy wstaje szczupła dziewczyna, która zajmuje miejsce obok niego.

- Witaj, Lexi. - Macha do mnie lekko. - Jestem Natalie. I naszym pamiętnym wspomnieniem był twój ślub.

- Naprawdę? - pytam zaskoczona i wzruszona. - Ojej.

. - To był taki radosny dzień! - Przygryza wargę. - Wyglądałaś pięknie i pomyślałam: „Tak właśnie chciałabym wyglądać podczas mojego ślubu”. Oczekiwałam, że Matthew oświadczy mi się tego dnia, ale nie zrobił tego. - Jej uśmiech tężeje.

- Jezu, Natalie! - mamrocze facet siedzący po drugiej stronie stołu. - Tylko nie to.

- Nie! W porządku! - wykrzykuje dziewczyna wesoło. -Już się zaręczyliśmy! Po zaledwie trzech latach! - Pokazuje mi brylantowy pierścionek. - I będę miała suknię jak ty! Dokładnie taką samą, od Very Wang, z białymi...

- Świetnie się spisałaś, Natalie! - pośpiesznie włącza się Erie. - Chyba powinniśmy iść dalej. Jon, teraz twoja kolej.

Wstaje Jon, który siedzi naprzeciwko mnie.

- Cześć - mówi swoim powściągliwym głosem. - Jestem Jon. Poznaliśmy się wcześniej. - Milknie.

- No i co, Jon? - podpowiada Erie. - Jakie pamiętne zdarzenie łączy cię z Lexi?

Jon przez chwilę patrzy na mnie przenikliwie swoimi ciemnymi oczami i zaczynam się zastanawiać, co zamierza powiedzieć. Drapie się po szyi, marszczy brwi i upija łyk wina, jakby intensywnie rozmyślał. W końcu rozkłada ręce.

- Nic nie przychodzi mi do głowy.

- Nic? - Mimo woli czuję się lekko dotknięta.

- Zupełnie nic? - pyta Erie zachęcająco. - Jakiś szczególny moment, który przeżyliście...

Wszyscy patrzą na Jona. On znowu marszczy czoło, potem wzrusza ramionami, najwyraźniej zapędzony w kozi róg.

- Nic takiego sobie nie przypominam - oświadcza w końcu. - Nic, co mógłbym przywołać.

- Musi być coś takiego, Jon - mówi z przejęciem dziewczyna siedząca po przeciwnej stronie stołu.

- Nie sądzę. - Uśmiecha się do niej półgębkiem.

- No dobrze - rezygnuje Erie z pewnym zniecierpliwieniem. -Nieważne. Idźmy dalej.

Zanim wszyscy zebrani wokół stołu przedstawili się i zaprezentowali swoją anegdotkę, zapomniałam już, kim są ci, którzy wystąpili na wstępie. Ale to przecież dopiero początek. Gianna i jej siostrzenica podają carpaccio z tuńczyka, rakiętkę i pieczone gruszki, a ja rozmawiam z niejakim Ralphem o jego sprawie rozwodowej. Potem talerze zostają zebrane i Gianna obchodzi stół, zbierając zamówienia na kawę. - Ja zaparzę kawę - mówię, zrywając się z miejsca. -Miałaś tyle roboty tego wieczoru, Gianno. Odpocznij trochę. Czułam się coraz bardziej niezręcznie, widząc, jak ona biega wokół stołu z ciężkimi półmiskami. Nikt jej nawet nie

zauważał, gdy tak krążyła. A ten okropny facet, Charlie, warknął na nią, gdy chciał jeszcze wody.

- Lexi! - mówi Erie ze śmiechem. - To naprawdę niekonieczne.

- Ależ ja chcę - odpowiadam z uporem. - Gianni, usiądź. Zjedz ciasta albo coś. Przecież mogę zaparzyć kilka filiżanek kawy. Naprawdę, proszę cię.

Gianna wydaje się zmieszana.

- No to pójdę i przetrzepię pościel - mówi w końcu i rusza do sypialni, a za nią jej siostrzenica.

Nie to miałam na myśli, mówiąc, żeby trochę odpoczęła. Ale trudno.

- No dobrze. - Uśmiecham się do gości. - Kto ma ochotę na kawę? Ręce w górę... - Zaczynam liczyć tych, którzy się zgłosili. - A może ktoś chciałby herbaty miętowej?

- Ja ci pomogę - proponuje nagle Jon, odsuwając krzesło.

- Och - mówię zaskoczona. - Dobrze... W porządku. Dzięki.

Idę do kuchni, nalewam wody do czajnika i włączam go. Potem zaglądam do szafek w poszukiwaniu filiżanek. Może mamy jakąś specjalną szpanerską zastawę na przyjęcia. Zaglądam szybko do niezbędniaka małżeńskiego, ale nic na ten temat nie mogę znaleźć.

Tymczasem Jon kręci się po kuchni, z grymasem na twarzy, jakby błądził myślami gdzieś daleko, i wcale mi nie pomaga.

- Wszystko w porządku? - pytam wreszcie w przypiływie irytacji. - Raczej nie wiesz, gdzie są filiżanki do kawy, mam rację?

Jon jakby nie słyszał pytania.

- Halo?! - Macham mu ręką przed nosem. - Czy nie miałeś mi pomóc?

W końcu przystaje i patrzy na mnie z jeszcze dziwniejszym wyrazem twarzy.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć - zaczyna. - Więc chy-

ba powiem wprost. - Bierze głęboki oddech, a potem znowu jakby zmienia zdanie i podchodzi bliżej, patrząc na mnie badawczo. - Naprawdę nie pamiętasz? To nie jest jakaś gierka, którą ze mną prowadzisz?

- Co takiego miałabym pamiętać? - pytam zaskoczona.

- No dobrze. No dobrze. - Odwraca się i znowu zaczyna krążyć po kuchni, wsuwając palce we włosy i mierzwiąc je na czubku głowy. W końcu znowu odwraca się ku mnie. - No więc tak. Kocham cię.

- Co takiego? - Patrzę na niego skonsternowana.

- A ty kochasz mnie - ciągnie, nie dając mi czasu, żebym mogła powiedzieć coś więcej. - Jesteśmy kochankami.

- Kotku! - Drzwi otwierają się gwałtownie i Rosalie wsadza głowę. - Jeszcze dwie herbaty miętowe i kawa bezkofe-inowa dla Clive'a.

- Już idę! - mówię zdławionym głosem.

Rosalie znika i drzwi zamykają się głośno. Zapada cisza, najbardziej krępująca, jaką pamiętam. Nie mogę wykonać żadnego ruchu ani nic powiedzieć. To śmieszne, ale mój wzrok stale wędruje do leżącego na bufecie niezbędnika, jakbym tam mogła znaleźć odpowiedź.

Jon podąża za moim spojrzeniem.

- Przypuszczam - mówi sucho że tam nie ma o mnie wzmianki.

Dobra. Muszę się pozbierać.

- Ja... nie rozumiem - mówię, starając się odzyskać równowagę. - Co to znaczy „kochankami”? Chcesz mi powiedzieć, że mamy romans?

- Spotykamy się od ośmiu miesięcy. - Nie spuszcza ze mnie spojrzenia swoich ciemnych oczu. - Zamierzasz dla mnie odejść od Erica.

Nie mogę powstrzymać się od parsknięcia śmiechem. Ale natychmiast zasłaniam usta ręką.

- Przepraszam. Nie chciałam być niegrzeczna, ale... miałabym zostawić Erica? Dla ciebie?

Zanim Jon zdąży odpowiedzieć, drzwi otwierają się znowu.

- Hej, Lexi? - Wchodzi facet o czerwonej twarzy. - Mogę prosić wody mineralnej?

- Proszę. - Wciskam mu dwie butelki.

Drzwi się zamykają i Jon wsuwa ręce do kieszeni.

- Zamierzałaś powiedzieć Ericowi, że nie możesz być z nim dłużej - wyjaśnia coraz szybciej. - Miałas go opuścić, poczyniliśmy plany... - Urywa i oddycha głęboko. - A potem przydarzył ci się ten wypadek. Nagle jego twarz staje się śmiertelnie poważna. On nie żartuje!

- Ale to śmieszne!

Przez chwilę Jon wygląda tak, jakbym go spoliczkowała.

- Śmieszne?

- Tak, śmieszne! Nie jestem typem kobiety niewiernej. Poza tym mam świetne małżeństwo, fantastycznego męża, jestem szczęśliwa...

- Nie jesteś szczęśliwa z Erikiem. - Jon nie pozwala mi dokończyć. - Wierz mi.

- Ależ oczywiście, że jestem - odpowiadam ze zdumieniem. - On jest przemiły! Wręcz idealny!

- Idealny? Lexi, on nie jest idealny.

- Dla mnie wystarczająco - odcinam się, nagle wkurzona. Co ten facet sobie myśli? Za kogo się uważa? Zakłóca mi zabawę na przyjęciu i mówi, że mam z nim romans? - Posłuchaj, Jon... kimkolwiek jesteś. Nie wierzę ci. Nie mogłam mieć kochanka, rozumiesz? Mam wymarzone małżeństwo. Żyję jak w bajce!

- Jak w bajce? - Jon przeciera ręką czoło, jakby usiłował zebrać myśli. - Tak sądzisz?

Ten facet wytrąca mnie z równowagi.

- Oczywiście, że tak! - Macham rękami, wskazując kuchnię. - Rozejrzyj się tylko! Popatrz na Erica!

To jest fantastyczne! Dlaczego miałabym wszystko porzucić dla jakiegoś...

Urywam nagle, bo znowu ktoś otwiera drzwi.

- Kochanie. - Erie uśmiecha się w progę. - Co z tą kawą?
 - Zaraz będzie - mówię nerwowo. - Przepraszam, mój drogi.
- Odwracam się, żeby ukryć rumieniec na twarzy, i drżącymi rękami zaczynam wsypywać kawę do dzbanka. Żeby ten facet wreszcie sobie poszedł!
- Ericu, obawiam się, że muszę już iść - mówi Jon, jakby czytał w moich myślach. - Dzięki za wspaniały wieczór.
 - Jon, chłopie! - Słyszę, że Erie klepie go po ramieniu. -Zdzwonimy się jutro, musimy pogadać ó tym zebraniu na temat planów.
 - Dobrze - odpowiada Jon. - Do widzenia, Lexi. Miło mi było poznać cię na nowo.
 - Do widzenia, Jon. - Jakimś cudem udaje mi się odwrócić do niego z uśmiechem miłej gospodyni. - Cieszę się, że mogliśmy się zobaczyć.
- Jon nachyla się i lekko całuje mnie w policzek.
- Nic nie wiesz o swoim życiu - mruczy mi do ucha, a potem, nie oglądając się, wychodzi z kuchni.

11

To nie może być prawda.

Światło poranka przebija przez zasłony, i nie śpię już, ale jeszcze nie chce mi się wstać. Patrę w sufit, oddychając równo, wdech-wydech. Wydaje mi się, że jeśli będę leżała spokojnie, to może burza myśli w mojej głowie ucichnie i będzie jak zwykle.

Wszystko jednak wskazuje na to, że ta teoria jest do kitu.

Za każdym razem, gdy odtwarzam w pamięci wczorajsze wydarzenia, dostaję zawrotów głowy.

Wydawało mi się, że zaczynam się odnajdywać w tym moim nowym życiu. Wydawało mi się, że powoli wszystko się układa. Ale teraz mam

wrażenie, że wszystko się sypie i rozpada. Fi twierdzi, że jestem suką z piekła rodem. Jakiś facet wmawia mi, że mam z nim romans. I co jeszcze? Odkryję, że jestem agentką FBI? To nie może być prawda, i koniec. Dlaczego miałabym zdradzać Erica? Jest przystojny i troskliwy, ma miliony i umie prowadzić łódź wyścigową. Gdy tymczasem Jon jest toporny. I trochę... niemiły. A ta jego uwaga, że nic nie wiem o swoim życiu, to bezczelność! Wiem mnóstwo o swoim życiu, wielkie dzięki. Wiem, gdzie się czeszę, wiem, jaki mieliśmy tort na przyjęciu weselnym, wiem, jak często Erie i ja uprawiamy seks... To wszystko jest w niezbędniku. Zresztą czy to nie arogancja? Nie przychodzi się przecież do czyjegoś domu i nie mówi kobiecie: Jesteśmy kochankami" podczas przyjęcia, które ona wydaje razem z mężem. Jeśli już, to wybiera się inny moment. Pisze się liścik. Nie, nie pisze się liściku. Raczej... No, nieważne. Przestań się nad tym zastanawiać. Siadam, wciskam guzik, żeby zasłony rozsunęły się automatycznie, i przeczesuję palcami włosy, krzywiąc się, gdy trafiam na splątane. Ekran naprzeciwko mnie jest ciemny, w pokoju panuje niepokojąca cisza. Po moim mieszkanku w Balham, w którym hulały przeciągi, życie w tak hermetycznym pudełku wciąż wydaje mi się dziwne. Według niezbędnika nie otwieramy okien, bo zakłóca to funkcjonowanie klimatyzacji. Ten Jon musi być jakiś psychiczny. Pewnie namierza kobiety, które cierpią na amnezję, i wmawia im, że jest ich kochankiem. Nic przecież nie wskazuje na to, że mamy romans. Nic kompletnie. Nie natknęłam się na nic, co miałoby z nim jakiś związek, na żadne listy, notatki, zdjęcia, po prostu nic. Ale... przecież bym ich nie zostawiła w żadnym dostępnym miejscu, bo Erie mógłby je znaleźć, prawda? - mówi cichy głos gdzieś w mojej głowie.

Przez chwilę siedzę nieruchomo, pogrążona w myślach. Potem pod wpływem impulsu zrywam się z łóżka i biegnę do garderoby. Pospiesznie podchodzę do toaletki i szarpnięciem otwieram górną szufladę. Jest pełna kosmetyków Chanel, poukładanych porządnie przez Giannę. Zasuвам szufladę i wyciągam następną, w której znajdują się z kolei poskładane apaszki i szaliki. Kolejna kryje kasetkę na biżuterię i oprawiony w zamsz album na zdjęcia, pusty.

Powoli wsuwam szufladę. Nawet tutaj, w moim prywatnym sanktuarium, wszystko jest poukładane, sterylne i jakby bezosobowe. Żadnego bałaganu? Gdzieś powinien być! Gdzie podziewają się listy i zdjęcia? Gdzie są moje wszystkie nabijane ćwiekami paski i darmowe szminki z obciachowych pism? Gdzie jestem... ja sama?

Podpieram się łokciem, obgryzając przez chwilę paznokieć. Wtedy doznaję olśnienia. Szuflada z bielizną! Gdybym chciała coś ukryć, to właśnie tam. Otwieram szafę i wysuwam szufladę z majtkami. Zanurzam dłoń w jedwabnym morzu marki La Perła, ale nic nie wyczuwam. Ani w szufladzie ze stanikami...

- Szukasz czegoś?

Słyszając głos Erica, podskakuję. Odwracam głowę i widzę, że stoi w drzwiach i patrzy na mnie, więc od razu czerwienieją mi policzki.

On wie.

Nie, nie wie. Nie bądź głupia. Co miałby wiedzieć?

- Cześć, Ericu! - Wyjmuję ręce z szafy tak nonszalancko, jak tylko umiem. - Właśnie pomyślałam, że poszukam... pewnego stanika!

No właśnie, to jest główny powód, dla którego nie mogę mieć romansu. Kłamię jak ostatnia ofiara. Dlaczego miałabym szukać „pewnego stanika”? Nagle wyrosło mi sześć cycków?

- Tak się właśnie zastanawiałam... - ciągnę nerwowo - czy gdzieś jeszcze mogą być moje szpargały?

- Szpargały? - Erie marszczy brwi.

- Listy, terminarze, tego rodzaju rzeczy?
- Może w biurku w gabinecie. Trzymasz tam wszystkie służbowe dokumenty.
- Oczywiście. - Zapomniałam o gabinecie. Albo uznałam, że to raczej królestwo Erica.
- Wczorajszy wieczór był moim zdaniem bardzo udany. -Erie robi kilka kroków w głąb pokoju. - Brawo, kochanie. To pewnie nie jest dla ciebie łatwe.
- Było całkiem przyjemnie. - Przysiadam na piętach, bawiąc się paskiem od zegarka. - Przyszło kilku... interesujących ludzi.
- Nie przytłoczyło cię spotkanie tylu osób naraz?
- Troszkę. - Posyłam mu pogodny uśmiech. - Ale jeszcze dużo muszę się dowiedzieć.
- Wiesz, że możesz mnie zapytać o wszystko. Po to tu jestem. - Erie rozkłada ręce. - Coś cię niepokoi? Przez chwilę patrzę na niego bez słowa. „Nie wiesz przypadkiem, czy nie pieprzę się z twoim architektem?”
- Hmm. - Chrząkam. - Skoro pytasz, to tak się właśnie zastanawiałam. Jesteśmy razem szczęśliwi, prawda? Stanowimy szczęśliwe... wierne... małżeństwo? Wydaje mi się, że subtelnie wtrąciłam słówko „wierne”, ale Erie od razu zastrzygł uszami.
- Wierne? - Marszczy brwi. - Lexi, nigdy cię nie zdradziłem. Nigdy by mi to nawet nie przyszło do głowy. Przysięgaliśmy sobie. Podjęliśmy zobowiązanie.
- Oczywiście! - wołam pospiesznie. - Absolutnie.
- Nie mogę sobie nawet wyobrazić, że coś takiego przeszło ci przez myśl. - Wygląda na wstrząśniętego. - Czy ktoś sugerował, że jest inaczej? Któryś z gości? Bo ktokolwiek to był...
- Nie! Nikt nic nie mówił! Tylko... wszystko jest dla mnie takie nowe i dziwne... - Płacę się, czerwona na twarzy. - Pomyślałam, że zapytam. Tak z ciekawości.

W porządku, nie łączy nas żaden otwarty nowoczesny związek. Tak na wszelkie wypadek, gdybym chciała wiedzieć.

Zamykam szufladę ze stanicami, otwieram następną na chybił trafił i z mętlikiem w głowie patrzę na trzy rzędy zrolowanych rajstop. Powinnam czym prędzej porzucić ten temat i więcej go nie poruszać. Ale nie mogę się powstrzymać, muszę go zgłębić.

- Więc... eee... ten facet. - Sztucznie marszczę czoło, jakbym nie mogła sobie przypomnieć imienia. - No, ten architekt.

- Jon.

- Ach, Jon. Oczywiście. Sprawia wrażenie dobrego fachowca. - Wzruszam ramionami, starając się, aby wyglądało to obojętnie.

- Och, jest jednym z najlepszych - odpowiada Erie z przekonaniem. - Nasz sukces jest w dużej części jego zasługą. Ten facet ma większą wyobraźnię niż ktokolwiek inny, kogo znam.

- Wyobraźnię? - Chwytam się tego słowa jak tonący brzytwy. - Więc może czasami ta wyobraźnia go ponosi? Nie jest... trochę fantastą?

- Nie. - Erie wydaje się zaskoczony. - Ależ skąd. To moja prawa ręka. Powierzyłbym Jonowi własne życie.

Ku mojej uldze, zanim Erie zdąży zapytać, skąd to nagłe zainteresowanie Jonem, rozlega się przenikliwy dźwięk telefonu.

Erie znika w sypialni, żeby odebrać, a ja starannie zamykam szufladę. Już mam zrezygnować z przetrząsania szafy, gdy nagle zauważam coś, czego nie widziałam wcześniej, ukrytą szufladę u spodu całego segmentu, z maleńką klawiaturą z boku. Czyżbym miała tajemny schowek?

Serce zaczyna szybciej bić mi w piersi. Powoli wyciągam rękę i wystukuję szyfr, którego zawsze używam na przykład jako numeru PIN - 4591. Rozlega się ciche pstryknięcie i szuflada jest otwarta. Zerkając na drzwi, aby sprawdzić, czy

nie ma w pobliżu Erica, ostrożnie sięgam do niej i trafiam na coś twardego, jakby rączkę... To pejcz. Na moment zastygam w bezruchu. Mały pejcz, z paskami czarnej skóry, jakby prosto z sex-shopu dla sado-maso. Jestem porażona jego widokiem w mojej dłoni. Czyżby to był mój pejcz do zabaw z kochankiem? Czyżbym zmieniła się w kompletnie inną osobę? Stałam się fetyszystką, która w nabijanym ćwiekami gorsecie chodzi do barów dla sado-maso i wrywa facetów?

Nagle czuję na sobie czyjś wzrok i odwróciwszy się, widzę, że Erie stoi oparty o framugę. Jego spojrzenie pada na pejcz, a wtedy unosi zagadkowo brwi.

- Och! - mówię w panice. - Ja to... znalazłam tutaj! Nie mam pojęcia...

- Lepiej schowaj go z powrotem, żeby Gianna nie znalazła. - Wydaje się rozbawiony.

Mój skołowany mózg pracuje na pełnych obrotach. Erie wie o pejczu. Uśmiecha się. To by więc oznaczało, że... Nie. To nie wchodzi w grę. To nie wchodzi w grę, nie, nie, nie, nie!

- W niezbędniku nie było o tym mowy, Ericu! - Staram się, żeby zabrzmiało to lekko, żartobliwie, ale w moim głosie znalazła się ostra nuta.

- Nie o wszystkim jest mowa w niezbędniku. - W jego oczach pojawiają się błyski.

Okej, to zmienia sprawę. Myślałam, że jest tam wszystko.

Nerwowo spoglądam na pejcz. Więc... jak to jest? Ja go chłosczyć? Czy on...

Nie. Nie mogę o tym myśleć. Chowam pejcz do szuflady i zamykam ją. Mam spocone ręce.

- O tak, dobrze. - Erie puszcza do mnie oko. - Trzymaj go w bezpiecznym miejscu. Do zobaczenia wieczorem. - Wychodzi i chwilę później słyszę, że zatrząskują się drzwi.

Chyba muszę sobie strzelić małą wódkę.

W końcu zadowolam się filiżanką kawy i dwoma biszkoptami, które Gianna wysupłała dla mnie z prywatnych zapasów. Boże, jak się stęskniłam za biszkoptami. I chlebem. I tostami. Oddałabym życie za tost, chrupki i złocisty, grubo posmarowany masłem...

Nieważne. Koniec z fantazjami o węglowodanach. Koniec z myśleniem o pejczu. Jeden mały pejczyk. I co z tego?

O jedenastej przychodzi z wizytą mama, ale do tego czasu nie mam się czym zająć. Krążę po salonie, siadam na oparciu nieskazitelnej sofy i otwieram czasopismo. Po dwóch minutach odkładam je.

Jestem zbyt zdenerwowana, żeby czytać. Mam wrażenie, że w moim idealnym życiu pojawiły się pęknięcia. Nie wiem już, w co mam wierzyć. Nie wiem, co mam robić.

Odstawiam filiżankę z kawą i patrzę na moje nieskazitelne paznokcie. Byłam zwyczajną dziewczyną z kręconymi włosami, krzywymi zębami i beznadziejnym chłopakiem. Miałam kiepską pracę, przyjaciółki, z którymi mogłam się pośmiać, i przytulne mieszkanie.

A teraz... Muszę drugi raz zerknąć do lustra, gdy tylko zobaczę swoje odbicie. Nie widzę natomiast odbicia swojej osobowości w tym mieszkaniu. Występ w telewizji... wysokie obcasy... przyjaciółki, które nie chcą mnie znać... facet, który twierdzi, że jest moim kochankiem... Nie wiem, kim się stałam. Nie pojmuję, co, do cholery, się ze mną porobiło.

Zostawiam czasopismo i pod wpływem nagłej myśli idę do gabinetu. Widzę moje biurko, lśniące czystością, z krzesłem wsuniętym porządnie pod blat. Nigdy nie miałam takiego biurka; nic dziwnego, że go nie poznaję. Siadam przy nim i otwieram pierwszą szufladę. Jest pełna listów, starannie powkładanych do plastikowych segregatorów. Druga zawiera wyciągi z konta, spięte niebieską gumką.

Rany kota. Od kiedy to jestem taką pedantką?

Otwieram ostatnią, największą szufladę, spodziewając się

znaleźć w niej porządnie poustawiane buteleczki korektora albo coś w tym rodzaju, ale jest pusta z wyjątkiem dwóch skrawków papieru.

Wyjmuję wyciągi bankowe i przeglądam je. Oczy mi się szeroko otwierają, gdy widzę, ile wynosi moje miesięczne wynagrodzenie - co najmniej trzy razy tyle, ile zarabiałam poprzednio. Większość pieniędzy z mojego osobistego konta jest przelewana na nasze wspólne konto z Erikiem, oprócz jednej poważnej sumy, która wpływa miesięcznie na rachunek o nazwie „Unito Acc”. Muszę się dowiedzieć, co to jest.

Odkładałam wyciągi bankowe i sięgam do dolnej szuflady po te dwa skrawki papieru. Jeden pokryty jest moim pismem, ale notatki są tak skrótowe, że nic z nich nie rozumiem. Przypominają prawie kod. Drugi to fragment papieru kancelaryjnego, na którym widnieją dwa słowa napisane przeze mnie ołówkiem:

„Chciałabym tylko...”

Patrzę na nie, zaintrygowana. Co takiego? Co takiego bym chciała?

Obracając karteluszkę w dłoni, próbuję wyobrazić sobie siebie samą, gdy pisałam te słowa. Kiedy to było? Rok temu? Sześć miesięcy? Trzy tygodnie? O czym wtedy myślałam?

Rozlega się brzęczyk, wyrywając mnie z zamyślenia. Składam starannie papier i wkładam do kieszeni. Potem zatrząskuję szufladę i wychodzę.

Mama przyprowadziła ze sobą trzy psy, wielkie, kipiące energią whippety. Do nieskazitelnie czystego mieszkania pełnego nieskazitelnie czystych rzeczy.

- Cześć, mamó! - Odbieram od niej wysłużoną pikowaną kurtkę i próbuję pocałować ją na

przywitanie, gdy dwa psy wyrywają się jej i pędzą w kierunku sofy. - O rany. Przyszłaś... z psami!

- Biedactwa wyglądały na takie smutne, gdy wychodzi-

łam. - Obejmuje jednego z nich i przytula policzek do jego pyska. - Agnes czuje się teraz trochę bezradna...

- Ach tak - mówię, starając się, żeby zabrzmiało to współczująco. - Biedna, pocziwa Agnes. Może wróciłaby do samochodu?

- Moja droga, nie mogę jej tak po prostu zostawić! - Mama unosi bezradny wzrok. - Nie było mi łatwo zorganizować tę wyprawę do Londynu.

Och, na litość boską. Wiem, że nie miała ochoty dzisiaj przyjechać. Ta cała wizyta jest wynikiem nieporozumienia. Powiedziałam jedynie przez telefon, że trochę dziwnie się czuję w otoczeniu obcych osób, a mama zaraz przeszła do obrony i poinformowała, że oczywiście miała zamiar mnie odwiedzić. I w efekcie umówiliśmy się na dziś.

Z przerażeniem zauważam, że jeden z psów kładzie łapę na stoliku do kawy, gdy tymczasem drugi leży na kanapie i zaczyna gryźć poduszkę.

Jezu! Jeśli sofa jest warta dziesięć tysięcy funtów, to sama poduszka pewnie z tysiąc.

- Mamo, mogłabyś kazać temu psu zejść z kanapy?

- Raphael nie wyrządzi żadnej szkody! - zapewnia mama z lekką urazą. Puszczą Agnes, która biegnie w podskokach, żeby dołączyć do Raphaela i tego drugiego, jakkolwiek się wabi.

I teraz trzy whippety baraszkują rozkosznie na ulubionej sofie Erica. Lepiej, żeby nie włączał w najbliższym czasie kamery.

- Masz może dietetyczną colę? - W drzwiach pojawia się Amy z rękami w kieszeniach.

- Tak, w kuchni - odpowiadam z roztargnieniem, wyciągając gwałtownie ręce. - Hej, psy! Złazić z kanapy!

Wszystkie trzy mnie ignorują.

- Chodźcie do mnie, maleńkie! - Mama wyjmuje jakieś ciasta dla psów z kieszeni swetra i psy magicznym sposobem przestają gryźć obicie. Jeden przysiada u jej stóp, a dwa po-

została łaszą się do niej, opierając pyski na jej wyblakłej spódnicy we wzorki.

- No już - mówi mama. -1 nic złego się nie stało. Spoglądam na sfatygowaną poduszkę, którą Raphael właśnie upuścił. Szkoda nawet mówić cokolwiek na ten temat.

- Nie ma dietetycznej coli. — Amy wyłania się z kuchni, odwijając z papierka lizaka Chupa Chups. Jej nogi wydają się nieskończenie długie w białych obcisłych dżinsach, wetkniętych w botki. - A jest sprite?

- Może być. - Patrzę na nią, bo nagle coś mnie tknęło. -Nie powinnaś być w szkole?

- Nie. - Amy wsadza do ust lizaka, wyzywająco wruszając ramionami.

- Dlaczego? - Spoglądam najpierw na nią, potem na mamę, momentalnie wyczuwając napięcie.

Żadna z nich nie odpowiada. Mama dokładnie poprawia aksamitną opaskę na włosach, jakby ułożenie jej odpowiednio było dla niej absolutnym priorytetem. Ma nieobecne spojrzenie.

- Amy ma pewne problemy - odpowiada w końcu. -Prawda, Raphael?

- Zawieszono mnie. - Moja siostra podchodzi do krzesła, siada na nim i opiera nogi na stoliku do kawy.

- Zawieszono? Dlaczego?

Cisza. Mama jakby mnie nie słyszała.

- Mamo, jak to się stało?

- Obawiam się, że Amy wróciła do swoich dawnych sztuczek - odpowiada mama, lekko krzywiąc usta.

- Dawnych sztuczek?

Jedynymi sztuczками Amy, jakie pamiętam, były sztuczki karciane, bo kiedyś dostała na Boże Narodzenie talię magicznych kart. Widzę ją w różowej kraciastej piżamce i kapciach króliczkach, jak siedzi przed kominkiem i prosi, żeby wyciągnąć kartę, a my wszyscy udajemy, że nie widzimy tej drugiej, którą ukryła w rękawie.

Ogarnia mnie żal. Amy była takim słodkim dzieckiem.

- Co zrobiłaś, Amy?

- Nic takiego! Och, trochę poniosły ich nerwy. - Amy wyjmuję z ust lizaka i wzdycha z demonstracyjną wyrozumiałością. - Tylko przyprowadziłam tę wróżkę do szkoły.

- Wróżkę?

- Och. - Amy patrzy mi w oczy z uśmiechem. - Tę kobietę, którą poznałam w klubie. Nie wiem, czy rzeczywiście jest medium i ma zdolności parapsychiczne, ale wszyscy nam uwierzyli. Zgarnęłam po dziesiątaku od dziewczyn, a ona powiedziała każdej z nich, że jutro pozna swojego chłopaka.

Wszystkie były uszczęśliwione. Ale któryś z nauczycieli się połapał.

- Po dziesiątaku? - Patrzę na nią z niedowierzaniem. - Nic dziwnego, że wpadłaś w kłopoty!

- To moje ostatnie wspomnienie - rzuca dumnie.

- Ale dlaczego? Amy, co jeszcze zrobiłaś?

- Och, nie tak wiele! Tylko... w wakacje zebrałam pieniądze dla nauczycielki od matmy, pani Winters, która leżała w szpitalu. - Amy wzrusza ramionami. - Powiedziałam, że jest bliska końca, i wszyscy zrobili zrzutę. Zebrałam ponad pięćset funciaków. - Parska śmiechem. - Ale numer!

- Kochanie, to wyłudzenie pieniędzy poprzez oszustwo. - Mama jedną ręką bawi się bursztynowym naszyjnikiem, a drugą głaszcze psa. - Pani Winters była bardzo zmartwiona.

- Dałam jej czekoladki, no nie? - odcina się Amy bez żadnej skruchy. - A w ogóle to wcale nie kłamałam. Podczas liposukcji można umrzeć.

Próbuję coś powiedzieć, ale jestem zbyt wstrząśnięta. Jak to się stało, że moja mała, bystra, niewinna siostrzyczka zmieniła się w... kogoś takiego?

- Potrzebuję jakiegoś balsamu do ust - mówi Amy, zdejmując nogi ze stolika. - Mogę sobie wziąć z twojej toaletki?

- Uhm, jasne. - Gdy tylko wychodzi z pokoju, zwracam

się do mamy: - Co się dzieje? Od jak dawna Amy ma tego rodzaju kłopoty?

- Och... od kilku lat. - Mama nie patrzy na mnie, tylko na psa, który siedzi u jej stóp. - To naprawdę dobra, kochana dziewczyna, prawda, Agnes? - mówi. - Tylko zeszła na manowce. Kilka starszych dziewcząt namówiło ją do kradzieży, to naprawdę nie była jej wina...

- Kradzieży? - powtarzam z przerażeniem.

- Uhm. - Mama robi zboląłą minę. - To było niefortunne zdarzenie. Wzięła kurtkę innej uczennicy i przyszyła z tyłu tasiemkę ze swoim nazwiskiem. Ale potem naprawdę okazała żal.

- Ale... dlaczego?

- Kochanie, tego nikt nie wie. Bardzo przeżyła śmierć ojca i od tego czasu zaczęły się kłopoty. Nie wiem, jak zareagować. Może nastolatki, które tracą ojca, schodzą czasami na złą drogę.

- Ale, ale! Mam coś dla ciebie, Lexi. - Mama wsuwa rękę do płócienną torby i wyjmuję DVD w zwykłym plastikowym pudełku. - To ostatnie słowa twojego ojca. Przed operacją nagrał pożegnanie, tak na wszelki wypadek. Zostało odtworzone na pogrzebie. Jeśli nie pamiętasz, chyba powinnaś je zobaczyć. - Podaje mi płytę w dwóch palcach, wskazującym i kciuku, jakby była skażona.

Biorę DVD i patrzę na nie. Ostatnia wiadomość od taty. Wciąż nie mogę uwierzyć, że nie żyje od trzech lat.

- To będzie tak, jakbym znowu go zobaczyła. - Obracam płytę w dłoniach. - Jakie to dziwne, że zostawił nagranie.

- Uhm. Tak. - Mama znowu ma tę swoją niespokojną minę. - Wiesz, jaki był ojciec. Zawsze chciał znajdować się w centrum uwagi.

- Mamo! Chyba na własnym pogrzebie można być w centrum wydarzeń.

Mama po raz kolejny sprawia wrażenie, że nie słyszy. To jej zwykłe zagranie, gdy ktoś zaczyna mówić o czymś, czego

ona nie chce słuchać. Rozmowa wówczas zamiera i mama zmienia temat. Oczywiście, po chwili unosi głowę i mówi:

- Możesz pomóc Amy, kochanie. Miałaś załatwić jej staż u siebie w pracy.

- Staż? - Marszczę czoło z powątpiewaniem. - Mamo, nie wiem, czy to najlepszy pomysł.

Moja sytuacja w pracy jest wystarczająco skomplikowana i bez Amy kręcącej się w pobliżu.

- Tylko na tydzień albo dwa. Mówiłaś, że rozmawiałaś, z kim trzeba, i wszystko jest uzgodnione...

- Może i tak - przerywam jej pospiesznie. - Ale teraz sytuacja wygląda inaczej. Jeszcze nawet nie wróciłam do pracy, muszę poznać ją na nowo...

- Świetnie sobie radzisz, jeśli chodzi o karierę - mówi mama przekonująco.

Taaak, spisałam się fantastycznie. Jednym zręcznym skokiem przebyłam odległość od zastępcy zastępcy do suki z piekła rodem.

Na chwilę zapada cisza, słychać tylko psy buszujące w kuchni. Boję się myśleć, co tam robią.

- Mamo, tak się właśnie zastanawiałam... - zaczynam. - Usiłuję poskładać swoje życie z fragmentów... i jakoś mi to nie wychodzi. Dlaczego wystąpiłam w tym programie telewizyjnym? Dlaczego w ciągu jednej nocy stałam się twarda i ambitna? Nie rozumiem tego.

- Nie mam pojęcia. - Mama wydaje się zaabsorbowana poszukiwaniem czegoś w torebce. - Naturalny rozwój zawodowy.

- Ależ wcale nie był naturalny. - Pochyliłam się do przodu, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. - Nigdy nie byłam typem przebojowej kobiety, nastawionej na karierę, przecież wiesz. Dlaczego nagle się tak zmieniłam?

- Kochanie, to było już tak dawno temu, naprawdę nie pamiętam... Czy nie jesteś dobrą dziewczynką? Nie jesteś najśliczniejszą dziewczynką na świecie?

Ona mówi do jednego z psów, uświadamiam sobie nagle. Znowu mnie nie słuchała. Typowe.

Unoszę wzrok i widzę, że Amy zbliża się z przeciwległej strony pokoju, wciąż z lizakiem w ustach.

- Amy, Lexi właśnie mówiła, żebyś przyszła na staż do jej biura! - woła mama wesoło. - Chciałabyś?

- Może za jakiś czas - wtrącam szybko. - Gdy wrócę do pracy.

- Uhm. Czemu nie? - Nie sprawia wrażenia ani trochę wdzięcznej.

- Ale musiałabyś przestrzegać pewnych podstawowych zasad - dodaję. - Nie mogłabyś naciągać moich kolegów. Ani ich obrabiać.

- Ja nie kradnę! - Amy wygląda na obrażoną. - To była tylko ta jedna kurtka, a zresztą i tak wyniknęło to z nieporozumienia. Jezu.

- Moja droga, nie tylko kurtka, pamiętasz? - zauważa mama po krótkiej chwili. - Jeszcze tamte kosmetyki...

- Wszyscy myślą o mnie jak najgorzej. Za każdym razem, gdy coś ginie, jestem pierwszą podejrzaną.

- Oczy Amy błyszczą w jej bladej twarzy. Kuli swoje szczupłe ramiona i nagle czuję wyrzuty sumienia. Ma rację. Oceniam ją, nie znając faktów.

- Przepraszam - mówię niezręcznie. - Jestem pewna, że nie kradniesz.

- Nieważne. - Opuszcza wzrok. - Możesz mnie winić za wszystko, jak robią inni.

- Nie. Nie będę. - Podchodzę do okna, do miejsca, gdzie stoi Amy. - Naprawdę chciałabym cię przeprosić, wiem, jak musiało ci być trudno po śmierci taty... No, chodź. - Wyciągam ramiona, żeby ją przytulić.

- Zostaw mnie w spokoju - mówi niemal wrogo.

- Ależ, Amy...

- Idź sobie! - Cofa się gwałtownie, unosząc ręce, jakby chciała mnie odepchnąć.

- Jesteś moją małą siostrzyczką! - Pochylam się i obejmuję ją mocno, ale natychmiast odskakuje, rozcierając sobie żebra. - Au! Co, do diabła... Coś ty taka kanciasta?

- Wcale nie - mówi Amy po sekundzie wahania.

- Owszem, tak! - Patrzę na jej powypychaną kurtkę. - Co, u licha, masz w kieszeniach?

- Puszki z żarciem - odpowiada gładko. - Tuńczyk i kukurydza.

- Kukurydza? - Patrzę na nią, zbита z tropu.

- Tylko nie to znowu! - Mama przymyka oczy. - Amy, co podprowadziłaś Lexi?

- Dajcie mi spokój! - krzyczy Amy. - Nic nie wzięłam! Obronnym gestem wyrzuca ręce w górę i z kieszeni kurtki

wypadają dwie szminki Chanel, a za nimi puder w kompakcie. Łądują z rumorem na podłogę i wszystkie trzy gapimy się na nie.

- To moje? - pytam w końcu.

- Nie - odpowiada wojowniczo Amy, ale robi się czerwona.

- Ależ tak!

- Nawet byś nie zauważyła. - Ponuro wzrusza ramionami. - Masz tysiące tych cholernych szminek.

- Och, Amy - mówi mama ze smutkiem. - Wywróć kieszenie.

Posyłając jej zabójcze spojrzenie, Amy zaczyna opróżniać kieszenie. Wykłada całą ich zawartość na stolik do kawy, stukając każdą rzeczą o blat. Dwa nienapoczęte jeszcze kremy nawilżające. Świeca Jo Malone. Cały zapas podkładów. Perfumy Christiana Diora w zestawie prezentowym. W milczeniu patrzę na nią i na jej łup, wybałuszając oczy.

- A teraz zdejmij koszulkę - rozkazuje mama jak jakiś celnik.

- To nie w porządku - mamrocze Amy.

Zdejmuje T-shirt i szczeka mi opada. Pod spodem, wciśniętą w dzinsy, ma obcisłą sukienkę od Armaniego, którą

widziałam w mojej garderobie. W pasie zapięła sobie z pięć staników La Perła, przy których wiszą, jak wisiorki u bransoletki, dwie wieczorowe torebki z koralików.

- Wzięłaś sukienkę? - Tłumię chichot. - 1 staniki?

- Dobra. Chcesz tę sukienkę z powrotem? W porządku. - Zdejmuje to wszystko i rzuca na stolik. -

Zadowolona? - Unosi głowę i widzi moją minę. - To nie moja wina. Mama nie daje mi forsy na ciuchy.

- Amy, to bzdury! - ostro woła mama. - Masz mnóstwo ubrań!

- Wszystkie są niemodne! - wrzeszczy na mamę w sposób wskazujący, że już wcześniej kłóciły się o to. - Nie żyjemy w takim cholernym zakrzywieniu czasoprzestrzeni jak ty! Moda się zmienia! Kiedy wreszcie do ciebie dotrze, że mamy już dwudziesty pierwszy wiek? - Wskazuje sukienkę mamy. - Jest tragiczna!

- Amy, przestań! - rzucam pospiesznie. - Nie o to chodzi. A tak w ogóle, to przecież te staniki nie nadają się dla ciebie!

- Można je sprzedać na eBayu - odcina się pogardliwie. - To znaczy te eleganckie, drogie.

Wtyka w spodnie koszulkę, siada na podłodze i zaczyna wystukiwać esemesa na klawiaturze telefonu komórkowego.

Jestem skołowana. . - Amy - mówię w końcu - może powinniśmy pogadać. Mamo, nie poszłabyś do kuchni i nie zaparzyła kawy albo co?

Mama wygląda na totalnie wytraconą z równowagi i chyba z wdzięcznością umyka. Po jej wyjściu siadam na podłodze naprzeciwko Amy, która ma naprężone ramiona i nie podnosi wzroku.

Dobra. Będę musiała wykazać zrozumienie i współczucie. Wiem, że między mną a Amy jest duża różnica wieku. Wiem, że nie pamiętam znacznego fragmentu jej życia, ale przecież jesteśmy siostrami.

- Amy, posłuchaj - mówię głosem pełnej zrozumienia,

choć dość surowej dorosłej siostry. - Nie możesz kraść, rozumiesz? Nie możesz wyłudzać pieniędzy od ludzi.

- Odwal się - odpowiada, nie podnosząc głowy.

- Wpadniesz w kłopoty. Już zawieszono cię w obowiązkach szkolnych!

- Odpieprz się ode mnie - mówi towarzyskim tonem. -Odpieprz się. Odpieprz się, odpieprz się, odpieprz się.

- Posłuchaj! - wołam, starając się zachować cierpliwość. -Wiem, że w życiu bywa ciężko. Pewnie czujesz się samotna tylko z mamą w domu. Ale jeśli będziesz chciała o czymś porozmawiać, jeśli będziesz miała jakieś problemy, masz mnie. Możesz do mnie zadzwonić, wysłać mi esemesa, w każdej chwili. Możemy umówić się na kawę albo pójść razem do kina... - Nie kończę.

Amy wciąż jedną ręką pisze esemesa. Drugą powoli robi gest „pieprz się”.

- Och, sama się pieprz! - wołam z wściekłością, obejmując rękami kolana. Głupia krowa. Jeżeli mama myśli, że przyjmę ją do siebie na staż, to jest w błędzie.

Przez dłuższą chwilę siedzimy w ponurej ciszy. Potem wyciągam rękę po DVD z pożegnalnym przesłaniem taty, przesuwam się po podłodze i wkładam płytę do odtwarzacza. Wielki ekran naprzeciwko ożywa i po chwili ukazuje się twarz taty.

Patrzę na ekran jak oniemiała. Tata siedzi w fotelu, ma na sobie czerwony elegancki szlafrok. Nie poznaję otoczenia, ale przecież nigdy nie byłam w żadnych z licznych domów taty. Twarz ma wymizerowaną, taką, jaką zapamiętałam z czasów, gdy zachorował. Można było odnieść wrażenie, że powoli uchodzi z niego powietrze. Ale jego zielone oczy błyszczą; w dłoni trzyma cygaro.

„Cześć - mówi zachrypniętym głosem. - To ja. Hmm. To wiecie. - Śmieje się cicho, a potem zanosi się suchym kaszlem, który tłumi, zaciągając się cygarem, jakby popijał wodę. - Wszyscy wiemy, że operacja daje pięćdziesiąt procent

szans. Sam doprowadziłem się do takiego stanu. Dlatego pomyślałem, że nagram dla was, moich bliskich, to małe przesłanie, na wszelki wypadek".

Przerywa i pociąga ze szklanki potężny łyk whisky. Widzę, że ręka mu się trzęsie, gdy odstawia szklaneczkę. Wiedział, że umrze? Czuję dławienie w gardle. Zerkam na Amy. Odłożyła telefon i też patrzy jak porażona.

„Żyćcie sobie dobrze - mówi tata do kamery. - Bądźcie szczęśliwe. Bądźcie dobre dla siebie nawzajem. Barbaro, przestań żyć życiem tych swoich cholernych psów. To nie ludzie. Nigdy cię nie pokochają, nie będą cię wspierać ani chodzić z tobą do łóżka. Chyba że będziesz już bardzo zdesperowana".

Zasłaniam ręką usta.

- Nie powiedział tego!

- Powiedział. - Amy parska śmiechem. - Mama wyszła. „Macie tylko jedno życie, moje kochane. Nie zmarnujcie

go". Patrzy w obiektyw błyszczącymi oczami i nagle przypominam go sobie z czasów, gdy był znacznie młodszy; odbierał mnie wtedy ze szkoły sportowym samochodem. Pokazywałam go wszystkim: „Ten pan to mój tata!". Dzieciakom zapierało dech w piersiach na widok wozu, a ich matki zerkwały ukradkiem na ojca w eleganckiej lnianej marynarce i z hiszpańską opalenizną.

„Wiem, że tu i tam spieprzyłem sprawy - mówi dalej tata. - Wiem, że nie byłem dobrym ojcem. Ale z ręką na sercu mogę powiedzieć, że naprawdę się starałem. No to cyk, moje drogie. Do zobaczenia na tamtym świecie". Unosi szklankę do kamery i popija whisky. Potem ekran gaśnie.

Odtwarzacz DVD wyłącza się automatycznie, ale Amy i ja nadal siedzimy bez ruchu. Patrząc na ciemny ekran, czuję się jeszcze bardziej samotna niż przedtem. Tata nie żyje. Nie żyje od trzech lat. Nigdy już z nim nie porozmawiam. Nigdy już nie podaruję mu prezentu na urodziny. Nigdy już nie poproszę go o radę. Nie, żeby można było prosić ojca o radę

w jakiejś innej kwestii niż kupno seksownej bielizny dla kochanki, ale zawsze. Spoglądam na Amy, która odpowiada na moje spojrzenie wzruszeniem ramion.

- To było naprawdę miłe przesłanie - mówię, postanawiając, że nie popadnę w sentymentalizm, nie rozpłaczę się ani nic. - Tata był dobrym człowiekiem.

- Uhm. - Amy kiwa głową. - Tak.

Lód między nami zaczyna topnieć. Amy sięga do torebki po małą kasetkę na kosmetyki z napisem „Babe” z brylancików na wieczku. Wyjmuje kredkę do ust i patrząc w lusterko, z wprawą pociąga nią wargi. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby się malowała, chyba że podczas zabaw w przebieranki. Amy nie jest już dzieckiem, myślę, obserwując ją. Niebawem stanie się dorosła. Mam świadomość, że dziś nie jest między nami najlepiej, ale może w przeszłości była moją przyjaciółką.

Nawet powierniczką.

- Amy - zagaduję cicho, ostrożnie. - Dużo ze sobą rozmawiałyśmy przed wypadkiem? No wiesz, we dwie. O... różnych sprawach. - Zerkam w stronę kuchni, żeby się upewnić, że mama nie słyszy.

- Trochę. - Wzrusza ramionami. - O różnych sprawach, to znaczy o czym?

- Właśnie się zastanawiam... - mówię całkiem naturalnym głosem. - Słuchaj, czy wspominałam kiedykolwiek o facecie imieniem... Jon?

- Jon? - Amy zastyga ze szminką w ręce. - To ten, z którym chodziłaś do łóżka?

- Słucham?! - wykrzykuję. - Jesteś tego pewna? O mój Boże. To prawda.

- Uhm. - Amy sprawia wrażenie zaskoczonej moją reakcją. - Powiedziałaś mi o tym w sylwestra.

Byłaś trochę zalana.

- Co jeszcze ci mówiłam? - Serce wali mi jak młotem. - Powiedz, co pamiętasz.

- Opowiedziałaś wszystko! - Oczy jej się rozjaśniają. -

Wszystkie drastyczne szczegóły. To był twój pierwszy raz, on zgubił prezerwatywę i umierałaś ze strachu na szkolnym boisku...

- Szkolnym boisku? - Patrzę na Amy, starając się coś z tego zrozumieć. - Chodzi ci... Czy ty nie mówisz o Jamesie?

- A tak! - Cmoka, uświadamiając sobie pomyłkę. - Właśnie o nim. O Jamesie. O tym z zespołu rockowego, z czasów szkolnych. A o kim miałabym mówić? - Kończy malować usta i patrzy na mnie z nagłym zainteresowaniem. - Kto to jest Jon?

- Nikt - odpowiadam pospiesznie. - To tylko... taki znajomy. Zupełnie nieważny.

Sami widzicie. Brak dowodów. Gdybym rzeczywiście miała romans, pozostałby jakiś ślad. Liścik, zdjęcie, zapis w terminarzu. Amy by coś wiedziała...

No i przecież jestem szczęśliwa z Erikiem. To jest argument.

Już wieczór. Mama i Amy wyszły jakiś czas temu, gdy w końcu udało nam się wywabić jednego whippeta z balkonu, a drugiego z jacuzzi Erica, gdzie walczył z ręcznikiem. A teraz jadę samochodem z Erikiem wzdłuż nabrzeża. Erie umówił się z Avą, swoją projektantką wnętrz, więc zaproponował, żebym pojechała z nim i zobaczyła pokazowe mieszkanie w jego ostatnim apartamentowcu „Blue 42”. Wszystkie apartamentowce Erica noszą nazwę „Blue” z numerem. To znak firmowy. Okazuje się, że znak firmowy to zasadnicza sprawa w powodzeniu przedsięwzięcia, jakim jest styl życia à la loft, podobnie jak odpowiednia muzyka po wejściu do każdego z mieszkań czy odpowiednie sztuce na stole. Najwyraźniej Ava jest geniuszem, jeśli chodzi o dobór sztuców.

Dowiedziałam się o niej z niezbędnika małżeńskiego. Ma czterdzieści osiem lat, jest rozwiedziona, przez dwadzieścia lat pracowała w Los Angeles, napisała serię książek o takich

tytułach jak *Frędzle* czy *Widelec* i projektuje wszystkie pokazowe mieszkania dla firmy Erica.

- Ericu, słuchaj - mówię podczas jazdy. - Przeglądałam dziś wyciągi bankowe. Zdaje się, że regularnie przelewam pieniądze na rachunek jakiegoś Unito. Zadzwoiłam do banku i dowiedziałam się, że to konto zagraniczne.

- Uhm. - Erie kiwa głową, ale nie wykazuje zainteresowania.

Czekam, żeby powiedział coś jeszcze, ale on włącza radio.

- Nie wiesz nic na ten temat? - pytam, próbując przekrzyczeć wiadomości.

- Nie. - Wzrusza ramionami. - Ale to niezły pomysł -przelewanie części pieniędzy za granicę.

- Okej. - Nie jestem zadowolona z odpowiedzi; mam dziwną ochotę podrażnić ten temat. Chociaż nie wiem dlaczego.

- Muszę zatankować. - Erie zjeżdża z drogi na stację BP. -To potrwa tylko chwilę...

- Hej - mówię, gdy otwiera drzwi. - Mógłbyś mi kupić w sklepie czipsy? Sól i ocet, jeśli będą.

- Czipsy? - Odwraca się do mnie i patrzy, jakbym poprosiła o heroinę.

- Tak, czipsy.

- Kochanie. - Erie jest zdumiony. - Nie jadasz czipsów. To jest zapisane w niezbędniku. Nasz dietetyk zaleca produkty niskowęglowodanowe i wysokobiałkowe.

- Wiem... Ale każdy może sobie od czasu do czasu zrobić jakąś przyjemność, no nie? A ja mam ochotę na czipsy.

Przez chwilę Erie nie wie, co powiedzieć.

- Lekarze ostrzegali mnie, że możesz zachowywać się nieracjonalnie, postępować w sposób dla siebie nietypowy -mówi niemal do siebie.

- Nie ma nic nieracjonalnego w zjedzeniu paczki czipsów! - protestuję. - To nie trucizna.

- Kochanie, chodzi mi tylko o twoje dobro - Erie przy-

biera czuły ton. - Wiem, ile wysiłku kosztowało cię zejście o dwa numery niżej. Wydaliśmy dużo pieniędzy na twojego osobistego trenera. Jeśli chcesz to wszystko zmarnować z powodu paczki czipsów, to twoja wola. Jesteś pewna, że chcesz, bym je kupił?

- Tak - odpowiadam trochę bardziej wyzywająco, niż miałam zamiar.

Widzę, że na twarzy Erica pojawia się irytacja, którą szybko pokrywa uśmiechem.

- Żaden problem. - Zatrzaszkuje drzwi z hałasem.

Po kilku minutach wychodzi energicznym krokiem ze sklepu, niosąc paczkę czipsów.

- Masz. - Rzuca mi ją na kolana i włącza silnik.

- Dziękuję! - Uśmiecham się z wdzięcznością, ale nie wiem, czy to zauważyła. Gdy rusza, próbuję otworzyć paczkę, ale lewą rękę mam jeszcze nie całkiem sprawną po wypadku i nie mogę rozerwać folii. W końcu przytrzymuję jej rożek zębami, mocno ciągnąc paczkę prawą ręką i... cała zawartość eksploduje w powietrze.

Cholera! Wszędzie czipsy. Na fotelach, desce rozdzielczej i na Ericu.

- Jezu! - Erie ze złością kręci głową. - We włosach też je mam?

- Przepraszam - mówię cicho, otrzepując mu marynarkę. - Naprawdę bardzo przepraszam...

W samochodzie rozchodzi się zapach czipsów. Mmm. Smakowity.

- Będę musiał oddać wóz do czyszczenia. - Erie marszczy nos z niesmakiem. - I mam zatłuszczoną marynarkę.

- Przykro mi - mówię ze skruchą po raz kolejny, strzepując ostatnie okruchy z ramienia Erica. - Zapłacę za to czyszczenie. - Opadam na oparcie, biorę okazałego czipsa, który wylądował mi na kolanach, i wkładam go do ust.

- Jesz to?! - Głos Erica brzmi tak, jakby tego już było za wiele.

- Upadł mi na kolana - tłumaczę. - Jest czysty! Jedziemy dalej w milczeniu. Zjadam ukradkiem jeszcze kilka czipsów, starając się je chrupać najciszej, jak się da.

- To nie twoja wina - mówi Erie, patrząc przed siebie na drogę. - Doznałaś urazu głowy. Trudno oczekiwać, że od razu wrócisz do normy.

- Czuję się jak najbardziej normalna - odpowiadam.

- Oczywiście, że tak. - Protekcyjnie poklepuje mnie po ręce, a ja sztywnieję.

Dobra, może jeszcze nie całkiem doszłam do siebie. Ale wiem, że zjedzenie paczki czipsów nie świadczy o chorobie psychicznej. Zamierzam właśnie powiedzieć o tym Ericowi, gdy włącza kierunkowskaz i skręca ku bramie otwieranej automatycznie, która rozsuwa się przed nami. Wjeżdża na mały parking i wyłącza silnik.

- Jesteśmy na miejscu. - Słyszę dumę w jego głosie. Wskazuje za okno. - To nasze najmłodsze dziecko.

Unoszę głowę i patrzę jak urzeczona, zapominając o czip-sach. Przed nami wznosi się nowiutki biały budynek. Ma zaokrąglone balkony, markizę i czarne granitowe schody, prowadzące do ogromnych dwuskrzydłowych drzwi obramowanych srebrem.

- Ty to zbudowałeś? - pytam w końcu.

- Nie własnymi rękami. - Śmieje się. - Chodź. Otwiera drzwi, strzepując ze spodni ostatnie okruchy, a ja w milczeniu podążam za nim, będąc pod wrażeniem. Drzwi otwiera nam portier w uniformie.

Foyer wyłożone jest jasnym marmurem i ozdobione białymi filarami. Tu jest jak w pałacu.

- Zdumiewające. Co za przepych! - Zauważam najdrobniejsze detale, jak inkrustowane obramowania, malowidło na suficie, przedstawiające niebo.

- Penthouse ma własną windę. - Skinąwszy głową portierowi, Erie prowadzi mnie na koniec holu, a następnie do pięknej windy z intarsjami. - W podziemiach jest basen, si-

łownia i sala kinowa dla mieszkańców. Chociaż, oczywiście, większość mieszkań ma własne, prywatne siłownie i sale kinowe - dodaje.

Zerkam na niego szybko, żeby sprawdzić, czy nie żartuje, ale nie wydaje mi się. Prywatna siłownia i sala kinowa? W mieszkaniu?

- No to jesteśmy...

Winda otwiera się z cichutkim brzęknięciem i wchodzimy do kolistego, wyłożonego lustrami holu. Erie naciska lekko jedno z luster, które okazuje się drzwiami. Uchylają się przed nami, i znowu odbiera mi mowę.

Mam przed sobą pokój największy z możliwych. Nie. Przestrzeń. Ma okna od podłogi do sufitu, kominiek wysokości człowieka na jednej ze ścian, a na drugiej gigantyczny stalowy arkusz, po którym spływają kaskady wody.

- To prawdziwa woda? - pytam głupio. - W domu? Erie się śmieje.

- Nasi klienci lubią takie instalacje. Zabawne, co? - Bierze pilota, kieruje go na instalację z wodospadem, i natychmiast woda zostaje zalana niebieskim światłem. - Zaprogramowano dziesięć rodzajów oświetlenia. Ava? - woła.

Chwilę później z wnętrza obok instalacji wyłania się chuda jasnowłosa kobieta w okularach bez oprawek, w szarych spodniach i białej bluzce.

- Witajcie! - mówi z amerykańskim akcentem. - Lexi! Jesteś już na nogach, cała i zdrowa! - Ujmuje mnie za rękę obiema dłońmi. - Słyszałam o wszystkim. Biedactwo.

- Nic mi nie jest, naprawdę. - Uśmiecham się. - Na nowo składam życie z odłamków. - Zataczam ręką wokół pokoju. - To niesamowite! Ta woda i w ogóle...

- Woda to motyw przewodni w całym tym apartamencie - wyjaśnia Erie. - Przestrzegamy ściśle zasad feng-shui, prawda, Ava? To bardzo ważne dla niektórych superzłotokontowców.

- Superzłotokontowców? - pytam, zdezorientowana.

- Najbogatszych klientów - tłumaczy Erie. - Naszej grupy docelowej.

- Feng-shui to dla nich sprawa o zasadniczym znaczeniu - Ava z przejęciem kiwa głową. - Ericu, właśnie odebrałam dostawę rybek do głównego pokoju. Są wspaniałe! Każda warta trzysta funtów - dodaje pod moim adresem. - Specjalnie je wypożyczyliśmy.

Superzłotokontowcy czy jak im tam. Wypożyczone rybki. Zupełnie inny świat. Nie wiedząc, jak zareagować, rozglądam się po tym olbrzymim pomieszczeniu. Widzę owalny bar, obszar wypoczynkowy w obniżeniu podłogi i szklaną rzeźbę zwieszającą się z sufitu. Nie wyobrażam sobie, ile takie mieszkanie może kosztować. I nie chcę wiedzieć.

- Zobacz. - Ava podaje mi misterny model wykonany z papieru i małych drewnianych elementów. - To cały budynek. Zwróć uwagę, że w zaokrąglonych barierkach balkonów odtworzyłam muszelkowe obróbki ozdobnych poduszek -dodaje. - Art deco w zderzeniu z Gaultierem.

- Fantastyczne! - Gwałtownie szukam w głowie czegoś, co mogłabym powiedzieć na temat art deco w zderzeniu z Gaultierem, ale, niestety, bezskutecznie. - Jak na to wszystko wpadłaś? - Wskazuję instalację z wodospadem, którą teraz zalewa pomarańczowe światło. - To znaczy, jak to wymyśliłaś?

- Och, to nie ja. - Ava kręci przecząco głową. - Moja działka to wyściełane meble, tkaniny, detale ozdobne działające na zmysły. Generalna koncepcja wnętrza to już dzieło Jona.

Czuję skurcz w środku.

- Jona? - Przechyliłam głowę, udając, najlepiej, jak potrafię, że nic mi to nie mówi, jakby „Jon” było dla mnie nieznanym słowem z obcego języka.

- Jon Blythe - podpowiada Erie. - Architekt. Był u nas na przyjęciu, pamiętasz? Potem chyba nawet pytałaś mnie o niego.

- Naprawdę? - pytam po króciutkiej chwili. - Jakoś... nie przypominam sobie. - Obracam model budynku w palcach, starając się nie zważać na rumieniec, który oblewa mi twarz.

To śmieszne. Zachowuję się jak pełna poczucia winy niewierna żona.

- Jon, gdzie jesteś?! - woła Ava. - Właśnie rozmawiamy o tobie!

On tu jest? Mimowolnie ściskam w rękach model. Nie chcę widzieć tego faceta. A on nie chce widzieć mnie. Muszę znaleźć jakąś wymówkę i zwać...

Ale już za późno. Oto on. Sodzi wielkimi krokami, ubrany w dżinsy i granatowy sweter z wycięciem w szpic, patrząc na trzymaną w ręku kartkę.

Dobra. Tylko spokój. Wszystko pod kontrolą. Jesteś szczęśliwą mężatką i nie masz żadnych dowodów, że łączy cię z tym facetem potajemny flirt, przygoda czy romans.

- Cześć, Erie, cześć, Lexi. - Jon uprzejmie skłania głowę, podchodząc do nas, a potem spogląda na moje dłonie.

Opuszczam wzrok i kamienieję z przerażenia. Model jest zupełnie zniszczony. Dach się połamał i odpadł jeden z balkonów.

- Lexi! - Erie też to właśnie zauważył. - Jak ty to, do licha, zrobiłaś?!

- Jon. - Ava marszczy czoło w rozpacz. - Twój model!

. - Strasznie mi przykro! - mówię zdenerwowana. - Nie wiem, jak to się stało. Trzymałam go i jakoś...

- Nie martw się. - Jon wzrusza ramionami. - Zrobienie go zajęło mi tylko miesiąc.

- Miesiąc? - powtarzam strwożona. - Posłuchaj, jeśli dasz mi taśmę klejącą, naprawię to... - Poklepuję połamany dach, desperacko próbując przywrócić mu dawny kształt.

- No, może nie miesiąc - mówi Jon, przyglądając mi się. - Może parę godzin.

- Och. - Przestaję poprawiać model. - Wszystko jedno, bardzo przepraszam.

Jon rzuca mi krótkie spojrzenie.

- Możesz mi to wynagrodzić.

Wynagrodzić? Co ma na myśli? Niemal odruchowo biorę Erica pod ramię. Potrzebuję wsparcia.

Potrzebuję kotwicy. Potrzebuję silnego męża przy boku.

- Ten apartament jest imponujący, Jon. - Przybieram bezbarwny ton żony współpracownika, machając ręką. - Gratulacje.

- Dziękuję, bardzo mi miło - odpowiada w taki sam bezbarwny sposób. - A jak z twoją pamięcią?

- Mniej więcej tak samo.

- Nic nowego sobie nie przypomniałaś?

- Nic.

- Szkoda.

- Taaak.

Cały czas usiłuję zachowywać się naturalnie, ale gdy tak patrzymy na siebie, zaczyna wytwarzać się między nami napięcie. Zaczyna brakować mi tchu. Zerkam na Erica, przekonana, że musiał coś zauważyć, ale jemu nawet nie drgnie powieka. Nie wyczuwa tego? Nie widzi?

- Ericu, musimy porozmawiać o projekcie Bayswater - mówi Ava, która właśnie skończyła grzebać w torebce z miękkiej skóry. - Pojechałam wczoraj rozejrzeć się na miejscu i zrobiłam notatki...

- Lexi, może obejrzysz apartament, a ja porozmawiam z Avą? - Erie przerywa jej, oswobodzając ramię z mojego uścisku. - Jon ci wszystko pokaże.

- Och. - Sztywnieję. - Nie przejmuj się mną.

- Bardzo chętnie cię oprowadzę. - Jon mówi suchym, jakby lekko znudzonym głosem. - Jeśli to cię w ogóle interesuje... - Nie ma potrzeby...

- Kochanie, Jon zaprojektował ten budynek - mówi Erie z przyganą. - To świetna okazja, żebyś zapoznała się z wizją firmy.

183

- Chodźmy tędy, wyjaśnię ci założenia. - Jon wskazuje przeciwległą stronę pokoju.

Nie wyplączę się z tego.

- No to cudownie - odpowiadam w końcu.

Dobra. Jeśli chce pogadać, pogadamy. Idę za nim, a następnie przystajemy przy stalowej konstrukcji z wodą. Jak można mieszkać z takim huczącym wodospadem w domu?

- A więc... - mówię uprzejmie. - W jaki sposób to wymyślasz? Te wszystkie bajery, „instalacje”, czy co to ma być?

Jon marszczy czoło, a mnie serce zamiera. Mam nadzieję, że nie wyjedzie z jakimiś pretensjonalnymi bzdetami o swoim geniuszu artystycznym. Bo naprawdę nie jestem w nastroju do słuchania czegoś takiego. - Po prostu zadaję sobie pytanie, co by się mogło spodobać jakiemuś bogatemu palantowi - odpowiada w końcu. - A potem wcielam tę wizję w życie.

Zaskoczona, mimowolnie parskam śmiechem.

- Hmm, gdybym była bogatym palantem, byłabym tym zachwycona.

- Zawsze do usług. - Podchodzi krok bliżej i tak ścisza głos, że prawie nie słychać go przez szum wody. - Więc naprawdę nic sobie nie przypomniałaś?

- Nie. Nic a nic.

- Trudno. - Głęboko wciąga powietrze. - Musimy się spotkać. Musimy porozmawiać. - Jest takie miejsce, Old Canal House w Islington. Zwróć uwagę na wysokie sufity, Le-xi - dodaje znacznie głośniej. - To cecha charakterystyczna wszystkich naszych projektów. - Zerka na mnie i zauważa moją minę. - O co chodzi?

- Oszalałaś? - syczę, spoglądając na Erica, żeby sprawdzić, czy nas nie słyszy. - Nie spotkam się z tobą! - Mimo woli również przyciszam głos. - Dla twojej informacji: nie znalazłam ani jednego dowodu na to, że mamy romans. Żadnego. Jakież wspaniałe wyczucie przestrzeni! - dodaję na cały regulator.

- Dowodu? - Jon sprawia wrażenie, jakby nie rozumiał. -Jakiego na przykład?
 - Takiego jak... No sama nie wiem. Liścik miłosny...
 - Nie pisaliśmy do siebie liścików miłosnych.
 - Nie mam też żadnych błyskotek.
 - Błyskotek? - Jon wygląda tak, jakby chciało mu się śmiać. - Błyskotek też sobie nie dawaliśmy.
 - To co to mógł być za romans! - odcinam się. - Przeszukałam całą toaletkę... i nic. Przejrzałam terminarz... i nic. Przepytałam siostrę... Nigdy o tobie nie słyszała.
 - Lexi. - Przerywa na chwilę, zastanawiając się najwyraźniej nad tym, jak mi wytłumaczyć tę całą sytuację. - Mieliliśmy potajemny romans. To znaczy romans, który utrzymuje się w sekrecie.
 - Więc nie masz nic na potwierdzenie jego istnienia. Wiedziałam!
- Obracam się na pięcie i podchodzę do kominka. Jon podąża tuż za mną.
- Chcesz dowodu? - Słyszę, że mruczy niskim, pełnym niedowierzania głosem. - A może być taki, że wiem o twoim znamieniu w kształcie truskawki na lewym pośladku?
 - Ja nie... - Okręcam się triumfalnie, a potem zatrzymuję nagle, gdy Erie spogląda na nas z przeciwnej strony pokoju. -Nie wiem, jak wpadłeś na to zdumiewające wykorzystanie światła! - Macham do Erica, który odpowiada takim samym gestem, i wraca do rozmowy z Avą.
 - Wiem, że nie masz znamienia na pośladku. - Jon przewraca oczami. - Nie masz żadnych znamion.
- Tylko pieprzyk na ramieniu.
- Milknę na krótki moment. Zgadza się. Ale co z tego?
- To może być blef. - Splatam ręce na piersi.
 - Owszem. Ale nie jest. - Patrzy na mnie spokojnie. -Lexi, nie wymyśliłem tego. Mamy romans. Kochamy się. Głęboko i namiętnie.
 - Posłuchaj. - Wsuwam palce we włosy. - To po prostu

szaleństwo! Nie nawiązałam żadnego romansu. Ani z tobą, ani z nikim innym. Nigdy w życiu nikogo nie zdradziłam...

- Cztery tygodnie temu uprawialiśmy seks na tej podłodze. - Nie dał mi skończyć zdania. - Tam. - Wskazuje wielką puszystą białą skórę owczą.

Patrzę na nią bez słowa.

- Ty byłeś na górze - dodaje.

- Przestań! - Zdenerwowana, odwracam się i idę na koniec pomieszczenia, gdzie nowoczesne schody z pleksiglasu prowadzą na półpiętro.

- Zerknijmy na kompleks łazienkowy z wet-roomem - mówi Jon, ruszając za mną. - Myślę, że ci się spodoba.

- Na pewno nie - rzucam przez ramię. - Zostaw mnie w spokoju.

Dochodzimy do szczytu schodów i odwracamy się, żeby zerknąć za stalową balustradę. Widzę na dole Erica, a za nim przez wielkie okna - światła Londynu. Muszę przyznać, że to oszałamiające mieszkanie. Jon tuż obok mnie wciąga powietrze w nozdrza.

- Hej - mówi - jadłeś chipsy z solą i octem?

- Może. - Patrzę na niego podejrzliwie. Otwiera szeroko oczy.

- Jestem pod wrażeniem. Jak je przemyciłaś pod nosem tego żywieniowego faszysty?

- On nie jest żadnym żywieniowym faszystą - odpowiadam, czując instynktowną potrzebę, żeby bronić Erica. - On po prostu... uważa na to, co je.

- To Hitler. Gdyby mógł zebrać pieczywo z całego świata i wsadzić do obozu koncentracyjnego, toby tak zrobił. - Skończ z tym.

- Zagazowałyby je. Paluchy jako pierwsze. A potem crois-santy.

- Przestań. - Uśmiecham się mimo woli i odwracam się. Ten facet jest zabawniejszy, niż myślałam. I z bliska cał-

kiem sexy, z tymi swoimi potarganymi włosami. Co nie znaczy, że miałam z nim romans.

- Czego ty chcesz? - pytam w końcu bezradnie. - Czego ode mnie oczekujesz?

- Czego chcę? - Milknie, brwi ma ściągnięte, jakby się intensywnie zastanawiał. - Chcę, abyś powiedziała swojemu mężowi, że go nie kochasz, abyś zamieszkała ze mną i abyśmy razem zaczęli życie od nowa.

Mówi poważnie. A ja zaraz zacznę się śmiać.

- Chcesz, żebym zamieszkała z tobą - powtarzam. - Od zaraz. Tak po prostu.

- Choćby za pięć minut. - Spogląda na zegarek. - Jeszcze muszę załatwić parę rzeczy.

- Jesteś stuknięty. - Kręcę głową.

- Nie jestem stuknięty - mówi cierpliwie. - Kocham cię. Ty kochasz mnie. Naprawdę. Musisz mi uwierzyć.

- Nie muszę ci wierzyć! - Nagle zaczyna mnie drażnić ta jego pewność siebie. - Jestem mężatką, rozumiesz? Mam męża, którego kocham i któremu przyrzekłam miłość na zawsze. Oto dowód! - Macham mu przed nosem ręką z obrączką. - To jest dowód!

- Kochasz go? - Jon ignoruje obrączkę. - Czujesz do niego miłość? Tu, głęboko? - Stuka się w pierś. Mam ochotę odburknąć: „Tak, jestem namiętnie zakochana w Ericu”, i zamknąć mu tym usta. Ale z jakiegoś powodu nie mogę zmusić się do wypowiedzenia tego kłamstwa.

- Może jeszcze nie całkiem... ale jestem pewna, że tak się stanie - odpowiadam bardziej buntowniczo, niż zamierzałam. - Erie to fantastyczny facet, układa nam się wspaniale...

- Uhm. - Jon grzecznie kiwa głową. - Nie poszłaś z nim do łóżka od czasu wypadku, prawda?

Patrzę na niego nieufnie.

- Poszłaś czy nie? - W jego oku pojawia się błysk.

- Ja... my... - Plączę się. - Może tak, a może nie! Nie

mam zwyczaju omawiać mojego prywatnego życia z kimś takim jak ty.

- Owszem, masz. - Nagle przybiera drwiącą minę. - Masz. W tym rzecz. - Ku mojemu zdziwieniu bierze mnie za rękę. Trzyma ją przez chwilę i patrzy na nią. Potem, bardzo powoli, zaczyna sunąć po niej kciukiem.

Nie jestem w stanie się poruszyć. Przez skórę przebiegają mi ciarki; jego palec budzi cudowne doznania. Czuję delikatne mrowienie na karku.

- I co o tym myślisz? - Z dołu dochodzi gromki głos Erica, a ja podskakuję i wyrywam rękę z dłoni Jona. Co ja myślę?

- Jest super, kochanie! - Szczebioczę ponad balustradą nienaturalnie wysokim głosem. - Jeszcze chwileczkę... - Cofam się poza zasięg wzroku tamtych z dołu i daję znak Jonowi, żeby zrobił to samo.

- Posłuchaj, dość tego - mówię półgłosem. - Zostaw mnie w spokoju. I tak jest mi ciężko. Chcę odnaleźć się w życiu, porozumieć z mężem. W porządku? - Wskazuję głową piętro niżej.

- Nie! Nie w porządku! - Jon chwyta mnie za ramię. - Lexi, nie masz pełnego obrazu swej sytuacji. Nie jesteś z Erikiem szczęśliwa. On cię nie kocha, nie rozumie...

- Oczywiście, że mnie kocha! - Teraz już naprawdę jestem wkurzona. - Siedział przy moim łóżku w szpitalu dzień i noc, przyniósł mi te niesamowite brązowoszare róże...

- A ty myślisz, że ja nie chciałbym siedzieć przy twoim łóżku dzień i noc? - Oczy Jona ciemnieją. - Umierałem z niepokoju.

- Puść mnie. - Próbuję mu się wyrwać, ale trzyma mocno.

- Nie możesz mnie odtrącić. - Patrzy na mnie z rozpaczą. - Nosisz mnie w sobie. Gdzieś głęboko, wiem o tym.

- Mylisz się! - Z wielkim wysiłkiem w końcu uwalniam ramię z jego uścisku. - Wcale nie! - Zbiegam po schodach, nie oglądając się za siebie, i wpadam prosto w ramiona Erica.

- Hej! - Śmieje się. - Czemu tak pędzisz? Wszystko w porządku?

- Nie za dobrze się czuję. - Przykładam rękę do czoła. -Boli mnie głowa. Możemy już jechać?
- Oczywiście, że tak, kochanie. - Obejmuje mnie ramieniem i zerka na półpiętro. - Pożegnałaś się z Jonem?
- Tak. Chodźmy już.

Gdy idziemy do drzwi, przytulam się do jego kosztownej marynarki, chcąc znaleźć ukojenie moich skołatanych nerwów. To mój mąż. Kocham go. Tak wygląda rzeczywistość.

12

Okej. Muszę odzyskać pamięć. Mam dosyć amnezji. Mam dość ludzi, którzy twierdzą, że wiedzą o moim życiu więcej niż ja.

To moja pamięć. Należy do mnie.

Patrzę sobie w oczy, które odbijają się w lustrze na drzwiach garderoby tuż przy mnie. To mój nowy zwyczaj -stanąć tuż przed lustrem tak, żeby widzieć tylko oczy. Działa to na mnie uspokajająco. Mam wtedy wrażenie, że patrzę na dawną siebie.

- Przypomnij sobie, idiotko - nakazuję cichym, lecz stanowczym głosem. - Przy-po-mnij!

Moje oczy patrzą na mnie tak, jakby wiedziały wszystko, tylko nie chciały powiedzieć. Wzdycham i sfrustrowana opieram głowę o szklaną tafłę.

Od kilku dni, po spotkaniu z Jonem w oglądanym apartamencie, nie robię nic innego, tylko próbuję odtworzyć ostatnie trzy lata. Przeglądam albumy ze zdjęciami, oglądam filmy, o których wiem, że je widziałam, słucham piosenek, które dawna Lexi słyszała setki razy. Ale nic z tego. W jakimkolwiek schowku pamięci zamknięte są moje wspomnienia, nie potrafię się do niego dostać. Nie otworzy się magicznie tylko

189

dlatego, że wysłucham piosenki *You're Beautiful* Jamesa... czy kogo tam.

Głupi, skryty umysł. Kto tu rządzi? Ja czy on?

Wczoraj poszłam na wizytę do neuropsychologa Neila. Kiwał współczująco głową, gdy wyrzucałam z siebie wszystko, i robił mnóstwo notatek. Potem powiedział, że to fascynujące i że mógłby na podstawie mojego przypadku napisać artykuł naukowy. Kiedy go przycisnęłam, dodał, że może pomógłby mi spisanie najważniejszych wydarzeń z życia, a jeśli chcę, mogę pójść do psychoterapeuty. Ale nie potrzebuję psychoterapii. Muszę odzyskać pamięć. Lustro zachodzi parą od mojego oddechu. Mocniej przyciskam czoło do szkła, tak jakby wszystkie odpowiedzi tkwiły w moim lustrzanym odbiciu, jakbym mogła je wydobyć, jeśli tylko należycie się skupię...

- Lexi? Wychodzę. - Erie wkracza do sypialni, trzymając płytę DVD bez pudełka. - Kochanie, zostawiłaś to na dywanie. Czy to odpowiednie miejsce na DVD?

Biorę od niego dysk. To *Ambicja, część 1*, którą zaczęłam wczoraj oglądać.

- Przepraszam, Ericu - mówię szybko. - Nie wiem, jak się tam znalazła.

To kłamstwo. Kiedy Erica nie było, wyłożyłam na dywan z pięćdziesiąt płyt, które walały się tam razem z czasopismami i albumami fotograficznymi, nie mówiąc już o papierkach po słodyczach.

Gdyby to zobaczył, dostałby zawału serca.

- Taksówka przyjedzie po ciebie o dziesiątej - informuje Erie. - A ja już idę.

- Świetnie! - Całuję go jak każdego rana. Właściwie stało się to już całkiem naturalne. - Miłego dnia!

- Nawzajem. - Ściska mnie za ramię. - Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

- Na pewno - odpowiadam spokojnie.

Wracam dziś do pracy, w pełnym wymiarze godzin. Nie po to, żeby objąć kierownictwo działu, na to jeszcze nie je-

stem gotowa. Ale żeby zapoznać się na nowo z moimi obowiązkami; nadrobić to, co straciłam. Od czasu wypadku minęło już pięć tygodni. Nie mogę dłużej siedzieć w domu. Muszę się czymś zająć. Muszę odzyskać swoje życie. I przyjaciółki.

Na łóżku leżą już przygotowane trzy błyszczące torebki z upominkami dla Fi, Debs i Carolyn, wezmę je ze sobą. Wybierałam je godzinami, i za każdym razem, gdy o nich pomyślę, mam ochotę uściskać samą siebie z radości.

Nucąc, idę do salonu i wsuwam do odtwarzacza DVD z *Ambicją*. Nie obejrzałam jeszcze końcówki. Pomoże mi przestroić się na tryb praco wy. Przewijam czołówkę i pierwsze sceny, aż dochodzę do fragmentu, gdzie siedzę w limuzynie z dwoma facetami w garniturach, a wtedy naciskam „play”.

„Lexi i członkowie jej zespołu będą mieli ciężki wieczór” -mówi męski głos. Kamera robi najazd na mnie, i w napięciu wstrzymuję oddech.

„Wygramy tę konkurencję! - rzucam ostrym głosem do facetów, uderzając pięścią we wnętrze drugiej dłoni. - Jeśli będziemy pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, to zwyciężymy. Okej? Nie chcę słyszeć żadnych wykrętów”. Opada mi szczeka. Czy ta silna, budząca strach bizneswoman to ja? W życiu do nikogo tak nie mówiłam.

„Jak zwykle Lexi mobilizuje ekipę do działania - mówi głos zza ekranu. - Ale czy tym razem kobra nie przeszarżuje?”.

Nie rozumiem, o czym mówi ten prezenter. Jaka kobra?

Kamera ukazuje teraz jednego z mężczyzn z limuzyny. Siedzi w fotelu biurowym, za szybą, która znajduje się za nim, widać nocne niebo.

„Jest nieludzka - mruczy. - Tyle godzin w tym cholernym biurze! Wypruwamy sobie żyły, ale czy to ją w ogóle obchodzi?”.

Gdy to mówi, na ekranie znowu pojawia się ja; chodzę po jakimś magazynie. Ogarnia mnie konsternacja. Czyżby ten facet miał na myśli mnie? Potem widać nas oboje, pod-

czas zażartej kłótni. Stoimy na jakiejś londyńskiej ulicy, on próbuje się bronić, ale nie dopuszczam go do słowa.

„Wylatujesz! - rzucam w końcu tak pogardliwym tonem, że aż się krzywię. - Wylatujesz z mojej drużyny!”.

„Kobra zaatakowała! - komentuje dziarski głos z offu. - Obejrzyjmy tę scenę jeszcze raz!”.

Chwileczkę. Czy on powiedział... Ja jestem kobrą?

Przy wtórze złowróżbnej muzyki na ekranie w zwolnionym tempie pojawia się poprzednie ujęcie, robią zbliżenie na moją twarz. „Wylatujesz! - syczę. - Wylatujesz z mojej drużyny!”.

Patrzę na to przerażona, mąci mi się w głowie. Co oni, do cholery, zrobili? Zmienili mi głos.

Brzmieniem przypomina syczenie węża.

„Lexi w tym tygodniu nie była jeszcze tak jadowita! -oznajmia komentator. - Tymczasem w drugiej drużynie...”.

Na ekranie pojawia się inna grupa ludzi, którzy zaczynają się kłócić o negocjacje cenowe. Ale jestem zbyt wstrząśnięta, żeby się poruszyć.

Dlaczego... jak...?

Dlaczego nikt mi nie powiedział? Dlaczego nikt mnie nie uprzedził? Jak na autopilocie sięgam po telefon i wywołuję numer Erica.

- Cześć, Lexi.

- Ericu, właśnie obejrzałam ten program na DVD! - zaczynam krzyczeć ze zdenerwowania. - Nazwali mnie kobrą! Jestem potworem w oczach wszystkich! Nic mi o tym nie mówiłeś!

- Kochanie, to był świetny występ - mówi Erie uspokajająco. - Doskonale wypadłaś.

- Ale nadali mi ksywę od węża.

- No i co z tego?

- To, że nie chcę być wężem! - Wiem, że brzmi to niemal

200

histerycznie, ale nic na to nie poradzę. - Nikt nie lubi węży! Jestem raczej jak... wiewiórka. Albo miś koala.

Koala są miękkie i puszyste. I mają trochę krzywe... pazurki.

- Miś koala? Lexi! - Eric się śmieje. - Kochanie, jesteś kobrą. Masz wycucie chwili. Potrafisz atakować. Dlatego jesteś taką świetną bizneswoman.

- Aleja nie chcę... - Urywam, gdy rozlega się brzęczyk. -Przyjechała taksówka. Muszę iść.

Ruszam do sypialni, biorę trzy lśniące torebki, usiłując odzyskać niedawny optymizm i podniecenie na myśl o czekającym mnie dniu. Ale moja pewność siebie ulatnia się.

Jestem wężem, żmiją. Nic dziwnego, że wszyscy mnie nienawidzą.

Gdy taksówka jedzie na Victoria Palace Road, siedzę sztywno na tylnym siedzeniu, ściskając w dłoni torebki z prezentami i próbując się jakoś pocieszyć. Powszechnie wiadomo, że telewizja wszystko wypacza. Tak naprawdę nikt nie uważa mnie za węża, żmiję ani gada. Poza tym ten program nadawano wieki temu i nikt pewnie już o nim nie pamięta...

O Boże. Cały problem z pocieszaniem samej siebie polega na tym, że w głębi duszy wiesz, iż to zwykły kit.

Taksówka zatrzymuje się przed budynkiem, więc biorę głęboki oddech i obciążam beżowy kostium od Armaniego. Potem z lękiem udaję się na trzecie piętro. Wysiadając z windy, od razu widzę Fi, Carolyn i Debs, które stoją przy automacie do kawy. Fi wskazuje swoje włosy i mówi coś z ożywieniem, podczas gdy Carolyn dorzuca od czasu do czasu jakieś słowo, ale gdy pojawiają się na widoku, rozmowa natychmiast zamiera, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę radia z kontaktu.

- Cześć, dziewczyny! - Patrzę na nie z najcieplejszym, najsympatyczniejszym uśmiechem, na jaki potrafię się zdobyć. - Wróciłam!

- Cześć, Lexi - pada stłumiona odpowiedź, a Fi wzrusza

ramionami. Dobra, to jeszcze nie był uśmiech, ale zawsze jakaś reakcja.

- Bardzo ładnie wyglądasz, Fi! Świetny top. - Wskazuję jej kremową bluzkę, a ona ze zdziwieniem podąża za moim wzrokiem. - Ty też Debs wyglądasz super. I Carolyn! Masz świetne włosy, dobrze ci w takiej króciutkiej fryzurze, a... buty są wręcz fantastyczne!

- Te? - Carolyn parska śmiechem i kopie jednym zamszowym botkiem o drugi. - Mam je od lat!

- Mimo to... naprawdę zwracają uwagę!

Ponosi mnie z nerwów, gadam głupoty. Nic dziwnego, że wszystkie trzy wyglądają na zaskoczone. Fi stoi ze splecionymi rękami, a Debs wygląda tak, jakby zaraz miała parsknąć śmiechem.

- No dobra. - Zmuszam się, żeby trochę zwolnić tempo. - Mam dla każdej z was drobiażdżek. Fi, to dla ciebie, Debs...

Gdy wręczam torebki z upominkami, nagle wydają mi się śmiesznie błyszczące i jaskrawe.

- A to z jakiej okazji? - pyta Debs ze zdziwieniem.

- No wiecie! Żeby... eee... - Jąkam się trochę. - Jesteście moimi przyjaciółkami i... No dalej. Zajrzyjcie do środka!

Patrząc na siebie niepewnie, wszystkie trzy zaczynają rozpakowywać prezenty.

- Gucci? - pyta Fi z niedowierzaniem, wyciągając zielone pudełeczko na biżuterię. - Lexi, nie mogę przyjąć...

- Owszem, możesz! Proszę. Otwórz je, zobaczysz...

Fi w milczeniu otwiera pudełko i ukazuje się złoty zegarek na łańcuszku.

- Pamiętasz? - mówię z przejęciem. - Zawsze oglądałyśmy je na wystawach u jubilera. W każdy weekend. I teraz będziesz miała taki sam...

- Tylko że... - Fi wzdycha ze zmieszaniem. - Lexi, dostałam go już dwa lata temu.

Unosi rękaw i pokazuje identyczny zegarek, tylko trochę taki zmatowiały, starszy.

- Och - mówię ze ściśniętym sercem. - Rzeczywiście. No trudno. Mogę go wymienić, znajdę coś innego...

- Lexi, nie mogę ich używać - mówi z kolei Carolyn i oddaje mi perfumy w zestawie prezentowym, razem ze skórzaną torebką. - Ten zapach mnie dusi.

- Kiedyś go bardzo lubiłaś - mówię ze zdumieniem.

- Lubiałam - potwierdza. - Zanim zaszłam w ciążę.

- Jesteś w ciąży? - Patrzę na nią poruszona. - O mój Boże! Carolyn, gratulacje! To cudownie! Tak się cieszę. Matt będzie najlepszym ojcem na świecie...

- To nie jest dziecko Matta. - Przerzywa mi bezceremonialnie.

- Nie? - pytam głupio. - Ale dlaczego... Zerwaliście ze sobą?

Nie mogli zerwać. To niemożliwe. Wszyscy sądzili, że Carolyn i Matt będą ze sobą już na zawsze.

- Nie chcę o tym mówić, dobra? - rzuca Carolyn niemal szeptem. Ku swojemu przerażeniu widzę, że jej oczy za okularami robią się czerwone i zaczyna ciężko oddychać. - Na razie. - Rzuca mi kolorowy papier i wstążkę, odwraca się i odchodzi szybkim krokiem w kierunku głównego biura.

- Świetnie, Lexi - stwierdza Fi sarkastycznie. - Kiedy już myślałyśmy, że przeboleła Matta...

- Nic nie wiedziałam! - mówię przerażona. - Nie miałam pojęcia. Tak mi przykro... - Przecieram twarz, spocona i zdenerwowana. - Debs, otwórz swój prezent.

Kupiłam jej krzyżyk wysadzany maleńkimi brylancikami. Ma fioła na punkcie biżuterii, a z krzyżykiem nie można przestrzelić. Musi się jej spodobać.

Debs w ciszy odpakowuje prezent.

- Wiem, że jest dość ekstrawagancki - mówię nerwowo. - Ale chciałam znaleźć coś szczególnego...

- To krzyżyk! - Debs oddaje mi pudełeczko, marszcząc nos, jakby poczuła coś śmierdzącego. - Nie mogę go nosić! Jestem żydówką.

- Jesteś żydówką? - Otwieram usta ze zdumienia - Od kiedy?
- Od kiedy zaręczyłam się z Jacobem - odpowiada, jakby to było oczywiste. - Nawróciłam się.
- O rany! - mówię wesoło. - Jesteś zaręczona? - I oczywiście teraz zauważam platynowy pierścionek z brylantem na jej lewej dłoni. Debs nosi tyle biżuterii, że wcześniej nie zwróciłam na niego uwagi. - Kiedy ślub? - Trajkoczę z podnieceniem. - Gdzie się odbędzie?
- W przyszłym miesiącu. - Odwraca wzrok. - W Wiltshire.
- W przyszłym miesiącu! O mój Boże, Debs! Ale ja jeszcze nie...
Urywam gwałtownie i zapada ciężka, głucha cisza. Chciałam powiedzieć: „Jeszcze nie dostałam zaproszenia”.
- To znaczy... wszystkiego najlepszego! - Jakimś cudem udaje mi się zachować radosny uśmiech. - Mam nadzieję, że wszystko pójdzie świetnie. I nie martw się, bez problemu oddam krzyżyk... i zegarek... i perfumy... - Drżącymi rękami zaczynam upychać porozdzierany papier do jednej torebki.
- Uhm - mówi Fi dziwnym głosem. - To na razie, Lexi.
- Cześć. - Debs wciąż nie patrzy mi w oczy.
Obie odchodzą i gdy patrzę za nimi, czuję, że zaraz się rozplacę. Zaczyna mi się trząść podbródek. Świetna robota, Lexi. Nie tylko nie odzyskałaś przyjaciółek, ale jeszcze bardziej spieprzyłaś sprawę.
- Dla mnie masz prezent? - Sarkastyczny głos Byrona, dochodzący z tyłu, uderza mnie nieprzyjemnie. Odwróciwszy się, widzę, że Byron idzie wielkimi krokami przez korytarz, niosąc kawę. - Jakie to urocze z twojej strony, Lexi!
Boże, ale mnie wystraszył! To on jest wężem.
- Cześć, Byron - odpowiadam tak wesoło, jak potrafię. - Miło cię widzieć.
Przywołaawszy wszystkie siły, unoszę głowę i odgarniam włosy z twarzy. Nie mogę się rozsypać.

- Odważna jesteś, że wracasz, Lexi - mówi, gdy razem ruszamy korytarzem. - Podziwiam cię.
- Co ty powiesz? - mówię pewnym głosem. - Już nie mogłam się doczekać.
- Cóż, gdybyś miała jakieś pytania, wiesz, gdzie mnie szukać. Chociaż dziś przez większą część dnia będę u Garri-sona. Pamiętasz Jamesa Garrisona?
Cholera, cholera, cholera. Skąd on bierze tych wszystkich ludzi, których nazwiska nic mi nie mówią?
- Przypomnij mi - proszę niechętnie.
- To szef naszego głównego dystrybutora, Southey's. Rozprowadzają towar po całym kraju. Dywany, wykładziny, wszystko, czym handlujemy. Rozwożą je wielkimi ciężarówkami. - Mówi uprzejmym tonem, ale uśmiecha się z wyższością.
- Tak, pamiętam Southey's - mówię krótko. - Dzięki. W jakiej sprawie się z nim spotykasz?
- Cóż - odpowiada po krótkiej chwili. - Prawda jest taka, że trochę stracili kierunek. Jest kryzys. Jeśli nie udoskonalą systemu, będziemy musieli rozejrzeć się za kimś innym.
- Słusznie. - Staram się kiwać głową, jak przystało na szefową. - Dobra, informuj mnie na bieżąco. -
Dochodzimy do mojego gabinetu i otwieram drzwi. - To na razie, Byron.
Zamykam drzwi, rzucam torebki z prezentami na kanapę, otwieram szafę i wyjmuję stos dokumentów.
Walcząc z paniką, siadam za biurkiem i otwieram pierwszą teczkę, zawierającą protokoły z zebrań działu.
Trzy lata. Nadrobię te trzy lata. To nie tak długo.
Już po dwudziestu minutach boli mnie głowa. Nie czytałam niczego poważnego ani trudnego od miesięcy, a to wszystko jest gęste jak melasa. Debaty budżetowe. Odnawianie kontraktów. Szacunki wydajności. Czuję się, jakbym znowu była na studiach i przygotowywała się do sześciu egzaminów jednocześnie.

Zacząłam spisywać sobie pytania, które chcę zadać, i jestem już na drugiej stronie kartki.

- Jak ci leci? - Drzwi otworzyły się cicho i zagląda przez nie Byron. Czy on nie ma zwyczaju pukać?
- Dobrze - odpowiadam odruchowo. - Naprawdę dobrze. Mam tylko kilka drobnych pytań...
- Wal śmiało. - Opiera się o framugę.
- W porządku. Pierwsze: co to jest QAS?
- Nasz nowy program do księgowania. Wszyscy zostali już w nim przeszkoleni.
- Ja też chętnie się przeszkolę - mówię szybko, robiąc notatki na kartce. - A co to jest services.com?
- Provider usług internetowych dla klientów.
- Co takiego? - Ściągam brwi, zdezorientowana. - A co wobec tego z działem usług dla klientów?
- Zredukowano go już dawno temu - wyjaśnia z wyraźnym znudzeniem. - Firma została zrestukturyzowana i większość działów zlikwidowano na rzecz firm zewnętrznych.
- Rozumiem. - Kiwam głową, starając się to wszystko sobie przyswoić, i znowu zerkam na kartkę z pytaniami. - A DB Brooks? Co to jest?
- To nasza agencja reklamowa - odpowiada Byron z demonstracyjną wyrozumiałością. - Przygotowują dla nas reklamy, radiowe i telewizyjne...
- Wiem, czym zajmuje się agencja reklamowa! - warczę z większą irytacją, niżbym chciała. - Co stało się z Pinkham Smith? Mieliśmy z nimi taki świetny kontakt...
- Już nie istnieją. - Byron przewraca oczami. - Splajtowali. Jezu, Lexi, ty nic nie wiesz, prawda? Już otwieram usta, żeby się odciąć, ale nie mogę. On ma rację. To tak, jakby huragan zmiotł z powierzchni ziemi miejsce, które znałam. Wszystko zostało zbudowane od nowa i nic z tego nie rozpoznaję.
- Nigdy się w tym nie połapiesz. - Byron patrzy na mnie z politowaniem.

- Oczywiście, że się połapię!
- Lexi, spójrz prawdzie w oczy. Jesteś niesprawna umysłowo. Nie powinnaś narażać się na taki wysiłek.
- Nie jestem niesprawna umysłowo! - wołam z wściekłością i zrywam się na równe nogi. Mijam Byrona w drzwiach, wychodząc z gabinetu.
- Clare patrzy na mnie z przerażeniem i szybkim ruchem zamyka klapkę telefonu komórkowego.
- Cześć, Lexi. Potrzebujesz czegoś? Może kawy? Wygląda na wystraszoną, jakbym zamierzała odgryźć jej głowę, wywalić z pracy albo co. Dobra, mam okazję pokazać jej, że nie jestem suką z piekła rodem. Jestem sobą.
- Dzień dobry, Clare! - mówię najsympatyczniejszym, najcieplejszym tonem i przystaję przy jej biurku. - Wszystko w porządku?
- Uhm... no. - Patrzy na mnie nieufnie szeroko otwartymi oczami.
- Nie chciałabyś, żebyś zrobiła ci kawę?
- Ty? - Gapi się na mnie, jakby wietrzyła podstęp. - Żebyś ty zrobiła mi kawę?
- Tak! Dlaczego nie? - Rozciągam usta w uśmiechu, a ona się wzdryga.
- To... Dobra. - Zrywa się z krzesła, ze wzrokiem utkwionym we mnie, jakbym naprawdę była kobrą.
- Zrobię nam obu.
- Poczekaj! - wołam niemal desperacko. - Wiesz, Clare, chciałabym lepiej cię poznać. Może któregoś dnia mogłybyśmy pójść na lunch... wybrać się na zakupy... gdzieś wyskoczyć... Wygląda na już zupełnie osłupiałą.
- Czemu nie? Okej, Lexi - mamrocze i odbiega korytarzem.
- Odwracam się i widzę, że Byron, cały czas stojący w drzwiach, zanosi się śmiechem.
- No co? - burczę.

- Naprawdę jesteś zupełnie innym człowiekiem. - Unosi brwi w zdziwieniu.
- Może po prostu chcę być w przyjacielskich stosunkach ze współpracownikami i odnosić się do nich z szacunkiem -odpowiadam wojowniczo. - To coś złego?
- Nie! - Byron podnosi ręce. - To świetny pomysł, Lexi. -Lustruje mnie od góry do dołu, wciąż ze złośliwym uśmiechem na ustach, a potem cmoka, jakby coś sobie przypomniął. - A przy okazji. Zanim sobie pójdę, jest jedna rzecz, którą musisz załatwić jako szefowa działu. Uznałem, że nie może być inaczej.

Wreszcie. Traktuje mnie jak szefa.

- Tak? - Unoszę podbródek. - Co takiego?

- Dostaliśmy z góry e-mail w związku z przedłużaniem sobie przez pracowników pory lunchu. - Siega do kieszeni i wyjmuję kartkę. - SJ. życzy sobie, żeby wszyscy dyrektorzy opieprzyli swoich podwładnych. Najlepiej już dzisiaj. -Byron robi niewinną minę. - Mogę ci powierzyć tę sprawę? Drań. Drań.

Krażę po gabinecie, popijając kawę, a żołądek skręca mi się z nerwów. Nigdy dotąd nikogo nie opieprzyłam, nie mówiąc już o całym dziale. I o tym, że jednocześnie usiłuję dowieść, jaką to jestem życiową szefową, a nie suką z piekła rodem.

Znowu zerkam na wydrukowany e-mail od Natashy, osobistej asystentki Simona Johnsona.

Koledzy! Doszło do wiadomości Simona, że pracownicy regularnie przedłużają sobie przerwę na lunch. To nie do przyjęcia. Byłby wdzięczny, gdybyście jak najszybciej zakomunikowali to swoim zespołom i wprowadzili surowszą dyscyplinę. Dziękuję. Natasha.

Dobra. Jednak nie ma tu mowy o żadnym „opieprzaniu” pracowników. Nie muszę być agresywna ani nic w tym stylu. Mogę zwrócić im uwagę, nie będąc niemłą.

Może załatwię to w sposób żartobliwy i bezpośredni? Zaczę tak: „Cześć, moi drodzy! Nie macie za mało czasu na lunch?”. Przewrócę oczami, aby dać do zrozumienia, że mówię to ironicznie, a wtedy wszyscy wybuchną śmiechem i ktoś zapyta: „Coś nie tak, Lexi?”. Na co uśmiechnę się z żalem i powiem: „Nie chodzi o mnie, ale o tych sztywniaków z góry. Więc postarajmy się wracać na czas, dobrze?”. Kiloro z nich pokiwa głowami, jakby chcieli powiedzieć: „Dobra, umowa stoi”. I wszystko będzie dobrze.

Tak. Brzmi nieźle. Wciągając głęboko powietrze, składam kartkę i wsadzam ją do kieszeni, a potem wychodzę z gabinetu do głównego biura.

W pomieszczeniu panuje zgiełk, jedni rozmawiają ze sobą, drudzy przez telefon, inni stukają w klawiatury. Fi unosi głowę, szturcha łokciem Carlyne i daje znak dziewczynie, której nie znam, żeby skończyła rozmowę telefoniczną. W całym pokoju odkładane są słuchawki, ludzie odrywają wzrok od ekranów i okręcają się na fotelach, aż robi się zupełna cisza.

- Cześć wszystkim! - mówię i czuję, że twarz mnie pali. -Ja... eee... no jak tam? Jak leci?

Nikt nie odpowiada ani w żaden sposób nie reaguje na moje słowa. Wszyscy gapią się na mnie z taką samą pustą miną, która mówi: „Gadaj, co masz do powiedzenia”.

- Nieważne! - Staram się zachować pogodny ton. - Chciałabym tylko powiedzieć... Czy nie macie za mało czasu na lunch?

Co takiego? - Dziewczyna siedząca przy moim dawnym biurku patrzy na mnie zbaraniałym wzrokiem. - A możemy mieć więcej?

- Nie! - rzucam pospiesznie. - To znaczy... i tak jest go za dużo.

- Moim zdaniem tyle, ile trzeba. - Wzrusza ramionami. -Godzina to akurat, żeby gdzieś wyskoczyć.

- No - zgadza się z nią inna. - Człowiek zdąży wpaść na King's Road i wrócić.

W ten sposób nie załatwię sprawy. W dodatku dwie dziewczyny w kącie znowu zaczęły gadać.

- Posłuchajcie wszyscy! Proszę! - Zaczynam mówić ostrzejszym tonem. - Muszę wam coś powiedzieć. O przerwie na lunch. Niektórzy, niekoniecznie ktoś z was...

- Lexi - mówi Carolyn wyraźnie. - O co ci, do cholery, chodzi?

Fi i Debs wybuchają śmiechem i oblewam się czerwienią.

- Posłuchajcie mnie. - Staram się zachować spokój. - To poważna sprawa.

- Poważna sssprawa - powtarza ktoś i w całym pomieszczeniu rozlegają się chichoty.

- Bardzo zabawne! - Usiłuję się uśmiechnąć. - Ale już całkiem serio...

- Sssserio...

Teraz już prawie wszyscy syczą albo się śmieją, albo robią jedno i drugie. Wszystkie twarze są ożywione; wszyscy dobrze się bawią, oprócz mnie. Nagle obok ucha przelatuje mi samolocik z papieru, który ląduje na podłodze. Podskakuję wystraszona i całe biuro ryczy ze śmiechu.

- Dobra, nie przedłużajcie za bardzo lunchu, w porządku? - rzucam desperacko.

Nikt mnie już nie słucha. Kolejny samolocik trafia mnie w nos, a zaraz potem gumka do wycierania.

Mimo że usiłuję nad tym zapanować, do oczu napływają mi łzy.

- No to do zobaczenia! - udaje mi się wykrztusić. - Dziękuję wam... za ciężką pracę. - Odwracam się i słysząc wciąż śmiechy za sobą, wybiegam z biura. Oszołomiona, ruszam do damskiej toalety, mijając po drodze Danę.

- Idziesz do WC, Lexi? - pyta ze zdziwieniem, gdy otwieram już drzwi. - Masz przecież klucz do łazienki dla kierownictwa. Znacznie przyjemniejszej!

- Ta mi wystarczy. - Zmuszam się do uśmiechu. - Naprawdę.

Kieruję się do ostatniej kabiny, zatrząskuję za sobą drzwi

i siadam na sedesie, obejmując głowę rękami. Czuję napięcie w całym ciele. To było najbardziej upokarzające doświadczenie w moim życiu.

Po tym incydencie z białym kostiumem kąpielowym.

Dlaczego zachciało mi się być szefową? Dlaczego? Nic z tego nie mam, straciłam tylko przyjaciółki, muszę opieprzać ludzi i wszyscy na mnie syczą. A w zamian co? Sofa w gabinecie? Szpanerska wizytówka?

W końcu ze znużeniem unoszę głowę i skupiam wzrok na drzwiach kabiny, jak zwykle pokrytych graffiti. Zawsze używałyśmy ich jako czegoś w rodzaju tablicy ogłoszeń, wyładowywałyśmy na nich swoje frustracje, wypisywałyśmy żarty czy prowadziłyśmy ze sobą głupie dialogi. Tekstów przybywało, aż w końcu ktoś mył drzwi i zaczynałyśmy od nowa. Sprzątaczkę nic nie mówiły, a nikt z kierownictwa nigdy tu nie zaglądał, zawsze więc było dość bezpiecznie.

Przebiegam wzrokiem po wiadomościach, z uśmiechem czytam jakąś oszczerczą historyjkę o Simonie Johnsonie, gdy nagle moją uwagę przykuwa nowy anons, wypisany niebieskim markerem. Poznaje pismo Debs. Tekst głosi: ***Kobra wróciła.***

A poniżej widnieje komentarz, wykonany cienkim czarnym długopisem: ***Spokojna głowa, naplułam jej do kawy.***

Jest tylko jedno wyjście. Porządnie, naprawdę porządnie się upić. Godzinę później oklapła siedzę przy barze w hotelu Bathgate, za rogiem od biura, dopijając trzecie mojito. Świat jest już trochę niewyraźny, ale nie przeszkadza mi to. Jeśli o mnie chodzi, im mniej wyraźny, tym lepiej. Dopóki tylko zdołam utrzymać się na tym stołku.

- Hej! - Unoszę dłoń, żeby zwrócić uwagę barmana. -Jeszcze jednego poproszę.

Barman nieznacznie marszczy brwi.

- Oczywiście - odpowiada.

Patrzę na niego z lekką niechęcią, gdy wyjmuję miętę. Nie

zapyta mnie, dlaczego chcę jeszcze jednego drinka? Nie zaoferuje mi jakiejś przasnej mądrości życiowej?

- Coś jeszcze pani podać? Może przekąskę? Wskazuje skromne menu, ale ignoruję go i pociągam duży

łyk mojito. Jest zimne i cierpkie, idealne.

- Czy pana zdaniem wyglądam na sukę? - pytam, gdy spogląda na mnie. - Ale szczerze.

- Nie. - Facet się uśmiecha.

- Cóż, ale najwyraźniej nią jestem. - Kolejny łyk mojito. - Tak mówią wszystkie moje przyjaciółki.

- Niektóre przyjaciółki.

- Byłe przyjaciółki. - Odstawiam szklanekę i patrzę na nią ponuro. - Nie wiem nawet, gdzie popełniłam błąd. Bełkoczę, sama to słyszę.

- Wszyscy tak mówią. - Facet siedzący przy końcu baru unosi głowę znad „Evening Standard”. Ma amerykański akcent i ciemne, przerzedzające się włosy. - Nikt nie wie, gdzie poszło nie tak.

- Nie, ale ja naprawdę nie wiem. - Unoszę palec. - Miałam wypadek samochodowy... i bum! A potem budzę się w ciele suki.

- Jak dla mnie to w ciele niezłej laski. - Amerykanin przesiada się na sąsiedni stółek, na twarzy ma uśmiech. - Nie zamieniłbym takiego ciała na żadne inne.

Przez moment patrzę na niego ze zdziwieniem, aż wreszcie dociera do mnie.

- Och! Pan ze mną flirtuje! Przykro mi. Ale już jestem mężatką. Żoną pewnego faceta. Mojego męża.

- Unoszę lewą rękę, po chwili lokalizuję obrączkę i pokazuję mu ją. - Widzi pan? Mężatka. -

Zastanawiam się intensywnie. - I jeszcze do tego chyba mam kochanka.

Ze strony barmana dochodzi stłumione parsknięcie. Spoglądam na niego podejrzliwie, ale twarz ma poważną. Kolejny łyk mojito i czuję działanie alkoholu. Kręci mi się w głowie, w uszach szumi i bar zaczyna wirować.

To dobrze. Bary powinny wirować.

- Wie pan, nie piję wcale, żeby zapomnieć - mówię kon-wersacyjnym tonem do barmana. - Już zapomniałam wszystko. - Nagle wydaje mi się to zabawne i zaczynam chichotać. - Jedno uderzenie w głowę i wszystko zapomniałam. - Trzymam się za brzuch; z kącików oczu płyną mi łzy. - Zapomniałam nawet, że mam męża. Ale go mam!

- Uhm. - Barman wymienia spojrzenie z Amerykaninem.

- I mówią, że na to nie ma lekarstwa. Ale wiecie, lekarze mogą się mylić, prawda? - Toczę pytającym wzrokiem wzdłuż baru. Słucha mnie już kilka osób, niektóre kiwają głowami.

- Lekarze zawsze się mylą - zauważa stanowczo Amerykanin. - To wszystko dupki.

- Święta racja! - Obracam się ku niemu. - Ma pan świętą rację! Okej. - Wychylam do końca szklanekę mojito, a potem z kolei odwracam się do barmana. - Mogę prosić o małą przysługę? Niech pan weźmie shaker i walnie mnie nim w głowę. Mówią, że to nie działa, ale skąd mogą wiedzieć?

Barman się uśmiecha, jakby myślał, że żartuję.

- Super. - Wzdycham ze zniecierpliwieniem. - Będę musiała sama to zrobić. - Zanim zdąży mnie powstrzymać, biorę shaker i walę się nim w czoło. - Au! - Upuszczam shaker i łapię się za głowę. - Au! Boli!

- Widzieliście?! - Słyszę, że wykrzykuje ktoś za mną. - To wariatka!

- Proszę pani, nic pani nie jest? - Barman wygląda na przestraszonego. - Może wezwać pani...

- Chwileczkę! - Unoszę rękę. Przez chwilę siedzę wyprostowana, w całkowitym bezruchu, czekając, aż powrócą wspomnienia. Ale potem, rozczarowana, opuszczam ramiona. - Nic z tego. Nic.

Cholerstwo.

- Mocna czarna kawa dla tej pani, na mój rachunek. - Słyszę, jak Amerykanin mówi przyciszonym głosem do barmana. Bezczelny. Nie chcę kawy. Już mam im to powie-

dzieć, gdy odzywa się mój telefon. Po krótkiej walce z suwakiem torebki udaje mi się go wydobyć - dostałam esemesa od Erica.

Cześć, już jadą do domu. E.

- To od mojego męża - informuję barmana, chowając telefon. - Wie pan, on potrafi prowadzić łódź motorową.

- Super - odpowiada uprzejmie.

- Uhm. Żeby pan wiedział. - Kiwam stanowczo głową z siedem razy. - Super. To idealne, idealne małżeństwo... -Zastanawiam się przez chwilę. - Tylko że jeszcze nie uprawiam z mężem seksu.

- Nie uprawiała pani z mężem seksu? - powtarza Amerykanin ze zdumieniem.

- To znaczy uprawiałam. - Popijam znowu mojito i pochylam się do faceta konfidencjonalnie. - Tylko tego nie pamiętam.

- To dobre, co? - Zaczyna się śmiać. - Niech pani odświeży sobie pamięć.

Odświeżyć pamięć. Te słowa rozświetlają mi umysł jak wielki neon. Odświeżyć pamięć.

- Wie pan co? - mówię wolno. - Może nie zdaje pan sobie sprawy, ale to jest bardzo prze... przeklini... przenikliwa myśl.

Nie jestem pewna, czy dobrze wypowiedziałam to słowo. Ale wiem, co mam na myśli. Gdybym poszła z Erikiem do łóżka, może odświeżyłoby mi to pamięć. Może tego mi właśnie trzeba! Może Amy od początku miała rację, i to naturalny sposób na amnezję.

- Zrobię to. - Odstawiam z rozmachem szklanę. - Pójdę do łóżka z własnym mężem!

- Do dzieła, dziewczyno! - mówi ze śmiechem Amerykanin. - A zabaw się!

Pójdę z Erikiem do łóżka. Mam przed sobą cel. Jestem bardzo podekscytowana, jadąc do domu taksówką. Dopadnę

go, gdy tylko wrócę. Będzie nam razem cudownie, odświeży mi to pamięć i wszystko się wyjaśni. Jedyne szkopuł w tym, że nie mam przy sobie niezbędnika małżeńskiego. I zupełnie nie pamiętam, jak leciała gra wstępna.

Zamykam oczy, starając się nie zważać na to, że kręci mi się w głowie, i próbuję sobie przypomnieć, co pisał Erie. Coś o kierunku wskazówek zegara. I o „delikatnych, potem coraz mocniejszych posuwistych ruchach”. Ale gdzie? Po udach? Piersi? Powinam była się tego nauczyć na pamięć. Albo napisać na samoprzylepnej karteczce i przykleić na wezgielciu łóżka.

Dobra. Chyba wiem. Najpierw pupa, potem wewnętrzna strona uda, a potem krocze...

- Słucham? - pyta taksówkarz.

Och. Nie zdawałam sobie sprawy, że myślę głośno.

- Nic, nic! - odpowiadam pospiesznie.

W pamięci pojawiają się nagle płatki uszu. Może to o nie chodzi z tymi mocniejszymi posuwistymi ruchami. A zresztą wszystko jedno, nieważne. Będę improwizować. Przecież nie jesteśmy znudzonym starym małżeństwem, żeby to robić za każdym razem tak samo, prawda?

A może tak?

Czuję drobne skrupuły, które ignoruję. Będzie świetnie. Poza tym mam na sobie fantastyczną bieliznę. Jedwabną, do kompletu i w ogóle. W mojej szafie nie znajdzie się już żadnych obciachowych gaci. Zajeżdżamy pod budynek i płacę kierowcy. Jadąc windą na górę, wydaję z ust gumę, którą żułam dla odświeżenia oddechu, i rozpinam trochę bluzkę.

Za głęboko. Widać stanik.

Zapinam kilka guzików, wchodzę do mieszkania i wołam:

- Ericu?!

Nie ma odpowiedzi, więc idę do gabinetu. Jestem trochę wkurzona, prawdę mówiąc. Chwieję się na obcasach, ściany

przybliżają się do mnie i oddalają. Lepiej nie eksperymentować i zrobić to na stojąco.

Podchodzę do drzwi gabinetu i patrzę przez chwilę na Erica, który pracuje przy komputerze. Na ekranie widzę prospekt „Bme 42”, jego nowego apartamentowca. Otwarcie za kilka dni i Erie przez całe dni przygotowuje się do prezentacji.

Okej, teraz powinien wyczuć w powietrzu fluidy erotyczne, odwrócić się i zobaczyć mnie. Ale nic się nie dzieje.

- Ericu - mówię niskim, zmysłowym głosem.

On nadal ani drgnie. Nagle uświadamiam sobie, że ma na uszach słuchawki.

- Ericu! - krzyczę.

Wreszcie się odwraca. Zdejmuje słuchawki i uśmiecha się do mnie.

- Cześć. Miałaś udany dzień?

- Ericu... weź mnie. - Przesuwam palcami we włosach. -Zróbmy to. Odśwież mi pamięć.

Gapi się na mnie przez kilka sekund. - Kochanie, ty piłaś?

- Może strzeliłam sobie parę drinków. Albo trzy. - Kiwam głową i przytrzymuję się framugi, żeby utrzymać równowagę. - Najważniejsze, że dzięki nim zdałam sobie sprawę, czego chcę. Czego potrzebuję. Seksu.

- Oooo-kej. - Erie unosi brwi. - Może powinnaś wytrzeźwieć, zjeść coś? Gianna przyrządziła nam kociołek pysznych owoców morza...

- Nie chcę owoców morza! Musimy to zrobić! Tylko w ten sposób odzyskam pamięć!

Co z nim? Oczekiwałam, że rzuci się na mnie, a on tymczasem pociera czoło wierzchem dłoni.

- Lexi, nie chcę cię do niczego nakłaniać. To poważna decyzja. Lekarz ze szpitala mówił, że powinniśmy poczekać do czasu, aż poczujesz się komfortowo z perspektywą...

- Czuję się komfortowo z perspektywą tego, że zrobimy to w tej chwili. - Rozpinam dwa dalsze guziki bluzki, od-

słaniając bardotkę La Perłą na fiszbinach. Boże, mój biust wygląda w niej imponująco.

I powinien. W staniku za sześćdziesiąt funtów!

- No chodź. - Wysuwam prowokująco brodę. - Jestem twoją żoną.

Widzę, że Erie intensywnie myśli, gdy tak na mnie patrzy.

- No... dobrze! - Zamyka plik, wyłącza komputer, a potem podchodzi do mnie, obejmuje mnie i zaczyna całować. I jest... przyjemnie.

Tak; Jest... przyjemnie.

Ma całkiem miękkie usta. Zauważyłam już wcześniej. To dość dziwne u faceta. Nie to, że nie seksowne, ale...

- Czujesz się komfortowo, Lexi? - dyszy mi do ucha.

- Tak! - odpowiadam szeptem.

- Przeniesiemy się do sypialni?

- Dobra!

Wyprowadza mnie z gabinetu, idę za nim, chwiejąc się trochę na wysokich obcasach. To wszystko wydaje się tak sztywne, jakby prowadził mnie na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy.

W sypialni znowu zaczynamy się całować. Erie jest chyba naprawdę napalony, ale ja nie mam pojęcia, co powinnam robić dalej. Zerkam na niezbędnik małżeński, który leży na otomanie, i zastanawiam się, czy palcem u nogi nie mogłabym otworzyć go szybciotko na „grze wstępnej”. Tak żeby Erie nie zauważył.

Erie pociąga mnie na łóżko. Muszę się odwzajemnić. Tylko czym? Małe gli, gli - nie... Przestań. Powinnam zacząć od... piersi. Rozpiąć mu koszulę. Posuwiste ruchy. Zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara. Ma ładną klatkę piersiową, muszę to przyznać. Szeroką i umięśnioną od tych wszystkich godzin spędzanych codziennie na siłowni.

- Nie przeszkadza ci, że dotykam twoich piersi? - mruczy, rozpinając mi stanik.

- Chyba nie - odpowiadam tak samo.

Dlaczego tak je miętosi? Jakby kupował owoce na targu. Zaraz będę miała siniaki. *

Nieważne. Przystań marudzić. Jest świetnie. Mam fantastycznego męża o fantastycznym ciele, jesteśmy w łóżku i...

Au! To był mój sutek!

- Przepraszam - szepcze Erie. - Posłuchaj, kochanie, nie przeszkadza ci, że dotykam twojego brzucha?

- Eee... chyba nie!

Czy musi pytać? Dlaczego dotykanie brzucha miałoby mi przeszkadzać, a dotykanie piersi nie? To bez sensu. I żeby powiedzieć absolutną prawdę, nie wiem, czy wyrażenie „nie przeszkadza” jest tu na miejscu. To wszystko wydaje się jakieś surrealistyczne. Obmacujemy się, dyszymy i robimy wszystko według książki, ale nie wydaje mi się, żeby to dokądś prowadziło.

Czuję na szyi gorący oddech Erica. Chyba pora, żebym posunęła się dalej. Może pośladki albo... A tam, do dzieła! Sądząc po ruchach dłoni Erica, przechodzimy od razu do wewnętrznej strony ud.

- Ostra jesteś - mówi pełnym napięcia głosem. - Jezu, ale jesteś ostra. Ostro jest.

Nie wierzę własnym uszom! On też w trakcie seksu używa słowa „ostry"! Powinien pójść do łóżka z Debs.

Och nie. Nie powinien pójść do łóżka z Debs. Wymazać tę myśl.

Nagle uświadamiam sobie, że jestem trzy kroki do tyłu z całą tą grą wstępną, nie mówiąc już o namiętych tekstach. Ale Erie chyba tego nie zauważa.

- Lexi, kochanie? - mamrocze, dysząc mi prosto do ucha.

- Tak? - odpowiadam szeptem, zastanawiając się, czy nie chce mi powiedzieć: „Kocham cię”.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli włożę ci penisa... Uuuch!

Odruchowo odpycham go i turlam się w tył po łóżku.

Ojej. Nie chciałam tak mocno zareagować.

- Co się stało? - Siada na łóżku, wystraszony. - Lexi! Co jest nie tak? Wszystko w porządku? Coś ci się przypomniało?

- Nie. - Przygryzam wargę. - Przepraszam. Nagle poczułam się trochę... eee...

- Wiedziałem. Wiedziałem, że niepotrzebnie przyspieszyliśmy sprawę. - Erie wzdycha i bierze mnie za obie ręce. -Lexi, porozmawiajmy. Dlaczego nie czułaś się komfortowo? Dlatego, że powróciły jakieś traumatyczne wspomnienia?

O Boże. Wygląda na strasznie przejętego. Będę musiała skłamać.

Nie. Nie mogę kłamać. W małżeństwie trzeba być całkowicie szczerym, jeśli ma się w nim układać.

- To nie z powodu żadnego traumatycznego wspomnienia - mówię w końcu, wbijając wzrok w kołdrę za jego plecami. - To dlatego, że powiedziałeś „penis”.

- „Penis”? - Erie wygląda na totalnie zbitego z tropu. -Co jest złego w słowie „penis”?

- Po prostu... no wiesz. To nie jest zbyt rajcowne. Gdy w trakcie używa się takich słów.

Erie opiera się na wezglowiu, ściągając brwi ze zdumieniem.

- Moim zdaniem słowo „penis” jest rajcowne - oświadczam w końcu.

- No tak! - Wycofuję się czym prędzej. - To znaczy, oczywiście, jest dość rajcowne...

Jak jego zdaniem słowo „penis” może kogoś rajcować?

- W każdym razie to nie było tylko to. - Pospiesznie zmieniam temat. - Co dwie sekundy pytałeś mnie, czy coś mi nie przeszkadza. To takie... oficjalne. Nie sądzisz?

- Staram się tylko być troskliwy - odpowiada sztywno. -To dość dziwna sytuacja dla nas obojga. - Odwraca się i szybko wkłada koszulę.

- Wiem! - mówię. - I rozumiem to, naprawdę. - Kładę mu rękę na ramieniu. - Ale może trochę się rozluźnimy. Będziemy bardziej... spontaniczni.

Erie milczy przez chwilę, jakby rozważał to, co powiedziałam.

- Więc mam tu spać dzisiejszej nocy? - pyta w końcu.

- Och! - Wzdrygam się mimowolnie.

Co jest ze mną? Erie to mój mąż. Przed chwilą chciałam się z nim kochać. Ale myśl, że miałby w nocy spać tu ze mną... to już za duża intymność.

- Może dajmy sobie trochę czasu. Przepraszam, to dla mnie po prostu...

- Dobra. Rozumiem. - Wstaje, unikając mojego wzroku. - Chyba wezmę prysznic.

- Okej.

Pozostawiona sama sobie, rzucam się na poduszki. Świetnie. Nie było seksu. Nic sobie nie przypomniałam. Totalna klapa. „Moim zdaniem słowo «penis» jest rajcowne”.

Nagle gulgoczę ze śmiechu i zasłaniam sobie ręką usta na wypadek, gdyby Erie mnie słyszał. Dzwoni telefon przy łóżku, ale w pierwszej chwili się nie ruszam - to na pewno nie do mnie. Potem uzmysławiam sobie, że Erie jest pod prysznicem. Wyciągam więc rękę i podnoszę bajerancką słuchawkę telefonu Bang and Olufsen.

- Słucham?

- Cześć - słyszę znajomy suchy głos. - Mówi Jon.

- Jon? - Czuję, że najpierw robi mi się gorąco, a potem zimno. Erica nie ma w pobliżu, ale mimo to pędzę ze słuchawką do mojej łazienki za ścianą, zamykam drzwi i przekręcam klucz.

- Zwariowałeś? - Z wściekłością syczę ściszym głosem. - Po co tu dzwonicz? To ryzykowne! A gdyby odebrał Erie?

- Spodziewałem się, że właśnie on odbierze. - Jon wydaje się trochę zaskoczony. - Muszę z nim porozmawiać.

- Och. - Nieruchomieję, zawstydzona, gdy dociera do mnie znaczenie jego słów. Ale jestem głupia. - No... tak. -

220

Starając się zapanować nad sytuacją, przybieram oficjalny ton. - Oczywiście, Jon. Zaraz go zawiadamiam...

- Ale muszę też porozmawiać z tobą - przerywa mi. - Musimy się spotkać.

- Nie możemy! Skończ z tym. Z tymi... ciągłymi rozmowami. Przez telefon, i nie przez telefon.

- Lexi, jesteś zła? - pyta.

- Nie. - Patrzę na moją zarumienioną ze złości twarz. - No może... trochę.

Po drugiej stronie linii rozlega się jakieś prychnięcie. Czyżby się śmiał?

- Kocham cię - mówi.

- Nie znasz mnie.

- Kocham dziewczynę... którą byłaś. I jesteś.

- Kochasz kobrę? - odcinam się ostro. - Kochasz sukę z piekła rodem? Wobec tego musisz być szurnięty.

- Nie jesteś suką z piekła rodem. - Teraz już nie mam wątpliwości, że śmieje się ze mnie.

- Wszyscy uważają, że jestem. Byłam. Tak czy siak.

- Byłaś nieszczęśliwa. I popełniłaś kilka dużych błędów. Ale nigdy nie byłaś suką.

Mimo pijackiego zamroczenia chłonę każde jego słowo. To balsam na moją skołataną duszę.

Chciałabym usłyszeć więcej.

- Jakie... - Przełykam ślinę. - Jakiego rodzaju błędy?

- Powiem ci, gdy się spotkamy. Porozmawiamy o wszystkim. Lexi, tak bardzo za tobą tęsknię...

Nagle ten jego intymny ton wprawia mnie w niepokój. Siedzę tu, we własnej łazience, i rozmawiam szeptem z facetem, którego nie znam. Co ja robię?

- Przestań. Przestań! - wchodzę mu w słowo. - Muszę się zastanowić.

Idę na drugą stronę łazienki, przesuwając palcami we włosach i starając się myśleć racjonalnie mimo zawrotów głowy. Moglibyśmy się spotkać i pogadać...

Nie. Nie. Nie mogę robić niczego za plecami Erica. Chcę mieć udane małżeństwo.

- Erie i ja właśnie poszliśmy do łóżka! - oznajmiam triumfalnie.

Nie wiem, po co to powiedziałam.

Po drugiej stronie zapada cisza i zaczynam się zastanawiać, czy Jon poczuł się tak dotknięty, że sobie poszedł. Cóż, jeżeli tak, to nawet dobrze.

- I o czym to ma świadczyć? - słyszę jego głos.

- No wiesz. To wszystko zmienia.

- Nie rozumiem. Wydaje ci się, że się odkocham, bo przespałaś się z Erikiem?

- Ja... no nie wiem. Może.

- Czy może twoim zdaniem seks z Erikiem dowodzi, że go kochasz? - Mówi to twardym głosem.

- Sama nie wiem! - odpowiadam, znowu rozdrażniona. Po co ja w ogóle ciągnę tę rozmowę?

Powinna wyjść ze słuchawką w ręce i zawołać głośno: „Kochanie, Jon do ciebie”.

Coś jednak zatrzymuje mnie w łazience, ze słuchawką przy uchu.

- Pomyślałam sobie, że to pomogłoby mi odzyskać pamięć - mówię w końcu, siedząc na brzegu wanny. - Wciąż mam wrażenie, że gdzieś tkwią te wszystkie wspomnienia, tylko jakoś zamknięte, i gdybym potrafiła się do nich dostać... To takie frustrujące...

- Opowiedz mi wszystko - prosi sucho Jon.

Nagle widzę go w wyobraźni, jak stoi w szarej koszulce i w dżinsach, z wykrzywioną jak zwykle twarzą, trzymając słuchawkę jedną ręką, a drugą, zgiętą w łokciu, zakładając za głowę; widzę jego pachę...

Ta wizja jest tak sugestywna, że mrugam oczami.

- No i jak było? Z tym seksem. - Jego ton się zmienił, jest lżejszy.

- Było... - Chrząkam. - No wiesz. Jak to seks. Wiesz, jak wygląda seks.

- Owszem, wiem - przyznaje. - Wiem też, jak wygląda seks z Erikiem. On jest sprawny... uważny... przewidujący...
- Przestań! Mówisz, jakby w tym wszystkim było coś złego...
- Musimy się spotkać. - Nie daje mi dokończyć. - Poważnie.
- Nie ma mowy. - Czuję, że dygocę z niepokoju gdzieś głęboko w środku. - Jakbym miała zaraz przekroczyć jakiś próg. Albo powstrzymać się przed tym.
- Tęsknię za tobą bardzo. Dobija mnie, że nie mogę być z tobą...
Rękę, w której trzymam słuchawkę, mam już spoconą. Nie mogę dłużej tego słuchać. On mnie rozstraja, rozbija kompletnie. Bo gdyby to była prawda, gdyby wszystko, co mówi, okazało się prawdziwe...
- Posłuchaj, muszę kończyć - mówię pospiesznie. - Zaraz dam ci Erica. - Na drżących nogach podchodzę do drzwi łazienki, odmykam je i wysuwam głowę, trzymając słuchawkę z dala od siebie, jakby mnie parzyła.
- Lexi, posłuchaj... - słyszę dochodzący z niej głos, ale ignoruję go.
- Ericu! - wołam, podchodząc do drzwi jego sypialni, a on wyłania się z niej, owinięty ręcznikiem. - Kochanie, Jon do ciebie. Jon architekt.

13

Próbowałam. Naprawdę próbowałam. Zrobiłam, co tylko przyszło mi do głowy, aby pokazać wszystkim z mojego działu, że nie jestem suką.

Wywiesiłam plakat z prośbą, żeby zgłaszać pomysły na wspólne imprezy dla pracowników działu, ale nikt się nie wpisał. Postawiłam kwiaty na parapetach, ale nikt ani sło-

215

wem o nich nie wspomniał. Dziś przyniosłam wielki kosz babeczek z jagodami, wanilią i czekoladą i postawiłam go na fotokopiarce z kartką: ***Od Lexi - częstujcie się!***

Przeszłam się przed paroma minutami do biura i zobaczyłam, że nie zniknęła ani jedna babeczka. Ale nie ma się co przejmować, jest jeszcze dość wcześnie.

Odwracam kartkę, którą czytam, a potem klikam w plik na ekranie komputera. Przedzieram się jednocześnie przez dokumenty na piśmie i w komputerze, starając się wszystko porównywać ze sobą nawzajem. Ziewam szeroko i składam głowę na biurku. Jestem zmęczona, a właściwie wykończona. Przychodzę codziennie o siódmej, żeby przerobić kolejną wielką górę papierów. Od ciągłego czytania mam już czerwone oczy.

Mało brakowało, a w ogóle bym tu nie wróciła. Następnego rana po tym, jak próbowałam kochać się z Erikiem, wstałam blada, ze straszliwym bólem głowy i absolutną niechęcią, żeby wrócić do pracy.

Powlokłam się do kuchni, zaparzyłam sobie filiżankę herbaty, wsypałam do niej trzy łyżeczki cukru, usiadłam i napisałam na kartce, krzywiąc się co chwila:

Opcje:

1. poddać się 2. nie poddawać.

Gapiałam się na to całe wieki. Wreszcie przekreśliłam „podać się”.

Problem z poddaniem się polega na tym, że nigdy się nie dowiesz. Nigdy się nie dowiesz, czy mogło się udać, czy nie. Tak mało wiem o swoim życiu, że mam już tego dosyć. Więc oto siedzę w moim gabinecie i przedzieram się przez stenogram narady na temat tendencji kosztów włókien dywanowych, poczynawszy od 2005 roku. Na wypadek gdyby to miało okazać się ważne.

Nie. Spokojnie. To nie może być ważne. Zamykam plik, wstaję i prostuję nogi, a potem na palcach podchodzę do drzwi. Uchylam je lekko i z nadzieją patrzę w kierunku głów-

nego biura. Widzę fragment koszyka przez szybę. Nadal nikt nie tknął jego zawartości.

To mnie dobija. Co jest nie tak? Dlaczego nikt nie bierze ciastek? Może powinnam wyraźnie zaznaczyć, że są dla wszystkich. Idę do głównego biura.

- Cześć! - mówię wesoło. - Chciałam powiedzieć, że te babeczki są dla wszystkich. Prosto z piekarni, dziś upieczone. Więc zapraszam! Częstujcie się.

Nikt nie reaguje. Nikt nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Czyżbym nagle stała się niewidzialna?

- No cóż. - Zmuszam się do uśmiechu. - Smacznego! Obracam się na pięcie i wychodzę.

Zrobiłam, co do mnie należało. Jeśli będą mieli ochotę na ciastka, to dobrze. Jeśli nie, to nie. Sprawa zamknięta. Nie będę się przejmować. Siadam z powrotem za biurkiem, otwieram ostami raport finansowy i zaczynam przesuwając palcem po odpowiednich kolumnach. Po kilku minutach opadam na oparcie fotela i zwinętymi w pięści dłońmi przecieram oczy. Te liczby potwierdzają tylko to, co już wiem: że wyniki pracy działu są straszne.

Sprzedaż podniosła się trochę w zeszłym roku, ale wciąż jest o wiele, o wiele za niska. Będziemy mieć poważne kłopoty, jeśli czegoś nie zrobimy. Wczoraj wspomniałam o tym Byronowi, ale jakby go to wcale nie obchodziło. Jak może być tak zblazowany? Notuję na karteczce samoprzylepnej:

Porozmawiać z Byronem o sprzedaży. Potem odkładam długopis.

Dlaczego nie chcą ode mnie ciastek?

Gdy je rano kupowałam, byłam pełna optymizmu. Wyobrażałam sobie, że wszyscy ucieszą się na ich widok i będą mówić: „To miło, że o nas pomyślałaś, Lexi. Dzięki”. A teraz jestem kompletnie podłamana. Jak oni muszą mnie nienawidzić! Bo chyba trzeba kogoś bardzo nie lubić, żeby nie chcieć od niego ciastka, prawda? A te są naprawdę pyszne. Duże, świeże, te z jagodami mają nawet cytrynowy lukier.

Cichy głos rozsądku w mojej głowie podpowiada mi, żebym już z tym skończyła. Zapomnij o tym. To tylko koszyk z ciastkami, na miłość boską.

Ale nie mogę. Nie mogę tak po prostu tu siedzieć. Pod wpływem impulsu znowu zrywam się na nogi i idę do głównego biura. Koszyk stoi, wciąż nienaruszony.

- No to jak? - Staram się mówić swobodnie. - Nikt nie ma ochoty na babeczki? Są naprawdę dobre!

- Babeczki? - pyta w końcu Fi, marszcząc czoło. - Nie widzę żadnych babeczek. - Rozgląda się po pokoju jakby zdziwiona. - Czy ktoś tu widzi jakieś babeczki?

Wszyscy wzruszają ramionami, równie zdumieni.

- Masz na myśli babeczki angielskie? - Carolyn ściąga brwi. - Czy francuskie?

- W Starbucks mają babeczki. Mogę po nie posłać, jeśli chcesz - dodaje Debs, ledwie tłumiąc chichot. Ha, ha. Naprawdę bardzo śmieszne.

- Dobra! - mówię, starając się ukryć wrażenie przykrości. - Jeśli chcecie zachowywać się jak dzieci, to świetnie. Zapomnijcie o tym. Staram się być miła, ale nie, to nie.

Oddychając ciężko, odwracam się z powrotem do drzwi. Słyszę za sobą chichoty i parsknięcia śmiechu, ale usiłuję się nimi nie przejmować. Muszę zachować godność, jak przystało na szefową.

Nie mogę się denerwować, nie mogę dać się wytrącić z równowagi...

O Boże. Nie dam rady. Wzbiera we mnie uraza i gniew, zaraz wybuchnę jak wulkan. Jak mogą być tacy podli?

- Właściwie to żadne „dobra”. - Wracam na środek biura z rozpaloną twarzą. - Zadałam sobie dużo trudu, żeby zdobyć te ciastka, bo pomyślałam, że miło będzie was poczęstować, a wy udajecie, że nawet ich nie widzicie...

- Przykro mi, Lexi. - Fi odgrywa dezorientację i skruchę. - Naprawdę nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. Carolyn prychnęła śmiechem, i coś we mnie pęka.

- Mówię o tym! - Biorę babeczkę czekoladową i ma-

cham nią Fi tuż przed nosem, aż cofa głowę. - To jest babeczka! Cholerna babeczka! Świetnie! Jeśli wy ich nie zjecie, to ja to zrobię! - Wpycham ciastko do ust i zaczynam żuć wściekle, a potem odgryzam następny kęs. Okruszki sypią się na podłogę, ale nie zważam na to. - Zjem wszystkie! - dodaję. - Dlaczego by nie? - Chwytam babeczkę z lukrem i też pakuję ją do ust. - Mmm, pycha! - Lexi? - Odwracam się i robi mi się niedobrze. W drzwiach stoją Simon Johnson i Byron. Byron wygląda tak, jakby zaraz miał wybuchnąć śmiechem. Simon patrzy na mnie jak na wściekłego goryla z zoo, który rzuca jedzeniem.

- Simon! - Przerazona, pluję okruciami babeczki. - Witaj...! Jak się masz?

- Chciałem pogadać z tobą chwilę, jeśli nie jesteś zajęta. - Simon unosi brwi.

- Jasne, że nie! - Przyglądam włosy, desperacko usiłując przełknąć kęs kleistej babeczki. - Chodźmy do mojego gabinetu.

Przechodząc obok szklanych drzwi, widzę swoje odbicie i krzywię się na widok własnych oczu, czerwonych ze zmęczenia. Włosy mam potargane. Może powinnam była je upiąć. Och, dobra, teraz nic już z tym nie zrobię.

- Lexi - zaczyna Simon, gdy zamykam drzwi gabinetu i rzucam na biurko koszyk z ciastkami. -

Właśnie odbyliśmy z Byronem rozmowę na temat czerwca dwa tysiące siedem. Jestem pewien, że poinformował cię o postępach.

- Oczywiście. - Kiwam głową, starając się sprawiać wrażenie, że wiem, o co chodzi. Ale „czerwiec 2007” nie mówi mi absolutnie nic. Co się ma wtedy wydarzyć?

- Planuję na poniedziałek zebranie w sprawie ostatecznej decyzji. Nic więcej w związku z tym nie powiem, bo oczywiście dyskrecja jest sprawą zasadniczej wagi... - Simon urywa, marszcząc czoło. - Wiem, że masz zastrzeżenia, Lexi. Jak my wszyscy. Ale naprawdę nie ma innego wyjścia.

O czym on mówi? O czym?!

- Okej, Simon, myślę, że dojdziemy do porozumienia -blefuję, mając rozpaczliwą nadzieję, że nie poprosi mnie o sprecyzowanie tej wypowiedzi.

- Dobra dziewczynka z ciebie, Lexi. Wiedziałem, że wyjdiesz nam naprzeciw. - Zaczyna mówić głośniej, weselszym tonem. - Potem zamierzam spotkać się z Jamesem Garriso-nem, tym nowym gościem z Southey's. Co o nim sądzisz?

Dzięki Bogu. Wreszcie coś, o czym słyszałam.

- A tak - mówię dziarsko. - Cóż, niestety, obawiam się, że w Southey's trochę sobie nie radzą. Będziemy musieli rozejrzeć się za innym dystrybutorem.

- Ośmielę się być innego zdania, Lexi! - Byron przerywa mi ze śmiechem. - Southey's właśnie zaproponował nam korzystniejsze warunki i pakiet usługowy. - Zwraca się do Simona: - Byłem u nich przez cały dzień w zeszłym tygodniu, razem z Keithem z Tkanin Dekoracyjnych. James Garrison wprowadził tam niezwykle zmiany. Robią wrażenie. Twarz mi płonie. Drań.

- Lexi, nie zgadzasz się z Byronem? - Simon odwraca się do mnie ze zdziwieniem. — Poznałaś Jamesa Garrisona?

- Ja... nie... nie miałam okazji. - Przętykam ślinę. - Pewnie masz rację, Byron.

Załatwił mnie na perłowo. Specjalnie. Następuje okropna chwila ciszy. Widzę, że Simon patrzy na mnie z pełnym zaskoczenia rozczerowaniem.

- Cóż, muszę już iść. Miło było cię zobaczyć, Lexi.

- Do widzenia, Simon. - Odprowadzam go do drzwi, ze wszystkich sił starając się sprawiać wrażenie pewnej siebie i świadomej swojego miejsca w wyższym kierownictwie. -Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy i będziemy mieli okazję pogadać. Może któregoś dnia podczas lunchu...

- Hej, Lexi - mówi nagle Byron, wskazując mój tyłek. -Masz coś na spodnicy. - Macam się po pupie i znajduję karteczkę samoprzylepną, która się tam przyczepiła. Patrzę na

nią i czuję, że grunt usuwa mi się spod nóg jak ruchome piaski. Ktoś napisał na niej różowym mazakiem: ***Mam ochotę na Simona Johnsona.***

Nie mogę spojrzeć na Simona. Obawiam się, że głowa zaraz mi eksploduje.

Byron parska śmiechem.

- Jest jeszcze jedna. - Wskazuje ruchem głowy. Po omacku zrywam kolejną karteczkę. ***Simon, zrób mi to!***

- Głupi dowcip! - Z rozpaczą mnę obie kartki. - Zespół ma trochę... zabawy...

Simon Johnson nie wygląda na rozbawionego.

- Cóż - mówi po chwili. - No to do zobaczenia, Lxxi. Odwraca się na pięcie i wraz z Byronem rusza korytarzem. Słyszę, że Byron mówi:

- Widziałeś, Simon? Jest absolutnie...

Stoję, patrząc za nimi, wciąż drżąc z wrażenia. No tak. Moja kariera legła w gruzach, zanim miałam szansę się wykazać. W zamroczeniu wracam do gabinetu i padam na fotel. Nie nadaję się do tej roboty. Jestem wykończona. Byron mnie wykolegował. Nikt nie chce moich babeczek.

Na tę ostatnią myśl czuję ogromną przykrość, i nie mogę się opanować. Po policzku spływa mi łza. Chowam głowę w ramionach i wkrótce już szlocham rozdzierająco. A myślałam, że będzie tak fajnie. Myślałam, że bycie szefową to coś zabawnego i ekscytującego. Nie zdawałam sobie sprawy... Nigdy by mi do głowy nie przyszło...

- Hej. - W moje myśli wdziera się czyjś głos. ' Uniósłszy głowę, widzę w progu Fi.

- O, cześć. - Szybkim ruchem ocieram oczy. - Przepraszam. Po prostu...

- Wszystko w porządku? - pyta niezręcznie.

- Tak, świetnie. Świetnie. - Gmeram w szufladzie, szukając chusteczki, i wydmuchuję nos. - Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Przepraszam cię za te kartki. - Przygryza wargę. - Nie przypuszczałam, że Simon się tu zjawi. To miał być żart.

- W porządku. - Głos mi drży. - Skąd miałaś wiedzieć?

- Co powiedział?

- Nie był zachwycony. - Wzdycham. - Ale i tak nie jest mną zachwycony, więc co za różnica? - Urywam kawałek babeczki, wsadzam do ust i natychmiast czuję się lepiej. Na jedną nanosekundę. Fi wciąż patrzy na mnie.

- Myślałam, że nie jesz już węglowodanów - mówi w końcu.

- Taaak, oczywiście. Jak bym mogła żyć bez czekolady? -Odgryzam następny wielki kęs. - Kobiety potrzebują czekolady. To fakt udowodniony naukowo.

Zapada cisza, a gdy unoszę głowę, widzę, że Fi wciąż spogląda na mnie niepewnie.

- To dziwne - mówi. - Zachowujesz się jak dawna Lexi.

- Jestem dawną Lexi. - Nagle czuję się zmęczona koniecznością tłumaczenia tego po raz kolejny. - Fi... wyobraź sobie, że budzisz się jutro i okazuje się, że jest rok dwa tysiące dziesiąty. Musisz znaleźć swoje miejsce w nowym życiu i być kimś nowym. Cóż, mniej więcej tak się czuję. -Przerywam, żeby oderwać kolejny kawałek babeczki, przyglądam mu się przez chwilę, a potem odkładam. - Nie poznałam tej nowej osoby, jaką się stałam. Nie wiem, dlaczego jest tak, jak jest. To dla mnie dość... .trudne. Następuje długie milczenie. Wzrok mam wbity w biurko, oddycham ciężko, krusząc babeczkę. Nie śmiem unieść głowy ze strachu, że Fi powie coś złośliwego albo zacznie się ze mnie śmiać i znowu wybuchnę płaczem.

- Lxxi, przykro mi. - Mówi tak cicho, że ledwie ją słyszę. - Nie zdawałam sobie sprawy... nie zdawałyśmy sobie sprawy. Wyglądasz tak samo jak dawniej, więc...

- Wiem. - Posyłam jej żaloszny uśmiech. - Wyglądam jak Barbie w ciemnej peruce. - Unoszę pasmo kasztanowatych

włosów i wypuszczam je z palców. - Kiedy w szpitalu zobaczyłam się w lustrze, omal nie umarłam z wrażenia. Nie wiedziałam, kim jestem.

- Posłuchaj. - Przygryza wargę i bawi się bransoletkami. - Naprawdę mi przykro. Z powodu ciastek, tych karteczek i... w ogóle. Może pójdziesz dziś z nami na lunch? -Z nagłym zapałem podchodzi do mojego biurka. - Zaczniemy od nowa.

- Byłoby miło. - Uśmiecham się do niej z wdzięcznością. - Ale dzisiaj nie mogę. Umówiłam się na lunch z Dave'em Nieudacznikiem.

- Z Dave'em Nieudacznikiem? - Jest tak zdumiona, że nie mogę powstrzymać się od śmiechu. - Po co się z nim spotykasz? Lexi, chyba nie myślisz...

- Nie! Jasne, że nie! Tylko usiłuję odtworzyć to, co się stało w moim życiu w ciągu ostatnich trzech lat. Poskładać to z kawałków. - Waham się, bo nagle dociera do mnie, że Fi pewnie zna odpowiedzi na wszystkie moje pytania. - Fi, a może ty wiesz, jak zakończyła się moja historia z Dave'em?

- Nie mam pojęcia. - Wzrusza ramionami. - Nigdy nam nie mówiłaś, jak doszło do zerwania. Odcięłaś się od nas. Nawet ode mnie. To było tak, jakby nagle zaczęła cię obchodzić tylko kariera. Więc w końcu przestałyśmy się wysilać.

Widzę cię przykrości na jej twarzy.

- Przepraszam, Fi - mówię niezręcznie. - Nie chciałam się od was odciąć. W każdym razie tak mi się wydaje. - To zupełnie surrealistyczne - przepraszać za coś, czego się nawet nie pamięta. Jakbym była wilkołakiem albo coś w tym stylu.

- Nie przejmuj się. To nie byłaś ty. No, może ty, ale ta druga... - Fi nie kończy. Wydaje się zmieszana. Zerkam na zegarek i zrywam się na nogi.

- Chyba już pójde. Może Dave Nieudacznik coś mi wyjaśni.

- Hej, Lexi - mówi Fi wyraźnie zawstydzona. - Nie za-

uważyłaś jeszcze jednej. - Wskazuje kciukiem moją spódnicę.

Sięgam ręką za siebie i zrywam trzecią karteczkę. Widzę na niej słowa: *Simon Johnson: bardzo chętnie.*

- Ale ja nie reflektuję - stwierdzam, mnąc karteczkę.

- Nie? - Fi uśmiecha się przewrotnie. - A ja bym reflektowała.

- Niemożliwe! - Nie mogę powstrzymać parsknięcia śmiechem na widok jej miny.

- Moim zdaniem facet jest całkiem do rzeczy.

- To dziadziuś! Pewnie już nawet nie może... Napotykam jej spojrzenie i nagle obie zaczynamy śmiać się jak za dawnych czasów. Upuszczam żakiet i przysiadam na oparciu fotela, trzymając się za brzuch; nie mogę przestać. Nie śmiałam się tak od czasu wypadku. Mam wrażenie, że uchodzi ze mnie całe napięcie i stres, jakby śmiech wszystko to wymazał.

- Boże, brakowało mi ciebie - mówi w końcu Fi, wciąż krztusząc się ze śmiechu.

- A mnie ciebie. - Biorę głęboki oddech, próbując pozbierać myśli. - Fi, naprawdę. Przykro mi za to, jaka byłam... cokolwiek zrobiłam...

- Nie bądź durna. - Przerzywa mi miło, ale stanowczo i podaje żakiet. - Idź już na to spotkanie z Dave'em Nieudacznikiem.

Dave Nieudacznik radzi sobie całkiem dobrze, jak się okazuje. Naprawdę całkiem dobrze. Pracuje teraz w Auto Repair Workshop, w centrali, gdzie jest kimś w rodzaju starszego sprzedawcy. Gdy wychodzi z windy, wygląda bardzo elegancko w prążkowanym garniturze, ze znacznie dłuższymi włosami niż dawniej, gdy ostrzyżony był na Bruce'a Willisa, w okularach bez oprawek. Nie mogę się powstrzymać, zrywam się z miejsca i wołam:

- Dave Nieudacznik! Ale się zmieniłeś!

Krzywi się i rozgląda ostrożnie wokół.

- Nikt mnie już nie nazywa Dave'em Nieudacznikiem burczy cichym głosem. - Jestem David, okej?

- A tak. Przepraszam... David. Nie Butch? - dodaje, nie mogąc oprzeć się pokusie.

Dave patrzy na mnie znacząco.

Stracił brzuch, co zauważam, gdy opiera się o kontuar w foyer, żeby porozmawiać z recepcjonistą.

Musi dużo pracować, w przeciwieństwie do dawnych czasów, kiedy to pięć razy machnął hantlami, otwierał piwko i włączał telewizor, żeby obejrzeć mecz piłkarski.

Teraz, gdy patrzę wstecz, nie mogę uwierzyć, że z nim chodziłam. Brudne gacie, rzucające na podłogę, głupie, antyfeministyczne dowcipy. To kompletna paranoja, że tak desperacko pragnęłam go usidlić, mieć z nim trójkę dzieci i władować się w codzienną domową harówkę.

Mówię poważnie. Miałby facet szczęście.

- Dobrze wyglądasz, Lexi. - Odwróciwszy się od kontuaru, mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. - Kopę lat. Oczywiście, widziałem cię w telewizji. W tym programie. Kiedyś może nawet wziąłbym udział w czymś takim. - Rzuca mi pełne wyższości spojrzenie. - Ale przeskoczyłem już ten etap. Teraz pnę się w górę. Idziemy.

Przykro mi, ale nie potrafię traktować Dave'a Nieudacznika poważnie, widzieć w nim „Davida”, który pnie się po szczeblach kariery. Idziemy w kierunku „niezłej miejscowej knajpy”, jak mówi Dave Nieudacznik, który cały czas rozmawia przez telefon, rzucając głośno takie słowa jak „umowa”, „ale młyn” i stale zerkając na mnie kątem oka.

- O rany - mówię, gdy wreszcie chowa telefon. - Naprawdę daleko zaszedłeś.

- Mam fordę focusa. - Obciąża niedbale mankiety. - Firmowego amexa. I mogę korzystać z firmowego domku w górach.

- To świetnie.

225

Dochodzimy do małej włoskiej restauracyjki. Zajmujemy miejsca i pochylam się do przodu, opierając podbródek na splecionych dłoniach. Dave Nieudacznik wydaje się trochę zdenerwowany, gdy tak bawi się plastikowym menu i bez przerwy zerka na wyświetlacz telefonu.

- David - przystępuję do rzeczy. - Nie wiem, czy ci przekazano, dlaczego chciałam się z tobą spotkać.

- Sekretarka mówiła, że chcesz pogadać o dawnych czasach - mówi ostrożnie.

- Uhm. Chodzi o to, że miałam wypadek samochodowy. Próbuję odtworzyć własne życie, dowiedzieć się, co się zdarzyło, jak to się stało, że ze sobą zerwaliśmy...

Dave Nieudacznik wzdycha.

- Kochana, czy to naprawdę dobry pomysł, żeby odgrzebywać stare historie? Oboje mielibyśmy sobie coś do powiedzenia...

- Co odgrzebywać?

- Przecież wiesz... - Rozgląda się i chwyta spojrzenie kręcącego się w pobliżu kelnera. - Mógłby pan nas obsłużyć? Macie jakieś wino? Poproszę butelkę czerwonego, domowego.

- Ależ ja nic nie wiem! Nie mam pojęcia, co się stało! - Nachylam się jeszcze niżej, starając się przykuć jego uwagę. - Mam amnezję. Sekretarka ci nie mówiła? Nic nie pamiętam.

Dave Nieudacznik bardzo powoli zwraca ku mnie głowę i patrzy na mnie, jakby myślał, że żartuję.

- Masz amnezję?

- Tak! Byłam w szpitalu, i w ogóle.

- Ja cię! - Kręci głową. Tymczasem podchodzi kelner i Dave odbywa całą procedurę z degustowaniem wina i rozlewaniem do kieliszków. - Więc nic nie pamiętasz?

- Nic z ostatnich trzech lat. Chcę się dowiedzieć, dlaczego zerwaliśmy. Czy coś się stało... Czy tak po prostu się rozeszliśmy... czy co?

Dave Nieudacznik nie odpowiada od razu. Przygląda mi się uważnie zza okularów.

- Nie pamiętasz nic?

- Ostatnie, co sobie przypominam, to wieczór przed pogrzebem ojca. Byłam w nocnym klubie i naprawdę się wkurzyłam, gdy nie przyszedłeś, a potem spadłam z jakichś schodów, w deszczu... I na tym koniec.

- Uhm, uhm. - Kiwa głową w zamyśleniu. - Pamiętam tamten wieczór. Hmm, w gruncie rzeczy właśnie dlatego zerwaliśmy.

- Jak to? - pytam zdziwiona.

- Bo nie przyszedłem. Dałaś mi kopa. Finito. - Upija łyk wina, najwyraźniej się rozluźniając.

- Naprawdę? - pytam z niedowierzaniem. - Dałam ci kopa?

- Następnego ranka. Miałaś już dość, i tak to się skończyło. Przestaliśmy ze sobą chodzić.

Marszczę czoło, usiłując wyobrazić sobie tę scenę.

- Bardzo się pokłóciliśmy?

- Nie pokłóciliśmy się - odpowiada Dave Nieudacznik po chwili zastanowienia. - Raczej odbyliśmy poważną rozmowę. Zgodziliśmy się, że trzeba zakończyć tę sprawę. Powiedziałaś, że być może popełniasz największy błąd w życiu, ale nie dasz rady już dłużej walczyć ze swoją zazdrością i zaborczością.

- Tak powiedziałam? - pytam powątpiewająco.

- Uhm. zaproponowałem, że przyjdę na pogrzeb twojego taty, chciałem cię wesprzeć, ale mi nie pozwoliłaś, powiedziałaś, że nie zniesiesz mojego widoku. - Popija wino. - Powiedziałem: „Nie mam do ciebie żalu. Zawsze będę żywił dla ciebie ciepłe uczucia. Twoje życzenie jest moim życzeniem”.

Dałem ci różę i pocałowałem cię na pożegnanie. A potem odszedłem. To było piękne.

Odstawiam kieliszek i patrzę na niego badawczo. Ma

otwarte, niewinne spojrzenie, jak wtedy, gdy namawiał klientów na całkiem lipne dodatkowe ubezpieczenie samochodu.

- Więc tak to wyglądało? - upewniam się.

- Słowo. - Bierze do ręki menu. - Masz ochotę na pieczywo czosnkowe?

Czy ponosi mnie wyobraźnia, czy Dave naprawdę ma lepszy humor od chwili, gdy usłyszał o mojej amnezji? - Dave Nieudaczniku... czy naprawdę tak było? - Obrzucam go najsurowszym, najbardziej przenikliwym moim spojrzeniem.

- Oczywiście - odpowiada urażonym tonem. - I przestań mnie nazywać Nieudacznikiem.

- Przepraszam. - Wzdycham i odpakowuję pałeczkę chlebową. Może jednak mówi prawdę. A przynajmniej swoją wersję. Może rzeczywiście dałam mu kopa. Niewątpliwie byłam na niego porządnie wkurzona. - Czy zdarzyło się coś poza tym? - Łamię pałeczkę na pół i zaczynam ją pogryzać. - Pamiętasz coś jeszcze? Na przykład, dlaczego tak nagle zaczęło mi zależeć na karierze? Dlaczego odsunęłam się od przyjaciółek? O co mi chodziło?

- Zabij mnie, nie wiem. - Dave Nieudacznik wnikliwie studiuje specjalności dnia. - Co powiesz na lazanie?

- Nie mogę się w tym wszystkim połapać. - Pocieram brwi. - To tak, jakbym znalazła się pośrodku mapy z dużą strzałką, wskazującą Jesteś tutaj". I chciałabym się dowiedzieć, jak się tam dostałam. W końcu Dave Nieudacznik odrywa wzrok od menu.

- Potrzebna ci nawigacja satelitarna - oświadcza jak Dalaj Lama głoszący prawdy na szczycie góry.

- Właśnie tak! Jak najbardziej! - Kiwam głową z entuzjazmem. - Czuję się kompletnie zagubiona. I gdybym trafiła na jakiś trop, mogłabym odtworzyć trasę...

Dave Nieudacznik mądrze kiwa głową.

- Mogę ci to załatwić.

- Co takiego? - pytam, bo nie rozumiem.

- Mogę ci załatwić GPS-a. - Stuka się po nosie. - Mamy coś takiego w ofercie Auto Repair.

Przez chwilę wydaje mi się, że zaraz eksploduję z frustracji.

- Nie potrzebuję dosłownie GPS-a! - niemal krzyczę. -To metafora! Me-ta-fo-ra!

- No tak, no tak. Jasne. - Dave Nieudacznik przytakuje, ściągając brwi, jakby analizował moje słowa.

- Wolałabyś jakiś wbudowany system?

Nie wierzę. Czy ja naprawdę kiedyś chodziłam z tym facetem?

- Uhm, właśnie - mówię w końcu. - Honda robi takie rzeczy. Weźmy to pieczywo czosnkowe.

Po powrocie do domu zamierzam wysondować Erica, co wie o moim zerwaniu z Dave'em Nieudacznikiem. Musieliśmy przecież rozmawiać o wszystkich naszych poprzednich związkach. Ale kiedy wchodzę do mieszkania, od razu czuję, że to nie jest odpowiedni moment. Erie chodzi nerwowo po pokoju z telefonem przy uchu i wygląda na zdenerwowanego.

- Chodź, Lexi. - Na chwilę zasłania dłonią mikrofon. -Spóźnimy się.

- Na co?

- Jak to „na co”? - pyta z taką miną, jakbym go zapytała, co to jest przyciąganie ziemskie. - Na otwarcie!

Cholera. Dziś wieczorem odbywa się przyjęcie z okazji oddania do użytku „Blue 42”. Wiedziałam o tym, tylko jakoś umknęło mi z pamięci.

- Oczywiście - mówię pospiesznie. - Pójdę się przygotować.

- Nie powinnaś upiąć włosów? - Erie obrzuca mnie krytycznym spojrzeniem. - Wyglądają nieprofesjonalnie.

- Och... Masz rację... Tak.

W popłochu przebieram się w czarny jedwabny kostium, wkładam moje czarne pantofle na bardzo wysokim obcasie

i szybko upinam włosy w kok. Z dodatków wybieram brylanty, a potem odwracam się, żeby sprawdzić efekt w lustrze.

Eee. Wyglądam nieciekawie. Jak jakiś aktuariusz albo ktoś taki. Przydałoby się coś jeszcze. Nie mam już żadnych broszek? Żadnych jedwabnych kwiatów, apaszek ani błyszczących spinek do włosów? Niczego wesołego? Szperam przez chwilę w szufladach, ale nie mogę niczego takiego znaleźć oprócz zwykłej beżowej opaski do włosów. Super. To dopiero stylowy dodatek.

- Gotowa? - Wchodzi Erie. - Świetnie wyglądasz. Chodź już.

Rany kota. Jeszcze nigdy dotąd nie widziałam go tak spiętego i podekscytowanego. Przez całą drogą rozmawia przez telefon, a kiedy wreszcie go odkłada, przebiera po nim palcami, patrząc przez okno samochodu.

- Na pewno wszystko pójdzie dobrze - mówię uspokajająco.

- Musi - odpowiada, nie odwracając głowy. - To duża kampania promocyjna. Superzłotokontowcy. Mnóstwo prasy. Całe miasto będzie teraz mówić tylko o „Blue Czterdzieści Dwa”.

Gdy skręcamy w bramę, mimowolnie wciągam w płuca powietrze. Do drzwi frontowych prowadzi szpaler zapalonych pochodni. Po nocnym niebie przesuwają się snopy laserowych świateł. Jest czerwony dywan dla gości, a wokół niego czeka kilku fotoreporterów. Przypomina to premierę filmową.

- Ericu, to niesamowite. - Ściskam go za rękę. - To będzie wielki sukces.

- Miejmy nadzieję. - Rzuca mi szybki, sztywny uśmiech. Kierowca otwiera drzwi. Biorę torebkę, żeby wysiąść.

- Ach, Lexi! - Erie gmera w kieszeni. - Zanim zapomnę... Miałem ci to dać. - Podaje mi jakąś kartkę.

- Co to jest? - Uśmiecham się, rozkładając ją. Ale mój uśmiech tężeje. To faktura. Na górze widnieje nazwisko Eri-

ca, ale jest przekreślone, a pod nim ktoś napisał: „Scedowane na Lexi Gardiner”. Z niedowierzaniem przebiegam wzrokiem po tekście: ***Chelsea Bridge Szklane Bibeloty. Duża pantera z dmuchanego szkła: sztuk 1. Do zapłaty: 3200 £.***

- Zamówiłem duplikat - wyjaśnia Erie. - Możesz uregulować rachunek, kiedy zechcesz. Czekałem albo przelewem na moje konto...

Wystawił mi fakturę?

- Mam zapłacić za panterę? - Śmieję się z przymusem, żeby sprawdzić, czy on żartuje. - Z moich własnych pieniędzy?

- Ty ją rozbiłaś. - Erie wydaje się zaskoczony. - Jakiś problem?

- Nie! Wszystko... wszystko w porządku. - Przełykam ślinę. - Wypiszę ci czek. Gdy tylko wrócimy do domu.

- Nie ma pośpiechu. - Erie uśmiecha się i wskazuje czekającego kierowcę, który wciąż przytrzymuje drzwi. - Chodźmy już.

Jest okej, mówię sobie stanowczo. Miał prawo wystawić mi fakturę. Widocznie tak jest w naszym małżeństwie.

Ale małżeństwo powinno funkcjonować inaczej.

Nie. Przestań. Wszystko w porządku. Jest świetnie.

Wkładam fakturę do torebki i uśmiecham się do kierowcy najszerzej, jak potrafię, potem wysiadam i idę za Erikiem po czerwonym dywanie.

14

Jasna cholera. To naprawdę szpanerskie przyjęcie, pełna gala. Cały budynek jest rozświetlony i tętni muzyką. Penthouse wygląda jeszcze bardziej efektownie niż poprzednio, wszędzie stoją kwiaty i krążą kelnerzy, którzy trzymają tace z szampanem i torebki z upominkami dla gości. Pod oknem

231

zebrali się Ava, Jon oraz kilka innych osób, których nie znam. Erie kieruje się prosto do nich.

- Cześć - mówi. - Jak tam goście? Sarah, masz listę dziennikarzy? Wszystko pod kontrolą?

- Są. - Młoda dziewczyna w etoli podchodzi szybko, niemal wywracając się na szpilkach. - Van Gogenowie przyjechali trochę za wcześnie. I ściągnęli przyjaciół. A za nimi już idą następni!

- Powodzenia, proszę państwa. - Erie przybija piątkę z członkami swojego zespołu. - Sprzedajmy ten budynek.

Chwilę potem wchodzi para w kosztownych okryciach i Erie, zbrojny w szeroki uśmiech, rusza do ofensywy, przedstawiając im Awę, częstując szampanem i prowadząc do okna, żeby mogli podziwiać widok. Przybywa coraz więcej osób i wkrótce robi się tłoczno; goście gawędzą ze sobą, przeglądają prospekty i oglądają instalację z wodospadem.

Kilka metrów dalej, po mojej lewej stronie, stoi Jon w ciemnym garniturze i rozmawia z van Gogenami. Jeszcze nie zamieniłam z nim słowa. Nie mam pojęcia, czy mnie zauważył. Od czasu do czasu zerkam na niego, a potem szybko odwracam wzrok, gdyż ściska mnie w żołądku.

Czuję się jak zadurzona trzynastolatka. W tym całym tłumie istnieje dla mnie tylko on. Wiem, gdzie się akurat znajduje, co robi, z kim rozmawia. Rzucam mu kolejne ukradkowe spojrzenie i tym razem on je podchwytuje. Odwracam się od niego z płonącymi policzkami i pociągam łyk wina. Świetnie, Lexi. Pełna dyskrecja.

Celowo odwracam się tak, żeby Jon znalazł się poza moim polem widzenia. Przyglądam się przybywającym gościom, niemal jak w transie, gdy nagle wyrasta przy mnie Erie.

- Lexi, kochanie. - Ma przyklejony do twarzy pełen dezaprobaty uśmiech. - Dziwnie wyglądasz, gdy tak stoisz samotnie. Chodź ze mną.

Zanim mogę go powstrzymać, prowadzi mnie w stronę Jona, który rozmawia już z inną zamożną parą.

Kobieta ma

na sobie kostium ze spodniami od Diora, farbowane na rudo włosy i mocno pociągnięte konturówką usta. Wyszczersza do mnie porcelanowe zęby, a jej siwowłosy mąż chrząka, władczo trzymając dłoń na jej ramieniu.

- Państwo pozwolą, że przedstawię moją żonę Lexi. -Erie uśmiecha się do nich promiennie. - Jedna z największych fanek... - Urywa, a ja sztywnieję, czekając, co powie. -...stylu życia a la loft.

Jeśli jeszcze raz usłyszę to określenie, strzelę sobie w łeb.

- Witaj, Lexi. - Jon przez chwilę patrzy mi w oczy, gdy Erie się oddala. - Jak się masz?

- Świetnie, dziękuję, Jon. - Staram się mówić spokojnie, jak do wszystkich innych na przyjęciu, jakby on nie stanowił głównego punktu mojego zainteresowania od chwili, gdy przyjechałam. - Jak podoba się państwu loft? - zwracam się do kobiety w kostiumie od Diora.

Para wymienia powątpiewające spojrzenia.

- Jedno nas niepokoi - mówi mężczyzna z europejskim akcentem, którego nie umiem zlokalizować. - Powierzchnia. Czy jest wystarczająco duża?

Odbiera mi mowę. Ten apartament jest wielki jak hangar samolotowy. Jak może nie być wystarczająco duży?

- Naszym zdaniem czterysta pięćdziesiąt metrów kwadratowych to duża przestrzeń - stwierdza Jon. - Mogą jednak państwo połączyć dwa albo nawet trzy mieszkania, jeśli potrzeba więcej miejsca.

- Naszym drugim problemem jest design - mówi mężczyzna.

- Design? - powtarza uprzejmie Jon. - Czy w tym coś państwu nie odpowiada?

- W naszym obecnym mieszkaniu mamy złote akcenty -ciągnie mężczyzna. - Złote obrazy. Złote lampy. Złote... -Brakuje mu słów.

- Dywany - uzupełnia kobieta, wypowiadając „w” jak „f”. - Złote dyfany.

Jej mąż stuka palcem w prospekt.

- Widzę tu dużo srebra, chrom.

- Rozumiem. - Jon z kamienną miną kiwa głową. - Loft można dostosować do państwa indywidualnych upodobań. Moglibyśmy na przykład pozłocić kominek.

- Pozłocić kominek? - powtarza kobieta niepewnie. - A nie będzie to już... przesada?

- Czy można przesadzić ze złotem? - uprzejmie pyta w odpowiedzi Jon. - Moglibyśmy także dodać instalacje świetlne z litego złota. A Lexi pomogłaby w sprowadzeniu złotego dywanu. Prawda?

- Oczywiście - potakuję, modląc się desperacko, żeby nagle nie parsknąć śmiechem.

- Pomyślimy o tym. - Para odchodzi, rozmawiając w jakimś obcym języku, którego nie jestem w stanie zidentyfikować.

Jon jednym haustem wypija drinka.

- To mi chyba nie wystarczy. Jezu Chryste. W tym apartamencie zmieściłoby się z dziesięć naszych segmentów z Ridgeway.

- Co to jest Ridgeway?

- Projekt „mieszkań dla każdego”. - Widzi moją zdziwioną minę. - Angażujemy się w budowę takich apartamen-towców, jeśli możemy przy tym zaprojektować kilka segmentów dostępnych na każdą kieszeń.

- Ach, rozumiem - mówię ze zdziwieniem. - Erie mi nie wspominał o tych „mieszkaniach dla każdego”.

Przez twarz Jona przebiega cień rozbawienia.

- Powiedziałbym, że on nie ma serca do tej części przedsięwzięcia - mówi i milknie.

Erie wstępuje na małe podwyższenie przed kominkiem. Nastrojowe światło przygasa, zapala się nakierowany na niego reflektor punktowy, i szmer rozmów stopniowo cichnie.

- Witam państwa! - zaczyna Erie. Jego głos niesie się

w rozległej przestrzeni. - Witam w „Blue Czterdzieści Dwa”, ostatnim z serii projektów „Blue”, dedykowanym... Wstrzymuję dech. Proszę, tylko nie to, tylko nie to...

- Stylowi życia a la loft!

Unosi ręce i jego współpracownicy zaczynają energicznie klaskać.

Jon zerka na mnie i cofa się o krok, odsuwając się od tłumu. Po chwili i ja robię krok do tyłu ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Ogarnia mnie lęk. I... podniecenie.

- Więc nadal nic sobie nie przypomniałaś? - pyta półgłosem.

- Nie.

Ekran za Erikiem rozświetla się obrazami loftów widzianych w różnych płaszczyznach. Rozlega się dynamiczna muzyka i robi się jeszcze ciemniej. Trzeba Ericowi przyznać, ta prezentacja jest fantastyczna.

- Wiesz, poznaliśmy się właśnie na takiej imprezie jak ta. - Jon mówi przyciszonym głosem, tak że ledwie go słyszę poprzez muzykę. - Gdy tylko się odezwałaś, wiedziałem.

- Co wiedziałeś?

- Że cię polubię.

Milczę, ale zżera mnie ciekawość.

- Co takiego powiedziałam? - pytam w końcu szeptem.

- Powiedziałaś: „Jeśli jeszcze raz usłyszę wyrażenie «styl życia a la loft», strzelę sobie w łeb”.

- Nie.

Patrzę na niego, a potem parskam śmiechem. Facet przed nami odwraca się, marszcząc czoło, i jak zsynchronizowani Jon i ja cofamy się jeszcze kilka kroków, aż wchodzimy w cień.

- Nie powinieneś się chować po kątach - zwracam mu uwagę. - To twój dzień. Twój loft.

- A tam - odpowiada sucho. - Niech cała chwała przypadnie Erikowi. On to lubi.

Przez moment na ekranie oglądamy Erica w kasku stojącego na placu budowy.

- Nie widzę w tym sensu - mówię cicho. - Jeżeli uważasz, że lofty są dla bogatych palantów, to dlaczego je projektujesz?

- Dobrze pytanie. - Jon popija drinka. - Prawda jest taka, że powinienem iść dalej. Ale lubię Erica. Uwierzył we mnie, dał mi szansę, prowadzi dużą firmę...

- Lubisz Erica? - Z niedowierzaniem kręcę głową. - Oczywiście, że tak. Dlatego wciąż mi powtarzasz, żebym od niego odeszła.

- A tak. To wspaniały facet. Jest uczciwy, lojalny... - Przez chwilę Jon stoi w milczeniu obok mnie, oczy mu błyszczą w mroku. - Nie chcę rozwalić mu życia - mówi w końcu. - Tego nie było w planie.

- Więc dlaczego...

- On cię nie rozumie. - Jon patrzy wprost na mnie. - Nie ma pojęcia, kim jesteś.

- A ty masz pojęcie, jak sądzę? - ripostuję.

Zapalają się światła i słychać oklaski. Instynktownie odsuwam się od Jona i oboje patrzymy, jak Eric ponownie wchodzi na podwyższenie w aurze sukcesu, bogactwa i poczucia, że stanął na szczycie świata.

- A jak tam Mont Blanc, zrobił na tobie wrażenie? - pyta Jon, bijąc głośno brawo, już w lepszym nastroju.

- Co to jest Mont Blanc? - Patrzą na niego podejrzliwie.

- Dowiesz się.

- Powiedz mi.

- O nie. - Kręci głową, zaciskając usta, jakby próbował powstrzymać śmiech. - Nie mogę zepsuć ci niespodzianki.

- No powiedz!

- Jon! Tu jesteś. Pomocy! - Oboje wzdrygamy się ze strachem, gdy pojawia się za nami Ava. Ubrana jest w czarny kostium ze spodniami, w rękach trzyma worek z juty; wydaje się zdenerwowana. - Właśnie przyjechała z Włoch ozdoba

244

skała do akwarium w sypialni pana domu. Ale ja muszę przypilnować nakryć w kuchni, jakiś cholerny idiota coś tam popieprzył... Zajmiesz się tym? - Wciska Jonowi worek w ręce. - Poukładaj skałki w akwarium. Powinieneś zdążyć do zakończenia prezentacji.

- Nie ma problemu. - Jon patrzy na mnie nieprzeniknionym wzrokiem. - Lexi, może masz ochotę pójść ze mną i pomóc?

Ściska mnie w gardle, tak że nie mogę oddychać. To zaproszenie. I wyzwanie.

Nie. Muszę odpowiedzieć „nie”.

- Taak. - Próbuję przełknąć ślinę. - Jasne.

Niemal kręci mi się w głowie, gdy idę za Jonem przez tłum, a potem schodami na półpiętro. Nikt nie zwraca na nas uwagi; wszyscy są zajęci prezentacją.

Wchodzimy do głównej sypialni i Jon zamyka drzwi.

- No - mówi.

- Posłuchaj. - Ze zdenerwowania przybieram ostry ton. - Nie mogę tak dłużej! Te szeptki, skradanie się, próby... sabotowania mojego małżeństwa. Jestem z Erikiem szczęśliwa!

- Nie. - Przecząco kręci głową. - Nie wytrzymasz z nim roku. - Wydaje się pewny tego, co mówi, i złości mnie to.

- A żebyś wiedział, że nie masz racji! - odpowiadam. - Wytrzymam z nim pięćdziesiąt lat!

- Będziesz się starała, będziesz próbowała się dostosować, ale jesteś zbyt niezależna. W końcu nie wytrzymasz ani chwili dłużej. - Oddycha głęboko, rozkładając swoje owłosione ręce. - Już kiedyś byłem tego świadkiem. Nie chcę patrzeć na to znowu.

- Dzięki za ostrzeżenie - warczę. - Kiedy już do tego dojdzie, zadzwonię do ciebie, dobra? A teraz zajmijmy się tymi skałkami. - Wskazuję ruchem głowy jutowy worek, ale Jon nie zważa na to.

Odstawia worek na podłogę i podchodzi do mnie, patrząc intensywnie i pytająco. - Naprawdę, naprawdę nic nie pamiętasz?

- Nie - odpowiadam ze znużeniem. - Mówię po raz tysięczny: nic nie pamiętam.

Odsuwa się ode mnie o kilka centymetrów, przyglądając mi się badawczo, szukając czegoś w mojej twarzy.

- Cały ten czas, który spędziliśmy razem, to wszystko, co sobie powiedzieliśmy... Musi być coś, co odblokuje ci pamięć. - Szybko pociera brew, marszcząc czoło. - A mówią ci coś słoneczniki?

Wbrew sobie wyteżam pamięć. Słoneczniki. Słoneczniki. Czy kiedyś nie... Nie, już zniknęło.

- Nic - odpowiadam w końcu. - To znaczy, lubię słoneczniki, ale...

- A może e e cummings? Frytki z musztardą?

- Nie wiem, o czym mówisz - stwierdzam bezradnie. - Nic mi się nie kojarzy.

Jon stoi tak blisko, że czuję jego lekki oddech na swojej skórze. Wciąż patrzy mi w oczy.

- A to coś ci mówi? - Podnosi dłonie ku mojej twarzy, ujmuje ją z obu stron, pociera skórę kciukami.

- Nie. - Zasycha mi w gardle.

- A to? - Pochyla się i muska ustami moją szyję.

- Przestań - mówię słabo, ale z trudem udaje mi się wydusić te słowa.

Wcale zresztą nie chcę, żeby przestał. Zaczynam oddychać coraz szybciej. Zapominam o wszystkim innym. Mam ochotę go pocałować. Mam ochotę pocałować go w taki sposób, w jaki nie chciałam całować Erica.

I wreszcie dochodzi do tego. Czuję jego usta na moich ustach i całe ciało mówi mi, że nie ma przed czym uciekać. Jon pachnie jak trzeba. Smakuje jak trzeba. Dotyka jak trzeba. Obejmuje mnie ciasno ramionami; czuję jego szorstki, kilkudniowy zarost. Zamykam oczy, zatracam się, och, jak mi dobrze...

- Jon? - Zza drzwi dochodzi głos Avy i mam wrażenie, że ktoś poraził mnie prądem.

Odskakuję od Jona, chwając się na miękkich nogach i przeklinając pod nosem:

- Cholera jasna!

- Ciii! - Jon też wydaje się wytracony z równowagi. -Spokojnie. Tak, Ava?! Co się stało?

Skalki. No tak. Tym powinniśmy być zajęci. Chwytam worek, zaczynam pospiesznie wyjmować kamienie i przy akompaniamencie głośnych plusków wrzucam je do akwarium. Biedne rybki - pływają jak oszalałe, ale nie mam inne* go wyjścia.

- Wszystko w porządku? - Ava wsadza głowę przez uchylone drzwi. - Chcę przyprowadzić grupę gości...

- Nie ma sprawy! - odpowiada Jon uspokajająco. - Już prawie gotowe.

Gdy tylko Ava znika, kopnięciem zamyka drzwi i wraca do mnie.

- Lexi! - Znowu ujmuje w dłonie moją twarz, jakby miał zamiar mnie pożreć albo uścisnąć, a może jedno i drugie. -Gdybyś tylko wiedziała, jaka to była męka...

- Przestań! - Odsuwam się od niego, świat wiruje mi przed oczami jak w kalejdoskopie. - Jestem mężatką! Nie możemy... Nie możesz... - Łapię powietrze i nagle przykładam rękę do ust. - Szlag by to. Jasny szlag!

Nie patrzę już na Jona. Patrzę na akwarium.

- Co? - Jon spogląda na mnie ze zdziwieniem, a potem podąża za moim wzrokiem. - O rany.

Woda w akwarium już się ustąpiła. Wszystkie rybki tropikalne pływają spokojnie wokół marmurowych kamieni, z wyjątkiem jednej, niebieskiej w paski, która unosi się na powierzchni brzuchem do góry.

- Załatwiłam rybkę! - chichoczę z przerażeniem. - Walnęłam ją jednym z kamieni.

- Owszem - potwierdza Jon, podchodząc do akwarium, żeby się przyjrzeć. - Celny strzał.
- Ona kosztuje trzysta funtów! Co zrobić? Za chwilę będą tu goście!
- To zupełnie nie feng shui. - Jon uśmiecha się krzywo. -Dobra, zejść na dół i zagadam Awę. A ty w tym czasie wyjmij rybkę. - Bierze mnie za rękę i trzyma ją przez moment. -Jeszcze nie skończyliśmy.
- Całuje opuszki moich palców, po czym wychodzi z pokoju, zostawiając mnie samą z akwarium. Krzywiąc się, zanurzam rękę w ciepłej wodzie i chwytam rybkę za brzeżek płetwy.
- Naprawdę bardzo mi przykro - mówię cicho. Usiłując drugą ręką łapać ciekącą wodę, biegnę do supernowoczesnej łazienki. Wrzucam rybkę do lśniącej białej muszli klozetowej i szukam spłuczki, ale nie widzę żadnego takiego urządzenia. To musi być inteligentna muszla.
- Spływaj - mówię głośno, machając rękami, żeby zadziałały czujniki. - Spływaj! Nadal nic się nie dzieje.
- Spływaj! - mówię z rosnącą desperacją. - No już!
- A muszla nic. Rybka pływa sobie i wydaje się jeszcze bardziej jaskrawa na tle białej porcelany. To nie może dziać się naprawdę. Jeśli coś ma odstraszyć klienta od kupna ekskluzywnego apartamentu, to na pewno zdechła rybka w klopie. Wyjmuję telefon z kieszeni i przewijam książkę adresową do litery J. To musi być on! Wciskam szybkie wybieranie i za chwilę Jon się odzywa.
- Tu Jon.
- Rybka pływa w klozecie! - syczę. - Nie mogę jej spuścić!
- Spuszczanie wody odbywa się automatycznie.
- Wiem! Ale czujniki nie działają! Trup rybki łypie na mnie okiem! Co zrobić?
- Nie denerwuj się. Podejdź do panelu przy łóżku. Możesz przejść na ręczne sterowanie i spuścić wodę stamtąd. Hej, Erie? Co tam? - Połączenie zostaje przerwane.

Pędzę do łóżka i odnajduję wbudowany w ścianę panel z przełącznikami. Widzę deprymujący wyświetlacz cyfrowy i wyrywa mi się jęk. Jak ktoś może żyć w mieszkaniu bardziej skomplikowanym technicznie niż NASA? Dlaczego domy muszą być inteligentne? Dlaczego nie mogą być sympatyczne i głupie?

Drżącymi palcami wciskam „menu”, a potem „sterowanie ręczne” i „opcje”. Przeglądam listę. „Temperatura”... „oświetlenie”... Gdzie „łazienka”? Gdzie „spłuczka w klopie”? Może to nie ten panel?

Nagle zauważam inny, po drugiej stronie łóżka. Może to ten. Pędzę do niego, otwieram i zaczynam wciskam guziki jak leci. Za chwilę będę musiała wydobyć tę głupią rybkę gołymi rękami...

Słyszac jakiś dźwięk, zastygam. To wycie. Jakby odległa syrena. Co, u licha...?!

Przestaję stukać w klawiaturę i uważniej spoglądam na panel, przy którym manipulowałam. Widzę błyskające na czerwono słowa. „Alarm - zabezpieczenia włączone”. Moją uwagę zwraca jakiś nagły ruch w oknie, patrzę w tamtą stronę i widzę metalową kratę, która opada za szybą.

Co, do diabła...?

Szaleńczo zaczynam przebierać palcami po klawiszach, ale błyska nad nią ostrzeżenie: „Brak autoryzacji”, a potem znowu: „Alarm - zabezpieczenia włączone”.

Rany boskie. Co ja narobiłam?!

Biegnę do drzwi sypialni i spoglądam w dół, poziom niżej. Nie wierzę własnym oczom. Rozpętało się istne pandemonium.

Dźwięk syreny jest tu jeszcze głośniejszy. Wszędzie opadają stalowe kraty, za oknami, przed obrazami, przed instalacją z wodospadem. Wszyscy bogaci goście zbili się w gromadę pośrodku pokoju jak zakładnicy, oprócz jednego korpulentnego faceta, który został za kratą przy wodospadzie.

- Czy to napad?! Mają broń?! - krzyczy histerycznie ko-

bieta w białym kostiumie ze spodniami, załamując ręce. -George, połknij moje pierścionki!

- Helikopter! - Siwowłosa mężczyzna strzyże uchem. -Posłuchajcie! Są na dachu! Jesteśmy żywym celem!

Gapię się na tę scenę z bijącym sercem, sparaliżowana paniką.

- To z sypialni pana domu! - woła ktoś z zespołu Erica, kto sprawdza panel przy kominku. - Włączył się alarm. Policja już jedzie.

Zepsułam przyjęcie. Erie mnie zabije, zabije mnie... Wtedy nagle hałas cichnie. Ta nieoczekiwana cisza robi takie wrażenie, jakby nagle wyjrzało słońce.

- Panie i panowie! - Głos dochodzi ze schodów, więc odwracam głowę. To Jon. Trzyma w ręku pilota i zerka na mnie szybko, a potem mówi dalej do zebranych: - Mamy nadzieję, że spodobała się państwu demonstracja naszego systemu alarmowego. Mogą państwo być spokojni, napad nam nie grozi.

Urywa i kilka osób śmieje się nerwowo. Kraty zaczynają się unosić.

- Jak wszyscy państwo wiedzą, dziś w Londynie kwestia bezpieczeństwa ma zasadnicze znaczenie - ciągnie Jon. -Wielu przedsiębiorców budowlanych dużo mówi o zabezpieczeniach; my chcieliśmy je państwu zaprezentować. To system jakości MI5... dla waszej ochrony.

Nogi uginają się pode mną z ulgi; ledwie stoję. Jon uratował mi życie.

Podczas jego dalszej przemowy wycofuję się do sypialni i stwierdzam, że rybka nadal pływa w muszli. Liczę do trzech, a potem zanurzam dłonie w wodzie, chwytam rybkę i wzdry-gając się, wrzucam ją do torebki. Myję ręce, a potem wychodzę, żeby sprawdzić, czy Erie już przejął kontrolę nad sytuacją.

- ...na podstawie tej małej przygody widzą państwo wyraźnie, że my w Blue Developments rozumiemy wasze troski

lepiej niż wy sami - mówi. - Nie jesteście naszymi klientami... jesteście naszymi partnerami w dążeniu do idealnego stylu życia. - Unosi kieliszek. - Dobrej zabawy podczas zwiedzania!

Gdy usuwa się na bok, dają się słyszeć śmiechy i szum rozmów. Widzę kobietę w białym kostiumie, która odbiera od męża trzy pierścionki z wielkimi brylantami i z powrotem wpycha je sobie na palce. Czekam chwilę, a potem dyskretnie schodzę po schodach. Biorę kieliszek szampana od przechodzącego kelnera i pociągam duży łyk. Nigdy już nie dotknę żadnego panelu, nigdy w życiu. Ani rybki. Ani klopa.

- Kotku! - Podskakuję na dźwięk głosu Rosalie. Ma na sobie skąpą sukienkę z paciorków w kolorze turkusowym i buty na wysokich obcasach, ozdobione piórkami. - O mój Boże. Czy to nie było genialne? Będę miała jutro co napisać w dzienniku. Wszyscy mówią o tym supernowoczesnym systemie bezpieczeństwa. Wiesz, że kosztuje trzysta tysięcy? Sam system!

Trzysta tysięcy za system bezpieczeństwa, a spłuczka w kiblu nie działa.

- Tak? - mówię. - To świetnie!

- Lexi... - Rosalie posyła mi zatroskane spojrzenie. -Kotku... mogę zamienić z tobą słóweczko? Chodzi o Jona. Widziałam, że z nim rozmawiałaś.

Czuję nagły lęk. Czyżby coś zauważyła?

- A tak! - Przybieram beztronski ton. - Rzeczywiście, to architekt Erica, więc gawędziliśmy sobie o designie, jak się domyślasz...

- Lexi. - Bierze mnie pod ramię i odciąga na bok. - Wiem, że doznałaś urazu głowy i tak dalej. - Pochyla się ku mnie. -Ale może pamiętasz coś w związku z Jonem? Z przeszłości?

- No... nie za bardzo.

Rosalie przyciąga mnie jeszcze bliżej siebie.

- Kotku, powiem ci coś, co będzie dla ciebie szokiem

mówi cichym, lekko schrypniętym głosem. - Jakiś czas temu powiedziałaś mi coś w zaufaniu. Jak przyjaciółka przyjaciółce. Nie pisałam Ericowi słówka...

Stoję jak wbita w ziemię, zaciskając palce wokół nóżki smukłego kieliszka. Czyżby Rosalie wiedziała?

- Wiem, że będzie ci trudno uwierzyć, ale coś działo się między tobą a Jonem, za plecami Erica.

- Żartujesz! - Płonie mi twarz. - Co się działo?

- Hmm, przykro mi to mówić... - Rosalie rozgląda się dookoła i przysuwa się do mnie jeszcze bardziej.

- Jon ci się narzucał. Pomyślałam, że cię ostrzeżę, na wypadek gdyby próbował znowu.

Przez moment jestem oniemiała. Narzucał mi się?

- Co masz na myśli? - wyduszam w końcu.

- A jak ci się wydaje? Próbował z nami wszystkimi. - Marszczy lekceważąco nos.

- To znaczy, że... - Jakoś nie mogę sobie z tym poradzić. - Chcesz powiedzieć, że z tobą też próbował?

- O mój Boże, no tak! - Przewraca oczami. - Mówił mi, że Clive mnie nie rozumie. Co jest zgodne z prawdą - dodaje po chwili namysłu. - Clive to totalny półgłówek. Ale to nie znaczy, że od razu pobiegnę do Jona, aby mógł wyciąć kolejną kreskę na drażku przy łóżku, no nie? I za Margo też łąził - dorzuca, machając wesoło do kobiety w zieleni po drugiej stronie pokoju. - Ma facet tupet. Mówił, że zna ją lepiej niż jej własny mąż, że taka dziewczyna jak ona zasługuje na więcej, on widzi, że jest zmysłowa... Cały ten śmieszny kit! - Cmoka z pogardą. - Margo twierdzi, że Jon namierza mężatki i mówi im to, co chciałyby usłyszeć. Pewnie go to podnieca w jakiś perwersyjny sposób... - Urywa, widząc moją skamieniałą minę. - Kotku! Ale nic się nie martw! On jest jak natrętna mucha, musisz się po prostu opędzać. Na ciebie jednak szczególnie się zawziął. Byłaś dla niego dużym wyzwaniem. Sama rozumiesz, jako żona Erica i w ogóle. - Patrzy na mnie. - Pamiętasz coś z tego?

Ava przechodzi obok nas z gośćmi i Rosalie uśmiecha się do nich promiennie, a ja nie mogę się nawet ruszyć.

- Nie - odpowiadam w końcu. - Nic nie pamiętam. Więc... co w końcu zrobiłam?

- Powtarzałaś mu, żeby zostawił cię w spokoju. To była niezręczna sytuacja. Nie chciałaś zepsuć jego stosunków z Erikiem, wylać dziecka z kąpielą. Zachowywałaś się z godnością, kotku. Ja bym mu wylała drinka na głowę! - Nagle zauważa coś ponad moim ramieniem. - Kochanie, muszę pędzić i pogadać z Clive'em o przygotowaniach do kolacji. Zamówił niewłaściwy stół, to absolutny koszmar... - Zawiesza głos i patrzy na mnie znowu, nagle zaniepokojona. -Dobrze się czujesz? Myślałam, że powinnam cię ostrzec...

- Wszystko w porządku - zdobywam się na odpowiedź. -Cieszę się, że to zrobiłaś.

- Wiem, że nie nabrałabyś się na ten jego kit, ale... -Ściska mnie za ramię.

- Jasne, że nie! - Jakimś cudem udaje mi się zaśmiać. -To oczywiste!

Rosalie odchodzi i miesza się z tłumem, aleja wciąż stoję, jakbym wrosła w ziemię. Nigdy w życiu nie czułam się tak poniżona, tak naiwna.

Uwierzyłam w to wszystko. Zbajerował mnie.

„Mieliśmy potajemny romans... Znam cię lepiej niż Erie...”

To wszystko bajer. Wykorzystał fakt, że straciłam pamięć. Zaczął mi schlebiać; zawrócił mi w głowie. A jedyne, na czym mu zależało, to zaciągnąć mnie do łóżka... Zdobyć kolejne trofeum. Aż mi gorąco ze wstydu. Wiedziałam, że nie wdałabym się w żaden romans! Nie należę do niewiernych kobiet. Nie, i już. Mam przyzwoitego męża, który mnie kocha. I pozwoliłam, żeby ktoś namącił mi w głowie. O mało nie zniszczyłam wszystkiego.

Cóż, koniec z tym. Znam priorytety. Popijam kilka łyków szampana. Potem unoszę wysoko głowę, wchodzę w tłum gości, aż odnajduję Erica, i wsuwam mu rękę pod ramię.

- Kochanie, przyjęcie wypadło świetnie. Jesteś genialny.
- Chyba wszystko wypaliło. - Wydaje się już odprężony. - Ledwo się udało z tym alarmem. Ale na Jona zawsze można liczyć, uratował sprawę. Hej, właśnie idzie! Jon!
Mocniej ściskam ramię Erica, gdy Jon podchodzi do nas. Nie chcę na niego patrzeć. Eric klepie go po plecach i wzięwszy z najbliższej tacy kieliszek szampana, podaje mu.
- Twoje zdrowie! - wykrzykuje. - Zdrowie Jona!
- Zdrowie Jona - powtarzam, ledwie mocząc usta w szampanie. Będę udawać, że Jon dla mnie nie istnieje. Wymażę go ze świadomości.

Z zamyślenia wyrywa mnie sygnał dobiegający z torebki; wydaję telefon i widzę, że przyszedł esemes. Od Jona. Niewiarygodne. Wysłała mi esemesa tuż pod nosem Erica? Szybko wciskam „otwórz” i ukazuje się wiadomość.

Old Canal House w Islington, każdego wieczoru po 6. Mamy dużo do omówienia.

Kocham cię.

J.

PS. Skasuj tę wiadomość. Co zrobiłaś z rybką???

Z wściekłości pali mnie twarz. Dźwięczą mi w uszach słowa Rosalie: „Musisz go odpędzać jak natrętną muchę”.

- To wiadomość od Amy - wyjaśniam Ericowi nieswoim głosem. - Lepiej szybko odpowiem... Nie patrząc na Jona, zaczynam wystukiwać esemesa, palce mam jak naładowane adrenaliną.

Uhm. Jasne. Myślałeś, że będziesz miał zabawę, wykorzystując dziewczynę, która straciła pamięć.

Znam już twoje głupie gierki, rozumiesz? Jestem mężatką. Odczep się ode mnie.

Wysłałam wiadomość i chowam telefon. Chwilę później Jon patrzy na zegarek i mówi niedbale:

- Która to godzina? Chyba zegarek mi się spóźnia. - Wyjmuje telefon komórkowy i mruży oczy, patrzy na wy-

światłacz, jakby coś sprawdzał, ale widzę, że przesuwa palcem po klawiaturze, odczytuje esemesa i jego twarz wykrzywia grymas przykrości. Ha! Mam go.

Po chwili dochodzi do siebie.

- Rzeczywiście jest sześć minut później - mówi, pstrykając w telefon. - Muszę nastawić zegarek...

Nie wiem, dlaczego zadaje sobie tyle trudu, żeby znaleźć wymówkę. Erie w ogóle nie zwraca na niego uwagi. Trzy sekundy później odzywa się mój telefon i wyciągam go z torebki.

- Odpowiedź od Amy - mówię ze znużeniem. - Straszna z niej maruda. - Zerkam na Jona, kładę palec na „usuń”. Oczy Jona rozszerzają się z konsternacji. Proszę. Teraz znam prawdę, to jasne, że to dla niego tylko gra.

- Czy to dobry pomysł? - pyta szybko. - Kasować wiadomość bez czytania?

- Nie interesuje mnie jej treść. - Wzruszam ramionami.

- Ale jeśli jej nie przeczytałaś, to nie wiesz tego...

- Tak jak powiedziałam. - Posyłam mu słodki uśmiech. - Nie jestem zainteresowana. - Wciskam „usuń”, wyłączam telefon i wrzucam go do torebki.

- A więc! - Erie odwraca się do nas, promieniejący i tryskający energią. - Clarksonowie chcą przyjść jeszcze jutro na oglądanie. Myślę, że mamy w kieszeni kolejną transakcję. To byłoby już sześć segmentów, w jeden wieczór.

- Dobra robota, kochanie, jestem z ciebie dumna! - wykrzykuję, obejmując go z pewną przesadą. - Kocham cię nawet bardziej niż w dniu naszego ślubu.

Erie marszczy czoło, zdezorientowany.

- Ale przecież nie pamiętasz dnia naszego ślubu. Więc nie wiesz, jak bardzo mnie kochałaś.

Na miłość boską! Czy on musi traktować wszystko dosłownie?

- Dobra, niezależnie od tego, jak bardzo cię wtedy ko-

chałam... - próbuję zapanować nad zniecierpliwieniem - ...teraz kocham cię bardziej. - Odstawiam kieliszek szampana i patrząc wyzywająco na Jona, przyciągam Erica, żeby go pocałować. To najdłuższy, najgłośniejszy pocałunek w stylu

„popatrz-jak-bardzo-kocham-męża-a-przy-okazji-świetnie--nam-razem-w-łóżku”.

W pewnej chwili Eric chce się cofnąć, ale przytrzymuję go, przyciskając jego twarz do mojej. W końcu, kiedy jest już bliski uduszenia się, puszczam go, ocieram usta wierzchem dłoni i rozglądam się po pustoszejącym pokoju.

Jon zniknął.

15

Moje małżeństwo to teraz najważniejsza dla mnie sprawa. Zamierzam skupić się na relacjach z Erikiem i na niczym innym.

Jestem trochę podłamana następnego ranka, gdy wchodzę do kuchni na śniadanie i wydaję z lodówki dzbanek zielonego soku. Musiałam zwariować zeszłego wieczoru. Mam wręcz wymarzonego męża, którego podano mi na tacy. Dlaczego miałabym ryzykować utratę go? Po co miałabym całować się z jakimś facetem w cudzej sypialni, niezależnie od tego, co usiłuje mi wmówić?

Nalewam zielonego soku do szklanki i jak co dzień kręcę nią, aż płyn staje się mętny. (Ohydna jest ta rdestnica. Ale nie mogę zawieść Erica, który uważa, że zielony sok jest niemal tak cudowny jak styl życia a la loft). Potem wydaję z garnka jajko na twardo i nalewam sobie filiżankę herbaty, zaparzonej wcześniej przez Giannę i pozostawionej w dzbanku. Naprawdę zaczynam się wdrażać do tego niskowęglowodanowego reżimu na początek dnia. Codziennie, bez pudła, jadam jajko na twardo, bekon albo omlet z białka.

249

A w drodze do pracy czasami bajgla. Tylko gdy jestem głodna.

Kiedy siadam, kuchnia wydaje mi się ostoją spokoju i stabilizacji. Jestem wciąż roztrzęsiona. Co by było, gdybym posunęła się dalej z Jonem? Gdyby Erie się dowiedział? Mogłabym wszystko zaprzepaścić. Jestem w tym małżeństwie od zaledwie kilku tygodni i już je narażam. Powinnam o nie dbać. Jak o roślinę doniczkową.

- Dzień dobry! - Erie nonszalancko wchodzi do kuchni w niebieskiej koszuli, wydaje się pełen energii. Nie jestem zdziwiona. Wczorajsze otwarcie okazało się największym sukcesem z dotychczasowych. - Dobrze spałaś?

- Świetnie, dziękuję!

Nie śpimy jeszcze w jednej sypialni ani nie próbowaliśmy ponownie kochać się ze sobą. Ale jeśli mam dbać o nasze małżeństwo, może powinniśmy bardziej zbliżyć się do siebie w sensie fizycznym.

Wstaję, żeby wziąć pieprzniczkę, i delikatnie ocieram się o Erica.

- Wspaniale dziś wyglądasz. - Uśmiecham się do niego.

- Ty też!

Przesuwam dłonią po linii jego szczęki. Erie patrzy na mnie pytająco i kładzie rękę na mojej dłoni.

Zerkam szybko na zegar. Chwała Bogu, za mało czasu.

Nie. Wcale tak nie pomyślałam.

Muszę być nastawiona pozytywnie. Seks z Erikiem będzie świetny, wiem o tym. Może po prostu musimy to robić po ciemku. I nie rozmawiać ze sobą w trakcie.

- Jak się czujesz? - pyta Erie z zagadkowym uśmiechem.

- Świetnie! Tylko trochę się spieszę. - Rzucam mu uśmiech, odsuwam się i piję herbatę, zanim zdąży zaproponować szybki numer na kuchence. Dzięki Bogu, chyba złapał, co chciałam powiedzieć.

Nalewa sobie filiżankę herbaty, a potem wyjmuje z kieszeni swojego blackberry, który sygnalizuje nadejście e-maila.

- Ach! - mówi z wyraźnym zadowoleniem. - Właśnie wygrałem na aukcji skrzynkę wina Lafite Rothschild rocznik osiemdziesiąty ósmy.

- Ojej! - rzucam entuzjastycznie. - Dobra robota, kochanie!

- Tysiąc sto funtów - ciągnie. - Doskonała okazja. Tysiąc sto funtów?!

- Za... ile butelek? - pytam.

- Skrzynkę. - Marszczy czoło, jakby to było oczywiste. - Czyli dwanaście.

Odbiera mi mowę. Tysiąc sto funtów za dwanaście butelek wina? Przepraszam, ale to... nie w porządku. Czy on wie, ile to jest tysiąc sto funtów? Ja kupiłabym za nie sto butelek wina. I nie byłoby wcale kiepskie. I jeszcze zostałyby mi forsa.

- Lexi, źle się czujesz?

- Nic mi nie jest - wyduszam z siebie. - Tak sobie właśnie myślałam... co za wyjątkowa okazja! - Wypiwszy do końca herbatę, biorę żakiet i teczkę. - Pa, kochanie.

- Pa, moja droga. - Erie podchodzi do mnie i całujemy się na pożegnanie. Właściwie stało się to już całkiem naturalne. Narzucam na siebie żakiet i już jestem przy drzwiach, gdy nagle coś mi się przypomina.

- Hej, Ericu - mówię jak gdyby nigdy nic. - Co to jest Mont Blanc?

. - Mont Blanc? - Erie odwraca się, patrząc na mnie badawczo i z niedowierzaniem. - Żarty sobie robisz? Pamiętasz Mont Blanc?

Dobra. Tym razem wpadłam. Nie mogę powiedzieć: „Nie, Jon mi coś wspomniał”.

- Właśnie nie pamiętam - improwizuję. - Ale ta nazwa, Mont Blanc, wróciła do mnie i wydaje mi się dziwnie ważna. Czy oznacza coś... szczególnego?

- Dowiesz się, kochanie. - Widzę powściągane zadowolenie na twarzy Erica. - Wszystko sobie przypomnisz. Na razie nie powiem nic więcej. To dobry znak!

- Może! - Staram się zareagować z podobnym podnieceniem. - No to do zobaczenia!

Wychodzę z kuchni, łamiąc sobie głowę. Mont Blanc. Narty? Te wypasione pióra wieczne? Wielki ośnieżony szczyt?

Nie mam pojęcia.

Wysiadam z metra na Victorii, kupuję bajgla i pogryzam go po drodze. Ale gdy zbliżam się do pracy, nagle przestaję odczuwać głód. Żołądek paskudnie podchodzi mi do gardła. To uczucie typu „nie chcę iść do szkoły”.

Fi może znowu jest moją przyjaciółką, ale poza nią nie mogę na nikogo liczyć. Wyglupiłam się w obecności Simona Johnsona, poza tym wciąż mam wrażenie, że nad niczym nie panuję... Gdy budynek pojawia się w zasięgu wzroku, przystaję, zdjęta lękiem.

Spokojnie, mówię sobie stanowczo. Będzie zabawnie. Nie, nie będzie.

Dobra, nie będzie. Ale nie mam żadnego wyboru.

Zmobilizowawszy wszystkie siły, wrzucam reszkę bajgla do kubła na śmieci i wchodzę przez główne szklane drzwi. Idę prosto do mojego gabinetu, nie natknąwszy się na nikogo, siadam za biurkiem i przyciągam do siebie stertę dokumentów. Jednocześnie zauważam karteczkę, na której zanotowałam wczoraj: **Omówić z *Byronem* sprzedaż.** Może zrobić to teraz? Podnoszę słuchawkę, żeby wybrać jego numer wewnętrzny, ale odkładam ją, bo rozlega się pukanie do drzwi.

- Tak...?

- Cześć, Lexi. - Debs wsuwa się do pokoju. Ma na sobie turkusowy sweterek z koralikami i džinsową spódnicę, a w ręku trzyma kopertę.

- O - mówię z niepokojem. - Cześć, Debs.

- Jak się masz? - Ma dziwny głos.

- Do... dobrze. - Szpara w drzwiach się poszerza, ukazując Fi i Carolyn, które także wydają się skrzepowane. - Cześć! - wykrzykuję ze zdziwieniem. - Wszystko w porządku?

- Powiedziała im to wszystko, co powiedziałaś mnie -wyznaje Fi. - Wczoraj wieczorem umówiliśmy się na drinka i powiedziała im.
- Nie zdawałyśmy sobie sprawy - mówi Debs z przejęciem. - Nie dałyśmy ci szansy. Po prostu przyjęłyśmy, że jesteś wciąż... - Zerka za siebie.
- Jednym wielkim koszmarem - dorzuca Carolyn ze śmiertelną powagą.
- Mamy wyrzuty sumienia. - Debs przygryza wargę, patrząc na pozostałe. - Prawda?
- Nie przejmujcie się. - Uśmiecham się z wysiłkiem.

I nagle, gdy tak patrzę na nie, czuję się bardziej samotna niż kiedykolwiek. To były moje kumpelki; tworzyłyśmy czteroosobową ekipę. Ale one mają za sobą trzy lata wspólnych wieczorów, spędzonych na gadaniu i śmiechu, które ja straciłam. Stały się trio, i ja jestem już dla nich obca.

- Chciałam ci tylko wręczyć to. - Debs, czerwieniejąc, podchodzi do biurka i podaje mi kopertę. Rozrywam ją i wyjmuję sztywną białą kartkę z tłoczeniem. Zaproszenie na ślub.
- Mam nadzieję, że przyjdiesz. - Debs wsuwa rękę do kieszeni. - Ty i Erie.

Czuję się upokorzona. Zdradza ją mowa ciała. Ostatnimi osobami, które chciałyby zobaczyć na swoim ślubie, jesteśmy my.

- Słuchaj, Debs, nie musisz mnie zapraszać. To naprawdę bardzo miłe z twojej strony... Zarumieniona, próbuję z powrotem wsadzić zaproszenie do koperty. - Ale wiem, że ty w gruncie rzeczy...
- Ależ tak, jak najbardziej. - Kładzie rękę na mojej dłoni, żeby mnie powstrzymać, a ja patrzę jej w twarz. Ma takie same oczy jak zawsze - ciemnoniebieskie z długimi, pociągniętymi tuszem rzęsami. - Byłaś jedną z moich przyjaciółek, Lexi. Wiem, że dużo się zmieniło. Ale powinnaś przyjść.
- Cóż... dzięki - mamrocze w końcu. - Bardzo chętnie. -

Odwracam zaproszenie, przesuwając palcem po tłoczeniu. -Jak udało ci się namówić matkę do zaproszenia nas w ostatniej chwili?

- Prawie mnie zamordowała - odpowiada Debs wprost i nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

- Groziła, że nie da ci kieszonkowego?

- A żebyś wiedziała! - wykrzykuje Debs i tym razem już wszystkie parskamy śmiechem.

Mama Debs grozi jej wstrzymaniem kieszonkowego, odkąd się znamy, mimo że przestała wypłacać je jakieś dziesięć lat temu.

- Przyniosłyśmy też babeczki - dodaje Fi. - Żeby przeprosić za wczoraj...

Nie kończy, bo ktoś puka do drzwi. Staje w nich Simon Johnson.

- Simon! - Podrywam się, przerażona. - Nie spodziewałam się ciebie!

- Lexi. - Uśmiecha się. - Mogę cię prosić o chwilę rozmowy?

- My już wychodzimy - mówi pospiesznie Fi i popędza dziewczyny do wyjścia. - Dzięki za... eee... informacje, Lexi. Warto wiedzieć.

- Na razie, Fi! - Uśmiecham się do niej z wdzięcznością.

- Nie zabiorę ci dużo czasu - mówi Simon, zamykając drzwi. - Chciałem tylko podrzucić materiały na poniedziałkowe zebranie. Oczywiście, zachowaj to wszystko dla siebie. Jeśli chodzi o wasz dział, jedynie ty i Byron jesteście w posiadaniu tych informacji. - Podchodzi do biurka i podaje mi teczkę.

- Naturalnie. - Kiwam głową poważnie. - Dziękuję. Biorę od niego teczkę i widzę na niej dyskretny nadruk

Czerwiec '07 w prawym górnym rogu i mam dziwne przecucie. Wciąż kompletnie nie orientuję się, co znaczy „czerwiec '07”. Wczoraj po południu przeszukałam wszystkie dokumenty, ale niczego na ten temat nie znalazłam. Żadnych plików komputerowych, żadnych papierów, nic.

Wiem, że powinnam spytać Byrona. Ale jestem na to za dumna. Chciałam się sama dowiedzieć.

- Już nie mogę się doczekać! - Stukam palcem w teczkę, licząc, że moje zainteresowanie wygląda na przekonujące.

- Świetnie. A więc do poniedziałku, punkt dwunasta w sali konferencyjnej. Trzeba też będzie w najbliższym czasie odstrzelić kilku dyrektorów spoza ścisłego kierownictwa.

- Do zobaczenia - mówię z pewnym siebie uśmiechem. -Dziękuję ci bardzo, Simon.

Gdy tylko wychodzi, siadam i otwieram teczkę. Pierwsza strona nosi nagłówek **Podsumowanie**, więc przebiegam wzrokiem po tekście. **Czerwiec '07... duża restrukturalizacja... modyfikacja oferty rynkowej... generalna zmiana koncepcji...**

Po kilku sekundach, bardzo przejęta, zagłębiam się w fotelu. Nic dziwnego, że to taka tajemnica. Cała firma ulegnie zreorganizowaniu. Powstanie wewnętrzna spółka zajmująca się technologią... Kilka działów zostanie zlikwidowanych. Sunę wzrokiem dalej.

...w kontekście bieżących wyników sprzedaży... planów rozwoju...

Co takiego?

Czytam jeszcze raz ostatnie zdanie. I jeszcze raz.

Wzdłuż kręgosłupa przebiega mi dreszcz. Zastygam na fotelu, odczytując te linijki raz po raz. To nie może... nie może znaczyć tego, czego się domyślam...

W przyływie emocji zrywam się z fotela, biegnę do drzwi i wypadam na korytarz. Widzę Simona, który stojąc przy windach, rozmawia z Byronem.

- Simon! - Łapię z trudem powietrze. - Mogę z tobą jeszcze chwilę porozmawiać?

- Lexi! - Gdy patrzy na mnie, widzę, że ściąga brwi w irytacji.

- Chciałam tylko... - Rozglądam się, sprawdzając, czy nikt nie usłyszy. - Chciałam... wyjaśnić kilka spraw. W związ-

ku z planami likwidacji działu wykładzin. - Poklepuję teczkę. - To chyba nie znaczy... nie może znaczyć...

- Wreszcie do niej dotarło. - Byron splata przed sobą ręce, kręcąc głową z takim rozbawieniem, że mam ochotę dać mu w twarz. Wiedział o wszystkim? Simon wzdycha.

- Lexi, omawialiśmy to wiele razy, jak wiesz. Rynek jest trudny. Dokonałaś cudów, jeśli chodzi o sprzedaż waszego asortymentu, i doceniamy to wszyscy. Zostaniesz wynagrodzona. Ale działu nie da się utrzymać. - Przecież nie możesz zrezygnować z wykładzin! Deller Carpets to właśnie wykładziny! Firma od tego zaczynała!

- Ciszej, proszę! - Simon warczy *sotto voce*, obrzucając spojrzeniem korytarz. Wszelkie pozory uprzejmości znikają z jego zachowania. - Lexi, nie mogę sobie pozwolić na sentymenty. To wysoce nieprofesjonalne.

- Ale...

- Nie masz się czym martwić. Ty i Byron otrzymacie nowe stanowiska w wyższym kierownictwie. Wszystko zostało starannie opracowane. Nie ma czasu na rozważania.

Przyjeżdża winda i Simon wchodzi do niej.

- Ależ, Simon... - mówię z desperacją. - Nie możesz wyłączyć pracowników całego działu...
Za późno. Drzwi windy się zamknęły.

- Nie ma mowy o wylewaniu nikogo - dochodzi zza moich pleców złośliwy głos Byrona. - To nazywa się redukcja. Przyzwyczaj się do tej terminologii.

- Jak możesz stać tu tak spokojnie? - Oburzona, odwracam się szybko do niego. - A jak to się stało, że nic o tym nie wiedziałam?

- Nie powiedziałem ci? - Byron cmoka z udawaną skruchą. - Bardzo mi przykro, Lexi. Trudno się zorientować, od czego zacząć, gdy nie pamiętasz... czego to? Aha, niczego.

- Gdzie dokumenty? Dlaczego nie widziałam ich wcześniej?

- Może je sobie wypożyczyłem. - Wzrusza ramionami i rusza w stronę swojego gabinetu. - Ciao!
- Nie! Zaczekaj! - Biegnę za nim i zamykam drzwi. -Nie rozumiem. Dlaczego likwidują cały dział?
- A zagłądałaś ostatnio do raportu ze sprzedaży? - Byron przewraca oczami.
- Wyniki podskoczyły! - odcinam się, zanim dociera do mnie, że to zła droga.
- O trzy procent? - pyta Byron szyderczo. - Lexi, dywany to pieśń przeszłości. Nie udało nam się spenetrować innych rynków w branży podłogowej. Mamy tylko kilka kontraktów. Koniec zabawy.
- Ale nie możemy po prostu rozwiązać całego działu. Tamte oryginalne wzory dywanów to klasyka! A co z... chodnikami, dywanikami?

Byron patrzy na mnie przez chwilę z niedowierzaniem, a potem wybucha śmiechem.

- Jesteś zabawna, wiesz?
- Słucham?
- Masz świadomość, że się powtarzasz? Mówiłaś już to wszystko na pierwszym kryzysowym zebraniu. „Moglibyśmy przekształcić dywany w chodniki!” - Przedrzeźnia mnie ostrym głosem. - Daj sobie spokój!
- Ale oni wszyscy stracą pracę! Cały zespół!
- Uhm. Szkoda. - Siada za biurkiem i wskazuje mi drzwi. -Mam robotę.
- Jesteś świnią - mówię drżącym głosem.

Wychodzę z gabinetu i trzaskam drzwiami, wciąż dzierżąc w ręce teczkę. Oddycham coraz szybciej i szybciej, aż mam wrażenie, że dostanę hiperwentylacji. Muszę przeczytać wszystkie te materiały, muszę się zastanowić...

- Lexi! - Gwałtownie unoszę głowę i instynktownie przyciskam teczkę do piersi. Fi stoi w drzwiach głównego biura działu i przyzywa mnie. - Wejź! Zjedz babeczkę.

Przez chwilę patrzę na nią bez słowa.

- No, chodź! - Śmieje się. - Simon Johnson już sobie poszedł, prawda?

- Uhm... tak - mówię ochryple. - Poszedł.

- No to chodź do nas! Czekamy!

Nie mogę odmówić. Muszę zachowywać się zwyczajnie, po przyjacielsku, chociaż mnie mdli.

Fi bierze mnie pod rękę, i gdy wchodzę z nią do biura, przeżywam potężny szok! Między dwoma oknami wisi transparent, na którym widnieje napis: **Witamy z powrotem Lexi!** Na szafie z aktami stoi talerz świeżych babeczek wraz z koszem upominkowym Avedy.

- Nie przywitaliśmy cię dotąd jak trzeba - mówi Fi, lekko zaróżowiona. - Chcemy powiedzieć, że cieszymy się z twojego powrotu do pracy po wypadku. - Zwraca się do pozostałych. - Tym, którzy nie znali Lexi z dawnych czasów, muszę powiedzieć, że po wypadku się zmieniła. Wiem, że będzie fantastyczną szefową i powinniśmy ją wspierać. Dużo zdrowia, Lxxi.

Unosi kubek z kawą i cały pokój zaczyna klaskać.

- Dziękuję wam wszystkim - mówię z trudem, z piekącymi policzkami. - Jesteście... wspaniali.

Wszyscy stracą pracę. I nic o tym nie wiedzą. A kupili mi babeczki i kosz upominkowy.

- Napij się z nami kawy. - Fi przynosi kubek. - Potrzymam ci tę teczkę.

- Nie! - Wciągam gwałtownie powietrze, przyciskając teczkę do siebie. - To... dość poufne...

- Nasze premie, co? - mówi Debs z szerokim uśmiechem i trąca mnie łokciem. - Postaraj się, żeby były duże, Lxxi! Chciałabym sobie kupić nową torebkę!

Jakimś cudem odpowiadam wątłym uśmiechem. To wszystko jest jak zły sen.

Gdy w końcu o wpół do siódmej wychodzę z pracy, wrażenie koszmaru nie znika. Mam przed sobą weekend na przy-

gotowanie się do obrony działu. A ledwie orientuję się, na czym polega problem, nie mówiąc już o jego rozwiązaniu. Gdy wciskam w windzie guzik, żeby zjechać na parter, wskakuje Byron, już w płaszczu.

- Praca domowa? - Unosi brwi, widząc moją wypchaną aktówkę.

- Muszę uratować dział - odpowiadam krótko. - Zamierzam pracować przez cały weekend, aż znajdę jakieś wyjście.

- Chyba żartujesz. - Byron kręci głową z niedowierzaniem. - Lexi, nie czytałaś propozycji? Tak będzie lepiej dla ciebie i dla mnie. Tworzą nowy zespół strategiczny, będziemy mieli większą siłę oddziaływania, większy zasięg...

- Nie o to chodzi! - wołam w przypiływie furii. - Co z naszymi kolegami, którzy zostaną z niczym?

- Płacz, płacz nad nimi, a ja będę ocierał ci łzy - mówi, przeciągając samogłoski. - Znajdą sobie inną pracę. - Waha się, patrząc na mnie bystro. - Wcześniej jakoś się tym nie przejmowałaś.

Dopiero po chwili dociera do mnie to, co powiedział.

- Co masz na myśli?

- Przed wypadkiem byłaś całym sercem za likwidacją działu. Od chwili, gdy zobaczyłaś swoją nową działkę. Więcej władzy, więcej pieniędzy dla nas... Nie pragniesz tego?

Robi mi się zimno.

- Nie wierzę ci. - Głos mi się łamie. - Nie wierzę. Nigdy nie wystawiłabym przyjaciół.

Byron patrzy na mnie z litością.

- Owszem, wystawiłabyś. Nie jesteś święta, Lexi. Dlaczego byś miała być święta?

Drzwi się otwierają i Byron energicznym krokiem wychodzi z windy.

Przyjeżdżam do domu towarowego Langridge's i jak w zamroczeniu kieruję się do działu zakupów osobistych. Mam tu zaraz spotkanie z moją osobistą stylistką, Ann. We-

dług niezbędnika umawiam się z nią co trzy miesiące; proponuje mi wtedy jakieś konkretne rzeczy i pracujemy razem nad „kreacjami” na nowy sezon.

- Lexi! Jak się masz? - Gdy podchodzę do recepcji, wita mnie czyjś głos. Ann, drobniutka kobieta, ma króciutko ostrzyżone włosy, ubrana jest w czarne spodnie typu cygaretki i pachnie perfumami, od których wywraca mi się żołądek. - Tak się zmartwiłam, gdy usłyszałam o twoim wypadku!

- Czuję się dobrze, dzięki. Już w pełnej formie. - Próbuję się uśmiechnąć.

Powinam była odwołać to spotkanie. Nie wiem, co tu robię.

- To świetnie! Mam ci do pokazania niesamowite rzeczy. - Wprowadza mnie do małego pomieszczenia i zamasztył gestem prezentuje wieszak z ubraniami. - Zobaczysz tu nowe linie i style, myślę, że odpowiednie dla ciebie.

O czym ona mówi? Nowe linie i style? To wszystko kostiumy w neutralnych kolorach. Mam już takich pełną szafę.

Ann pokazuje mi żakiet po żakiecie, opowiadając o kieszeniach i długościach, ale nie dociera do mnie z tego ani słowo. Coś brzęczy mi w głowie jak schwyty w pułapkę owad; coraz głośniejsze i głośniejsze...

- Nie masz czegoś innego? - przerywam gwałtownie. - Czegoś... żywszego?

- Żywszego? - powtarza niepewnie. Waha się, a potem sięga po kolejną beżową marynarkę. - Ta ma klasę...

Wychodzę z boksu na teren sklepu, bo czuję, że potrzebuję więcej powietrza. Krew szumi mi w uszach. Czuję się otumaniona, mówiąc prawdę.

- Ta. - Biorę purpurową minisukienkę z kolorowymi maźnięciami. - Ta jest świetna. Mogłabym w niej pójść do klubu.

Ann patrzy na mnie, jakby miała zaraz umrzeć.

- Lexi - mówi w końcu. - To nie... w twoim stylu, że tak powiem.

- Ależ tak. - Zdecydowanie zdejmuję z wieszaka srebrną minispódnicę. -1 ta.
To dokładnie coś takiego, co wybrałabym w New Look, tylko, zdaje się, tysiąc razy droższe.

- Lexi. - Ann ujmując palcami grzbiet nosa i parę razy głęboko wciąga powietrze. - Jestem twoją stylistką. Wiem, w czym ci dobrze. Masz bardzo określony, atrakcyjny, profesjonalny wizerunek, nad którym pracowałyśmy przez jakiś czas...

- Jest nudny. Otepiający - Wyszarpuję jej z rąk beżową sukienkę bez rękawów. - Ta sukienka do mnie nie pasuje, jestem w niej kimś innym.

- Pasuje, lxxi.

- Nie! Potrzebuję czegoś weselszego, potrzebuję koloru.

- Świetnie funkcjonowałaś przez kilka lat w beżach i czerni. - Ann tężeje twarz. - Powiedziałaś mi wyraźnie podczas naszego pierwszego spotkania, że potrzebujesz spójnej prostej garderoby w neutralnych kolorach...

- To było kiedyś, jasne? - Staram się zapanować nad wzburzeniem, ale emocje z całego dnia skumulowały się i szukają ujścia. - Może sytuacja się zmieniła. Może ja się zmieniłam.

- To. - Ann podsuwa mi następny beżowy kostium z małą zakładką. - To jest dla ciebie.

- Nie.

- Tak.

- Nie, to nie dla mnie! Nie, i już! Jestem kimś innym! Nie chcę być nią! - Łzy pieką mnie w oczy. Zaczynam wyjmować z koka szpilki, ogarnięta nagłym pragnieniem, aby się ich pozbyć. - Nie jestem typem osoby, która nosi beżowe kostiumy! Nie jestem typem osoby, która codziennie upina włosy. Nie jestem typem osoby, która wydaje tysiąc funtów na wino. Nie jestem typem osoby, która... która... zdradza przyjaciół...

Wstrząsa mną szloch. Na głowie trzymają się resztki koka,

włosy nie chcą opaść i sterczą we wszystkie strony, wyglądam jak strach na wróble. Cała twarz jest mokra od łez. Ocieram je rękawem, a Ann z przerażeniem wyrywa mi beżową sukienkę.

- Tylko mi nie zalej łzami Armaniego! - burczy.

- Masz. - Oddaję jej sukienkę. - Proszę, weź ją sobie. I nie mówiąc już ani słowa, wychodzę.

Idę do kafejki na parterze, zamawiam gorącą czekoladę i piję ją, wyjmując ostatnie spinki podtrzymujące kok. Potem proszę o następną filiżankę i pączka. Po chwili, zapełniwszy żołądek tymi wszystkimi węglowodanami, które są jak ciepła, miękka poduszka, od razu czuję się lepiej. Na pewno jest jakieś wyjście z sytuacji, musi być. Popracuję przez weekend, znajdę rozwiązanie. Ocaleń dział... Rozważania przerywa mi dźwięk dochodzący z torebki. Wyjmuję telefon i widzę esemesa od Erica.

Jak się masz? Pracujesz do późna ?

Gdy patrzę na te słowa, ogarnia mnie nagłe wzruszenie. Obezwładniające wzruszenie. Erie się o mnie troszczy. Myśli o mnie.

Już jadą do domu - odpisuję. - Tęskniłam dziś za tobą! To nie całkiem prawda, ale dobrze brzmi. ***Ja też za tobą tęskniłem!*** - natychmiast przychodzi odpowiedź.

Wiedziałałam, że małżeństwo ma swoje zalety. I oto jedna z nich. Masz kogoś, kto troszczy się o ciebie, gdy wszystko wokół się wali. Kogoś, kto cię pocieszy. Już samo pisanie esemesa do Erica sprawia, że robi mi się cieplej niż od gorącej czekolady. Właśnie zastanawiam się, co odpisać, gdy telefon pika znowu.

Masz ochotę na Mont Blanc?? :) :)

Znowu Mont Blanc! Co to takiego? Może drink?

Najwyraźniej to jakaś specjalność Erica. I jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Super! - esemesuję w odpowiedzi. - ***Nie mogę się doczekać!***

Biorę torebkę, wychodzę z Langridge's i łapię taksówkę.

Droga do domu trwa dwadzieścia minut, w tym czasie czytam jeszcze raz trzy dokumenty, każdy bardziej dobijający od poprzedniego. Sprzedaż dywanów jest najgorsza w całej historii firmy, podczas gdy pozostałe działy święcą triumfy. W końcu zamykam teczkę i patrzę przez okno taksówki, wytężając umysł. A gdyby tak stworzyć pakiet ratunkowy... Wiem, że marka Deller Carpets ma swoją wartość...

- Kochaniutka? - Taksówkarz wyrywa mnie z zadumy. - Jesteśmy na miejscu.

- A tak. Dziękuję. - Gmeram w torebce, szukając portmonetki, gdy mój telefon odzywa się znowu.

Jestem gotowy!

Gotowy? Sprawa staje się coraz bardziej tajemnicza.

Właśnie przyjechałam! Zaraz będę! - odpisuję szybko i płacę taksówkarzowi.

Wchodzę do mieszkania; światła są przygaszone, tryb „uwodzenie”, z tego, co się orientuję. Muzyka gra tak cicho, też ledwie ją słychać.

- Cześć! - wołam ostrożnie, odwieszając płaszcz.

- Cześć!

Głos Erica dochodzi chyba z sypialni. Mojej sypialni.

Zerkam do lustra i pospiesznie przeczesuję potargane włosy. Potem przechodzę przez salon i ruszam do sypialni. Drzwi są lekko uchylone; nie widzę, co dzieje się w środku. Stoję przez chwilę w miejscu, zastanawiając się, o co, do diabła, chodzi. Popycham drzwi, i na widok, który ukazuje się przede mną, z trudem opanowuję krzyk. To jest Mont Blanc?! To ma być Mont Blanc?!

Erie leży na łóżku. Zupełnie nagi, z wyjątkiem wielkiej góry bitej śmietany w okolicy genitaliów.

- Witaj, kochanie. - Unosi brwi z porozumiewawczym błyskiem w oku, a potem zerka w dół. - No to nurkuj!

263

Nur...

Nurkuj?

No to nurkuj?

Stoję jak sparaliżowana, patrząc z przerażeniem na górę bitej śmietany. Każdą komórką swojego ciała czuję, że nie mam ochoty w nią zanurkować.

Ale przecież nie mogę tak po prostu obrócić się na pięcie i uciec, no nie? Nie mogę go odrzucić. To mój mąż. Najwyraźniej... robimy takie rzeczy.

O Boże, o Boże...

Ostrożnie przesuwam się w kierunku konstrukcji z bitej * śmietany. Ledwie zdając sobie sprawę z tego, co robię, wyciągam palec i biorę odrobinę kremu, a następnie wkładam do ust.

- To... to słodkie! - Głos mam ochrypliwy ze zdenerwowania.

- Słodzik. - Erie uśmiecha się radośnie.

Nie. Nie. Przykro mi bardzo. To po prostu... To nie dzieje się naprawdę. Nie w moim życiu. Muszę wymyślić jakąś wymówkę...

- Kręci mi się w głowie! - Te słowa pojawiają się jakby znikąd. Zasłaniam ręką oczy i odsuwam się od łóżka. -O mój Boże. Coś mi się przypomina.

- Przypomina ci się? - Erie, przejęty, siada na łóżku.

- Tak! Nagle miałam jakiś przebłysk... wspomnienie ze ślubu - improwizuję. - To był przelotny obraz, ciebie i mnie, ale bardzo żywy, zaskakująco...

- Usiądź, kochanie! - Erie marszczy czoło z niepokojem. - Spokojnie. Może wróć i inne wspomnienia. Wydaje się taki pełen nadziei, że czuję się strasznie, okłamując go. Ale chyba lepsze to niż powiedzenie prawdy, no nie?

- Chyba powinnam pójść do innego pokoju i położyć się spokojnie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Szybko zwracam się ku drzwiom, wciąż zasłaniając dłonią oczy, żeby nie

widzieć góry kremu. - Przykro mi, Ericu, zadałeś sobie tyle... trudu...

- Kochanie, nic nie szkodzi! Pójdę z... - Erie wykonuje gest wskazujący, że zamierza wstać z łóżka.

- Nie! - Przerywam mu trochę zbyt ostro. - Ty... ty zajmij się sobą. Nic mi nie będzie.

Zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, wybiegam z sypialni i rzucam się na wielką kremową kanapę. W głowie mi wiruje, czy to z szoku wywołanego widokiem Mont Blanc, czy po całym tym dniu... Sama nie wiem. Wiem tylko, że mam ochotę zwinąć się w kłębek pod kołdrą i udawać, że świat nie istnieje. Nie radzę sobie z tym moim życiem. W żadnej jego sferze.

16

Nie mogę patrzeć na Erica, bo przed oczami widzę bitą śmietaną. Zeszłej nocy śniło mi się, że cały jest z bitej śmietany. Nie powiem, żeby to był fajny sen.

Na szczęście prawie się nie widzimy w ten weekend. Erie ma liczne spotkania zawodowe, a ja desperacko pracuję nad planem uratowania działu. Przeczytałam wszystkie umowy z ostatnich trzech lat. Przejrzałam informacje o dostawcach. Przeanalizowałam opinie klientów. Szczerze mówiąc, sytuacja jest kijowa. Odniosłam niewielki sukces w zeszłym roku, kiedy wynegocjowałam bardzo korzystną umowę z nową firmą informatyczną, i prawdopodobnie właśnie tym zrobiłam wrażenie na Simonie Johnsonie. Ale to za mało.

Nie tylko wpływa za mało zamówień; można odnieść wrażenie, że nikogo już nie interesuje dział wykładzin. W porównaniu z innymi mamy bardzo skromny budżet na marketing i reklamę. Nie organizujemy żadnych specjalnych akcji promocyjnych. Na cotygodniowych spotkaniach szefostwa wykładziny stanowią zawsze ostami punkt programu. Są jak Kopciuszek w tej firmie.

272

Ale to wszystko się zmieni, jeśli będę miała coś do powiedzenia. W ciągu weekendu stworzyłam plan totalnej reorganizacji. Będzie to wymagało trochę pieniędzy, wiary i cięcia kosztów - ale jestem pewna, że możemy ożywić sprzedaż. Kopciuszek poszedł na bal, prawda? Będę więc bajkową dobrą wróżką. Muszę się w nią zamienić. Nie mogę pozwolić, żeby wszyscy moi przyjaciele stracili pracę. O Boże. Żołądek ściska mi się z nerwów. Siedzę w taksówce, jadąc do pracy, włosy mam upięte, na kolanach trzymam teczkę z materiałami do prezentacji. Za godzinę zebranie. Pozostali dyrektorzy będą głosowali za likwidacją działu "wykładzin. Muszę dać z siebie wszystko. Bo inaczej... Nie. Nie wolno mi w ogóle myśleć, co by było, gdyby... Musi mi się udać. Po prostu musi... Dzwoni mój telefon i prawie podskakuję na fotelu, taka jestem zdenerwowana.

- Halo?

- Lexi? - słyszę słaby głosik. - Tu Amy. Masz czas?

- Amy! - wykrzykuję zaskoczona. - Cześć! Właśnie jadę dokądś...

- Mam kłopoty. - Przerywa mi. - Musisz przyjechać. Proszę.

- Kłopoty? - pytam z przestrawieniem. - Jakie kłopoty?

- Proszę, przyjedź. - Głos jej drży. - Jestem w Notting Hill.

- W Notting Hill? A dlaczego nie w szkole?

- Poczekaj. - Słyszę szum w telefonie i stłumiony głos Amy, która mówi do kogoś: - Rozmawiam ze starszą siostrą, okej? Zaraz tu będzie. - Potem wraca do rozmowy ze mną. - Proszę, Lexi. Przyjedź.

Wdepnęłam w niezłe bagno.

Nigdy nie słyszałam Amy tak pokornej. Musi być zdesperowana.

- Co takiego zrobiłaś? - Zachodzę w głowę, w co tym razem się wpakowała. Narkotyki? Zastawiła coś?

- Jestem na rogu Ladbroke Grove i Kensington Park Gardens. Za ile możesz tu być?

- Amy... - Łapię się za głowę. - Nie mogę teraz przyje-

chać! Mam spotkanie, naprawdę bardzo ważne. Nie możesz zadzwonić do mamy?

- Nie! - W głosie Amy słychać panikę. - Lexi, przecież mówiłaś. Powiedziałaś, że mogę do ciebie zadzwonić zawsze, gdy będę cię potrzebowała, że jesteś moją starszą siostrą, że pomożesz mi w razie czego.

- Ale nie sądziłam... Mam prezentację... - Nie kończę, bo nagle uświadamiam sobie, jak nieprzekonująco brzmią moje słowa. - Posłuchaj, kiedykolwiek indziej...

- Dobra. - Nagle głos jej się załamuje. Mówi tak, jakby była dziesięć lat starsza. - Jedź na to swoje zebranie. Nie martw się o mnie.

Ogarnia mnie poczucie winy. I frustracja. Dlaczego nie zadzwoniła zeszłego wieczoru? Dlaczego dzwoni akurat w momencie, gdy muszę być gdzie indziej?

- Amy, powiedz mi tylko, co się stało.

- Nieważne. Jedź na zebranie. Przepraszam, że zawracałam ci głowę.

- Przestań! Daj mi pomyśleć przez chwilę. - Patrzę nie-widzącym wzrokiem przez okno, zestresowana, rozdarta... Do zebrania pozostało czterdzieści pięć minut. Nie mam czasu, nie mam i już.

Ale może bym zdążyła, gdybym pojechała do niej od razu. Do Notting Hill jest tylko dziesięć minut. Nie mogę jednak ryzykować, że spóźnię się na zebranie, po prostu nie mogę.

Wtedy nagle, wśród trzasków na linii, słyszę po drugiej stronie męski głos. Facet najpierw coś mówi. Potem krzyczy. Patrzę na telefon, przejęta lodowatym strachem. Nie mogę zostawić mojej małej siostrzyczki w tarapatach. A jeśli zadarła z jakimś gangiem ulicznym? Jeśli ktoś zrobi jej krzywdę?

- Amy, czekaj - mówię ostro. - Już jadę. - Pochyłam się, pukam w szybę między mną a kierowcą. - Musimy pojechać na chwilę do Notting Hill. Jak najszybciej.

Gdy pędzimy Ladbroke Grove - silnik aż ryczy - pochylam się i w napięciu wyglądam przez okno, licząc na to, że dostrzegę gdzieś Amy... **I** nagle widzę wóz policyjny. **Na** rogu Kensington Park Gardens.

Serce mi staje. Spóźniłam się. Zabili ją. Zakłuli nożem.

Oslabła z przerażenia, płacę kierowcy i wysiadam z taksówki. Przed wozem policyjnym zebrał się tłum gapiów, który zasłania mi widok. Wszyscy wspinają się na palce, żeby coś zobaczyć, gestykulują i rozmawiają ze sobą, podnieceni. Cholerni ciekawscy.

- Przepraszam. - Głos mi się łamie, gdy podchodzę do mimu. - To moja siostra, mogę przejść? -

Przepychając się wśród anoraków i kurtek dżinsowych, przygotowuję się na to, co mogę zobaczyć...

I widzę Amy. Nie postrzeloną ani dźgniętą nożem. Siedzi na murku, ma na głowie kapelusz policyjny i wydaje się bardzo rozbawiona.

- Lexi! - Zwraca się do policjanta, który stoi przy niej: -To ona. Mówiłam, że przyjedzie.

- Co się dzieje? - pytam, odczuwając niebotyczną ulgę. -Myślałam, że stało się coś złego.

- To pani siostra? - chce wiedzieć policjant. Jest przysadzisty, ma piaskowe włosy, potężne piegowate przedramiona; notuje coś na podkładce.

- Tak. - Serce mi zamiera. Ukradła coś w sklepie? O co chodzi?

- Obawiam się, że ta młoda dama ma poważne kłopoty. Naciągała turystów. Jest tu wielu wściekłych ludzi. - Wskazuje tłum. - Pani nie ma z tym nic wspólnego?

- Nie! Oczywiście, że nie! Nie wiem, o czym pan mówi.

- „Szlakiem celebrytów”. - Podaje mi ulotkę, unosząc wysoko brwi. - Tak to nazwała.

Czytam z niedowierzaniem reklamę w jaskrawożółtym kolorze, najwyraźniej zaprojektowaną w jakimś kiepskim edytorze tekstów.

Zwiedzanie Londynu tajnym szlakiem celebrytów

W Londynie osiedliło się wiele gwiazd hollywoodzkich. Zobaczysz ich podczas tej wyjątkowej trasy.

Migną ci:

- Madonna wieszająca pranie

- Gwyneth w ogrodzie

- Elton John odpoczywający w domu Zaimponujesz znajomym najnowszymi plotkami! 10 £ od osoby, w tym pamiątka A-Z.

Ważna informacja: Jeśli zagadniesz którąś z gwiazd, wyprze się swojej tożsamości. Nie daj się oszukać! To element zabawy!

Oszołomiona, unoszę głowę.

- Czy to duże wykroczenie? Policjant kiwa głową.

- Pani siostra oprowadzała ludzi po Londynie, mówiąc im, że zobaczą znane osoby.

- I kogo widzieli?

- Cóż... kogoś takiego jak tamta pani. - Wskazuje na drugą stronę ulicy, gdzie na stopniach przed dużym białym domem ze stiukami stoi szczupła blondynka w dżinsach i bluzce chłopce, trzymająca na biodrze dwuletnią dziewczynkę. - Nie jestem żadną Gwyneth Paltrow! - warczy gniewnie do pary turystów w płaszczach Burberry. - Nie, nie dostaną państwo autografu.

Rzeczywiście, bardzo przypomina Gwyneth Paltrow. Ma takie same długie jasne włosy i podobną twarz. Jest tylko trochę starsza i mizerniej sza.

- Pani jest z nią? - Sobowtór Gwyneth dostrzega mnie i schodzi po schodach. - Chcę złożyć oficjalną skargę. -Przez cały tydzień jacyś ludzie fotografują mój dom i utrudniają mi życie. Ostatni raz mówię, że to nie jest żadna Apple! -Przerywa tyradę i wrzeszczy do młodej Japonki, która woła: „Apple! Apple!” do dziewczynki, usiłując zrobić jej zdjęcie.

Ta kobieta jest wściekła. I trudno ją za to winić.

- Im bardziej zaprzeczam, że jestem Gwyneth Paltrow, tym bardziej utwierdzają się w przekonaniu, że ja to ona wyjaśnia policjantowi. - Nic nie mogę z tym zrobić. Będę musiała się wyprowadzić.

- Powinno to pani schlebiać! - mówi Amy niefrasobliwie. - Biorą panią za gwiazdę, laureatkę Oscara!
- Skończysz w więzieniu! - syczy nie-Gwyneth. Wygląda tak, jakby miała ochotę zdzielić Amy po głowie.

Prawdę mówiąc, sama chętnie bym to zrobiła.

- Zamierzam udzielić pani siostrze oficjalnego upomnienia. - Policjant zwraca się do mnie, gdy taktownie wkracza jego koleżanka i odprowadza nie-Gwyneth do domu. - Mogę ją zwolnić i oddać pod pani opiekę, ale pod warunkiem, że wypełni pani te formularze i zgłosi się potem na posterunek.

- Dobrze - odpowiadam i posyłam Amy mordercze spojrzenie. - Wszystko, czego pan sobie życzy.

- Odwal się! - Nie-Gwyneth rzuca się na młodego faceta, który lezie za nią, wyciągając płytę CD. -

Nie, nie mogę przekazać tego Chrisowi Martinowi! Nie cierpię zresztą tego cholernego Coldpay!

Amy ściąga usta, jakby usiłowała nie parsknąć śmiechem.

Uhm. Strasznie śmieszne. Superzabawa. Nie muszę być teraz całkiem gdzie indziej, nie mam ważniejszych spraw, i w ogóle.

Jak najszybciej wypełniam formularze, stawiając wściekle kropkę po swoim podpisie.

- Możemy już iść?

- Tak. Niech pani ma ją na oku - dodaje policjant, wręczając mi duplikaty formularzy i broszurę zatytułowaną **Informacje o policyjnym upomnieniu**.

Mieć ją na oku? Dlaczego ja miałabym mieć ją na oku?

- Jasne. - Uśmiecham się sztywno i wsadzam dokumenty do torebki. - Postaram się. Chodź, Amy. -

Zerkam na zegarek i ogarnia mnie panika. Za dziesięć dwunasta! - Szybko. Musimy złapać taksówkę.

- Ale ja chcę jechać do Portobello...

- Musimy złapać pieprzoną taksówkę! - wrzeszczę. - Muszę zdążyć na zebranie! - Amy otwiera szeroko oczy i posłusznie zaczyna wypatrywać taksówki. W końcu udaje mi się zatrzymać taksówkę i wpycham do niej Amy. - Victoria Palace Road, proszę. Jak najszybciej. Spóźnię się, jak w banku! Ale przynajmniej się zjawię.

Powiem, co mam do powiedzenia. Sprawa nie jest jeszcze przegrana.

- Lexi... dzięki - mówi Amy cicho.

- W porządku. - Gdy taksówka zawraca Ladbroke Grove, patrzę nerwowo na drogę, chcąc zmusić światła do zmiany, pozostałe samochody dojazdy. Ale wszystko się nagle blokuje. Nie ma mowy, żebym zdążyła na czas.

Wyciągam telefon komórkowy z kieszeni, wybieram służbowy numer Simona i czekam, aż zgłosi się Natasha, jego asystentka. - Cześć, Natasha - zaczynam, starając się mówić spokojnie i profesjonalnie.

- Tu Lexi. Mam lekkie opóźnienie, coś mnie zatrzymało, ale muszę wystąpić na zebraniu. Mogłabyś powiedzieć, żeby na mnie poczekali? Już jadę, jestem w taksówce.

- Jasne - odpowiada Natasha miło. - Przekażę im. Do zobaczenia.

- Dzięki! Rozłączam się i opadam na fotel, już trochę uspokojona.

- Przepraszam - mówi Amy nagle.

- Nie ma o czym mówić.

- Nie, naprawdę.

Wzdycham i patrzę na nią uważnie po raz pierwszy, odkąd wsiadliśmy do taksówki.

- Dlaczego, Amy?

- Dla pieniędzy. - Wzrusza ramionami. - Dlaczego nie?

- Bo wpadniesz w prawdziwe kłopoty! Jeśli potrzebujesz pieniędzy, to znajdź sobie pracę. Albo poproś mamę.

- Poprosić mamę? - powtarza z pogardą. - Mama nie ma pieniędzy.
- Dobra, może nie ma ich fury...
- Nie ma w ogóle. Myślisz, że dlaczego dom się rozpada? Dlaczego nigdy nie działa ogrzewanie? Pół zimy spędziłam ostatnio u przyjaciółki. Przynajmniej włączają tam kaloryfery. Jesteśmy spłukane.
- To dziwne - mówię zdezorientowana. - Jak to się stało? Czy tata nic mamie nie zostawił?
Wiem, że niektóre interesy taty były dość ryzykowne, ale było ich sporo i wiem, że mama spodziewała się po jego śmierci przyływu gotówki. Choć, oczywiście, nigdy by się do tego nie przyznała.
- Pojęcia nie mam. Niewiele w każdym razie.
- Nieważne, nie możesz wyczyniać takich hec, bo skończysz w więzieniu albo co.
- Dam radę. - Amy odrzuca na plecy pasmo niebieskich włosów. - Więzienie jest cool.
- Nie jest cool! - Patrzę na nią. - Skąd ci to przyszło do głowy? Więzienie to coś strasznego! To syf!
Wszyscy mają ohydne włosy, nie można golić nóg ani myć twarzy mleczkiem.
Zmyślam to wszystko. Pewnie teraz w więzieniach mają spa i suszarki do włosów.
- No i nie ma żadnych chłopaków - dodaję na wszelki wypadek. - Nie wolno mieć iPodów, czekolady ani płyt DVD. Tylko maszeruje się w kółko po dziedzińcu. - To też chyba nie jest prawda. Ale już się nakręciłam. - Z łańcuchami u nóg.
- Nie ma już łańcuchów u nóg - odpowiada Amy z lekceważeniem.
- Wprowadzili je znowu - bujam bez zmrużenia oka. - Zwłaszcza w przypadkach młodocianych. To nowa inicjatywa rządu, dla celów próbnych. Jezu, Amy, nie czytujesz gazet?
Amy wygląda na trochę przestraszona. Ha. To moja mała zemsta.

- Cóż, widocznie mam to w genach. - Odzyskuje trochę pewności siebie. - Mijanie się z prawem.
- Nie masz tego w genach...
- Tata siedział w więzieniu - oświadcza triumfalnie.
- Tata? - Gapię się na nią. - Tata? Niemożliwe. - Ta myśl jest tak niedorzeczna, że chce mi się śmiać.
- A tak. Słyszałam, jak jacyś faceci mówili o tym na pogrzebie. Więc ze mną jest podobnie, taki mój los. - Wzrusza ramionami i wyjmuję paczkę papierosów.
- Skończ z tym! - Wyrwam jej papierosy i wyrzucam przez okno. - Tata nie był w więzieniu. Ty też do niego nie pójdziesz. Bo to wcale nie jest szpan, tylko obciach. - Przerywam na chwilę i zastanawiam się. - Posłuchaj, Amy... może przyjdiesz do mnie do pracy na staż. Będzie zabawnie. Na-będziesz doświadczenia, zarobisz trochę.
- Ile? - pyta natychmiast.
Boże, czasami potrafi być wkurzająca.
- Dość tego! I może nie powiem mamie o tej całej historii. - Pstrykam w ulotkę. - Umowa stoi?
W taksówce zapada długa cisza. Amy wlepia wzrok w odprysku]ący niebieski lakier na paznokciu kciuka, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie.
- Okej. - Wzrusza w końcu ramionami.
Taksówka zatrzymuje się na czerwonym świetle i czuję przerażenie, gdy po raz setny sprawdzam, która godzina. Już dwadzieścia po. Mogę tylko mieć nadzieję, że zaczęli z opóźnieniem. Mój wzrok wędruje ku żółtej ulotce i na mojej twarzy wykwita niechętny uśmiech. To był sprytny pomysł.
- No to jakie jeszcze miałaś sławy w programie? - Nie mogę darować sobie tego pytania. - Nie mów mi, że Madonnę?
- A tak! - Oczy Amy rozbłyskują. - Ta kobieta z Kensington wyglądała prawie jak ona, tylko była trochę grubsza. Wszyscy dali się nabrać, zwłaszcza kiedy powiedziałam, że to dowodzi, jak zmienia człowieka airbrushing. Miałam też

Stinga, Judi Dench i tego przemiłego mleczarza z Highgute, który wyglądał kropka w kropkę jak Elton John.

- Jak Elton John? Mleczarz? - Nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

- Powiedziałam, że po cichu pracuje na rzecz społeczności lokalnej.

- A jak ich, u licha, znalazłaś?

- Chodziłam po mieście i rozglądałam się. Gwyneth zauważyłam jako pierwszą, i to ona natchnęła mnie tą myślą. -Amy szczerzy zęby w uśmiechu. - Ta to naprawdę mnie nienawidzi!

- Nie dziwię się! - Pewnie była bardziej niepokojona niż autentyczna Gwyneth Paltrow.

Taksówka rusza znowu. Zbliżamy się do Victoria Palace Road. Otwieram teczkę z materiałami do prezentacji i przeglądam notatki, aby się upewnić, że mam w głowie wszystkie najważniejsze punkty.

- Wiesz, oni naprawdę mówili, że tata siedział w więzieniu. - Zaskakuje mnie cichy głos Amy. - Nie zmyśliłam tego. Nie wiem, co powiedzieć. Nie mieści mi się to w głowie. Tata? W więzieniu? To wydaje się... niemożliwe.

- Pytałaś o to mamę? - ryzykuję w końcu.

- Nie. - Amy wzrusza ramionami.

- Hmm, jestem pewna, że to nie mogło być nic... - Brnę dalej, gubiąc się w domysłach. - No wiesz. Nic złego.

- Pamiętasz, że nazywał nas swoimi dziewczynkami? -Z twarzy Amy znika wszelka fanfaronada. - Swoimi trzema dziewczynkami. Ciebie, mamę i mnie.

Uśmiecham się na to wspomnienie.

- I tańczył z każdą z nas.

- Uhm. - Amy kiwa głową. - I zawsze kupował te wielkie pudła czekoladek.

- A tobie robiło się niedobrze...

- Deller Carpets, proszę pań. - Taksówka zajechała pod budynek firmy. Nawet tego nie zauważyłam.

- Och, świetnie. Dziękuję. - Grzebię w torebce, szukając pieniędzy. - Amy, muszę pędzić. Przepraszam, ale to naprawdę, naprawdę bardzo ważne.

- Co się dzieje? - Ku mojemu zaskoczeniu wygląda na szczerze zainteresowaną.

- Muszę uratować mój dział. - Otwieram drzwi i wysiadam niezgrabnie z taksówki. - Przekonać jedenastu dyrektorów do czegoś, przeciwko czemu już podjęli decyzję. W dodatku jestem spóźniona. I w ogóle nie bardzo wiem, co, do diabła, robię.

- O kurczę. - Amy ma powątpiewającą minę. - No to... powodzenia.

- Dzięki. I... jeszcze pogadamy. - Ściskam ją pospiesznie, a potem wbiegam po schodach i wpadam do holu. Spóźniłam się tylko pół godziny. Mogło być gorzej.

- Cześć! - wołam do Jenny, recepcjonistki, przebiegając obok kontuaru. - Już jestem! Możesz ich zawiadomić?

- Lexi...! - Jenny woła coś za mną, ale nie mam czasu, żeby się zatrzymać. Idę szybko do czekającej windy, wciskam guzik ósmego piętra i stoję niecierpliwie przez trzydzieści sekund, bo tyle zajmuje jazda na górę. Przydałyby się windy ekspresowe. Specjalne awaryjne windy dla spóźnionych na zebranie...

No wreszcie. Wypadam z windy, biegnę do sali konferencyjnej i... przystaję. Simon Johnson stoi na korytarzu przed salą i rozmawia pogodnie z trzema facetami w garniturach. Ten w niebieskim narzuca na ramiona płaszcz przeciwdeszczowy. Natasha kręci się wokół, nalewając kawę. Słychać gwar rozmów.

- Co... - Adrenalina aż rozsadza mi pierś. Ledwie mogę wydobyć z siebie głos. - Co się dzieje? Wszystkie twarze zwracają się ku mnie, wyraźnie zdziwione.

- Tylko bez paniki, Lexi. - Simon rzuca mi spod zmarszczonego czoła to samo pełne dezaprobaty spojrzenie jak po-

przednio. - Zrobiliśmy sobie przerwę. Zakończyliśmy główną część spotkania i Angus musi wyjść. - Wskazuje gościa w płaszczu.

- Zakończyliście? - Ogarnia mnie groza. - Chcesz powiedzieć...

- Przeprowadziliśmy głosowanie. Na rzecz reorganizacji.

- Ale nie możecie! - Przerazona, podchodzę do niego szybko. - Znalazłam sposób, żeby uratować dział! Musimy tylko zredukować koszty, poza tym mam pewne pomysły dotyczące marketingu...

- Lexi, podjęliśmy już decyzję! - Simon przerywa mi kategorycznie.

- Ale to zła decyzja! - wołam z rozpaczą. - Ten dział ma możliwości, wiem, że tak! Proszę. - Apeluję do Angusa: -Niech pan nie wychodzi. Wysłuchajcie mnie. Potem będziecie mogli zagłosować jeszcze raz...

- Simon. - Angus odwraca się ode mnie z zakłopotaniem. - Miło było cię zobaczyć. Muszę lecieć.

- Jasne.

W ogóle nie zwracają na mnie uwagi. Nikt nie chce mnie wysłuchać. Słaniając się na nogach, patrzę, jak kierownictwo wraca do sali.

- Lexi. - Simon staje przede mną. - Podziwiam twoją lojalność wobec działu, ale nie możesz zachowywać się w ten sposób na zebraniu dyrektorów.

Pod tym jego miłym głosem kryje się stal; wiem, że jest wściekły.

- Simon, przepraszam... - Przełykam ślinę.

- Zdaję sobie sprawę, że po wypadku nie było ci łatwo. -Przerywa. - Więc proponuję, żebyś wzięła trzymiesięczny płatny urlop. A kiedy wrócisz, znajdziemy ci bardziej... odpowiednie stanowisko w firmie. Dobrze?

Krew odpływa mi z twarzy. On mnie degradowuje.

- Nic mi nie dolega - odpowiadam szybko. - Nie potrzebuję urlopu...

- A ja myślę, że tak. - Wzdycha. - Lexi, naprawdę przykro mi z powodu tego, co się stało. Gdybyś odzyskała pamięć, może wszystko wyglądałoby inaczej, ale Byron informuje mnie o twojej sytuacji. Nie nadajesz się na wyższe stanowisko kierownicze.

Decyzja jest nieodwołalna, słyszę to w jego głosie.

- Dobrze - wyrzucam w końcu z siebie. - Rozumiem.

- Może chcesz pójść do swojego działu? Ponieważ cię nie było... - Urywa znacząco. - Poprosiłem Byrona o przekazanie pracownikom niepomyślnych wieści.

Byrona?

Skinąwszy mi głową, Simon znika w sali konferencyjnej. Gapię się w drzwi, jakbym wrosła w ziemię, a potem, w przypiływie paniki, rzucam się do windy. Nie mogę pozwolić na to, żeby Byron ich zawiadomił. Muszę przynajmniej zrobić to sama.

Już w windzie wybieram w telefonie komórkowym bezpośredni numer Byrona, ale zgłasza się poczta głosowa.

- Byron! - mówię, głos mi drży z niecierpliwości. - Nie mów jeszcze pracownikom o redukcji, dobrze? Chcę to zrobić osobiście. Powtarzam: nie mów im.

Nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, wybiegam z windy, wpadam do swojego gabinetu i zamykam za sobą drzwi. Cała się trzęsę. Nigdy nie byłam w takim stanie. Jak mam powiadomić ich o tym? Co powiedzieć? Jak się mówi przyjacielom, że stracili pracę?

Miotam się po pokoju, załamując ręce, mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję. To gorsze niż wszelkie egzaminy, testy, wszystko, co to tej pory przeżyłam...

I nagle moją uwagę zwraca jakiś dźwięk. To głos, za drzwiami:

- Jest tam?

- Gdzie Lexi? - dołącza się inny.

- Ukrywa się? To suka.

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie schować się pod kanapę i nie wychodzić już spod niej.

- A może jest na górze? - Głosy za drzwiami stają się coraz głośniejsze.

- Nie, widziałam ją! Jest tutaj! Lexi! Wychodź!

Ktoś wali w drzwi, tak że się wzdrygam. Zmuszam się, żeby przejść przez dywan. Ostrożnie wyciągam rękę i otwieram drzwi.

Już wiedzą.

Stoją tam wszyscy. Piętnastu pracowników działu wykładowców, milczących i wrogich. Fi z przodu, spojrzenie ma zimne jak gład.

- To... to nie ja... - jękam się z desperacją. - Posłuchajcie wszyscy, proszę. Zrozumcie. To nie była decyzja. Próbowałam... zamierzałam... - Nie kończę.

Jestem szefową. Wiadomo, że moim zadaniem było utrzymanie działu. I nie zrobiłam tego.

- Przepraszam - szepczę ze łzami w oczach, przenosząc wzrok z jednej nieubłaganej twarzy na drugą.

- Bardzo, bardzo mi przykro...

Cisza. Chyba mogłabym rozpuścić się pod wpływem nienawiści w ich wzroku. Potem, jakby na dany sygnał, wszyscy odwracają się i w milczeniu odchodzą. Na miękkich jak galareta nogach wracam za biurko i rzucam się na fotel. W jaki sposób Byron ich powiadomił? Co powiedział?

I nagle widzę wiadomość e-mailową w skrzynce odbiorczej. To okólnik, adresowany do wszystkich, pod tytułem: ***Koledzy, zła wiadomość.***

Z trwogą klikam w ten e-mail i gdy czytam jego treść, popadam w rozpacz. To poszło do nich? Z moim podpisem?

Do wszystkich kolegów z działu wykładowców! Jak być może zauważyliście, efekty pracy działu były ostatnio fatalne. Wyższe kierownictwo postanowiło go więc rozwiązać.

Dlatego też w czerwcu wszyscy zostaniecie poddani reduk-

cji. Tymczasem Lexi i ja będziemy wdzięczni za utrzymanie dotychczasowej wydajności i standardów pracy. Pamiętajcie, że wystawimy wam referencje, więc żadnego zwalniania tempa i rozluźniania dyscypliny.

Pozdrowienia, Byron i Lexi.

Mam ochotę się zastrzelić.

Po powrocie do domu stwierdzam, że Erie siedzi na tarasie w wieczornym słońcu. Czyta „Evening Standard” i popija dżin z tonikiem. - Udany dzień? - Unosi głowę znad gazety.

- Prawdę mówiąc, nie - odpowiadam drżącym głosem. - Miałam okropny dzień. Wszyscy z działu zostali zwolnieni. - Wypowiadając te słowa, przestaję panować nad sobą i wybucham płaczem.

Wszyscy moi przyjaciele tracą pracę. I wszyscy mnie nienawidzą... nie mam zresztą do nich o to pretensji.

- Kochanie. - Erie odkłada gazetę. - To biznes. Takie rzeczy się zdarzają.

- Wiem, ale to moi przyjaciele. Znamy się z Fi od szóstego roku życia.

Erie jakby się zastanawiał, sącząc drinka. W końcu wzrusza ramionami i wraca do czytania.

- Jak powiedziałem, to się zdarza.

- Nie zdarza się tak po prostu. - Kręcę gwałtownie głową. - Trzeba się im przeciwstawiać. Walczyć z nimi.

- Kochanie. - Erie wydaje się rozbawiony. - Ty zachowałeś pracę, tak?

- Tak.

- Firma nie pada, tak?

- Uhm.

- No właśnie. To napij się dżinu z tonikiem. Jak on może tak reagować? Co za człowiek?

- Nie mam ochoty na dżin z tonikiem, rozumiesz? - Czuję, że tracę nad sobą panowanie w galopującym tempie. - Nie mam ochoty na pieprzony gin z tonikiem!

286

- To może kieliszek wina?
- Ericu, czy ty nie rozumiesz? - prawie krzyczę. - Nie dociera do ciebie, jakie to wszystko straszne?! Cały mój gniew na Simona Johnsona i resztę szefostwa przybiera rozmiary tornada i skupia się na Ericu, siedzącym sobie spokojnie na tarasie, z drinkiem, i całym tym jego poukładanym życiem.
- lxxi...
- Ci ludzie potrzebują pracy! To nie są jacyś cholerni miliarderzy, superzłotokontowcy! - Wskazuję nasz przeszklony balkon. - Mają zaciągnięte kredyty. Czysze do opłacenia. Śluby i wesela do sfinansowania.
- Przesadzasz - mówi krótko Erie i przewraca kartkę gazety.
- A ty nie doceniasz! Nie rozumiem. Nie rozumiem cię. -Zwracam się do niego wprost. Chcę, żeby na mnie spojrzął; wyjaśnił swoje stanowisko; porozmawiał ze mną.
Ale nic z tego. Mam wrażenie, że już w ogóle mnie nie słucha.
Trzęsę się z frustracji. Czuję, że zaraz wyrzucę ten jego dzin z tonikiem przez balkon.
- Świetnie - mówię w końcu. - Nie mówmy o tym. Udawajmy, że wszystko jest w porządku, że się zgadzamy, chociaż się nie zgadzamy... - Okręcam się na pięcie, i zatyka mnie.
Jon stoi w wejściu na taras. Ma na sobie czarne dzinsy, białą bawełnianą koszulkę i ciemne okulary, więc nie widzę jego oczu.
- Cześć. - Wchodzi na taras. - Gianna mnie wpuściła. Nie przeszkadzam?
- Nie! - Odwracam się szybko, żeby nie zobaczył mojej twarzy. - Oczywiście, że nie. W porządku.
Wszystko w porządku.
Że też ze wszystkich ludzi musiał się pojawić właśnie on, żeby mnie już całkiem dobić na koniec tego dnia. Nawet na niego nie spojrzę. Nie zwrócę na niego uwagi.

- Lexi jest trochę zdenerwowana - wyjaśnia Erie w tonie męskiego porozumienia. - Kilka osób z jej działu traci pracę.

- Nie kilka! - Nie mogę powstrzymać się przed ostrym protestem. - Wszyscy, co do jednego! A ja nie zrobiłam nic, żeby ich uratować. Jestem ich szefową i zawaliłam sprawę. -Po policzku spływa mi łza. Ocieram ją szybko.

- Jon. - Erie mnie nie słucha. - Zrobię ci drinka. Mam tu plany Bayswater, wiele trzeba obgadać... - Wstaje i idzie do salonu. - Gianna! Gianna, jesteś tam?!

- Lexi. - Jon przechodzi przez taras do miejsca, gdzie stoję. Mówi cichym, przejętym głosem. Znowu zaczyna. Nie mogę w to uwierzyć.

- Daj mi spokój! - odpieram atak. - Nie zrozumiałeś, co ci mówiłam? Nie jestem zainteresowana! Jesteś zwykłym... kobieciarzem, bajerantem. A gdybym nawet była zainteresowana, to nie jest odpowiednia pora, rozumiesz? Cały mój dział został rozwiązany. Więc jeśli nie potrafisz nic na to poradzić, odwal się.

Milczenie. Spodziewam się, że Jon wyskoczy z jakimś banalnym tekstem, ale on zdejmuje okulary i pociera czoło, jakby skonsternowany.

- Nie rozumiem. A co z twoim planem?

- Planem? - pytam agresywnie. - Jakim planem?

- Tą dużą umową na dywany.

- Jaką umową na dywany?

Jon, zdumiony, otwiera szeroko oczy. Przez moment patrzy na mnie, jakby myślał, że żartuję.

- Nie mówisz poważnie. Nic nie kojarzysz?

- Co mam kojarzyć?! — wołam, znajdując się u kresu wytrzymałości. - Nie mam pojęcia, o czym ty, do cholery, mówisz!

- Jezu Chryste. - Jon wciąga głęboko powietrze. - Dobra. Lexi, posłuchaj mnie. Przygotowałaś w tajemnicy dużą umowę dotyczącą dywanów. Mówiłaś, że to może wszystko zmienić, miałaś zarobić sporą forszę i przekształcić cały

288

dział... Więc podoba ci się widok, co? - Gładko zmienia temat, gdy w drzwiach pojawia się Erie, który niesie dżin z tomkiem.

Wielka umowa na dywany?

Serce zaczyna bić mi szybko, gdy tak stoję, patrząc, jak Erie podaje Jonowi drinka i wyciąga fotel spod daszka przeciwsłonecznego.

„Nie zwracaj na niego uwagi - mówi jakiś głos w mojej głowie. - Zmyślił to. Bawi się z tobą, to część jego gry”.

A jeśli nie...?

- Erie, kochanie, przepraszam za to moje wcześniejsze * zachowanie. - Wypowiadam te słowa niemal zbyt płynnie. -

Miałam bardzo ciężki dzień. Mógłbyś przynieść mi kieliszek wina?

Nie patrzę na Jona.

- Żaden problem, kochanie. - Erie ponownie znika w domu, a ja się odwracam do Jona.

- Powiedz mi, o czym przed chwilą mówiłeś - proszę przyciszonym głosem. - Szybko. I lepiej, żeby to nie był żaden kit. Gdy napotykam jego wzrok, czuję się z lekka upokorzona. Nie mam pojęcia, czy mogę mu ufać, czy nie. Ale muszę dowiedzieć się czegoś. Bo jeśli istnieje choćby cień szansy, że to, co mówi, jest prawdą...

- To nie kit. Gdybym wcześniej zdał sobie sprawę, że nic nie wiesz... - Jon kręci głową z niedowierzaniem. - Pracowałaś nad tym od wielu tygodni. Miałaś taką dużą niebieską teczkę, którą nosiłaś ze sobą. Byłaś z powodu tego planu tak podekscytowana, że nie mogłaś spać...

- Ale co to było?

- Nie znam szczegółów. Jesteś przesadna i nie chciałaś mi powiedzieć. Miałaś taką swoją teorię, że ciąży na mnie fatum. - Krzywi usta na chwilę, jakby dzielił się ze mną jakimś osobistym żartem. - Wiem jednak, że opierałaś się na wzorach dywanowych z jakiegoś starego wzornika.

- Ale dlaczego nic o tym nie wiem? Dlaczego nie wie nikt?

- Chciałaś zachować wszystko w sekrecie aż do ostatniej chwili. Mówiłaś, że nie ufasz nikomu z biura i bezpieczniej jest... - Urywa nagle, gdy zjawia się Erie.

Czuję się tak, jakbym dostała w twarz. Nie może na tym skończyć!

- Proszę, Lexi - mówi Erie pogodnie, podając mi kieliszek wina. Potem podchodzi do stołu, siada i gestem zaprasza Jona, żeby zajął miejsce obok niego.

- Więc, jeśli chodzi o ostatnie wiadomości, rozmawiałem ponownie z urzędnikiem z planowania... Podczas ich rozmowy stoję nieruchomo, w milczeniu, i myślę gorączkowo, rozdarta niepewnością. To może być gównie prawda, a ja jestem naiwną idiotką, słuchając go.

Ale skąd miałyby wiedzieć o istnieniu starego wzornika? A jeżeli nie kłamie? Serce ściska mi się boleśnie w przyływie nadziei. Jeśli jest jakaś szansa, choćby najmniejsza...

- Dobrze się czujesz, Lexi? - Erie patrzy na mnie dziwnie i uzmysławiam sobie, że stoję jak słup soli pośrodku tarasu, obejmując rękami twarz.

- Tak, dobrze. - Jakoś udaje mi się pozbierać. Wycofuję się na drugi koniec tarasu i siadam na bujanym fotelu z galwanizowanej stali, czując ciepłe promienie słońca na twarzy, ledwie świadoma odległego ruchu drogowego na dole. Jon i Erie studiują przy stole rysunek architekta.

- Być może będziemy musieli całkowicie zmienić koncepcję parkingu. - Jon szkicuje coś na kartce. - To zresztą nie koniec świata.

- Okej. - Erie wzdycha ciężko. - Jeśli uważasz, że można to zrobić, zdaję się na ciebie.

Wypijam duży łyk wina, a potem wyjmuję telefon. Nie mogę uwierzyć, że się na to decyduję. Drżącymi palcami odnajduję numer Jona i piszę wiadomość:

Możemy się spotkać? L.

Naciskam „wyślij”, czym prędzej wsuwam telefon do torebki i sztywno podziwiam widok. Chwilę później, wciąż szkicując i nie patrząc w moim kierunku, Jon wolną ręką wyjmuję telefon z kieszeni. Zerka na niego szybko i odpisuje. Erie w ogóle tego nie zauważa. Zmuszam się, żeby policzyć do pięćdziesięciu, a potem od niechcienia otwieram klapkę telefonu.
Pewnie. J.

17

Umówiliśmy się na spotkanie w miejscu o nazwie Fabian's w Holland Park, małej, przytulnej kafejce o ścianach w kolorze terakoty, z rycinami przedstawiającymi pejzaże tokańskie i z półkami pełnymi włoskich książek. Po wejściu tam, gdy rzucam okiem na granitowy bar, ekspres do kawy i wysłużoną kanapę, mam dziwne wrażenie, jakbym już tu kiedyś była.

Może to déjà vu. A może myślenie życzeniowe.

Jon siedzi już przy stoliku w rogu i gdy unosi wzrok, odruchowo staje się czujna. Wbrew rozsądkowi, mimo wszelkich protestów, jestem tu, spotykam się z nim potajemnie. Tak jak chciał od początku.

Czuję się tak, jakbym wpadła w pułapkę... tylko nie wiem, co to za pułapka.

Wszystko jedno, umówiłam się z nim z powodów zawodowych. Dopóki będę o tym pamiętać, nic się nie stanie.

- Cześć. - Siadam przy stoliku, przy którym on pije kawę, i rzucam teczkę na wolne krzesło. - Dobra.

Oboje mamy mało czasu. Pomówmy o tej umowie.

Jon patrzy na mnie, jakby próbował coś odgadnąć.

- Jest jeszcze coś, co chciałbyś powiedzieć? - dodaję, starając się ignorować jego spojrzenie. - Chyba zamówię cappuccino.

285

- Lexi, o co w tym wszystkim chodzi? I co, do cholery, wydarzyło się na przyjęciu?
- Ja... nie wiem, o czym mówisz. - Biorę do ręki menu i udaję, że je studiuje. - A może raczej latte - zastanawiam się głośno.
- No, powiedz. - Odsuwa mi sprzed twarzy kartę, żeby mnie widzieć. - Nie możesz tego ukrywać. Co się stało?
Myśli, że to śmieszne. Słyszę to w jego głosie. Zraniona w swojej dumie, uderzam kartą w stół.
- Jeśli koniecznie musisz wiedzieć - mówię sucho - rozmawiałam na przyjęciu z Rosalie, która opowiedziała mi o twoich... predylekcjach. Wiem, że to wszystko kit. Nie lubię wciskania kitu, dzięki.
- Lxxi...
- Nie zgrywaj się, dobrze? Wiem, że próbowałeś i z nią, i z Margo. - W moim głosie słychać cię goręco. - Jesteś tylko zręcznym manipulatorem, który mówi mężatkom to, co chciałyby usłyszeć, co twoim zdaniem chciałyby usłyszeć.
Jon nadal jest śmiertelnie poważny.
- Nie próbowałem z Rosalie ani z Margo. Może posunąłem się... - mówi z wahaniem - ...odrobinę za daleko. Ale uzgodniliśmy to razem. To była nasza przykrywka.
Hmm, oczywiście, świetnie to wykombinował.
Patrzę na niego w bezsilnej złości. Może mi wciskać, co tylko zechce, bo w żaden sposób nie sprawdzę, czy mówi prawdę, czy nie.
- Musisz zrozumieć. - Pochyliła się nad stolikiem. - To było udawane. Wymyśliłem tę hecę, żeby wszystkim zamydlić oczy; gdyby nas zobaczono razem, mielibyśmy wytłumaczenie. Rosalie połknęła haczyk, tak jak chcieliśmy.
- Chciałeś uchodzić za kobieciarza? - docinam mu, przewracając oczami.
- Oczywiście, że nie! - Słyszę nagle w jego głosie zapalczywy ton. - Ale parę razy o mało nie wpadliśmy. Rosalie jest całkiem bystra. Połapałaby się.

- No to zacząłeś się do niej przystawiać. - Nie mogę powstrzymać się od sarkazmu. - Pięknie.

Naprawdę klasa.

Jon patrzy mi nieugięcie w oczy.

- Masz rację. Piękne to nie było. To nie jest idealna sytuacja, popełniliśmy błędy... - Wyciąga do mnie rękę. - Ale musisz mi zaufać, Lxxi. Proszę cię. Musisz mi pozwolić wszystko wyjaśnić...

- Przestań! - Cofam rękę. - Przestań wreszcie! Nie o tym mamy rozmawiać, to nieważne. Trzymajmy się tematu. - Do stolika podchodzi kelnerka i unoszę głowę. - Poproszę cappuccino. No więc, jeśli chodzi o tę umowę... - mówię szybko, gdy tylko kelnerka się oddała. - Ona nie istnieje. Szukałam wszędzie. W pracy, w moim gabinecie przetrząsnęłam każdy kąt, każdy plik komputerowy. Szukałam też w domu, i nic. Znalazłam jedynie to. - Sięgam do teczki i wyjmuję kawałek kartki z tajemniczymi zapiskami. - W biurku jest jedna pusta szuflada. I ten skrawek był właśnie tam.

Trochę liczę na to, że oczy Jona się rozjaśnią i wykrzyknie: „Aha! To jest klucz!”, jak w *Kodzie Leonarda*. Ale on zerka na kartę i wzrusza ramionami.

- To twoje pismo.

- Wiem, że to moje pismo. - Usiłuję zachować cierpliwość. - Ale nie wiem, co te zapiski znaczą! - Sfrustrowana, drę papier. - Dlaczego, do diabła, nie robiłam notatek w komputerze?

- Jest u ciebie w pracy taki facet Byron?

- Tak - odpowiadam ostrożnie. - Bo co?

- Nie ufałaś mu. Uważałaś, że będzie dążył do rozwiązania działu. Bałaś się, że wejdzie ci w paradę. Chciałaś więc zaprezentować zarządowi swój pomysł, gdy będzie już gotowy do realizacji.

Drzwi do knajpki się otwierają, a ja podskakuję ze strachu, wyobrażając sobie, że zaraz wejdzie Erie. Mam już na końcu języka wytłumaczenie: „Byłam właśnie na zakupach i wiesz co? Wpadłam na Jona! Zupełny przypadek!”. Ale,

oczywiście, to nie Erie, tylko grupa nastolatków, mówiących po francusku.

- A więc nie wiesz nic więcej? - Poczucie winy sprawia, że mówię tonem napastliwym, niemal oskarżycielskim. - Nie możesz mi pomóc.

- Tego nie powiedziałem - odpowiada spokojnie Jon. - Zastanawiałem się nad tym i coś mi się przypomniało. Kontaktowałeś się z Jeremym Northamem czy Northwickiem. Jakoś tak.

- Jeremym Northpolem? - Nie wiadomo skąd nagle w głowie pojawia mi się to nazwisko. Pamiętam, że było napisane na karteczce samoprzylepnej, którą dała mi Clare. Razem z trzydziestoma pięcioma innymi karteczkami. - O to, to. - Jon kiwa głową. - Właśnie. Northpool.

- Chyba dzwonił, gdy leżałam w szpitalu. Kilka razy.

- Cóż. - Jon unosi brwi. - Może powinnaś się z nim skontaktować?

- Nie mogę. - Z rozpaczą opuszczam ręce na stół. - Nie mogę powiedzieć: „Cześć, tu Lexi Smart, czy zawarliśmy jakąś umowę? Och, a przy okazji, czym się zajmujesz?”. Za mało wiem! Gdzie są te wszystkie informacje?

- Gdzieś. - Jon miesza cappuccino. - Muszą gdzieś być. Zabrałaś je z domu. Ukryłaś albo oddałaś w bezpieczne miejsce.

- Ale gdzie jest to miejsce?

Przychodzi kelnerka i stawia przede mną cappuccino. Biorę małego herbatnika leżącego na spodeczku i zaczynam go odpakowywać. Gdzie mogłam umieścić teczkę? Gdzie bym ją ukryła? Jak wtedy rozumowałam?

- Przypominam sobie coś jeszcze. - Jon wypija kawę i gestem prosi kelnerkę o drugą. - Pojechałaś do Kent. Byłaś u matki.

- Naprawdę? - Unoszę głowę. - Kiedy?

- Tuż przed wypadkiem. Może tam zawiozłaś teczkę?

- Do domu mamy? - pytam sceptycznie.

- Warto sprawdzić. - Wzrusza ramionami. - Zadzwoń do niej i spytaj.

Markotnie mieszam kawę, podczas gdy kelnerka przynosi drugie cappuccino dla Jona. Nie mam ochoty dzwonić do mamy. Rozmowy z nią źle na mnie działają.

- No, Lexi, przecież możesz to zrobić. - Jon krzywi usta na widok mojej miny. - Jak tam, baba z ciebie czy mors?

Podnoszę głowę, zdumiona. Przez moment zastanawiam się, czy dobrze usłyszałam.

- Tak zawsze mówiła Fi - zauważam w końcu.

- Wiem. Opowiadałaś mi o Fi.

- Co o niej mówiłam? - pytam podejrzliwie. Jon popija cappuccino.

- Opowiadałaś mi, że poznałyście się na lekcji pani Brady. Wypaliłaś z nią swojego pierwszego i ostatniego papierosa. Trzy razy jeździłyście razem na Ibizę. Utrata jej przyjaźni była dla ciebie ciężkim ciosem. - Wskazuje głową mój telefon, który wystaje z torebki. - Dlatego właśnie powinnaś zadzwonić. To upiorne. Co, do diabła, ten facet jeszcze wie? Zerkając na niego z lękiem, wyjmuję telefon i wybieram numer mamy.

- Lxxi, nie jestem żadnym magikiem. - Jon wygląda, jakby już naprawdę chciało mu się śmiać. - Byliśmy ze sobą blisko. Rozmawialiśmy.

- Halo? - Słyszac głos mamy, odrywam wzrok od Jona.

- O, mammo! To ja, Lxxi. Posłuchaj, czy ostatnio przywiozłam do ciebie jakieś dokumenty? A może... teczkę?

- Tę dużą niebieską teczkę?

Ogarnia mnie potężna fala niedowierzania. To prawda. Teczka istnieje. Czuję, że budzi się we mnie podniecenie. I nadzieja.

- Zgadza się. - Próbuje zachować spokój. - Masz ją? Jest wciąż u ciebie?

- W twoim pokoju, tam gdzie ją zostawiłaś - odpowiada

mama z lekką obawą. - Jeden rożek może troszeczkę zawilgotniał...

Nie wierzę. Któryś z psów ją obsikał.

- Ale nie jest zniszczona? - pytam z lękiem. - Wszystko daje się przeczytać?

- Oczywiście, że tak!

- Świetnie! - Mocniej ściskam telefon. - Dobrze, schowaj ją, mamó. Umieść w bezpiecznym miejscu, a ja dziś po nią przyjadę. - Zamykam telefon i zwracam się do Jona: -Miałeś rację! Jest tam. Dobra, zaraz po nią pojadę. Muszę dostać się na Victorię, za godzinę powinnam mieć pociąg...

- Lxxi, uspokój się. - Jon wychyla kawę. - Zawiozę cię, jeśli chcesz.

- Słucham?

- Nie jestem dziś szczególnie zajęty. Tylko będziemy musieli wziąć twój samochód, boja nie mam swojego.

- Nie masz samochodu? - pytam z niedowierzaniem.

- Zmieniam go. - Wzrusza ramionami. - Jeżdżę rowerem albo taksówkami. Ale umiem prowadzić szpanerskiego mercedesa z odkrytym dachem. - Znowu wygląda tak, jakby wygłaszał żart.

Nasz wspólny żart, uświadamiam sobie nagle. Jego i dziewczyny, którą byłam.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale jestem zbyt przejęta. W głowie kłębią mi się różne myśli.

- Dobra - odpowiadam w końcu. - W porządku. Dzięki.

Przygotowaliśmy sobie historyjkę. Przynajmniej ja przygotowałam. Jeśli ktoś zapyta, to Jon udziela mi lekcji prowadzenia samochodu. Wpadł akurat, gdy wsiadałam do wozu i zaproponował pomoc.

Ale nikt nie pyta.

Jest słoneczny dzień i Jon wyprowadza samochód z parkingu, uchyla dach. Potem sięga do kieszeni i podaje mi czarną gumkę do włosów.

- Przyda ci się. Jest wietrznie. Ze zdziwieniem biorę gumkę.
- Jak to się stało, że masz ją w kieszeni?
- Mam je wszędzie. Wszystkie są twoje. - Przewraca oczami, włączając lewy kierunkowskaz. - Nie wiem, skąd ich tyle bierzesz, zrzucasz je jak wylinkę?

W milczeniu zbieram włosy w koński ogon, zanim potarga je wiatr. Jon skręca i jedzie w kierunku pierwszego skrzyżowania.

- To w Kent - mówię, gdy zatrzymujemy się na światłach. - Trzeba wyjechać z Londynu na...
- Wiem, gdzie to jest.
- Wiesz, gdzie jest dom mojej matki? - pytam z niedowierzaniem.
- Byłem tam.

Zapala się zielone światło i ruszamy. Patrzę na wielkie białe domy, które mijamy, prawie ich nie zauważając. Był u mojej mamy. Wie o Fi. Ma w kieszeni moją gumkę do włosów. Miał rację co do niebieskiej teczki. Albo dobrze się przygotował do odegrania swojej roli, albo...

- Więc... tak hipotetycznie - zagaduję w końcu. - Gdybyśmy rzeczywiście byli kiedyś kochankami...
- Hipotetycznie. - Jon kiwa głową, nie patrząc na mnie.
- Co się właściwie stało? Jak do tego doszło, że...
- Tak jak ci mówiłem, poznaliśmy się na przyjęciu z okazji otwarcia któregoś z apartamentowców.

Stale zresztą wpadaliśmy na siebie, z racji mojej pracy w firmie. Coraz częściej przychodziłem do was do domu. Przyjeżdżałem wcześniej, gdy Erie jeszcze siedział w pracy. Rozmawialiśmy, siedzieliśmy na tarasie... To było niewinne. - Urywa, zastanawiając się nad ryzykowną zmianą pasa. - Któregoś razu Erie wyjechał na weekend. A ja przyszedłem. I później... nie było już tak niewinnie.

Zaczynam mu wierzyć. To tak jakby świat drgnął; powracają obrazy. Kolory stają się ostrzejsze, wyrazistsze.

- I co jeszcze? - pytam.
- Spotykaliśmy się tak często, jak to było możliwe.
- To już wiem. - Rozglądam się dookoła. - Chodzi mi raczej o to... jak było. Co mówiliśmy, co robiliśmy? Po prostu... opowiedz mi coś.
- Rozbrajasz mnie. - Jon kręci głową, skóra wokół oczu marszczy mu się od śmiechu. - Zawsze mówiłaś tak do mnie w łóżku: „opowiedz mi coś”.
- Lubię słuchać opowieści. - Wzruszam ramionami w obronnym geście. - Różnych historii z przeszłości.
- Wiem. Dobra. Co by tu opowiedzieć? - Prowadzi przez chwilę w milczeniu i widzę, że na jego ustach pojawia się uśmiech. - Wszędzie, gdzie byliśmy razem, w końcu kupowaliśmy ci skarpetki. Zawsze było tak samo, zdejmowałaś buty, żeby chodzić boso po piasku albo po trawie, i potem robiło ci się zimno w nogi, więc szukaliśmy skarpetek. - Zatrzymuje samochód przed przejściem dla pieszych. - Co jeszcze? Nauczyłaś mnie jeść frytki z musztardą.
- Francuską musztardą?
- Tak. Kiedy cię poznałem, myślałem, że to perwersja. Teraz się od tego uzależniłem. - Rusza sprzed skrzyżowania i wjeżdża na dwupasmową autostradę. Samochód się rozpędza; z powodu ruchu na drodze gorzej się słyszemy. - W któryś weekend padał deszcz. Erie pojechał na golfa i obejrzeliliśmy razem wszystkie odcinki *Doctor Who*. - Zerka na mnie. - Mam opowiadać dalej?
- Wszystko, co mówi, wydaje się jakieś znajome. Mój umysł się dostraja. Nie pamiętam zdarzeń, o których opowiada Jon, ale coś mi się kojarzy. Odnajduję w tym siebie. Odnajduję swoje życie.
- Tak, dalej. - Kiwam głową.
- Dobra. Więc... graliśmy w tenisa stołowego. I to dość brutalnie. Byłaś dwa mecze do przodu, ale chyba zaczęłaś już pękać.

- Ja tak łatwo nie pękam - odcinam się automatycznie.
- Owszem, tak.
- Nigdy! - Nie mogę powstrzymać uśmiechu.
- Poznałaś moją mamę. Natychmiast się domyśliła. Zna mnie za dobrze, żebym mógł ją oszukać. Ale wszystko w porządku, ona jest cool, nigdy nic nie ocenia. - Jon zjeżdża na inny pas. - Zawsze śpisz po lewej stronie. W ciągu ośmiu miesięcy spędziliśmy ze sobą tylko pięć nocy do samego rana. - Milczy przez chwilę. - Erie miał ich dwieście trzydzieści pięć.
- Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Jon ze skupieniem patrzy przed siebie, ma napiętą twarz.
- Mówić dalej? - pyta w końcu.
- Uhm. - Odchrząkuję, bo mam ściśnięte gardło. - Mów.
- Gdy jedziemy przez wiejskie okolice Kent, Jon kończy opowiadać o szczegółach naszej znajomości. Ponieważ, oczywiście, nie mogę dorzucić nic od siebie, milczymy, aż ukazują się pola i suszarnie chmielu. Nie żebym szczególnie na nie patrzyła. Wychowałam się w Kent, więc nawet nie zwracam szczególnej uwagi na tę malowniczą scenerię „ogrodu Anglii”. Jak w transie śledzę natomiast obraz na wyświetlaczu GPS-a, podążając wzrokiem za strzałką.
- Nagle przypomina mi się rozmowa z Dave'em Nieudacznikiem i wzdycham.
- Co takiego? - pyta Jon.
- Och, nic. Tak się zastanawiam, jak do tego wszystkiego doszło. Co sprawiło, że nagle zaczęłam robić karierę, wyprostowałam sobie zęby, zamieniłam się w tę... inną Lexi? -Wskazuję siebie.
- Hmm - zaczyna Jon, mrużąc oczy, żeby przeczytać napis na tablicy przy drodze. - Myślę, że wszystko zaczęło się od tego zdarzenia na pogrzebie.
- Co masz na myśli?

- No, wiesz. Od tej sprawy z twoim tatą.

- Co z moim tatą? - pytam zaintrygowana. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Jon zatrzymuje z piskiem hamulców mercedesa tuż przy łące z mnóstwem krów i zwraca się do mnie:

- Matka nie opowiadała ci o pogrzebie?

- Oczywiście, że opowiadała! - mówię. - Był pogrzeb i już. Tata został... skremowany czy coś takiego.

- I to wszystko?

Wyteżam pamięć. Jestem pewna, że mama nic więcej

o pogrzebie nie mówiła. Nagle jednak przypominam sobie, że gdy ją o to zapytałam, szybko zmieniła temat. Ale to typowe dla mamy. Zawsze zmienia temat.

Kręcąc z niedowierzaniem głową, Jon włącza silnik.

- To jakieś nierzeczywiste. Czy ty w ogóle wiesz cokolwiek o swoim życiu?

- Najwyraźniej nie - odpowiadam, trochę wkurzona. -Dobra, opowiedz mi! Jeśli to takie ważne...

Jon wciąż kręci głową, ruszając w drogę.

- To nie moja sprawa. Mama musi ci opowiedzieć. -Skręca z drogi w żwirowany podjazd. - Jesteśmy na miejscu.

To fakt. Nawet nie zauważyłam. Dom wygląda mniej więcej tak, jak go zapamiętałam: ceglany budynek z lat dziewięćdziesiątych, z oranżerią po jednej stronie i antycznym volvo mamy przed wejściem. Prawda jest taka, że to miejsce nie zmieniło się od czasu, gdy się tu wprowadziliśmy, dwadzieścia lat temu; tylko bardziej się sypie. Rynna zwisa z dachu

i powój wspiał się wyżej po murach. Pod brezentem z jednej strony podjazdu leży stos płyt chodnikowych, które złożył tu tata. Chyba zamierzał je sprzedać i uruchomić jakiś biznes. To było... osiemnaście lat temu? Dziesięć?

Widzę przez bramę fragment ogrodu, który był kiedyś całkiem ładny, z rabatami kwiatów i kępą ziół.

- Więc mówisz, że mama mnie okłamała? Jon przecząco kręci głową.

- Nie okłamała. Ominęła pewne rzeczy. - Otwiera drzwi samochodu. - Chodźmy.

Z whippetami jest tak, że wydają się całkiem drobne, ale kiedy staną na zadnich łapach, są naprawdę duże. A gdy jest ich dziesięć i wszystkie jednocześnie skaczą na ciebie, czujesz się jak podczas prawdziwej napaści.

- Ophelia! Raphael! - Słyszę głos mamy wśród skomleń i drapania. - Leżeć! Lexi, kochanie! Nie musiałaś tak pędzić na złamanie karku. Co się dzieje? - Ma na sobie sztruksową spódnicę i bluzkę w niebieskie paski z wystrzępionymi mankietami, w ręku trzyma ścierkę do naczyń z księciem Karolem i Dianą.

- Cześć, mamó - mówię bez tchu, opędzając się od psów. - To jest Jon. Mój... kolega. - Wskazuję Jona, który patrzy whippetowi prosto w oczy i mówi: „Łapy na podłogę. Nie skacz na ludzi”.

- Ojej! - Mama sprawia wrażenie zażenowanej. - Gdybym wiedziała, przygotowałabym coś na lunch. Ale jak miałam coś zrobić, skoro zawiadomiliście mnie tak późno...

- Mamó, nie spodziewamy się żadnego poczęstunku. Chcę tylko odebrać tę teczkę. Jest tam nadal?

- Oczywiście. - Mama wydaje się urażona. - Cała i na swoim miejscu.

Biegnę po skrzypiących schodach, wyłożonych zielonym chodnikiem, i wpadam do mojego dawnego pokoju o ścianach pokrytych kwiecistą tapetą Laury Ashley.

Amy ma rację, tu śmierdzi. Nie wiem, czy to z powodu psów, wilgoci czy zgnilizny, ale mama powinna coś z tym zrobić. Dostrzegam teczkę na komodzie, chwytam ją i od razu upuszczam. Wiem, dlaczego mama z punktu przeszła do obrony. Teczka jest ohydna. Cuchnie psimi sikami.

Krzywiąc nos, ostrożnie biorę ją w dwa palce i otwieram.

To moje pismo. Dużo tekstu, wszystko wyraźne i czytelne. Jak wiadomość ode mnie dla... mnie.

Przebiegam wzro-

301

kiem pierwszą stronę, próbując szybko się zorientować, co robiłam, co planowałam, o co w tym wszystkim chodzi. Widzę, że napisałam jakąś propozycję, ale czego dokładnie dotyczy? Odwracam kartkę, marszcząc brwi ze zdumieniem, potem następną. I wtedy dostrzegam tę nazwę. Och. Mój Boże!

W jednej chwili zaczynam rozumieć. Mam już pełny obraz. Unoszę głowę, serce bije mi jak oszalałe. To doskonały pomysł. Naprawdę doskonały. Widzę kryjące się w nim możliwości. To jest dopiero coś, mogłoby wszystko zmienić...

Naładowana adrenaliną, chwytam teczkę, nie dbając już o to, że cuchnie, i wypadam z pokoju, zbiegając po dwa stopnie na dół.

- Masz? - Jon czeka u podnóża schodów.

- Tak! - Na twarz wypływa mi uśmiech. - To rewelacja! Rewelacyjny pomysł!

- Twój pomysł.

- Naprawdę? - Czuję wielką dumę, którą usiłuję powściągnąć. - Wiesz, tego właśnie było nam potrzeba, od samego początku. Tym tropem powinniśmy pójść. Jeśli sprawa wypali, nie będą mogli zrezygnować z dywanów. Byliby szaleni.

Jeden z psów podskakuje i próbuje zębami złapać mnie za włosy, ale nawet to mi nie przeszkadza. Nie mogę uwierzyć, że wymyśliłam taki układ. Ja, Lexi! Nie mogę się doczekać, kiedy powiem wszystkim...

- No! - Zjawia się mama, niosąc na tacy filiżanki kawy. - Mogę przynajmniej poczęstować was kawą i pełnoziarnisty-mi ciasteczkami.

- Naprawdę, mamo, nie trzeba - mówię. - Obawiam się, że musimy już jechać.

- A ja chętnie napiję się kawy - stwierdza uprzejmie Jon. Co? Patrząc na niego morderczym wzrokiem, idę za nim do salonu i siadamy na wyblakłej kanapie. Jon sadowi się, jakby poczuł się u siebie. Może i tak jest. - Lexi mówiła właśnie, że musi poskładać z fragmentów

swoje życie - mówi, gryząc ciastko. - Więc pomyślałem, że może by jej pomogło, gdyby dowiedziała się, co zaszło nu pogrzebie ojca.

- Oczywiście, strata rodzica to zawsze traumatyczne przeżycie... - Mama ze skupieniem przełamuje ciastko na pół. - Masz, Ophelio. - Karmi psa.

- Nie to mam na myśli - mówi Jon. - Chodzi mi o tamte zdarzenia.

- Tamte zdarzenia? - Mama jakby nie rozumiała. - Raphael, tak nie wolno! Kawy, Lexi?

Psy stoją wokół talerza z ciastkami, śliniąc się i wyciągając pyski. I my to mamy zjeść?

- Lexi nie ma pełnego obrazu. - Jon nie daje za wygraną.

- Smoky, to nie dla ciebie...

- Niech pani przestanie, do cholery, rozmawiać z psami! - Na dźwięk głosu Jona aż podskakuje.

Mama wygląda na zbyt wstrząśniętą, żeby cokolwiek powiedzieć. Albo się poruszyć.

- To pani dziecko. - Jon wskazuje na mnie. - Nie one. - Macha kciukiem w stronę psa i podrywa się z kanapy. Obie z mamą patrzymy na niego osłupiałe, gdy podchodzi do kominka, mierzwiąc ręką włosy i nie zważając na psy, które zbierają się wokół niego. - Obchodzi mnie pani córka. Ona może nie jest tego w pełni świadoma, ale ja tak. Może pani chce iść przez życie, wypierając pewne rzeczy ze świadomości. Może to pani pomaga. Ale nie pomaga to Lexi.

- O czym wy mówicie? - pytam bezradnie. - Mamo, co zdarzyło się na pogrzebie?

Mama macha rękami, jakby odpychała coś od siebie.

- To było raczej... nieprzyjemne.

- Życie bywa nieprzyjemne - oświadcza Jon bezwzględnie. - Jest jeszcze mniej przyjemne, jeśli się pewnych rzeczy o nim nie wie. I jeżeli pani nie powie Lexi, ja to zrobię. Bo przed wypadkiem mi o tym opowiedziała. - Zjada ostatnie ciastko.

- No dobrze! Otóż stało się to... - Mama ścisza głos do szeptu.
- Co takiego?!

- Że przyjechali komornicy! - Policzki różowieją jej. -W samym środku pogrzebu.
- Komornicy? Ale...

- Zjawili się bez uprzedzenia. W piątkę. - Patrzy wprost przed siebie, głaskając psa leżącego na jej kolanach, obsesyjnym, powtarzającym się ruchem. - Chcieli zająć dom. Zabrać meble, wszystko. Okazało się, że twój ojciec nie był wobec mnie... całkiem szczerzy. Ani wobec nikogo.

- Niech jej pani pokaże to drugie DVD - podsuwa Jon. -I proszę nie mówić, że nie wie pani, gdzie ono jest.

Następuje przerwa w rozmowie, potem nie patrząc na żadne z nas, mama wstaje, grzebie w szufladzie i wyjmuje niepodpisaną lśniącą płytę. Wkłada ją do odtwarzacza i wszyscy troje opadamy na kanapę.

„Kochane. - Tata znowu pojawia się na ekranie, w tym samym pomieszczeniu co na poprzedniej płycie, w tym samym puszystym szlafroku. Gdy patrzy do kamery, w jego oku widać ten sam czarujący błysk. - Jeśli to oglądacie, to znaczy, że wykitowałem. A o czymś powinniście wiedzieć. Tylko nie jest to przeznaczone... do wiadomości publicznej, że tak powiem. - Zaciąga się głęboko cygarem i marszczy czoło. -Otóż wydarzyła się mała katastrofa na polu finansowym. Nie chciałem was w to wpakować. Jesteście bystre, dziewczynki, znajdziecie jakieś wyjście. - Zastanawia się przez chwilę. -Ale jeśli nie dacie rady, zwróćcie się do starego Dickiego Hawforda, powinien wam pomóc. Pa, moje drogie". Unosi szklanę, a potem ekran gaśnie.

Odwracam się do mamy.

- Co miał na myśli, mówiąc „katastrofa”?

- To, że zastawił dom. - Głos jej drży. - To chciał nam przekazać. Ta płyta przybyła pocztą tydzień po pogrzebie. Ale było już za późno! Komornicy już się zjawili! Co mia-

łyśmy zrobić? - Głaska whippeta coraz gwałtowniej, aż pies, z nagłym skowyt, zeskakuje z jej kolan.

- No i co zrobiłyśmy?

- Musiałybyśmy wszystko sprzedać. Przenieść się gdzieś indziej. Amy musiałaby odejść ze szkoły... - Znowu macha rękami przy twarzy. - Z pomocą więc przyszedł mój brat. I moja siostra, no i... no i ty. Powiedziałaś, że spłacisz kredyt hipoteczny. Na tyle, na ile dasz radę.

- Ja?

Zapadam się w kanapę, zdumiona, myślę intensywnie, starając się wszystko to sobie poukładać. Zgodziłam się spłacić długi ojca. - Czy to kredyt zagraniczny? - pytam nagle. - W banku o nazwie Uni... coś tam? - Większość transakcji ojciec przeprowadzał za granicą. - Mama kiwa głową. - Żeby uniknąć podatków. Nie wiem, dlaczego nie mogł postępować uczciwie...

- I mówi to kobieta, która ukrywała takie rzeczy przed córką! - zauważa Jon. - Jak pani nie wstyd! Nie mogę nie podzielać jego zniecierpliwienia.

- Mamo, wiedziałaś, że nie pamiętam pogrzebu, ale nic mi nie powiedziałaś. Nie widzisz, że to wyjaśnia wiele spraw? Nie miałam pojęcia, dokąd idą te pieniądze.

- To było bardzo trudne! - Mama przewraca oczami. - Starłam się wyciszyć sprawę ze względu na Amy... - Ależ... - Urywam, bo coś innego nagle świta mi w głowie. - Mamo, jeszcze jedno pytanie. Czy tata siedział kiedyś w... więzieniu?

Mama krzywi się, jakbym nastąpiła jej na palec u nogi.

- Przez krótki czas, kochanie. Dawno temu... To było nieporozumienie. Nie mówmy na ten temat. Zaparzę jeszcze kawy.

- Nie! - Sfrustrowana podrywam się z kanapy i staję na wprost niej. - Mamo, posłuchaj! Nie możesz żyć, udając, że nic się nie stało. Amy ma rację! Musisz wyrwać się z tego... zakrzywienia czasoprzestrzeni.

- Lexi! - mówi ostro mama, ale ignoruję to.

- Amy słyszała, że tata był w więzieniu. Wbiła sobie do głowy, że to jest cool. Nic dziwnego, że stale pakuje się w kłopoty... Jezu! - Kawałki mojego życia zaczynają nagle do siebie pasować jak puzzle Tetris. - Dlatego stałam się taka ambitna z dnia na dzień. Dlatego myślałam tylko o jednym. Pogrzeb wszystko zmienił.

- Opowiedziałaś mi, co się stało - wtrąca Jon. - Kiedy zjawili się komornicy, ona zupełnie się rozsypała. - Spogląda krytycznie na matkę. - Ty musiałaś się z nimi rozmówić, Lexi. Musiałaś podjąć decyzję... Wzięłaś wszystko na siebie.

- Nie patrz na mnie tak, jakby to była moja wina! - woła nagle mama drżącym, piskliwym głosem. - Nie zrzucaj odpowiedzialności na mnie! Nic nie wiesz o moim życiu, nic zupełnie! Twój ojciec, ten człowiek...

Urywa, słowa zawisają w powietrzu. Wstrzymuję dech, napotykając spojrzenie jej niebieskich oczu. Po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią, moja matka pozwala sobie na... szczerłość.

W pokoju panuje martwa cisza. Ledwie śmiem się odezwać:

- Co tata? - Mój szept i tak brzmi za głośno. - Mamo... powiedz mi.

Ale jest już za późno. Moment przeminął. Mama umyka wzrokiem w bok. Nagle odnoszę wrażenie, że widzę ją pierwszy raz w życiu, i jest to bolesne. Jej włosy jak u dziewczynki zebrane opaską; pomarszczone ręce; obrączka i pierścionek od ojca wciąż na palcu. Nawet gdy na nią patrzę, szuka dłonią psiego łba i zaczyna go poklepywać.

- Już prawie pora lunchu, Agnes! - Mówi pogodnym głosem, który jednak się łamie. - Zobaczę, co tam znajdę dla ciebie...

- Mamo, proszę. - Robię krok do przodu. - Nie możemy na tym zakończyć. Co chciałaś powiedzieć? Nie wiem, na co właściwie liczę, ale gdy unosi głowę

i patrzy na mnie, widzę, że już niczego od niej nie wydobędę. Znowu ma twarz bez wyrazu, jakby się nic nie zdarzyło.

- Chciałam tylko powiedzieć... - Przybiera dawny męczyński ton. - ...że zanim zaczniesz obarczać mnie winą, Lexi, może zapytaj o kilka rzeczy tamtego faceta. Tego twojego chłopaka z pogrzebu. Dave'a? Davida? To do niego powinnaś mieć pretensje.

- Dave Nieudacznik? - Patrzę na nią ze zmarszczonym czołem. - Ale przecież... Dave Nieudacznik nie był na pogrzebie. Powiedział mi, że chciał przyjść, ale mu nie pozwoliłam. Mówił... - Nie kończę, widząc, że Jon tylko kręci głową, wznosząc oczy do nieba.

- Co jeszcze ci nagadał?

- Mówił, że zerwaliśmy tamtego ranka i że było pięknie, dał mi różę... - O Boże. Co ja sobie myślałam, i tak wierząc mu tylko w połowie? - Przepraszam na chwilę.

Wychodzę przed dom, zła na mamę; na tatę; i na siebie samą za to, że byłam taka łatwowierna.

Wyjmuję telefon komórkowy z kieszeni i wybieram numer do biura Dave'a Nieudacznika.

- Auto Repair Workshop - słyszę jego oficjalny głos. - Dave Lewis, czym mogę służyć?

- Davie Nieudaczniku, to ja, Lexi - mówię lodowato. - Muszę jeszcze raz usłyszeć o naszym zerwaniu. Tylko tym razem ma to być prawda.

- Mała, powiedziałem ci prawdę. - Sprawia wrażenie niezwykle pewnego siebie. - Musisz mi uwierzyć.

Mam ochotę go walnąć.

- Posłuchaj, ty popaprańcu - mówię powoli wściekłym tonem. - Jestem w tej chwili w gabinecie specjalisty neurologa, rozumiesz? Lekarze mówią, że ktoś udziela mi nieprawdziwych informacji, i to zakłóca funkcjonowanie ścieżek neuronowych pamięci. I jeśli się tego nie skoryguje, doznam permanentnego urazu mózgu.

- Jezu. - Wydaje się wstrząśnięty. - Serio?

Jest naprawdę głupszy niż whippety mamy.

- Owszem. Neurolog stoi właśnie przy mnie i próbuje skorygować obwody pamięci. Więc może zechcesz opowiedzieć wszystko jeszcze raz, tym razem nie kłamiąc? Czy może wolisz porozmawiać z lekarzem?

- Nie! No, dobra. - Najwyraźniej jest bardzo zdenerwowany. Wyobrażam sobie, że oddycha szybciej, rozluźniając kołnierzyk. - Może nie było dokładnie tak, jak powiedziałem. Chciałem ci oszczędzić...

- Oszczędzić czego? Przyszedłeś na pogrzeb?

- Uhm, przyszedłem - mówi po chwili przerwy. - Roznosiłem kanapki. Pomagałem. Wspierałem cię.

- I co się stało?

- Potem... - Chrząka.

- Co?!

- Przeleciałem jedną z kelnerek. Byłem w stresie emocjonalnym! - dodaje obronnym tonem. - W takim stanie popełnia się różne głupstwa. Myślałem, że zamknąłem drzwi na klucz...

- Nakryłam was? - pytam z niedowierzaniem.

- Uhm. Nie byliśmy nadzy ani nic. Tylko trochę...

- Przestań! - Odsuwam telefon od ucha.

Potrzebuję chwili, żeby to wszystko ogarnąć myślami. Oddychając szybko, przechodzę przez żwirową ścieżkę, przysiadam na ogrodowym murku i patrzę na łąkę z owcami, rozciągającą się naprzeciwko, ignorując okrzyki: „Lexi! Lexü”, które dochodzą z telefonu.

Przyłapałam Dave'a Nieudacznika na zdradzie. Jasne, że tak. Nawet nie jestem zdziwiona.

Znowu przykładam telefon do ucha.

- Jak zareagowałam? Tylko mi nie mów, że dałam ci różę i było pięknie.

- Hmm. - Dave Nieudacznik sapie. - Szczerze mówiąc, wpadłaś w szal. Zaczęłaś coś krzyczeć o swoim życiu. Że musisz je całe zmienić, że wszystko w nim jest gówniane,

nienawidzisz mnie, nienawidzisz całej reszty... Mówię ci, Lexi, było ciężko. Próbowałem cię uspokoić, dałem ci kanapkę z krewetkami. Ale nie chciałaś. Wybiegłaś jak burza.

- I co potem?

- Już więcej się nie spotkaliśmy. Następnym razem zobaczyłem cię w telewizji; wyglądałaś zupełnie inaczej.

- Jasne. - Obserwuję dwa ptaki, które krążą po niebie. - Mogłeś powiedzieć mi prawdę za pierwszym razem. - Wiem. Przykro mi.

- Akurat.

- Nie, naprawdę. - Chyba mówi szczerze, bardziej niż kiedykolwiek. - I przykro mi, że przeleciałem tamtą panienkę. I że tak cię nazwała, tego nie było w planie.

Prostuję się, nagle czujna.

- Jak mnie nazwała?

- Och. Nie pamiętasz... - mówi pospiesznie. - Eee... to nic. Ja też już nie pamiętam.

- Co to było? - Wstaję, mocniej ściskając telefon. - Powiedz mi, jak mnie nazwała? Davie Nieudaczniku!

- Muszę kończyć. Powodzenia u lekarza. - Rozłącza się. Natychmiast ponownie wystukuję jego numer, ale jest zajęty. Gnojek.

Wchodzę do domu i widzę, że Jon siedzi na kanapie, czytając „Whippet World”.

- Hej! - Twarz mu się rozjaśnia. - Jak poszło?

- Jak nazwała mnie ta kelnerka na pogrzebie? Jon robi zakłopotaną minę.

- Nie wiem, co masz na myśli. Słuchaj, czytałaś kiedyś „Whippet World”? - Pokazuje czasopismo. -

Bo to zadziwiająco dobre... - Musisz wiedzieć, o co mi chodzi. - Siadam przy nim i ujmuję go za podbródek, tak że musi na mnie spojrzeć. - Wiem, że ci powiedziałam. Mów.

Jon wzdycha. - Lexi, to nieistotne. Jakże to może mieć znaczenie?

- Ma... i już. Jon, nie możesz zarzucać mojej matce zatajenia informacji, a samemu ukrywać przede mną coś, co zdarzyło się w moim własnym życiu i o czym mam prawo wiedzieć. Powiedz mi, jak nazwała mnie tamta kelnerka. No już. -Patrzę na niego.

- Dobrze! - Jon unosi ręce, jakby się poddawał. - Jeśli już musisz wiedzieć, nazwała cię... Draculą. Draculą? Mimowolnie - chociaż wiem, że nie mam już krzywych zębów - czuję, że tężeją mi policzki.

- Lexi... - Jon się krzywi.

- Nie. - Strącam jego dłoń. - Wszystko w porządku. Wstaję z rozpaloną twarzą i podchodzę do okna, próbując wyobrazić sobie tę scenę; próbując wczuć się w dawną Lexi w wysłużonych butach na płaskich obcasach. Jest 2004 rok. Nie dostałam premii. Chowamy tatę. Właśnie przyjechali komornicy, którzy odbiorą nam wszystko. Przyłapałam mojego chłopaka, jak pieprzy się z kelnerką, która spojrzała na mnie i nazwała mnie Draculą.

Okej. Wszystko zaczyna nabierać sensu.

18

W drodze powrotnej siedzę w milczeniu przez długi, długi czas. W objęciach kurczowo trzymam niebieską teczkę, jakby mogła mi uciec. Za oknami samochodu szybko migają pola, które mijamy. Jon spogląda na mnie co chwila, ale się nie odzywa.

Myślę i myślę, próbując przetrwać to wszystko, czego się dowiedziałam. Mam wrażenie, jakbym w ciągu pół godziny zrobiła specjalizację z Lexi Smart.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że tata zostawił nam taki pasztet - mówię w końcu. - Bez żadnego ostrzeżenia.

- Naprawdę? - pyta Jon.

310

Zrzuciwszy buty, podciągam stopy na fotel i opieram podbródek na kolanach, patrząc jednocześnie na drogę.

- Wiesz, tatę wszyscy uwielbiali. Był przystojny i zabawny, pełen życia, i kochał nas. Chociaż parę razy spieprzył sprawę... naprawdę nas kochał. Mówił o nas: „moje trzy dziewczynki”.

- „Trzy dziewczynki”. - Głos Jona brzmi bardziej sucho niż zwykle. - Szalona wielbicielka psów, która wypiera ze świadomości nieprzyjemne rzeczy, małaletnia kom-binatorka i psychicznie porąbana dziewczyna z amnezją. I wszystkie w długach. Dobra robota, Michael. Świetnie się spisałeś.

Patrzę na niego.

- Nie pałasz sympatią do mojego taty, co?

- Myślę, że nieźle się w życiu bawił, a was zostawił na pastwę losu - mówi Jon. - Moim zdaniem był egoistycznym dupkiem, ale przecież nie miałem okazji go poznać. - Nagle włącza kierunkowskaz i zmienia pas. Zauważam, że mocno ściska kierownicę. Wydaje się zły.

- Przynajmniej czegoś się o sobie dowiedziałam. - Obgryzam paznokieć kciuka. - Czy kiedykolwiek rozmawiałam z tobą o tym? O pogrzebie?

- Raz czy dwa razy. - Rzuca mi cierpki uśmiech.

- Ach, rozumiem. - Rumienię się. - Mówiłam o tym przez cały czas. Musiałam zanudzić cię na śmierć.

- Nie bądź głuptasem. - Zdejmuje rękę z kierownicy i ściska krótko moją dłoń. - To wszystko wyszło pewnego dnia, na wczesnym etapie naszej znajomości, kiedy byliśmy jeszcze przyjaciółmi. Cała ta historia. O tym, jak jeden dzień odmienił całe twoje życie. Jak wzięłaś na siebie długi rodzinne, zaraz nazajutrz umówiłaś się na wizytę u ortodonta kosmetycznego, przeszłaś na drakońską dietę, bo postanowiłaś wszystko zmienić. Wystąpiłaś w telewizji i popadłaś w drugą skrajność. Zaczęłaś robić błyskawiczną karierę, poznałaś Erica, a on wydał ci się remedium na wszelkie twoje problemy.

Był solidny, bogaty, dawał ci poczucie stabilizacji. Odległy całe mile od... - Milknie.

- Od taty - kończę za niego.

- Nie jestem psychologiem, ale domyślałem się tego. Zapada cisza. Obserwuję mały samolot, który wznosi się

coraz wyżej w niebo, zostawiając za sobą podwójną smugę białego dymu.

- Wiesz, kiedy się obudziłam, pomyślałam, że znalazłam się w świecie jak ze snu - mówię powoli. - Czułam się jak Kopciuszek, nie, lepiej niż Kopciuszek. Wydawało mi się, że muszę być najszcześniejszą dziewczyną na świecie... - Urywam, bo Jon kręci głową.

- Żyłas w wielkim stresie. Zaszłas za daleko w za szybkim tempie i nie umiałas sobie z tym poradzić, popełniałas błędy... - Waha się. - Zraziłas do siebie przyjaciółki. To było dla ciebie najcięższe ze wszystkiego.

- Nie rozumiem - mówię bezradnie. - Nie rozumiem, jakim cudem stałas się taką suką.

- Nie chciałas tego. Lxxi, bądź dla siebie wyrozumiała. Dostałas awans na stanowisko kierownicze.

Miałas poprowadzić duży dział, chciałas zrobić wrażenie na zwierzchnikach, uniknąć oskarżeń o faworyzowanie kogoś... I zabrnęłas. Kilka razy zrobiłas coś nie tak. Potem poczułas się schwytana w pułapkę. Opancerzyłas się więc i stałas się twarda. Na tym częściowo polegał twój sukces.

- Kobra - mówię, krzywiąc się. Wciąż nie mieści mi się w głowie, że nadali mi taki przydomek.

- Kobra. - Kiwa głową i znowu na jego ustach pojawia się uśmiech. - To był pomysł producentów tego programu telewizyjnego. Ty taka nie byłas. Chociaż coś w tobie uchwycili. Trochę przypominasz kobrę, jeśli chodzi o biznes.

- Nie, wcale nie! - Unoszę głowę, przerażona.

- W dobrym sensie tego słowa. - Uśmiecha się szeroko. W dobrym sensie? Jak można przypominać kobrę w dobrym sensie tego słowa?

Przez chwilę milczymy, po obu stronach drogi aż po horyzont rozciągają się złote pola. W pewnej chwili Jon włącza radio. The Eagles śpiewają *Hotel California* i gdy tak mkniemy przed siebie, słońce odbija się od przedniej szyby. Nagle mam wrażenie, jakbyśmy byli w innym kraju. W innym życiu. - Kiedyś powiedziałaś, że gdybyś mogła cofnąć czas i wszystko zmienić, zrobiłabyś to. - Głos Jona jest łagodniejszy niż poprzednio. - W każdej dziedzinie życia. Z samą sobą... ze swoją pracą... z Erikiem... Wszystko wygląda zupełnie inaczej, gdy zostaje pozbawione blichtru. Czuję nagle dżgnięcie na wzmiankę o Ericu. Jon mówi tak, jakby wszystko należało już do przeszłości, ale to jest terażniejszość. Jestem zameżna. I nie podoba mi się sugestia zawarta w jego słowach.

- Posłuchaj, nie jestem poszukiwaczką złota, rozumiesz? - mówię żarliwie. - Musiałam kochać Erica, nie wyszłabym za faceta tylko ze względu na blichtr.

- Początkowo sądziłaś, że Erie trafił ci się jak ślepej kurze ziarnko - przyznaje Jon. - Jest czarujący, spełnia wszelkie warunki... Właściwie jest jak jeden z tych inteligentnych systemów w naszych loftach. Przełączasz go na tryb „mąż” i masz męża.

- Przestań.

- Jest supernowoczesny. Ma szeroki zakres opcji, działa na dotyk...

- Przestań! - Staram się nie śmiać. Pochylam się i pogłaś-niam radio, jakbym chciała zagłuszyć Jona. Chwilę później wiem już, co chcę mu powiedzieć, i ściszam dźwięk.

- Dobra, posłuchaj. Może i mieliśmy romans. W przeszłości. Ale to nie znaczy, że... Może tym razem chcę uratować to małżeństwo.

- Nie możesz go uratować. - Jon nie traci rezonu. - Erie cię nie kocha.

Dlaczego musi być taki cholernie przemądrzały?

- Owszem, kocha. - Splatam ramiona przed sobą. - Tak

mi powiedział. To było nawet bardzo romantyczne, jeżeli chcesz wiedzieć.

- Naprawdę? - Jon nie sprawia wrażenia ani trochę speszonego. - Co ci powiedział?

- Że zakochał się w moich pięknych ustach, długich nogach i w geście, jakim macham aktówką. - Nie mogę powstrzymać rumieńca wstydu. - Zapamiętałam te słowa, bo od razu zapadły mi w pamięć.

- To pieprzone bzdury. - Jon nie zwraca ku mnie głowy. Wcale nie bzdury! - odcinam się z godnością.

- To bardzo romantyczne.

- Czyżby? Więc nie kochałby cię, gdybyś nie machała aktówką?

Na moment odbiera mi mowę.

- Nie... nie wiem. Nie o to chodzi.

- Jak to „nie o to chodzi”? Dokładnie o to. Nie kochałby cię, gdybyś nie miała długich nóg?

- Och, nie wiem! - wołam z rozdrażnieniem. - Zamknij się! To była urocza chwila.

- To było chrzaniecie.

- Okej. - Wysuwam podbródek. - W takim razie co ty we mnie kochasz?

- Nie wiem. Istotę ciebie. Nie potrafię wymienić jak z listy - mówi niemal szyderczo.

Następuje długa cisza. Patrzę przed siebie ze splecionymi mocno ramionami. Jon skupia się na prowadzeniu, jakby zapomniał o rozmowie. Zbliżamy się do Londynu i ruch na drodze się nasila.

- Dobra - mówi wreszcie Jon, gdy zatrzymujemy się na końcu kolejki samochodów. - Lubię, jak popiskujesz przez sen.

- Popiskuję przez sen? - powtarzam z niedowierzaniem.

- Jak pręgowiec.

- Myślałam, że jestem kobrą - odpowiadam złośliwie. -Zdecyduj się w końcu.

- Kobrą w dzień. - Kiwa głową. - A pręgowcem w nocy. Staram się ściągnąć surowo usta, ale mimowolnie unoszę kąciki w uśmiechu.

Gdy tak wlecemy się drogą, mój telefon sygnalizuje nadejście wiadomości, więc wyciągam go z torebki.

- Od Erica - mówię po przeczytaniu. - Przyjechał bezpiecznie do Manchesteru. Wybrał się tam na kilka dni, żeby poszukać nowych lokalizacji.

- Wiem. - Jon wjeżdża na rondo.

Jesteśmy już na obrzeżach miasta. Powietrze wydaje się bardziej szare i nagle na policzek spada mi kropla deszczu. Wzdrygam się i Jon podnosi dach mercedesa. Ma poważną minę, gdy przejeżdża z jednego skrajnego pasa na przeciwległy.

- Wiesz, że Erie mógłby spłacić długi twojego taty jednym pstryknięciem palców - mówi nagle rzeczowym tonem. - Ale zostawił to tobie. Nigdy nawet się tym nie zainteresował.

Jestem zbita z tropu. Nie wiem, co na to odpowiedzieć; nie wiem nawet, co o tym myśleć.

- To jego pieniądze - stwierdzam w końcu. - Dlaczego miałyby płacić długi mojej rodziny? Zresztą nie potrzebuję niczyjej pomocy.

- Wiem. Oferowałem ci ją. Nie wzięłabyś nic od nikogo. Jesteś dość uparta. - Dojeżdża do dużego skrzyżowania, zatrzymuje wóz za autobusem i zwraca ku mnie spojrzenie. - Nie wiem, co teraz zamierzasz.

- Teraz?

- Co chcesz zrobić przez resztę dnia. - Wzrusza ramionami. - Skoro Erie wyjechał...

Coś się we mnie budzi. Delikatne pulsowanie, do którego nie chcę się przyznać nawet sama przed sobą.

- Hmm. - Staram się mówić trzeźwo. - Nie mam żadnych planów. Chyba wrócę do domu, zjem coś na kolację, poczytam materiały z tej teczki... - Zmuszam się, żeby zrobić naturalną pauzę. A potem rzucam: - A czemu pytasz?

315

- Bez powodu. - Jon też robi pauzę i marszczy czoło, patrząc na drogę, a następnie dodaje od niechcienia: - Zostawiłaś u mnie trochę swoich rzeczy. Może chcesz je zabrać?

- Dobra. - Wzruszam ramionami.

- No to dobra. - Zmienia kierunek i resztę drogi przebywamy w milczeniu.

Jon mieszka w najpiękniejszym mieszkaniu, jakie kiedykolwiek widziałam.

Okej, znajduje się wprawdzie przy szemranej uliczce w Hammersmith i lepiej nie wpatrywać się w graffiti po przeciwnej stronie ulicy. Ale dom jest duży, z jasnej cegły, ma wielkie, zwieńczone łukami okna i okazuje się, że mieszkanie mieści się w sąsiednim budynku, więc jest tysiąc razy prze-stronniejsze, niż wydaje się z zewnątrz.

- Niesamowite.

Stoję i rozglądam się po jego miejscu do pracy, niemal oniemiała. Sufit jest wysoki, ściany białe, a obok biurka z wielkim mackintoshem na blacie stoi pochyła deska kreślarska pokryta papierami. W kącie widzę sztalugę, przeciwległa ściana jest zastawiona półkami na książki, a obok nich stoi staroświecka drabina na kółkach.

- Cały ten szereg budynków został wybudowany z myślą o pracowniach artystów. - Oczy Jona błyszczą, gdy chodzi po pokoju, zbierając z dziesięć filiżanek do kawy, i znika z nimi w maleńkiej kuchni.

Słońce wyszło znowu i świeci przez łukowate okna na klepki podłogowe z odzysku. Poniewierają się na nich różne kartki pokryte liniami, rysunkami, szkicami. Wśród nich stoi butelka tequili i paczka migdałów.

Unoszę wzrok i widzę, że Jon zatrzymał się w drzwiach kuchni, patrząc na mnie bez słowa. Targa sobie włosy, jakby chciał otrząsnąć się z jakiegoś nastroju.

- Twoje rzeczy są tam.

Ruszam w kierunku, który wskazuje, i przechodzę pod

sklepionym wejściem do przytulnego salonu. Znajdują się w nim duże sofy, obite niebieską bawełną, wielki skórzany puf wypełniony grochem i stary telewizor, ustawiony na krześle. Za jedną z kanap stoją wysłużone drewniane półki z książkami, czasopismami, roślinami doniczkowymi i...

- To mój kubek. - Patrzę na ręcznie malowany czerwony kubek ceramiczny, który Fi podarowała mi kiedyś na urodziny i który teraz stoi na półce, jakby tu było jego stałe miejsce.

- Aha. - Jon kiwa głową. - To właśnie miałem na myśli, mówiąc, że są tu twoje rzeczy. - Bierze go i podaje mi.

- I... mój sweter! - Na jednej z kanap leży mój stary prążkowany golf. Mam go od zawsze, chyba od siedemnastego roku życia. Jak to się stało, że tu...

Rozglądam się z niedowierzaniem i wpada mi w oko więcej rzeczy, które należą do mnie, jak na przykład magiczne oko, kapa ze sztucznego wilczego futra, którą się zawsze okrywałam, zdjęcia z college'u w ramach z paciorków, różowy toster w stylu vintage.

- Przychodziłaś do mnie i robiłaś sobie tosty. - Jon podąża za moim zdumionym wzrokiem. - Objadałaś się nimi, jakbyś umierała z głodu.

Nagle widzę drugą mnie, tę, która, jak mi się zdawało, zniknęła na zawsze. Po raz pierwszy, odkąd obudziłam się w szpitalu, czuję, że jestem u siebie. Widzę nawet kolorowe lampki, udrapowane wokół rośliny doniczkowej w kącie; te same światełka, które miałam w swoim mieszkanku w Bal-ham. Moje rzeczy były tutaj cały czas. Nagle powracają do mnie słowa Erica, które wypowiedział, gdy pierwszy raz zagadnęłam o Jona. „Powierzyłbym mu własne życie”.

Może to właśnie zrobiłam. Powierzyłam mu własne życie.

- Przypominasz sobie coś? - pyta Jon niedbale, ale wyczuwam w jego głosie nadzieję.

- Nie. - Kręcę przecząco głową. - To są rzeczy, które miałam od dawna, jeszcze przed wypadkiem... -

Przerywam,

bo zauważam ramkę z paciorków, której nie poznaję. Podchodzę bliżej, żeby przyjrzeć się zdjęciu, i doznaję lekkiego wstrząsu. Fotografia przedstawia mnie i Jona. Siedzimy na pniu drzewa, on obejmuje mnie, ja mam na sobie stare dzinsy i tenisówki. Włosy spływają mi na plecy, głowę mam odchylną do tyłu. Śmieję się, jakbym była najszczęśliwszą dziewczyną na świecie.

To było coś autentycznego. Naprawdę autentycznego.

Ciarki mnie przechodzą, gdy patrzę na nasze twarze, oświetlone słońcem. Cały czas Jon miał dowód.

- Mogłeś mi to pokazać - mówię niemal oskarżycielsko. - To zdjęcie. Mogłeś wziąć je ze sobą, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz.

- Uwierzyłybyś mi? - Przysiada na oparciu fotela. - Zechciałybyś mi uwierzyć?

Zatrzymuję się. Może ma rację. Może znalazłabym jakieś wytłumaczenie, zracjonalizowałabym to sobie, uczepiona mojego idealnego męża; mojego życia jak z bajki.

Próbując rozładować atmosferę, podchodzę do stolika zawalonego moimi starymi książkami, wśród których stoi miska z nasionami.

- Nasiona słonecznika. - Biorę ich garść. - Uwielbiam nasiona słonecznika.

- Wiem. - Jon ma bardzo dziwną, nieprzeniknioną minę.

- Co? - Patrzę na niego zdziwiona, z ręką zastygłą w połowie drogi do ust. - Coś nie tak z tymi nasionami? Są w porządku?

- Tak, tak. Tylko coś... - Nie kończy i uśmiecha się, jakby do siebie. - Nie, nieważne. Zapomnij o tym.

- Co się stało? - Marszczę czoło, zdezorientowana. - Coś w związku z nami? Musisz mi powiedzieć.

No, słucham.

- Nic takiego. - Wzrusza ramionami. - To było głupie. Mieliśmy taki... zwyczaj. Gdy pierwszy raz poszliśmy ze sobą do łóżka, jadłaś nasiona słonecznika. Zasadziłaś jedno z nich w kubku po jogurcie, a ja zabrałem go do domu. To

był taki nasz żart. Potem zaczęliśmy to robić za każdym razem. Na pamiątkę. Nazywaliśmy je naszymi dziećmi.

- Sadziliśmy słoneczniki? - Ściągam brwi. Coś mi zaczyna dzwonić w głowie.

- Aha. - Jon przytakuje szybko, jakby chciał zmienić temat. - Podam coś do picia.

- Gdzie one wszystkie są? - pytam, gdy nalewa do dwóch kieliszków wina. - Zatrzymałeś je? - Rozglądam się po pokoju, szukając sadzonek w kubkach po jogurcie.

- Nieważne. - Podaje mi kieliszek.

- Wyrzuciłeś je?

- Nie, nie wyrzuciłem. - Podchodzi do odtwarzacza CD i włącza jakąś cichą muzykę, aleja nie rezygnuję.

- No to gdzie one są? - W moim głosie pojawia się prowokująca nuta. - Musieliśmy pójść do łóżka kilka razy, jeśli to wszystko, co mówisz, jest prawdą. Powinieneś więc mieć parę słoneczników.

Jon pociąga łyk wina. Potem, nic nie mówiąc, odwraca się na pięcie i daje mi znak, żebym poszła z nim małym korytarzykiem. Przechodzimy przez surowo urządzonej sypialnię. Jon otwiera podwójne drzwi na obszerny balkon. A mnie zapiera dech w piersiach.

Wokół balkonu wznosi się ściana słoneczników. Od wysokich, sięgających nieba, przez mniejsze, przywiązane do prętów bambusa, aż po zielone pączki w małych doniczkach, które dopiero zaczynają się otwierać. Wszędzie, gdzie spojrzę, widzę słoneczniki.

Oto one. Oto nasza historia. Od samego początku po ostatni nieporadny kiełek w doniczce. Nagle ściska mnie w gardle, gdy tak toczę wzrokiem po tym morzu zieleni i żółci. Nie miałam pojęcia...

- Więc jak długo... to znaczy... - Wskazuję głową najmniejszą sadzonkę, w małej doniczce, podpartą bambusowymi patyczkami. - Kiedy ostatni raz...

- Sześć tygodni temu, dzień przed twoim wypadkiem. -

Jon milknie, nie mogę nic wyczytać z jego twarzy. - O tę troszcę się szczególnie.

- To wtedy widziałam się z tobą ostatni raz... - Przygryzam wargę.

Przez chwilę panuje milczenie, a potem Jon kiwa głową.

- Wtedy po raz ostatni byliśmy razem.

Siadam i wypijam wino, całkiem przytłoczona. Tu kryje się cała historia, cały nasz związek, rosnąc, umacniając się i przekształcając w coś tak mocnego, że zamierzałam opuścić Erica.

- A nasz... pierwszy raz? - pytam w końcu. - Od czego się zaczęło?

- To było w weekend, kiedy Erie wyjechał. Wpadłem do ciebie i gawędziliśmy. Wyszliśmy na taras, pijąc wino. Mniej więcej tak jak teraz. - Jon zatacza ręką dookoła. - I jakoś w połowie popołudnia zamilkliśmy. Wiedzieliśmy oboje...

Patrzy mi w oczy, a ja czuję gdzieś głęboko skurcz. Jon wstaje i idzie ku mnie.

- Wiedzieliśmy oboje, że to nieuniknione - mówi miękko. Stoję nieruchomo. Delikatnie wyjmuję mi z palców kieliszek i ujmuje moje dłonie.

- Lexi... - Unosi moje ręce do ust i delikatnie całuje, z przymkniętymi oczami. — Wiedziałem... - Ma stłumiony głos. - Że wrócisz. Wiedziałem, że do mnie wrócisz.

. - Przestań! - Wyrrywam mu dłonie, a serce bije mi z emocji. - Nie wiesz... Nic nie wiesz.!

- Co się stało? - Jon wygląda na zaszokowanego, jakbym nagle go uderzyła.

Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje. Tak bardzo go pragnę; całe ciało mówi mi, żebym poszła na całość. Ale nie mogę.

- To się stało... że się boję.

- Czego? - Jest osłupiały.

- Tego wszystkiego! - Wskazuję słoneczniki. - To dla mnie za wiele. Przedstawiasz mi to jako w pełni rozkwitły

związek. Ale dla mnie to dopiero początek. - Biorę potężny łyk wina, starając się zachować panowanie nad sobą. - Jestem za bardzo w tyle. Nie nadążam.

- Dogonisz mnie - mówi szybko. - Popracujemy nad tym. Zawrócę do początku.

- Nie możesz! - Bezradnie wsuwam palce we włosy. - Jon, jesteś atrakcyjnym, dowcipnym facetem, naprawdę cool. I bardzo cię lubię. Ale cię nie kocham. Jak mogłabym cię kochać? To nie byłam ja. Nie pamiętam tego wszystkiego.

- Nie oczekuję od ciebie miłości...

- Owszem, oczekujesz! Oczekujesz, że będę nią.

- Jesteś nią. - W jego głosie nagle słyszę cień gniewu. - Nie wciskaj mi żadnych bzdur. Jesteś dziewczyną, którą kocham. Wierz mi, Lexi.

- Nie wiem tego! - Ze wzburzenia mówię głośniej. - Nie wiem, czy nią jestem, rozumiesz? Jestem nią czy jestem sobą?

Ku mojemu przerażeniu łzy mi ciekną po policzkach; nie mam pojęcia, skąd się wzięły. Odwracam się, ocieram twarz, łapiąc powietrze i nie mogąc powstrzymać płaczu.

Chcę być nią, chcę być tą dziewczyną śmiejącą się na zdjęciu. Ale nie jestem.

W końcu udaje mi się pozbierać. Odwracam się. Jon stoi dokładnie w tym samym miejscu co wcześniej, z takim smutkiem na twarzy, że serce mi się kraje.

- Patrzę na te słoneczniki. - Przełykam ślinę. - I na zdjęcia. I na wszystkie moje rzeczy. Widzę, że to się stało. Ale wygląda to jak romans dwojga ludzi, których nie znam.

- To ty - mówi Jon cicho. - To ja. Znasz nas oboje.

- Niby to wiem, ale tego nie czuję. - Zaciskam dłoń na piersi i znowu łzy napływają mi do oczu. -

Gdybym tylko mogła sobie przypomnieć choć cokolwiek. Gdybym miała choć jedno wspomnienie, jeden trop... - Zapadam w milczenie.

Jon patrzy na słoneczniki, jakby urzeczony każdym płatkim.

- Co więc chcesz powiedzieć?

- Chcę powiedzieć... Nie wiem! Sama nie wiem. Potrzebuję czasu... Potrzebuję... - Urywam bezsilnie. Na balkon zaczynają spadać krople deszczu. Wieje wiatr i słoneczniki kołyszą się, jakby kiwały głowami. Wreszcie Jon przerywa milczenie.

- Odwieźć cię do domu? - Unosi głowę i patrzy na mnie. W jego oczach nie ma już gniewu.

- Tak. - Ocieram oczy i odrzucam włosy do tyłu. - Poproszę.

Dojazd do domu zajmuje nam zaledwie piętnaście minut. Nie rozmawiamy podczas drogi. Siedzę z niebieską teczką na kolanach, Jon zmienia biegi, zaciskając zęby. Zajeżdża mercedesem na moje miejsce parkingowe i przez chwilę żadne z nas się nie rusza. Deszcz bębni o dach i nagle słychać grzmot.

- Będziesz musiała pobiec do wejścia - mówi Jon. Kiwam głową.

- A jak ty wrócisz? -pytam.

- Poradzę sobie. - Podaje mi kluczyki, unikając mojego wzroku. - Powodzenia. - Wskazuje głową teczkę. - Mówię poważnie.

- Dzięki. - Przesuwam dłonią po kartonie, przygryzając wargę. - Chociaż nie wiem, jak nakłonię Simona Johnsona do rozmowy na ten temat. Zdjął mnie ze stanowiska. Straciłam wiarygodność. Nie będzie go to już interesowało.

- Uda ci się.

- Jeśli uda mi się z nim pogadać, to tak, ale będzie chciał mnie spławić. Nie mają już dla mnie czasu. - Wzdycham i sięgam do klamki. Leje jak z cebra, ale przecież nie mogę tu siedzieć przez całą noc.

- Lexi...

Czuję irytację, słysząc ton jego głosu.

- Porozmawiamy... - mówię pospiesznie. - Za jakiś czas.

- Dobrze. - Przez chwilę patrzy mi w oczy. - Za jakiś czas. - Wysiada, daremnie zasłaniając się rękami przed deszczem. - Złapię taksówkę. No biegnij. - Waha się, a potem całuje mnie w policzek i odchodzi.

Pędzę w deszczu do wejścia, omal nie gubiąc cennej teczki; zatrzymuję się pod daszkiem i układam dokumenty, czując przyływ nadziei, w miarę jak przypominam sobie szczegóły własnego pomysłu. Chociaż to, co powiedziałam, jest prawdą. Jeśli nie zobaczę się z Simonem Johnsonem, wszystko przepadnie.

I nagle podupadam na duchu, uzmysławiając sobie swoją sytuację. Nie wiem, co sobie wyobrażałam. Cokolwiek jest w tej teczce, on przecież nie da mi jeszcze jednej szansy, no nie? Nie jestem już kobrą. Nie jestem tamtą Lexi, cudownym dzieckiem. Jestem ofiarą, która nic nie pamięta, kompromitacją dla firmy. Simon Johnson nie poświęci mi nawet pięciu minut, nie mówiąc już o wysłuchaniu do końca propozycji.

Nie mam ochoty jechać windą. Ku wyraźnemu zdumieniu odzwiernego, kieruję się ku klatce schodowej i maszeruję po błyszczących schodach ze stali i szkła, z których nie korzysta żaden z mieszkańców domu. Wszedłszy do mieszkania, za pośrednictwem pilota zapalam ogień w kominku i próbuję zwinąć się w kłębek na kremowej sofie. Ale poduszki są śliskie i dziwne w dotyku, poza tym boję się, że moje mokre włosy zostawią na nich ślady, więc wstaję i idę do kuchni, aby zaparzyć sobie herbaty. Gdy po przeżyciach tego dnia spada mi poziom adrenaliny, ogarnia mnie przygnębienie.

Dowiedziałam się o sobie kilku rzeczy. I co z tego? Poniósł mnie entuzjazm - w związku z Jonem, z umową, ze wszystkim. Cały dzień był jedną wielką mrzonką. Nie uda mi się ocalić działu. Simon nie przyjmie mnie i nie zapyta o zdanie, nie mówiąc już o zawarciu umowy. Nawet za milion lat. Chyba że...

Chyba że...

Nie.

318

Nie dam rady. A może?

Zastygam, nagle ogarnięta pełnym niedowierzania podnieceniem na myśl o otwierających się przede mną możliwościach. W głowie niczym podkład muzyczny rozbrzmiewa głos Simona Johnsona:

„Gdybyś odzyskała pamięć, Lexi, może wszystko wyglądałoby inaczej”.

Gdybym odzyskała pamięć, wszystko wyglądałoby inaczej. Woda w czajniku wrze, ale ja nie zwracam na to uwagi. Jak we śnie wydaję telefon komórkowy i wybieram numer.

- Fi - mówię, gdy słyszę jej głos. - Nic nie mów. Wysłuchaj mnie.

19

Myśl jak suka. Myśl jak szefowa. Myśl jak kobra.

Przyglądam się sobie w lustrze i mocniej maluję usta szminką. Ma blady szaroróżowy odcień, który można by nazwać suką z piekła rodem. Włosy mam zebrane w kok i ubrana jestem w najsurowiej wyglądający kostium z mojej garderoby z najwęższą ołówkową spódnicą; szpilki z najbardziej szpiczastymi noskami i w białą bluzkę w szare paski. Ten strój niesie ze sobą przesłanie: w grę wchodzi biznes.

Spędziłam wczoraj dwie godziny z Jeremym Northpoolem, w jego biurze w Reading, i za każdym razem, gdy o tym myślę, czuję dreszczyk. Wszystko jest na swoim miejscu. Oboje chcemy, żeby umowa wypaliła. Teraz wszystko zależy ode mnie.

- Nie wyglądasz na dostatecznie wredną. - Fi, która stoi przy mnie w granatowym kostiumie ze spodniami, lustruje mnie krytycznie. - Zrób surowszą minę.

Marszczę nos, ale teraz z kolei wyglądam tak, jakbym miała kichnąć.

- Nic z tego. - Fi kręci głową. - Wciąż coś nie tak. Mia-

324

łaś kiedyś takie naprawdę mrozące spojrzenie. Coś w stylu „jesteś tylko małym trybikiem w maszynie, zjedź mi z drogi, natychmiast”. - Zwęża oczy i przybiera zimny, lekceważący ton: - „Jestem szefową i będzie tak, jak ja sobie życzę”.

- To naprawdę dobre! - Patrzę na nią z podziwem. - Sama powinnaś tak robić. Zamienimy się rolami.

- Uhm, na pewno. - Popycha mnie. - No dalej, spróbuj jeszcze raz. Jesteś wściekła.

- Zjedź mi z drogi, ty trybiku - warczę głosem złej wiedźmy - Jestem szefową i będzie tak, jak ja sobie życzę.

- Tak! - Kładzie w ręce. - Już lepiej. I suń wzrokiem po ludziach, jakby ci było szkoda czasu na poświęcanie im uwagi.

Wzdycham i padam na łóżko. Całe to sucze zachowanie jest nadzwyczaj wyczerpujące.

- Naprawdę byłam świnią, co?

- Nie przez cały czas. - Fi ustępuje. - Ale nie możemy ryzykować, że ludzie się domyślą. Im będziesz wredniejsza, tym lepiej.

Trenuje mnie od dwudziestu czterech godzin. Wczoraj wzięła urlop i przyjechała do mnie, przywożąc ze sobą śniadanie. Byłyśmy tak zaaferowane, że w końcu została na noc. I wykonała naprawdę świetną robotę. Wiem już wszystko. Wiem, co zdarzyło się na zeszłorocznym przyjęciu gwiazdkowym. Wiem, że na zebraniu przed rokiem Byron wybiegł z pokoju i nazwał mnie aroganckim zerem. Wiem, że sprzedaż włókna winylowego podskoczyła w marcu o dwa procent, dzięki zamówieniu ze szkoły w Wokingham, która złożyła reklamację, twierdząc, że kolor jest nieodpowiedni, i chciała nas pozwać do sądu. Przyswoiłam sobie tyle informacji, że chyba zaraz głowa mi pęknie. A to nawet nie najważniejsza ich część.

- Kiedy wchodzisz do swojego gabinetu, zawsze zatrzaskujesz drzwi. - Fi wciąż mnie instruuje. -

Potem wychodzisz i życzysz sobie kawy. W takiej kolejności.

Najważniejsza część polega na tym, że muszę wejść

w rolę dawnej wrednej Lexi szefowej, aby wszystkich zmylić. Odkładam szminkę i biorę do ręki teczkę.

- Przynieś mi kawę - szczekam sama do siebie. - Natychmiast!

- Zwięź bardziej oczy... - Fi patrzy na mnie i kiwa głową. -Dobra, jesteś przygotowana.

- Fi... dziękuję. - Odwracam się i ściskam ją. - Jesteś gwiazdą.

- Ty będziesz gwiazdą, jeśli to przeprowadzisz. - Zastanawia się i dodaje trochę szorstko: - A nawet jeżeli ci się nie uda... Nie musiałaś brać tego na siebie, Lexi. Wiem, że mimo likwidacji działu oferują ci niezłe stanowisko.

- Uhm. - Pocieram niezręcznie nos. - Nie o to chodzi. Dobra, idziemy.

Podczas jazdy taksówką do pracy żołądek mam ściśnięty z nerwów i nie jestem w stanie prowadzić rozmowy. Chyba zwariowałam, podejmując się tego. Ale nie widzę innego wyjścia.

- Jezu, mam tremę - mówi Fi, kiedy zajeżdżamy pod budynek. - A jeszcze się nawet nie zaczęło. Nie wiem, jak uda mi się robić dobrą minę do złej gry przy Debs i Carolyn.

Nie powiedziałyśmy nikomu, co zamierzamy. Im mniej osób będzie wiedziało, tym lepiej.

- Słuchaj, Fi, musisz się postarać, jasne? - nakazuję moim nowym głosem dawnej Lexi i niemal parskam śmiechem, gdy widzę zaskoczenie na jej twarzy.

- Boże, to robi wrażenie. Dobra jesteś.

Wysiadamy z taksówki i podaję kierowcy pieniądze, ćwicząc na nim wredne spojrzenie, gdy wydaje mi resztę.

- Lexi? - Słyszę głos za sobą. Oglądam się, gotowa zaprezentować nieprzyjemną minę jakiejś Bogu ducha winnej osobie, ale zatyka mnie ze zdumienia.

- Amy? Co ty tu, do diabła, robisz?

- Czekam na ciebie. - Trochę wyzywająco odrzuca pasmo włosów na plecy. - Mam być u ciebie stażystką.

- Ty... co takiego?

Lustruję ją wzrokiem, gdy taksówka odjeżdża. Amy jest w butach na wysokich obcasach, w kabaretkach i maleńkiej minispódniczce z kamizelką do kompletu; niebieskie włosy ma związane w koński ogon. W klapę wpięła znaczek z napisem: ***Nie musisz być od razu wariatką, żeby tu pracować, ale zawsze lepiej, żebyś nie była lesbą.***

- Amy. - Przykładam rękę do czoła. - Dziś na to nie najlepszy dzień...

- Obiecałaś! - Głos jej drży. - Mówiłaś, że to załatwisz. Zadałam sobie sporo wysiłku, żeby tu przyjechać, wstałam wcześniej i tak dalej. Mama była naprawdę zadowolona. Mówiła, że się ucieszysz.

- Cieszę się! Ale ze wszystkich dni...

- To samo powiedziałaś ostatnim razem. W ogóle cię nie interesuję. - Odwraca się i ściąga gumkę z włosów. - Dobra. Nie potrzebuję twojej gównianej, głupiej pracy.

- Ona może odwrócić uwagę - szeptem podpowiada mi Fi. - To nawet byłoby niezłe. Możemy jej zaufać? - Zaufać mi? - Głos Amy ożywia zainteresowanie. - Z związku z czym? - Podchodzi do nas, znowu z błyszczącym wzrokiem. - Macie jakiś sekret, dziewczyny?

- Dobra. - Podejmuję decyzję w jednej chwili. - Posłuchaj, Amy. - Ściszam głos. - Możesz z nami pójść, ale jest jedna sprawa... Zamierzam powiedzieć wszystkim, że odzyskałam pamięć, i zachowywać się jak dawna Lexi, bo chcę coś przeprowadzić. Chociaż tak naprawdę nadal nic nie pamiętam. Chwytasz? Nawet nie drgnie jej powieka. Widzę, że ostro główkuje, żeby się w tym wszystkim połapać. Czasami dobrze mieć siostrę kombinatorkę.

- Więc chcesz udawać dawną siebie - podsumowuje.

- Otóż to.

- W takim razie powinnaś robić wrażenie wrednej.

- To samo mówię - zgadza się z nią Fi.

- Jakby wszyscy inni byli jakimiś... nędznymi robakami.

- No właśnie.

Obie są takie zgodne w tym względzie, że aż robi mi się przykro.

- Czy ja kiedykolwiek byłam sympatyczna? - pytam trochę płaczliwie.

- O., tak! - odpowiada Fi nieprzekonująco. - Mnóstwo razy. Chodźmy już.

Gdy popycham szklane drzwi do budynku, przybieram najwredniejszą swą minę. W asyście Fi i Amy maszeruję po marmurowej podłodze do recepcji. No to jazda. Zaczynamy przedstawienie.

- Cześć - rzucam ostro do Jenny. - To moja tymczasowa stażystka, Amy. Wyrób jej przepustkę. Dla twojej informacji, całkowicie doszłam już do siebie, więc jeśli jest dla mnie jakaś poczta, chcę wiedzieć, dlaczego nie leży jeszcze na górze.

- Świetnie! - szepcze Fi.

- Nie ma nic dla ciebie, Lexi. - Jenny sprawia wrażenie przestraszonej, gdy wypisuje przepustkę dla Amy. - Więc... przypomniałaś sobie wszystko, tak?

- Wszyściutko. Idziemy, Fi. Już i tak jesteśmy spóźnione. Muszę porozmawiać z zespołem. Ostatnio opuścili się w pracy.

Ruszam do windy. Chwilę później słyszę za sobą Jenny, która z podnieceniem mówi półgłosem:

- Masz pojęcie? Lexi odzyskała pamięć!

Odwracam się, i oczywiście już rozmawia z kimś przez telefon.

Rozlega się dzwonek obwieszczający przyjazd windy, więc Fi, Amy i ja wchodzimy do niej, i gdy tylko drzwi się zasuwają, wybuchamy śmiechem.

- Przybij piątkę! - Fi unosi dłoń. - To było super! Wsiadamy wszystkie na ósmym piętrze, gdzie z

unie-

328

sioną głową, pewnym krokiem kieruję się od razu do biurku Natashy przed gabinetem Simona Johnsona.

- Witaj, Natasha - mówię krótko. - Jak rozumiem, dotarła do ciebie wiadomość, że wróciła mi pamięć? Muszę więc jak najszybciej zobaczyć się z Simonem.

- Tak, dostałam twoją wiadomość. - Natasha kiwa głową. - Ale obawiam się, że Simon ma dziś cały czas zajęty... - No to coś zrób! Odwołaj spotkanie z kimś! Koniecznie muszę z nim porozmawiać.

- Dobra! - Natasha stuka pospiesznie w klawiaturę komputera. - Mogłabym cię wcisnąć o... dziesiątej trzydzieści? - Fantas... - Przerywam, bo Fi dźga mnie w bok. - Może być - poprawiam się, na wszelki wypadek posyłając Natashy złe spojrzenie. - Chodź, Fi.

Boże, to powarkiwanie i burczenie jest okropnie stresujące. Dobija mnie, a robię to dopiero od dziesięciu minut.

- Dziesiąta trzydzieści - mówi Amy w drodze do windy. - Super. Dokąd idziemy teraz?

- Do działu wykładowców. - Znowu ogarnia mnie niepokój. - Będę musiała utrzymać się w roli aż do dziesiątej trzydzieści.

- Trzymam kciuki. - Fi ściska mnie za ramiona. Drzwi windy się rozsuwają.

Gdy idziemy korytarzem do głównego biura, robi mi się niedobrze. Dam radę! - powtarzam sobie raz po raz. Podchodzę do drzwi i staję przed nimi na chwilę, patrząc na to, co dzieje się w środku. Potem biorę głęboki oddech.

No, no! - Przybieram ostry, sarkastyczny ton. - Czytanie „Hello!” to ma być praca?

Melanie, która przeglądała czasopismo ze słuchawką pod brodą, podskakuje jak oparzona i oblewa się rumieńcem.

- Właśnie... czekam na połączenie z księgowością... -Pospiesznie zamyka „Hello!”.

- Później porozmawiam z tobą o podejściu do pracy. -Obrzucam pokój spojrzeniem. - To mi coś przypomina. Czy

dwa miesiące temu nie prosiłam wszystkich o pisemne rozliczenie kosztów delegacji? Chcę je zobaczyć.

- Myśleliśmy, że zapomniałaś - mówi osłupiała Carolyn.

- Przypomniałam sobie. - Posyłam jej słodki, jadowity uśmiech. - Wszystko sobie przypomniałam. A wy z kolei pamiętajcie, że ode mnie dostaniecie referencje.

Wychodzę, niemal wpadając na Byrona.

- Lexi! - O mało nie upuszcza kubka z kawą. - Co, do cholery...

- Byron, muszę porozmawiać z tobą o Tonym Dukesie -mówię lakonicznie. - Jak załatwiłeś sprawę rozbieżności w jego kalkulacjach? Bo wszyscy wiemy, że ma skłonności do naciągania klientów.

Pamiętasz aferę z października zeszłego roku?

Byronowi opada szczeka.

- Chcę pogadać o konferencji na temat naszej tegorocznej strategii. Bo poprzednie założenia były do kitu. - Ruszam do swojego gabinetu, a potem odwracam się jeszcze. - A skoro już o tym mowa, gdzie są protokoły z ostatniego zebrania produkcyjnego? Pracowałeś nad nimi, jeśli dobrze pamiętam.

- Zaraz.... zaraz ci je przyniosę. - Wygląda, jakby go zatkało.

Wszystko, co mówię, trafia w sedno. Fi jest genialna!

- Więc doszłaś do siebie? - zagaduje Byron, gdy otwieram drzwi gabinetu. - Wracasz?

- O tak. Wracam. - Wprowadzam Amy do środka i zatrzasnę drzwi. Liczę do trzech, a potem je uchylam. - Clare, kawę. A to jedna z moich stażystek, Amy. Fi, możesz przyjść do mnie?

Gdy Fi zamyka za sobą drzwi, bez tchu osuwam się na kanapę.

- Powinnaś występować na scenie! - woła Fi. - To było świetne! Tak właśnie się zawsze zachowywałaś!

Wciąż wzdrygam się wewnątrz. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę powiedziałam to wszystko.

- Teraz musimy tu tkwić do dziesiątej trzydzieści. - Fi spogląda na zegarek, przysiadając na skraju biurka. - Dopiero minęła dziesiąta.

- Byłaś prawdziwą wiedźmą - mówi Amy z podziwem. Wyjmuje tusz i poprawia rzęsy. - Ja też będę taka, gdy zacznę robić interesy.

- To nie będziesz miała żadnych przyjaciół.

- Nie zależy mi na przyjaciółkach. - Odrzuca głowę do tyłu. - Chcę zrobić forszę. Wiesz, co zawsze mówił tata? Że... Nie mam ochoty słuchać, co tata zawsze mówił.

- Amy, porozmawiamy później. - Ucinam. - O tacie. Rozlega się pukanie do drzwi. Wszystkie zamieramy.

- Szybko! - nakazuje Fi. - Siadaj za biurkiem. Bądź zła i zniecierpliwiona. Gnam na fotel, a ona przyciąga sobie krzesło z drugiej strony biurka.

- Proszę! - wołam, starając się mówić z rozdrażnieniem. Drzwi się otwierają i wchodzi Clare, niosąc kawę na tacy. Z irytacją wskazuję głową blat. - Więc, Fi... nie podoba mi się taki twój stosunek! - Improvizuję, podczas gdy Clare ustawia filiżanki na biurku. - To nie do przyjęcia. Co masz na swoją obronę? - Przepraszam, Lexi - mamrocze Fi z opuszczoną głową. I nagle uświadamiam sobie, że dusi się od śmiechu.

- Hmm. - Rozpaczliwie staram się zachować powagę na twarzy. - Jestem twoją szefową. I nie pozwolę, żebyś... -Boże, mam pustkę w głowie. Co takiego mogła zrobić? - Nie pozwolę, żebyś... siadała na biurku!

Ze strony Fi dochodzi coś w rodzaju bełkotliwego prych-nięcia.

- Przykro mi - wykrztusza i przykłada chusteczkę do oczu.

Clare wygląda na osłupiałą.

- Eee... Lexi - mówi, cofając się do drzwi. - Nie chciałabym przeszkadzać, ale jest tu Lucinda. Z dzieckiem.

Lucinda.

Nic mi to nie mówi.

Fi prostuje się i przestaje chichotać.

- Ta Lucinda, która pracowała dla nas w zeszłym roku? -pyta szybko, zerkając na mnie. - Nie wiedziałam, że ma dziś przyjść.

- Mamy dla niej prezent z okazji narodzin dziecka i zastanawialiśmy się, czy Lexi nie mogłaby jej go wręczyć... -Clare wskazuje drzwi i widzę gromadkę ludzi, którzy zebrali się wokół blondynki z wózkiem dzieciennym. Blondynka unosi wzrok i macha dłonią.

- Lexi! Chodź zobaczyć dziecko!

Jasna cholera. Nie wywinę się od tego. Nie mogę odmówić zobaczenia dziecka, to byłoby dziwaczne.

- Dobrze... Czemu nie? - mówię w końcu. - Za chwilę.

- Lucinda pracowała u nas przez osiem miesięcy - mruży nerwowo Fi, gdy wychodzimy z gabinetu. - Zajmowała się rachunkami europejskimi. Siedziała przy oknie, lubi herbatę miętową...

- Proszę. - Clare podaje mi wielkie pudło, owinięte w ozdobny papier, z wielką jedwabną kokardą. - To zestaw do ćwiczeń ruchowych dla niemowląt.

Gdy podchodzę, inni pracownicy się cofają. Szczerze mówiąc, nie mam do nich o to żalu.

- Cześć, Lexi. - Lucinda podnosi głowę, dumna z zainteresowania, jakie budzi.

- Cześć. - Kiwam głową niemowlęciu, ubranemu w białe śpioszki. - Gratulacje, Lucindo. A to jest... dziewczynka? Czy chłopiec?

- Ma na imię Marcus! - Lucinda sprawia wrażenie urażonej. - Widziałaś go już!

Jakoś zmuszam się, żeby lekceważąco wruszyć ramionami.

- Obawiam się, że nie przepadam za dziećmi.

- Zjada je! - słyszę czyjś szept.

332

- Nieważne. W imieniu działu chciałabym podarować ci to. - Wręczam paczkę.
- Wygłoś mowę! - podpowiada Clare.
- To niekonieczne - mówię z nieprzystępną miną. -Wszyscy z powrotem do...
- Owszem, konieczne! - sprzeciwia się wyzywająco Debs. - To jak odejście z pracy. Należy się mowa.
- Mowa! - woła ktoś z tyłu. - Mowa! - Kilka osób zaczyna walić w biurka.
- O Boże. Nie mogę odmówić. Szefowie wygłaszają mowy w takich sytuacjach. To należy do ich roli.
- Oczywiście - mówię w końcu i odchrząkuję. - Bardzo cieszymy się z urodzin Marcusa. Smutno nam jednak, że musimy pożegnać się z tak cennym jak Lucinda członkiem zespołu.
- Zauważam, że Byron przyłączył się do zgromadzonych i patrzy na mnie uważnie znad swojego kubka.
- Lucinda była zawsze... - Pociągam łyk kawy, żeby zyskać na czasie. - Zawsze... była... na swoim stanowisku przy oknie, popijając herbatkę miętową i prowadząc rachunki zagraniczne.
- Rozglądam się i widzę z tyłu Fi, która wykonuje gesty oznaczające jakąś czynność.
- Wszyscy pamiętamy Lucinę i jej pasję, jaką była... jazda na rowerze - mówię niepewnie.
- Jazda na rowerze? - Lucinda wygląda na bardzo zdziwioną. - Chyba masz na myśli jazdę konną?
- A tak. Właśnie. Jazdę konną - poprawiam się czym prędzej. - I doceniamy jej wysiłki w związku z... francuskimi klientami.
- Nie miałam do czynienia z Francją. - Lucinda patrzy na mnie wrogo. - Czy ty w ogóle interesowałaś się tym, co robiłam?
- Opowiedz historię o Lucindzie i stole do snookera! -woła ktoś z tyłu i rozlega się chóralny śmiech.

- Nie - protestuję ostro, już wkurzona. - Więc... za Lu-cindę. - Wznoszę toast kubkiem.

- Nie pamiętasz tej historii, Lexi? - Z boku dochodzi bezbarwny głos Byrona. Zerkam na niego i czuję nagłą pustkę w środku. Domyślił się.

- Oczywiście, że pamiętam. - Odwołuję się do swojego najbardziej kąśliwego tonu. - Ale to nie pora na głupie opowieści, które nie mają żadnego znaczenia. Wszyscy powinniśmy zabrać się do pracy. Wracajcie za biurka.

- Boże, ale z niej wredna suka - dociera do mnie niechętny głos Lucindy. - Jest jeszcze gorsza niż kiedyś!

- Poczekaj! - Głos Byrona wybija się nad pomruki niezadowolenia. - Zapomnieliśmy o drugim prezencie dla Lucindy! To talon do spa dla matek z dziećmi. - Z przesadnym szacunkiem podsuwa mi kartonik. - Musisz tylko wpisać jej nazwisko, Lexi. Powinnaś to zrobić jako szefowa działu.

- Dobrze. - Biorę długopis.

- Imię i nazwisko - dodaje, jak gdyby nigdy nic, gdy odstawiam kubek. Unoszę głowę i widzę, że oczy mu błyszczą.

Cholera. Dopadł mnie.

- Oczywiście - mówię z werwą. - Lucindo... przypomnij mi, jakiego teraz używasz nazwiska?

- Tego samego co dawnej - odpowiada z niechęcią, kołysząc dziecko. - Panieńskiego.

- Uhm.

Najwolniej, jak potrafię, wypisuję na wykropkowanej linii „Lucinda”.

- Dobrze.

- A nazwisko? - pyta Byron jak oprawca dokręcający śrubę.

Patrzę z desperacją na Fi, która mówi coś do mnie bezgłośnie. Dobson? Dodgson?

Wstrzymując dech, piszę starannie D. Potem przerywam i wyciągam rękę, jakbym ją rozgrzewała.

- Mam problem z nadgarstkiem - mówię, nie zwracając się do nikogo konkretnie. - Mięśnie mi czasami trochę... sztywnieją...

- Lexi, spójrzmy prawdzie w oczy - mówi Byron, kręcąc głową. - Koniec komedii.

- Żaden koniec - mówię stanowczo. - Wezmę to do gabinetu...

- Daj spokój! - W jego głosie słychać niedowierzanie. - Mówię poważnie, na miłość boską! Naprawdę wydaje ci się, że kogoś oszukasz...?

- Hej! - W pokoju rozlega się piskliwy głos Amy, przyciągając uwagę wszystkich. - Patrzcie! To Jude Law! Bez koszuli!

- Jude Law?

- Gdzie?

Tupot stóp zagłusza słowa Byrona, bo wszyscy podbiegają do okna. Debs odsuwa Carolyn z drogi i nawet Lucinda wyciąga szyję, żeby coś zobaczyć.

Moja kochana, mała siostrzyczka.

- No dobrze - mówię chłodno. - Wracamy do pracy. Clare, możesz dalej się tym zająć? - Oddaję jej talon.

- To naprawdę był Jude Law! - Słyszę natarczywy głos Amy. - Widziałam, jak całował się z Sienną! Powinniśmy zadzwonić do redakcji „OK!”.

- Ona nic nie pamięta, nic a nic! - mówi Byron ze wściekłością, starając się przekrzyczeć pozostałych.

- Wszystko to tylko jakaś pieprzona gra!

- Muszę już iść na spotkanie z Simonem. Wracajcie do pracy.

Obracam się na pięcie w najlepszym stylu budzącej postrach Lexi i wychodzę różnym krokiem z biura, zanim Byron zdąży zareagować.

Gdy przyjeżdżam na górę, drzwi do gabinetu Simona Johnsona są zamknięte i Natasha daje mi znak, że bym usiadła.

Opadam na kanapę, wciąż trochę wytrącona z równowagi konfrontacją z Byronem.

- Obie chcecie się zobaczyć z Simonem? - pyta Natasha ze zdziwieniem, patrząc na Fi.

- Nie. Fi przyszła ze mną...

Nie mogę przecież powiedzieć „w charakterze podpory duchowej”.

- Lexi chciała się ze mną skonsultować w sprawie dokumentów sprzedaży - mówi gładko Fi i unosi brwi, patrząc na Natashę. - Naprawdę wróciła do siebie.

- Rozumiem. - Natasha w odpowiedzi też porusza brwiami. Chwilę później dzwoni telefon i Natasha słucha przez moment.

- Dobrze, Simon - mówi spokojnie. - Powiem jej. - Odkłada słuchawkę i patrzy na mnie. - Lexi, u Simona jest sir David i kilku innych szefów działów.

- Sir David Allbright? - powtarzam z lękiem.

Sir David Allbright jest prezesem zarządu. To prawdziwa gruba ryba, grubsza niż Simon. I jest groźny, wszyscy tak mówią.

- Zgadza się. - Natasha kiwa głową. - Simon mówi, żebyś weszła i przyłączyła się do nich. Za jakieś pięć minut. Okej?

Czuję, że opanowuje mnie panika. Nie uwzględniłam w moim planie sir Davida i reszty szefostwa.

- Oczywiście! Świetnie. Fi, muszę przypudrować nos. Dokończmy naszą dyskusję w toalecie.

- Dobrze. - Fi patrzy na mnie ze zdziwieniem. - Jak sobie życzysz.

Idę do pustej kabiny i siadam na sedesie, oddychając ciężko.

- Nie dam rady.

- Co?

- Nie dam rady. - Ściskam bezsilnie teczkę. - To głupi plan. Jak mam zrobić wrażenie na sir Davidzie?

Nigdy nie

występowałam z żadną prezentacją przed takimi szyciami, nie jestem dobra w wygłaszaniu mów...

- Owszem, jesteś! - rzuca Fi. - Lexi, wygłaszałaś przemówienia przed całą firmą. Świetnie ci szło.

- Naprawdę? - Patrzę na nią w osłupieniu.

- Przecież bym cię nie okłamywała - potwierdza stanowczo swe słowa. - Na ostatniej konferencji dotyczącej sprzedaży wypadłaś znakomicie. Potrafiłabyś to zrobić, stojąc na głowie. Musisz w to tylko uwierzyć.

Milczę przez kilka sekund, usiłując to sobie wyobrazić, chcąc w to uwierzyć. Ale mam kompletną pustkę w głowie. Mogłaby mi równie dobrze powiedzieć, że jestem fantastyczna w potrójnym aklu podczas występów cyrkowych na trapezie.

- No nie wiem. - Przecieram twarz, podłamana, uchodzi ze mnie cała para. - Może po prostu nie nadaje się na szefową. Może powinnam się poddać...

- Nie! Jesteś stworzona do tego, żeby być szefową!

- Jak możesz mówić coś takiego? - Głos mi drży. - Nie poradziłam sobie z awansem na dyrektora!

Zraziłam was do siebie, źle kierowałam działem... wszystko spieprzyłam. I oni o tym wiedzą. -

Wskazuję drzwi ruchem głowy. - Dlatego zdjęli mnie ze stanowiska. Nie wiem, dlaczego w ogóle zadaję sobie tyle trudu. - Chowam głowę w dłoniach.

- Lexi, nic nie spieprzyłaś. - Fi mówi szybko, niemal opryskliwie z zakłopotania. - Byłaś dobrą szefową.

- Taaak. - Patrzę na nią i przewracam oczami. - Słyszałam.

- Naprawdę. - Policzki jej czerwienieją. - My... nie byliśmy w porządku. Posłuchaj, byliśmy wszyscy na ciebie wkurzeni, więc nie ułatwialiśmy ci życia. - Myśli przez chwilę, skręcając papierowy ręcznik.

- Rzeczywiście, czasami byłaś denerwująca, ale dokonałaś kilku naprawdę wspaniałych rzeczy.

Umiesz motywować ludzi. Wszyscy czuli, że żyją. Chcieli zrobić na tobie wrażenie. Podziwiali cię.

Słuchając jej słów, czuję, że powoli spływa ze mnie napięcie, tak jak koc spływa z łóżka na podłogę. Tylko że nie bardzo wierzę w to, co ona mówi.

- Ale przecież przez cały czas przedstawialiście mnie jako sukę. Wszyscy.

- Od czasu do czasu bywałaś suką. - Fi kiwa głową. - Czasami musiałaś. - Waha się, przeplatając ręcznik między palcami. - Carolyn przesadzała z wydatkami. Zasługiwała na opieprz. Ja tego nie powiedziałam - natychmiast zastrzega się z uśmiechem i nie mogę się powstrzymać, aby nie odpowiedzieć uśmiechem.

Drzwi się otwierają i wchodzi sprzątaczką z mopem.

- Mogłaby pani dać nam jeszcze dwie minuty? - pytam od razu moim najlepszym, rzeczowym tonem w sposób wykluczający dyskusję. - Dzięki. - I drzwi znowu się zamykają.

- Problem w tym, Lexi... - Fi rzuca wreszcie zmięty ręcznik. - Że byliśmy zazdrosne. - Patrzy na mnie ze szczerym wyrazem oczu.

- Zazdrosne?

- Jednego dnia byłaś krzywozębulą, a już następnego zrobiłaś sobie zęby i zmieniłaś fryzurę, dostałaś własny gabinet i zaczęłaś nam wydawać polecenia.

- Wiem. - Wzdycham. - To było jakieś szaleństwo.

- Wcale nie. - Ku mojemu zdziwieniu Fi podchodzi do miejsca, gdzie siedzę. Przykuca i kładzie mi ręce na ramiona. - Podjęli słuszną decyzję, dając ci awans. Potrafisz kierować ludźmi, Lexi. Potrafisz to robić. Milion razy lepiej niż ten pieprzony Byron - mówi drwiąco.

Jestem tak wzruszona jej wiarą we mnie, że przez chwilę nie mogę wydusić słowa.

- Ja chcę być... jedną z was - mówię w końcu. - Jedną ze wszystkich.

- Będiesz. Jesteś. Ale ktoś musi być tam, wyżej. - Fi przysiada na piętach. - Lexi, pamiętasz, kiedy byliśmy jesz-

cze w podstawówce? Pamiętasz wyścig w workach w dniu sportu?

- Nie przypominaj mi. - Zamykam oczy. - To też schrza-niłam. Wywaliłam się na morde.

- Nie o to chodzi. - Fi energicznie kręci głową. - Chodzi o to, że wygrywałeś. Wyprzedziłaś wszystkich. I gdybyś się nie zatrzymała, gdybyś nie czekała na nas, wygrałabyś. - Patrzy na mnie z mocą, tymi samymi zielonymi oczami, które znam od szóstego roku życia. - Po prostu idź przed siebie. Nie oglądaj się.

Drzwi się otwierają i obie się wzdrygamy.

- Lexi! - To Natasha. Na jej czole pojawia się zmarszczka, gdy widzi mnie i Fi. - Zastanawiałam się, gdzie jesteście! Gotowa?

Rzucam Fi ostatnie spojrzenie, wstaję i unoszę wysoko głowę.

- Tak. Gotowa.

Potrafię to zrobić. Potrafię. Wchodząc do gabinetu Simona Johnsona, mam sztywny kark i chłodny uśmiech.

- Lexi. - Simon wita mnie szerokim uśmiechem. - Miło cię widzieć. Wejdz i usiądź.

Wszyscy zachowują się swobodnie. Czwórka dyrektorów siedzi przy małym stoliku, w wygodnych skórzanych fotelach. Podano już kawę. Szczupły, szpakowaty mężczyzna, w którym rozpoznaję Davida Allbrighta, rozmawia z facetem siedzącym po jego lewej stronie o willi w Prowansji.

- Więc odzyskałaś pamięć, jak słyszę! - Simon podaje mi filiżankę kawy. - Wspaniała wiadomość, Lexi.

- Tak. To świetnie!

- Właśnie rozmawialiśmy o implikacjach czerwca zero siedem. - Wskazuje głową dokumenty rozłożone na stole. - To dobry moment, bo wiem, że miałaś bardzo zdecydowane zdanie na temat połączenia działów. Znasz wszystkich obecnych? - Podsuwa mi fotel, ale ja nie siadam.

- Właściwie... - Wilgotne dłonie zaciskam na teczce. - Właściwie chciałam z wami porozmawiać, z wami wszystkimi, o czymś innym. David Allbright spogląda na mnie ze zmarszczonym czołem.

- O czym?

- O wykładzinach.

Simon się krzywi. Ktoś mruczy:

- Na litość boską.

- Lexi. - Simon mówi surowym głosem. - Już to przedyskutowaliśmy. Sprawa wykładzin została zamknięta.

- Ale ja mam propozycję! O tym właśnie chciałabym z wami porozmawiać! - Wciągam w płuca powietrze. - Zawsze uważałam, że stare wzory dywanowe, które ma w posiadaniu Deller, należą do jego największych autów. Przez kilka miesięcy usiłowałam znaleźć sposób, żeby ten atut wykorzystać. I mam propozycję umowy z firmą, która chciałaby użyć jednego z tych wzorów. To podniesie nasz status. I umożliwi mi przekształcenie całego działu! - Nie mogę powściągnąć radosnego tonu. - Wiem, że potrafię zmobilizować pracowników. To może być początek czegoś wielkiego i ekscytującego! Wszystkim nam potrzebna jest jeszcze jedna szansa! Tylko jedna szansa. Kończę bez tchu i patrzę na twarze zebranych. Widzę od razu, że to, co powiedziałam, nie wywarło żadnego wrażenia. Sir David ma tę samą zniecierpliwioną minę. Simon patrzy na mnie morderczym wzrokiem. Jeden z mężczyzn zagląda do e-maili na swoim blackberry.

- Myślałem, że decyzja w sprawie działu wykładzin została podjęta - mówi cierpko sir David Allbright do Simona. - Dlaczego znowu do niej wracamy?

- Decyzja została podjęta, sir Davidzie - odpowiada Simon pospiesznie. - Lexi, nie wiem, co zamierzasz... - Zamierzam zrobić interes! - odcinam się.

- Młoda damo - ciągnie sir David. - Biznes to przewidywanie. Deller jest nowoczesną firmą, która wkracza w nowe

millenium. Musimy nadażać za wyzwaniem epoki, a nie trzymać się kurczowo starego.

- Nie trzymam się kurczowo starego! - Usiłuję nie krzyczeć. - Dawne wzory Delleri są fantastyczne. To zbrodnia rezygnować z nich.

- Czy ma to coś wspólnego z twoim mężem? - pyta Simon, jakby nagle zrozumiał. - Mąż Lexi jest developerem - wyjaśnia pozostałym, a potem zwraca się do mnie: - Lexi, z całym szacunkiem, nie uratujesz działu, wyposażając w dywany kilka pokazowych mieszkań.

Jeden z mężczyzn śmieje się i czuję, że ogarnia mnie furia. „Wyposażając w dywany kilka pokazowych mieszkań?” Kiedy usłyszą, na czym polega umowa, sami... sami...

Prostuję się, gotowa im wyjaśnić; gotowa ich roznieść. Czuję, że wzbiera we mnie poczucie triumfu połączone z jadowitą satysfakcją. Może Jon ma rację, może jest we mnie coś z kobry.

- Jeśli naprawdę chcecie wiedzieć... - zaczynam z błyszczącym wzrokiem.

I nagle zmieniam zdanie. Zatrzymuję się w pół zdania. Wycofuję się, chowam zęby jadowe. Gram na zwłokę.

- Więc... rzeczywiście podjęliście już decyzję? - pytam innym, bardziej zrezygnowanym głosem.

- Już dawno - oświadcza Simon. - Jak dobrze wiesz.

- Rozumiem. - Opuszczam ramiona i zaczynam obgryzać paznokcie. A potem nagle znowu się ozywiam, jakby coś mnie olśniło.

- Dobrze więc, ale skoro nie jesteście zainteresowani, to czy nie mogłabym kupić copyrightu na te wzory? I udzielać na nie licencji w zakresie indywidualnej działalności?

- Jezu Chryste! - mruczy sir David.

- Lexi, nie marnuj swojego czasu i pieniędzy - odpowiada Simon. - Masz tu mocną pozycję. Masz perspektywę. Nie musisz robić takiego gestu.

- Ale ja chcę - mówię z uporem. - Naprawdę wierzę w Deller Carpets. Tylko muszę załatwić to szybko, ze względu na umowę.

Widzę, że dyrektorzy wymieniają spojrzenia.

- Dostała w głowę podczas wypadku samochodowego -mruczy Simon do jednego z facetów, którego nie rozpoznaję. - Od tego czasu jest z nią coś nie tak. Należy jej tylko współczuć.

- Załatwmy tę sprawę. - Sir David Allbright macha niecierpliwie ręką.

- Nie ma problemu. - Simon podchodzi do biurka, bierze telefon i wybiera jakiś numer. - Ken? Tu Simon Johnson. Jedna z naszych pracownic przyjdzie do ciebie w sprawie praw do starych wzorów dywanowych Dellerera. Zamykamy dział, jak wiesz, ale ona ma pomysł na licencjonowanie ich. -Słucha przez chwilę. - Tak, wiem. Nie, nie w imieniu firmy, tylko jako niezależny przedsiębiorca. Ustal minimalną cenę i załatw dokumenty, dobrze? Dzięki, Ken.

Odkłada telefon i pisze na kartce nazwisko oraz numer telefonu.

- Ken Allison. Radca prawny naszej firmy. Zadzwoń do niego i umów się na spotkanie.

- Bardzo dziękuję. - Kiwam głową i chowam kartkę do kieszeni.

- I jeszcze jedno, Lexi. - Simon milknie na moment. -Wiem, że rozmawialiśmy o trzymiesięcznym urlopie, ale myślę, że musimy rozwiązać z tobą umowę o pracę.

- Dobrze. - Potwierdzam skinieniem głowy. - Rozumiem... Do widzenia. I dziękuję.

Odwracam się i wychodzę. Otwierając drzwi, słyszę jeszcze, jak Simon mówi:

- Co za wstyd. A taki potencjał miała ta dziewczyna... Jakoś udaje mi się wyjść bez podskoków.

Fi czeka na mnie, gdy wychodzę z windy na trzecim piętrze, i unosi brwi.

- Ijak?

- Nie udało się - mruczę, gdy ruszamy do głównego biura działu wykładowin. - Ale jeszcze nie jest po sprawie.

- Oto ona. - Byron wychodzi ze swojego gabinetu, gdy mijam jego drzwi. - Nasza cudownie ozdrowiała.

- Zamknij się - rzucam przez ramię.

- Naprawdę sądzisz, że damy się nabrać na twój nagły powrót pamięci? - Słyszę za sobą jego złośliwy przeciągły głos. - Myślisz, że uda ci się wskoczyć w dawne tory?

Odwracam się i patrzę na niego pustym wzrokiem.

- Kto to jest? - mówię w końcu do Fi, która prycha śmiechem.

- Bardzo śmieszne - warczy Byron, czerwieniejąc. - Ale jeśli ci się wydaje...

- Och, daruj sobie! - mówię ze znużeniem. - Możesz wskoczyć na to moje pieprzone stanowisko. - Wchodzę do głównego biura i klaszczę w ręce, żeby zwrócić uwagę zgromadzonych tam osób.

- Hej - mówię, gdy unoszą głowy. - Chciałam wam tylko powiedzieć, że nie jestem wyleczona. Nie wróciła mi pamięć, to było kłamstwo. Próbowałam zablefować, żeby uratować dział przed likwidacją. Niestety... nie udało się. Naprawdę bardzo mi przykro.

Gdy wszyscy patrzą na mnie, przejęta, robię kilka kroków do przodu, obejmując spojrzeniem biurka, plansze na ścianach, komputery. To wszystko zostanie stąd zabrane. Sprzedane albo wyrzucone na śmietnik. Cały ten mały świat przestanie istnieć.

- Zrobiłam wszystko, co mogłam, ale... - Oddycham ciężko. - Nieważne. Druga wiadomość jest taka, że zostałam zwolniona. Wygrałeś, Byron. - Odnotowuję zdumienie na twarzy Byrona i nie mogę powstrzymać uśmiechu. - Podobnie jak wszyscy z was, którzy mnie nienawidzili i uważali za

bezwzględna sukę... - Odwracam się, przesuwając wzrokiem po milczących twarzach. - Przykro mi. Wiem, że spaprałam sprawę. Ale starałam się. Trzymajcie się i powodzenia. - Unoszę dłoń.

- Dzięki, Lexi - mówi niezręcznie Melanie. - Dzięki, że próbowałaś.

- Uhm, dzięki - włącza się Clare, która słuchała mojego przemówienia z oczami wielkimi jak spodki. Ku mojemu zdziwieniu ktoś zaczyna klaskać. I nagle wszyscy w pokoju biją brawo.

- Przestańcie! - Oczy mnie pieką i mrugam szybko powiekami. - Zgłupieście. Nic nie zrobiłam. Poniosłam porażkę.

Zerkam na Fi, która klaszcze najmocniej.

- Wszystko jedno. - Staram się zachować panowanie nad sobą. - Jak powiedziałam, zostałam wyrzucona, więc idę teraz do pubu, żeby się uchlać. - W pokoju rozlega się śmiech. - Wiem, że jest dopiero jedenasta... ale może ktoś chce pójść ze mną?

O trzeciej po południu rachunek w barze sięgnął trzystu funtów. Większość pracowników działu wykładzin podryfo-wała znowu do pracy, łącznie ze smęcącym Byronem, który przez ostatnie cztery godziny wciąż przybiegał do pubu, żądając, żeby wszyscy wrócili do swoich zajęć.

Była to jedna z najlepszych imprez, w jakich brałam udział. Kiedy wyjęłam mojego platynowego amexa, ludzie w pubie włączyli muzykę na cały regulator i przynieśli gorące przekąski. Fi wygłosiła mowę, a Amy wykonała *Who Wants To Be A Millionaire* w wersji karaoke. Potem została wyrzucona przez barmana, który nagle zorientował się, że nie jest pełnoletnia. (Powiedziałam jej, żeby wróciła do mojego gabinetu i że tam się spotkamy, ale chyba poszła do Topshopu). Następnie dwie dziewczyny, które ledwie znam, wykonały fantastyczny skecz, przedstawiający Simona Johnsona i sir Davida Allbrighta na randce w ciemno. Najwyraźniej odsta-

wiły go już na gwiazdkę, tylko ja, oczywiście, tego nie pamiętam.

Wszyscy świetnie się bawili; tak naprawdę jedyną osobą, która się nie załała, byłam ja. Nie mogłam, bo przecież o wpół do piątej mam spotkanie z Kenem Allisonem.

- Hmm. - Fi unosi drinka. - No to za nas. - Stuka się szklanką ze mną, z Debs i Carolyn. Już tylko nasza czwórka siedzi przy stoliku. Jak za dawnych czasów.

- Za bezrobotnych - mówi Debs ponuro, strzepując z włosów konfetti. - Nie, żebyśmy miały do ciebie pretensje, Lexi - dodaje pośpiesznie.

Popijam łyk wina, a potem pochylam się do przodu.

- Dobra, dziewczyny. Mam wam coś do powiedzenia, ale nie mówcie nikomu.

- Co? - Carolyn rozjaśniają się oczy. - Jesteś w ciąży?

- Nie, kretynki! - Ściszam głos. - Zawarłam umowę. O tym właśnie próbowałam powiedzieć Simonowi Johnsonowi. Ta firma chce wykorzystać jeden z naszych starych wzorów dywanowych. W specjalnej limitowanej serii. Posłuży się nazwą Deller Carpets, będzie więc to dla nas wielka promocja... Wspaniała sprawa! Już omówiłam szczegóły, pozostaje tylko sfinalizować kontrakt.

- To świetnie, Lexi - mówi Debs z niepewną miną. - Ale jak możesz to przeprowadzić, skoro cię wywalili?

- Szefostwo sprzedaje mi jako niezależnemu przedsiębiorcy prawa do starych wzorów dywanowych. W dodatku za bezcen! Jacy oni są krótkowzroczni. - Biorę samosę, ale odkładam ją z powrotem, bo jestem zbyt podekscytowana, żeby jeść. - Od tego można by zacząć! Jest przecież tak wiele archiwalnych materiałów. Jeśli pójdzie dobrze, można by rozwinąć interes, zatrudnić ludzi z dawnej ekipy... przekształcić się w firmę...

- Nie mogę uwierzyć, że nie byli tym zainteresowani. - Fi kręci głową z niedowierzaniem.

- Totalnie spisali na straty dywany i wykładziny. Jedyne,

co ich obchodzi, to te cholerne domowe systemy elektroniczne. Tym lepiej! To znaczy, że praktycznie za nic pozwolą mi udzielać licencji na wszystkie wzory. A cały zysk przypadnie mnie. I tym wszystkim... którzy zechcą ze mną pracować.

Przesuwam wzrokiem po twarzach dziewczyn, czekając na reakcję.

- Masz na myśli nas? - pyta Debs, nagle ożywiona. - Chcesz, żebyśmy pracowały z tobą?

- Jeśli was to interesuje - mówię z pewnym skrepowaniem. - To znaczy, najpierw się zastanówcie, to tylko pomysł...

- Ja w to wchodzę - oświadcza stanowczo Fi. Otwiera paczkę czipsów i bierze garść do ust. - Ale, Lxxi, wciąż nie rozumiem, co się właściwie stało tam, na górze. Nie wpadli w podniecenie, kiedy im powiedziałaś, z kim jest ta umowa? Zwariowali?

- Nawet nie zapytali, o kogo chodzi. - Wzruszam ramionami. - Uznali, że chodzi o jeden z projektów Erica. „Nie uratujesz działu, wyposażając w dywany kilka pokazowych mieszkań” - parodiuję protekcyjny ton Simona Johnsona.

- No, a kto to jest? - pyta Debs. - To znaczy, ta firma? Spoglądam na Fi i nie mogę powściągnąć lekkiego uśmiechu, kiedy odpowiadam:

- Porsche.

20

No więc tak. Jestem oficjalnym właścicielem licencji na wzory dywanowe Deller'a. Wczoraj odbyłam jedno spotkanie z prawnikiem, dzisiaj rano drugie. Wszystko zostało podpisane, przekaz bankowy zrealizowany. Jutro zaś mam się spotkać z Jeremym Northpoolem z Porsche i podpisać umowę.

341

Po powrocie do domu wciąż jestem pod wpływem adrenaliny. Muszę zadzwonić do dziewczyn, powiadomić je o przebiegu wydarzeń. Potem będę musiała się zastanowić, gdzie założymy bazę. Potrzebne nam biuro, coś taniego i wygodnego. Może w Balham.

Mogłybyśmy mieć tam kolorowe lampki, uzmysławiam sobie z nagłą radością. Dlaczego nie? To będzie nasze biuro. I porządne lustro w toalecie, żeby można było poprawić makijaż. I muzykę podczas pracy.

Po wejściu do mieszkania słyszę hałasy dochodzące z gabinetu Erica. Mój mąż musiał wrócić z Manchesteru, kiedy byłam u prawnika. Zaglądam do środka przez uchylone drzwi i widzę jego współpracowników, siedzących wokół stolika do kawy, pośrodku stoi pusty dzbanek. Jest tam Clive, szefowa kadr Penny i facet imieniem Steven, którego funkcji do tej pory nie rozpracowałam.

- Cześć! - Uśmiecham się do Erica. - Udana podróż?

- Nadzwyczaj. - Kiwa głową, a potem marszczy czoło ze zdziwieniem. - Nie powinnaś być w pracy?

- Ja... Wyjaśnię ci to później. - Rozglądam się wśród gości Erica, wspaniałomyślnie nastawiona po udanym przedpołudniu. - Przynieść wam jeszcze kawy?

- Gianna się tym zajmie, kochanie - mówi Erie z niezadowoleniem.

- To dla mnie żaden problem! Nie jestem zajęta.

Idę do kuchni i nucę podczas parzenia kawy. Wysyłam esemesy do Fi, Carolyn i Debs, aby je poinformować, że wszystko poszło dobrze. Spotkamy się wieczorem i obgada-my sprawy. Rano dostałam e-mail od Carolyn, która pisała, że jest bardzo podekscytowana, i załączyła długą listę nowych pomysłów oraz potencjalnych kontaktów przy dalszych umowach licencyjnych. A Debs myśli o funkcji PR-owca.

Stworzymy dobry zespół; wiem, że tak będzie.

Ruszam z pełnym dzbankiem do gabinetu Erica i dyskretnie zaczynam nalewać kawy, jednocześnie przysłuchując się

dyskusji. Penny trzyma listę nazwisk z liczbami wypisanymi obok ołówkiem.

- Obawiam się, że Sally Hedge nie zasługuje na podwyżkę ani premię - mówi, gdy nalewam kawy do jej filiżanki. - Jest przeciętna. Dzięki, Lexi.

- Lubię Sally - wtrącam. - Zdaje się, że jej mama była ostatnio chora?

- Naprawdę? - Penny robi minę, jakby chciała zapytać: „No i co z tego?”.

- Lexi zaprzyjaźniła się ze wszystkimi sekretarkami i pracownikami niższego szczebla, gdy wpadła do nas do biura. - Erie śmieje się cicho. - Jest bardzo dobra w takich sprawach.

- To nie żadne „takie sprawy”! - odcinam się, lekko dotknięta jego tonem. - Po prostu rozmawiałam z nią. Jest naprawdę ciekawą osobą. Wiecie, że prawie weszła do drużyny gimnastyczek na zawodach Wspólnoty Brytyjskiej? Potrafi wykonać przewrót do przodu na równoważni.

Przez chwilę wszyscy patrzą na mnie tępo.

- Dobra. - Penny wraca do swojej listy. - Uzgodniliśmy: tym razem żadnej premii ani podwyżki, ale może zastanowimy się po gwiazdce. Następnie Damian Greenslade...

Wiem, że to nie moja sprawa, ale nie mogę tego znieść. Nie mogę sobie wyobrazić Sally czekającej na wiadomość o przyznanych premiach. Nie mogę sobie wyobrazić jej rozczarowania.

- Chwileczkę! - Stawiam dzbanek z kawą na półce i zdziwiona Penny przerywa swój wywód. -

Przepraszam, mogę coś powiedzieć? Chodzi o to, że taka premia niewiele znaczy dla firmy. To marne grosze. Ale dla Sally Hedge ma wielkie znaczenie. Czy ktokolwiek z was pamięta, jak to jest być młodym, ubogim, walczącym o uznanie? - Rozglądam się wśród kadry kierowniczej Erica, menedżerów ubranych w drogie, eleganckie ciuchy z drogimi, eleganckimi akcesoriami. -Bo ja pamiętam.

- Lexi, wiemy, że masz dobre serce. - Steven przewraca oczami. - Ale uważasz, że wszyscy z nas powinni być biedni?

- Nie mówię, że macie być biedni! - Staram się powściągnąć irytację. - Mówię tylko, że powinniście pamiętać, jak to jest być na samym dole drabiny. To całe mile od was. - Zataczam ręką koło. - Tak było ze mną. I to jeszcze sześć tygodni temu. Ja byłam taką dziewczyną. Bez pieniędzy, liczącą na premię. Stojąc w deszczu, zastanawiałam się, czy to się kiedykolwiek zmieni... - Nagle uświadamiam sobie, że trochę mnie poniosło. - Nieważne. Mówię wam, jeśli dacie jej coś, naprawdę to doceni.

Zapada cisza. Patrzę na Erica, który przywołał na usta sztuczny uśmiech.

- Dobrze. - Penny unosi brwi. - Hmm... wrócimy jeszcze do Sally Hedge. - Stawia ptaszek przy jej nazwisku.

- Dzięki. Nie chciałam się wtrącać. Nie przeszkadzajcie sobie. - Biorę dzbanek i usiłuję po cichu wyjść z pokoju, chociaż potykam się o teczkę Mulberry, którą ktoś postawił na podłodze. Może dadzą Sally Hedge premię, a może nie. Ale przynajmniej coś zrobiłam w tej sprawie. Biorę gazetę i właśnie mam zacząć ją przeglądać, żeby sprawdzić, czy jest w ogłoszeniach dział „biura do wynajęcia”, gdy z gabinetu wyłania się Erie.

- O - mówię. - Zrobiliście sobie przerwę?

- Lexi, na słówko. - Prowadzi mnie szybko do sypialni i zamyka drzwi, wciąż z tym okropnym uśmiechem na ustach. - Proszę, żebyś nie wtrącała się więcej w moje sprawy zawodowe.

O Boże, tak myślałam, że go wkurzyłam.

- Ericu, przepraszam, że wam przerwałam - mówię pospiesznie. - Ale wyraziłam tylko swoją opinię.

- Nie potrzebuję niczyich opinii.

- Nie sądzisz, że dobrze jest rozmawiać o różnych sprawach? - pytam ze zdumieniem. - Nawet jeśli ma się odmien-

ne zdania? Dzięki temu związki nie kostnieją! Właśnie dzięki rozmowom!

- Nie zgadzam się z tobą.

Te słowa padają jak z karabinu. Wciąż ma na twarzy ten uśmiech, który przypomina maskę, jakby musiał ukrywać złość. I nagle mam wrażenie, że łuski spadają mi z oczu. Nie znam tego faceta. Nie kocham go. Nie wiem, co tu robię.

- Ericu, przepraszam. To się więcej nie powtórzy. - Podchodzę do okna, próbując pozbierać myśli. Potem odwracam się. - Mogę zadać ci pytanie, skoro już rozmawiamy? Co ty tak naprawdę, w głębi duszy, myślisz? O nas? O naszym małżeństwie? O tym wszystkim?

- Myślę, że robimy postępy. - Erie kiwa głową. Od razu poprawia mu się nastrój, jakbyśmy przeszli do następnego punktu w programie. - Stajemy się sobie coraz bliżsi... masz już przebłyski... dużo wiesz z niezbędnika małżeńskiego... Myślę, że wszystko się powoli układa. Same dobre wiadomości.

Jest taki praktyczny. Mógłby nagle wyjechać z prezentacją w PowerPoint i z wykresem pokazującym, jacy jesteśmy szczęśliwi. Jak może w to wierzyć, skoro nawet nie interesuje go, co myślę, jakie wyznaję poglądy ani kim naprawdę jestem?

- Ericu, przykro mi. - Wzdycham głęboko i osuwam się na obity zamszem fotel. - Ale nie zgadzam się z tobą. Nie wydaje mi się, żebyśmy zblizali się do siebie. I... muszę ci coś wyznać. Udawałam tamten przebłysk.

Erie patrzy na mnie ze zdumieniem.

- Udawałaś? Dlaczego?

Bo miałam do wyboru albo to, albo nurka w bitą śmietaną.

- Chyba po prostu dlatego, że... chciałam, aby to była prawda - improwizuję. - Ale w gruncie rzeczy nic mi się nie przypomniało, przez cały ten czas. Wciąż jesteś dla mnie facetem, którego poznałam przed kilkoma tygodniami.

Erie siada ciężko na łóżku i zapadamy w milczenie. Biorę

czarno-białą fotografię, przedstawiającą mnie i Erica podczas naszego ślubu. Wznosimy na niej kieliszki i uśmiechamy się do siebie, pozornie szczęśliwi. Ale gdy przyglądam się uważniej, widzę napięcie w swoich oczach.

Ciekawa jestem, jak długo byłam szczęśliwa. I kiedy dotarło do mnie, że popełniłam błąd.

- Ericu, spójrzmy prawdzie w oczy, nic z tego nie wychodzi. - Wzdycham, odstawiając zdjęcie. - Ani tobie, ani mnie. Ja jestem z mężczyzną, którego nie znam. A ty z kobietą, która nic nie pamięta.

- To nie ma znaczenia. Stworzymy nowy związek. Zaczniemy od nowa! - Macha rękami dla podkreślenia swoich słów. Za chwilę powie, że wypracujemy styl życia a la małżeństwo.

- Otóż nie. - Kręcę głową. - Nie mogę już dłużej tego ciągnąć.

- Możesz, kochanie. - Natychmiast przestrasza się na tryb zatroskanego małżonka niepełnosprawnej umysłowo. - Może wymagasz od siebie zbyt wiele. Odpocznij.

- Nie potrzebuję odpoczynku! Muszę stać się sobą! - Zrywam się na nogi, dając upust frustracji. - Ericu, nie jestem tą dziewczyną, z którą się ożeniłeś. Nie wiem, kim byłam przez te ostatnie trzy lata, ale nie sobą. Lubię kolory. Lubię bałagan. Lubię... - Wyrzucam ramiona w górę. - Lubię makaron! Przez ten cały czas nie byłam głodna sukcesu, byłam po prostu głodna!

Erie jest całkowicie zdezorientowany.

- Kochanie - mówi ostrożnie. - Jeśli to dla ciebie takie ważne, kupimy makaron. Powiem Giannie, żeby zamówiła...

- Nie chodzi o makaron! - krzyczę. - Nie rozumiesz! Przez ostatnie tygodnie grałam. Już dłużej nie dam rady. - Wskazuję wielki ekran. - Nie podoba mi się ta cała nowoczesność. Nie odpoczywam tu. Szczerze mówiąc, wolałabym mieszkać w domu.

- W domu? - Erie wydaje się tak przerażony, jakbym po-

wiedziała, że chcę zamieszkać wśród wilków i mieć z nimi dzieci.

- To mieszkanie jest fantastyczne, Ericu. - Nagle mam wyrzuty, że tak pogardliwie odnoszę się do jego dzieła. - Jest olśniewające i naprawdę je podziwiam. Ale nie ma tu nic ze mnie samej. Po prostu nie jestem stworzona do... stylu życia a la loft.

Au. Nie mogę w to uwierzyć. Zrobiłam ten gest, machnęłam zamasyście rękami.

- Jestem... wstrząśnięty, Lexi. - Erie wygląda na naprawdę ogłuszonego. - Nie miałem pojęcia, że tak się czujesz.

- Ale najważniejsze jest to, że mnie nie kochasz. - Patrzę mu prosto w oczy. - Nie mnie.

- Kocham cię! - Wydaje się, że odzyskał grunt pod nogami. - Wiesz, że tak. Jesteś zdolna, jesteś piękna...

- Nie uważasz, żebym była piękna.

- Uważam! - Wydaje się urażony. - Oczywiście, że tak!

- Uważasz, że piękne są moje kolagenowe rysy - poprawiam go delikatnie, kręcąc głową. - Dzieło ortodonty i fryzjera.

Erie milknie. Widzę, że patrzy na mnie z niedowierzaniem. Pewnie wmówiłam mu, że to wszystko dzieło matki natury.

- Myślę, że powinnam się wyprowadzić. - Cofam się kilka kroków i wbijam wzrok w dywan. -

Przepraszam, ale to dla mnie... za duży stres.

- Chyba narzuciliśmy za szybkie tempo - stwierdza Erie w końcu. - Może przerwa dobrze nam zrobi. Za tydzień albo dwa zobaczysz wszystko w innym świetle i zastanowimy się znowu.

- Uhm. - Kiwam głową. - Może.

Dziwne uczucie - pakować się w tym pokoju. To nie moje życie; życie jakiejś innej dziewczyny.

Wkładam do walizki Gucciego, którą znalazłam w szafie, absolutne minimum: tro-

chę bielizny, dzinsy, kilka par butów. Wydaje mi się, że nie mam prawa do tych wszystkich markowych beżowych kostiumów. Szczerze mówiąc, nie chcę ich zresztą zabierać. Wyciągając z szafy kolejne rzeczy, wyczuwam czyjąś obecność w pokoju i kiedy unoszę wzrok, widzę, że w drzwiach stoi Erie.

- Muszę już iść - mówi sztywno. - Poradzisz sobie?

- Tak, wszystko będzie dobrze. - Kiwam głową. - Wezmę taksówkę i pojedę do Fi. Wcześniej wróci dziś z pracy. - Zamykam suwak, krzywiąc się, bo w tym dźwięku jest jakaś ostateczność. - Ericu... dziękuję, że ze mną byłeś. Wiem, że tobie też było ciężko.

- Bardzo mi na tobie zależy. Musisz to wiedzieć. - W oczach Erica widzę autentyczny ból i czuję wyrzuty sumienia. Ale nie można zostać z kimś z powodu wyrzutów sumienia. Albo dlatego, że umie prowadzić łódź motorową. Wstaję, masując sobie zeszywniały kark, i obrzucam spojrzeniem duży, sterylny pokój. Designerskie, nowoczesne łóżko. Wbudowany w ścianę ekran. Garderobę na te miliony ciuchów. Jestem pewna, że już nigdy w życiu nie będę mieszkała w takim luksusie. Chyba zwariowałam.

Przesuwając wzrokiem po łóżku, coś sobie przypominam.

- Ericu, czy ja popiskuję we śnie? - pytam niedbale. - Zauważyłeś coś takiego?

- Tak, rzeczywiście - potwierdza. - Poszliśmy z tym do lekarza. Zalecał płukanie przewodów nosowych słoną wodą przed snem i przepisał klips do nosa. - Podchodzi do szuflady, wyjmując pudełko, a z niego jakiś obrzydliwy plastikowy gadżet. - Chcesz to zabrać ze sobą?

- Nie - udaje mi się wykrztusić po chwili. - Ale dziękuję. Dobra. Podejmuję właściwą decyzję.

Erie odkłada na miejsce klips. Waha się, a potem podchodzi do mnie i obejmuje mnie niezgrabnie.

Mam wrażenie, jakbyśmy wypełniali instrukcje z niezbędnika małżeńskiego: ***Rozstanie (uścisk pożegnalny)***.

- Cześć, Ericu - mówię w jego drogą, pachnącą koszulę. - Do zobaczenia.

To śmieszne, ale jestem niemal bliska łez. Nie z powodu Erica... ale dlatego, że to koniec. Koniec całego tego mojego fantastycznego, idealnego życia jak ze snu.

Wreszcie Erie się odsuwa.

- Pa, Lexi. - Opuszcza pokój i po chwili słyszę, że wychodzi z mieszkania.

Po godzinie jestem już całkiem spakowana. W końcu nie mogłam się oprzeć i włożyłam do drugiej walizki bieliznę La Perla, kosmetyki Chanel i balsamy do ciała. A do trzeciej płaszcze i kurtki. No bo kto by tego wszystkiego używał? Przecież nie Erie. Zatrzymałam też torebkę Louis Vittona, na pamiątkę.

Pożegnanie z Gianną było trudne. Uściskałam ją mocno, a ona wymamrotała coś po włosku, głaskając mnie po głowie. Myślę, że mnie rozumie.

No i zostałam sama. Taszcę walizki do salonu, a potem spoglądam na zegarek. Mam wrażenie, jakbym wyprowadzała się z ekskluzywnego hotelu. Wspaniale było się tu zatrzymać, pomieszkać wśród tych wszystkich luksusów, ale nigdy nie czułam się tu jak w domu. Mimo to nie mogę opanować bólu, gdy po raz ostatni wychodzę na rozległy taras, osłaniając oczy przed popołudniowym słońcem. Pamiętam, jak przyjechałam tu i pomyślałam, że znalazłam się w niebie. To mieszkanie było dla mnie jak pałac, a Erie wydawał mi się greckim bogiem. Wciąż potrafię przywołać z pamięci tę niezwykłą euforię; to było tak, jakbym wygrała na loterii.

Z westchnieniem obracam się na pięcie i wracam do środka. To chyba jednak nie było idealne życie, podane mi na tacy.

Co pewnie znaczy, że nigdy nie byłam Gandhim. Gdy zamykam drzwi na taras, przychodzi mi na myśl, że powinnam pożegnać się także z moim ulubionym zwierząt-

kiem. Włączam ekran i klikam na „kącik z ulubieńcem”. Przywołuję mojego kotka i patrzę przez chwilę na niego - puszystą kulkę, sprytną i bez wieku.

- Pa, Arthur - mówię. Wiem, że nie jest prawdziwy, ale mimo to żal mi go, zamkniętego w wirtualnym świecie.

Może powinnam także pożegnać się z Titanem, żeby być w porządku. Klikam na „Titana” i od razu na ekranie pojawia się wielki pająk, wznosząc się nade mnie jak jakiś potwór.

- Jezu!

Przerażona, cofam się gwałtownie i słyszę głośny łomot. Odwracam się, wciąż przestraszona, i widzę na podłodze mnóstwo szkła, ziemi i zieleni.

No, super. Świetna robota. Straciłam jedną z tych wielkich, drogich roślin. Orchideę czy jak jej tam. Gdy z konsternacją patrzę na zniszczenia, na ekranie zaczyna błyskać nie-bieskozielona wiadomość:

Przerwanie obwodów. Przerwanie obwodów.

To miejsce naprawdę chce mi coś powiedzieć. Może jednak jest inteligentne.

- Przepraszam! - wołam głośno do ekranu. - Wiem, że przerywam obwody i rozbijam różne rzeczy, ale już się stąd wynoszę! Nie będzie więcej ze mną kłopotów!

Biorę szczotkę z kuchni, zmiatom rozbitą roślinę i wrzucam do kubła na śmieci. Potem wydaję kartkę i piszę liścik do Erica.

Drogi Ericu,

rozbiłam doniczkę z orchideą. Bardzo mi przykro. Rozdarłam też kanapę. Proszę, przyślij mi fakturę. Pozdrowienia, Lexi.

Gdy składam podpis, rozlega się brzęczyk domofonu, więc opieram kartkę o nową szklaną panterę.

- Dzień dobry - mówię do mikrofonu. - Może pan wjechać na ostatnie piętro?

350

Będę potrzebowała pomocy przy walizkach. Bóg wie, co powie Fi; powiedziałam jej, że zabiorę tylko najważniejsze rzeczy w pudełku po butach. Wychodzę na półpiętro i nasłuchuję windy jadącej do penthouse'u.

- Przepraszam pana... - zaczynam, gdy drzwi się otwierają. - ...ale mam dość dużo... -1 serce mi zamiera.

To nie taksówkarz stoi przede mną. To Jon.

Ma na sobie pozasłużbowe džinsy i bawełnianą koszulkę. Włosy sterczą mu wokół głowy, a twarz wygląda na wymi-zerowaną, jakby źle spał. Cały jest przeciwieństwem Erica z jego nieskazitelnością w stylu modela od Armaniego.

- Cześć - mówię i czuję, że nagle zaschło mi w gardle.

Ma surową minę; jego ciemne oczy patrzą na mnie intensywnie jak zwykle. Przypominam sobie ten pierwszy raz, kiedy go zobaczyłam, wtedy na parkingu; przyglądał mi się, jakby nie mógł uwierzyć, że go nie pamiętam. Teraz rozumiem tę jego desperację, gdy mu opowiadałam o moim cudownym mężu Ericu. Rozumiem już... wiele rzeczy.

- Zadzwoń do ciebie do pracy - mówi. - Ale powiedzieli mi, że jesteś w domu.

- Uhm. - Udaje mi się skinąć głową. - Dużo się zdarzyło.

W duszy mam zamęt. Nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy. Nie wiem, dlaczego się zjawiał.

Odsuwam się o krok, ze wzrokiem wbitym w podłogę, wykręcając dłonie w nadgarstkach; wstrzymuję oddech.

- Muszę ci coś powiedzieć, Lexi. - Jon zaczerpuje powietrza i całe moje ciało tężeje z lęku. - Chcę... cię przeprosić. Nie powinienem był wywierać na ciebie presji, to nie fair.

Jestem zaskoczona. Nie tego się spodziewałam.

- Dużo o tym myślałem - ciągnie Jon ze wzburzeniem. -Zdaję sobie sprawę, że to był dla ciebie okres nie do zniesienia. A ja ci nie pomogłem. I... masz rację. Masz rację. - Prze-

rywa. - Nie jestem twoim kochankiem. Jestem facetem, którego dopiero co poznałaś.

Mówi tak rzeczowo, że czuję w gardle gulę.

- Jon, nie chciałam...

- Wiem. - Unosi rękę, głos mu łagodnieje. - Wszystko w porządku. Rozumiem, co chcesz powiedzieć.

Było ci wystarczająco trudno. - Robi krok w moją stronę, szukając wzrokiem mojego spojrzenia. -

Chcę cię prosić, żebyś się nie zadreślała, lxxi. Robisz to, co możesz. Więcej się nie da.

- Uhm. - Głos więźnie mi w krtani od łez, które z trudem powstrzymuję. - Staram się...

O Boże, zaraz się rozryczę. Jon chyba się tego domyślała i odsuwa się, jakby chciał zrobić mi miejsce.

- Jak poszło w pracy z umową?

- Dobrze. - Kiwam głową.

- To świetnie. Naprawdę cieszę się.

Kiwa głową jakby na zakończenie, jakby zamierzał odwrócić się i odejść. A przecież jeszcze nie wie.

- Odchodzę od Erica - wyrzucam z siebie te słowa, jakbym uwalniała się od ciężaru. - Odchodzę właśnie w tej chwili, mam już spakowane walizki, czekam na taksówkę...

Nie chcę, aby wyglądało na to, że czekam na reakcję Jona, ale tak jest, nic nie mogę na to poradzić. I widzę ją. Na jego twarzy pojawia się nadzieja, jakby rozświetliło ją słońce. A potem znowu gaśnie.

- Cieszę się - mówi w końcu z rezerwą. - Pewnie potrzebujesz czasu, żeby się zastanowić. To wszystko wciąż jest dla ciebie nowe.

- Jon... - Wciąż mam zachrypnięty głos. Nie wiem nawet, co chcę powiedzieć.

- Nie mów nic. - Kręci głową, jakoś zdobywając się na cierpki uśmiech. - Minęliśmy się ze sobą.

- To nie w porządku.

- Nie.

Przez szybę za plecami Jona widzę na dole czarną taksów-

kę, która skręca w bramę. Jon podąża za moim wzrokiem i widzę nagły cień na jego kościach policzkowych. Ale gdy odwraca się do mnie, na twarzy ma już uśmiech.

- Pomogę ci znieść walizki.

Kiedy bagaże są już w taksówce, po podaniu kierowcy adresu Fi stoję naprzeciwko Jona, ze ściśniętym sercem, nie wiedząc, co powiedzieć na pożegnanie.

- Noto...

- No to pa. - Lekko dotyka mojej dłoni. - Uważaj na siebie.

- Ty... - Przęłykam ślinę. - Ty na siebie również.

Na lekko uginających się nogach wsiadam do taksówki i przyciągam do siebie drzwi, ale nie mogę się zmusić, żeby je zamknąć. Nie jestem gotowa usłyszeć tego strasznego finalnego trzaśnięcia.

- Jon. - Patrzę na niego. - Czy naprawdę... było nam ze sobą dobrze?

- Było. - Mówi to cichym, suchym głosem, tak że ledwie go słyszę, a na jego twarzy maluje się miłość i smutek, gdy kiwa głową. - Naprawdę, naprawdę dobrze.

Teraz już łzy toczą mi się po policzkach; żołądek skręca się z bólu. Niemal słabnę w swoim postanowieniu. Mogłabym otworzyć drzwi, powiedzieć, że zmieniłam zdanie...

Ale nie. Nie mogę tak po prostu z ramion jednego faceta, którego nie pamiętam, paść w ramiona drugiego.

- Muszę jechać - szepczę, odwracając głowę, żeby go już nie widzieć. Szaleńczo ocieram oczy. - Muszę jechać. Muszę jechać.

Zatrząskuję drzwi. Taksówka powoli rusza.

21

Świat w końcu zwariował. Oto dowód. Po wejściu do Langridge'a, gdy odwijam jaskraworóżowy szalik, muszę przetrzeć oczy. Jest dopiero szesnasty październik-

358

nika, a już wszędzie widzę dekoracje świąteczne. Pośrodku stoi bożonarodzeniowa choinka, przybrana bombkami, a chór na podwyższeniu śpiewa *Hark the Herald*.

Niebawem zaczną sprzedawać gwiazdkową już od pierwszego stycznia. Albo wymyślą jakieś dodatkowe Boże Narodzenie w połowie roku. Albo święta będą przez cały czas, nawet podczas letnich wakacji.

- Zestaw prezentowy Calvina Kleina w specjalnej ofercie? - cedzi znudzona dziewczyna w bieli i omijam ją łukiem, zanim zdąży mnie spryskać. Chociaż po chwili przypominam sobie, że Debs lubi te perfumy. Może kupię dla niej.

- Tak, poproszę - mówię i dziewczyna prawie pada ze zdumienia.

- Zapakować w świąteczny papier? - Pędzi za ladę, zanim zdążę się rozmyślić.

- Poproszę - mówię. - Ale bez świątecznego papieru. Gdy obwiązuje paczkę, przyglądam się sobie w lustrze za

nią. Wciąż mam długie lśniące włosy, choć nie w tak wyrazistym odcieniu jak poprzednio. Włożyłam dzinsy i zielony sweter, a na nogi wygodne zamszowe mokasyny. Nie umalowałam się; na lewej ręce nie mam obrączki ani pierścionka.

Podoba mi się to, co widzę. Podoba mi się moje życie.

Może nie żyję już jak we śnie. Może nie jestem milionerką mieszkającą w luksusowym penthousie z widokiem na Londyn.

Ale Balham też jest całkiem cool. A jeszcze bardziej cool jest to, że moje biuro znajduje się na piętrze nad mieszkaniem, mam więc najkrótszą na świecie drogę do pracy. Może dlatego nie mieszczę się już w moje najwęższe dzinsy. To przez to, i przez trzy tosty, które codziennie pochłaniam na śniadanie.

Minęły cztery miesiące, biznes wypalił tak dobrze, że czasami muszę się uszczypnąć w rękę. Umowa z Porsche jest realizowana i już zainteresowały się nią media. Przeprowadziłyśmy kolejną transakcję, wyposażając w dywany

sieć restauracji, a Fi właśnie dziś sprzedawała mój ulubiony wzór Dellerera - w pomarańczowe koła - modnemu ośrodkowi spa.

Dlatego jestem tutaj, na zakupach. Uważam, że każdy z zespołu zasłużył na prezent.

Płacę za perfumy, biorę torebkę i idę dalej. Mijając półkę z butami na zawrotnie wysokich obcasach, przypominam sobie Rosalie i nie mogę powstrzymać uśmiechu. Gdy tylko dowiedziała się o moim rozstaniu z Erikiem, oznajmiła, że nie zamierza stawać po niczyjej stronie, ale jestem jej najlepszą przyjaciółką i będzie dla mnie opoką, prawdziwą opoką.

Kiedyś wpadła z wizytą. Spóźniła się godzinę, bo jak twierdziła, jej GPS nie obejmuje obszaru na południe od rzeki, a potem przeraził ją widok walk ulicznych między gangami kolorowych - tak się wyraziła. (Dwa dzieciaki pokłóciły się ze sobą. Mają po osiem lat).

Mimo to i tak zachowała się lepiej niż mama, która, jak dotąd, odwołuje wszystkie zaplanowane wizyty z powodu jakichś psych dolegliwości. Nie rozmawiamy ze sobą od czasu tamtej mojej wizyty u niej, to znaczy nie tak normalnie.

Ale Amy informuje mnie o wszystkim. Dzień po moim pobycie w domu, nie mówiąc nikomu ani słowa, mama zebrała wszystkie swoje stare ciuchy i wysłała je do Oxfam. Potem poszła do fryzjera. Podobno ostrzygła się na boba i bardzo jej z tym dobrze, kupiła też sobie jakieś całkiem modne spodnie. Wynajęła również faceta, żeby usunął zmurszałe deski z pokoju, i zapłaciła mu za wywiezienie płyt chodnikowych zgromadzonych przez tatę.

Wiem, że nie brzmi to zbyt imponująco. Ale jak na mamę to wielki postęp.

Jeśli zaś chodzi o fantastyczne, spektakularne zmiany, Amy świetnie sobie radzi w szkole! Jakimś cudem razem ze wszystkimi uczniami ostatniej klasy dostała się na zajęcia z biznesu, z którego chce zdawać egzamin na zakończenie, i nauczyciel nie może się jej nachwalić. W ferie świąteczne

przychodzi do nas na praktykę, i już nie mogę się tego doczekać.

A co do Erica... Wzdycham za każdym razem, gdy o nim myślę.

Wciąż sądzi, że jesteśmy w tymczasowej separacji, chociaż rozmawiałam już z jego prawnikiem o rozwodzie. Tydzień po mojej wyprowadzce przysłał mi napisany na komputerze dokument pod tytułem *Lexi i Erie. Niezbędnik małżonków w separacji*. zaproponował, żebyśmy co miesiąc odbywali spotkanie, ale na razie nie doszło do ani jednego. Nie mogę jeszcze spotkać się z Erikiem. Nie mogę się również zdobyć na to, żeby zajrzeć do rozdziału *Seks podczas separacji. Niewierność, soło, pojednanie, inne*.

Inne? Co on, u licha...

Nie. Nie chcę nawet o tym myśleć. Chodzi o to, że nie ma sensu zastanawiać się nad przeszłością. Nie ma sensu jej rozpamiętywać. Jak powiedziała Fi, trzeba patrzeć przed siebie. Staję się w tym całkiem dobra. Przez większość czasu mam wrażenie, jakby przeszłość była jakimś innym obszarem, zamkniętym w mojej głowie i szczelnie zaklejonym taśmą.

Przystaję w dziale dodatków i kupuję jaskrawą purpurową torebkę z lakierowanej skóry dla Fi. Potem ruszam na górę i wynajduję stylową koszulkę bawełnianą w stylu lat siedemdziesiątych dla Carolyn. - Świąteczne grzane wino? - Facet w kapturze świętego Mikołaja podsuwa mi tacę z maleńkimi kubkami i częstuję się jednym z nich. Idąc dalej, uświadamiam sobie, że trochę się pogubiłam w nowym układzie na tym piętrze i zawędrowałam do działu ubrań męskich. Ale to bez znaczenia; nie spieszy mi się. Błądzą przez chwilę, popijając gorące wino z korzeniami, słuchając kolęd i patrząc na błyskające lampki...

O Boże, wpadłam jak śliwka w kompot. Powoli ulegam świątecznej atmosferze. Niedobrze. Dopiero październik. Muszę stąd wyjść, zanim zacznę kupować wielkie pudełka pier-

ników i płyty z piosenkami Binga Crosby'ego, zastanawiając się, czy będzie wśród nich **Czarnoksiężnik z krainy Oz**. Rozglądam się za miejscem, gdzie mogłabym odstawić kubeczek, gdy nagle wita mnie wesoły głos:

- Co za spotkanie!

Głos należy do kobiety z blond bobem, która składa swetry w pastelowych kolorach w dziale męskim Ralpa Laurena.

- Dzień dobry... - odpowiadam niepewnie. - Czy my się znamy?

- Och nie. - Uśmiecha się. - Tylko pamiętam panią z zeszłego roku.

- Z zeszłego roku?

- Kupowała tu pani koszulę dla swojego... faceta. - Zerka na moją dłoń. - Na Boże Narodzenie. Długo rozmawialiśmy, gdy ją pakowałam. Zapamiętałam tę rozmowę.

Patrzę na nią, usiłując to sobie wyobrazić. Ja tutaj, przedświąteczne zakupy. Dawna Lexi, prawdopodobnie w beżowym kostiumie, prawdopodobnie w wielkim pośpiechu; prawdopodobnie z twarzą stężałą od stresu.

- Przepraszam - mówię powoli. - Mam marną pamięć. Co takiego mówiłam?

- Niech się pani nie przejmuje! - Śmieje się pogodnie. - Dlaczego miałaby pani pamiętać? Ja to zapamiętałam, bo była pani taka... - Urywa w połowie składania swetra. - To może wyda się głupie, ale wydawała się pani taka zakochana.

- Uhm. - Kiwam głową. - Rozumiem. - Odrzucam pasmo włosów, mówiąc sobie, że powinnam się uśmiechnąć i odejść. To tylko zbieg okoliczności, drobiazg. Żadna sprawa. No, uśmiechnij się i idź dalej.

Ale gdy tak tam stoję, wśród błyskających kolorowych lampek, słysząc **The First Noweli** w wykonaniu chóru, i rozmawiam z nieznaną blondynką o tym, co robiłam w zeszłym roku przed Bożym Narodzeniem, budzą się we mnie różne głęboko ukryte uczucia i domagają się ujścia niczym

para pod ciśnieniem. Taśma klejąca zaczyna odstawać w rogu; nie mogę już utrzymać przeszłości w zamknięciu.

- To może wydawać się pani... dziwne pytanie. - Zwilżam językiem górną wargę. - Ale czy powiedziałam, jak ten facet miał na imię?

- Nie. - Kobieta patrzy na mnie z zaciekawieniem. - Powiedziała pani, że przywrócił panią do życia, bo była pani martwa. Aż kipiała pani, kipiała szczęściem. - Odkłada sweter i wpatruje się we mnie z autentycznym zainteresowaniem. - Nie pamięta pani tego?

- Nie.

Coś ściska mnie w gardle. To był Jon.

Jon, o którym usiłuję nie myśleć od dnia odejścia od Erica.

- *Co* mu kupiłam?

- To, jeśli dobrze sobie przypominam. - Podaje mi jasnozieloną koszulę, a potem zwraca się do innego klienta: -Czym mogę służyć?

Trzymam w ręku koszulę, starając się wyobrazić sobie w niej Jona, i to, jak ją dla niego wybierałam. Próbuję przywołać tamto uczucie szczęścia. Może to przez wino, a może po prostu dlatego, że nadchodzi koniec długiego dnia. Ale jakoś nie potrafię oddać tej koszuli. Nie potrafię jej odłożyć.

- Mogę ją kupić? - pytam, gdy tylko sprzedawczyni jest znowu wolna. - Proszę nie pakować.

Nie wiem, co się ze mną dzieje. Gdy wychodzę od Lan-gridge'a i usiłuję znaleźć taksówkę, wciąż przytulam koszulę do policzka jak dziecko ulubiony kocyk. W głowie mi huczy; świat zaciera się przed oczami, jakbym złapała grypę albo coś takiego.

Podjeżdża taksówka i wsiadam do niej automatycznie.

- Dokąd? - pyta kierowca, ale prawie go nie słyszę. Nie mogę przestać myśleć o Jonie. W głowie huczy mi coraz bardziej; przyciskam koszulę...

Coś nucę.

Nie wiem, co się dzieje z moją głową. Nucę melodię, której nie znam. Znam tylko Jona.

Ta melodia to Jon. Oznacza Jona. To melodia, którą znam przez niego.

Przymykam oczy z rozpaczą, próbując ją zatrzymać... A potem, jakby w jakimś przebłysku, już ją mam. To wspomnienie.

Pamiętam. Jego. Siebie. Nas dwoje razem. Zapach soli w powietrzu, jego drapiącą brodę, szary sweter... i tę melodię. Tak. Ulotny moment, nic innego.

Ale jest. Mam go.

- Pani kochana, dokąd? - Taksówkarz odwraca się i odsuwa szybę.

Patrzę na niego, jakby mówił do mnie w obcym języku. ^w mojej głowie nie ma miejsca na nic innego poza tym wspomnieniem; muszę je zatrzymać, przechować je...

- Na miłość boską. - Przewraca oczami. - Gdzie-pani--chce-jechać?

- Do... do... Hammersmith. Odwraca się, włącza silnik i ruszamy.

Gdy jedziemy przez Londyn, siedzę wyprostowana, spięta, trzymając się kurczowo skrawków wspomnień. Czuję się tak, jakbym miała w głowie jakiś cenny płyn, i boję się, że jeśli ją przechyle, on się wyleje. Nie mogę o tym myśleć, bo wszystko zniknie. Nie mogę mówić ani wyglądać przez okno, przyjmując niczego nowego do świadomości. Muszę zachować to wspomnienie nietknięte. Muszę mu o nim powiedzieć.

Kiedy wjeżdżamy w ulicę, przy której mieszka Jon, rzucam taksówkarzowi pieniądze i wysiadam, natychmiast uzmysławiając sobie, że najpierw powinnam zadzwonić. Wyjmuję telefon komórkowy i wybieram numer. Jeśli Jona nie ma w domu, pojedę tam, gdzie jest.

- Lexi...?

- Jestem tu - mówię zdyszana. - Przypomniałam sobie. Zapada cisza. Połączenie zostaje przerwane i słyszę szyb-

kie kroki w środku domu. W następnej minucie drzwi frontowe u szczytu schodów otwierają się i staje w nich on, w koszulce polo, w dżinsach i starych trampkach Converse.

- Przypomniałam sobie coś - wyrzucam z siebie, zanim zdąży coś powiedzieć. - Przypomniałam sobie melodię. Nie znam jej, ale wiem, że słyszałam ją z tobą, na plaży. Musieliśmy tam być. Posłuchaj! - Zaczynam nucić, ożywiona nadzieją. - Pamiętasz?

- Lexi... - Wsuwa palce we włosy. - O czym ty mówisz? Dlaczego trzymasz tę koszulę? - Skupia na niej wzrok. - Czy to nie moja?

- Słyszałam ją z tobą na plaży! Wiem, że tak. - Mam świadomość, że bredzę, ale nie mogę nad sobą zapanować. - Pamiętam słonawe powietrze, drapała mnie twoja broda, a to brzmiało jakoś tak... - Znowu zaczynam nucić, ale czuję, że fałszuję, że to nie te nuty. W końcu poddaję się i stoję wyczekująco. Jon ma ściągniętą twarz, z wyrazem zakłopotania.

- Nie pamiętam - mówi.

- Nie pamiętasz? - Patrzę na niego z nieukrywanym niedowierzaniem. - Ty nie pamiętasz? No, przypomnij sobie! Było zimno, ale nam to nie przeszkadzało, nie ogoliłeś się... miałeś na sobie szary sweter...

Nagle jego twarz się zmienia.

- O Boże. To było wtedy, gdy wybraliśmy się do Whitstable. To ci się przypomniało?

- Skąd mam wiedzieć! - mówię bezradnie. - Może.

- Wyskoczyliśmy na jeden dzień do Whitstable. - Kiwa głową. - Na plażę. Było cholernie zimno, więc ubraliśmy się ciepło, mieliśmy ze sobą radio... Zauć to jeszcze raz, dobrze?

Okej, nie powinnam była w ogóle wspominać o tej melodii. Śpiewam fatalnie. Zażenowana, próbuję nucić. Bóg wie, co z tego wyjdzie...

- Poczekaj. Czy to nie ta piosenka, którą wszędzie puszczałaś? **Bad Day**. - Sam nuci i mam wrażenie, jakby spełnił się sen.

- Tak! - mówię z przejęciem. - To ta! Ta melodia! Następuje dłuższa cisza. Jon pociera twarz, z pełną rozczarowania miną.

- I to wszystko, co ci się przypomniało? Melodia? Kiedy to mówi, czuję się jak idiotka, że tak pędziłam przez cały Londyn. I nagle dociera do mnie zimna rzeczywistość. On już nie jest mną zainteresowany, poszedł swoją drogą. Pewnie ma nową dziewczynę.

- Tak. - Odchrząkuję, bez powodzenia usiłując zademonstrować nonszalancję. - To wszystko. Pomyślałam po prostu, że ci powiem. Może chciałbyś wiedzieć... tak z ciekawości. Więc... eee... wszystko jedno. Miło było cię zobaczyć. Pa.

Drżącymi rękami zbieram pakunki. Policzki płoną mi żałością, gdy odwracam się, żeby odejść. To takie krępujące. Muszę zniknąć, jak najszybciej się da. Nie wiem, co sobie myślałam...

- Czy to wystarczy?

Zaskakuje mnie ton głosu Jona. Odwracam się i widzę, że zszedł do połowy schodów, a twarz ma pełną nadziei. I przestaję udawać. Ostatnich trzech miesięcy jakby w ogóle nie było. Znowu jesteśmy tylko my.

- Nie... nie wiem - wyduszam w końcu z siebie. - A wystarczy?

- Ty musisz zdecydować. Powiedziałaś, że potrzebne ci są wspomnienia. Nić prowadząca od nas do... nas. - Robi ku mnie następny krok. - Teraz masz tę nić.

- Jeśli tak, to najcieńsza nitka na świecie. Jedna melodia. - Wydaję dźwięk, który ma przypominać śmiech. - To jak... pajęczyna. Babie lato.

- Trzymaj się jej. - Nie spuszcza ze mnie swoich ciemnych oczu, pokonuje resztę schodów jednym susem. - Trzymaj się jej, Lexi. Nie pozwól, żeby pękła. - Dobiaża do mnie i obejmuje mnie mocno.

- Nie pozwolę - szepczę i przytulam się do niego. Już nie pozwolę mu odejść. Nie wypuszczę go z ramion. Z pamięci.

Kiedy wreszcie przytomnieję, trójka dzieci patrzy na mnie ze schodów przed sąsiednim domem.

- O rany - mówi jedno z nich. - Sexy.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu, chociaż w oczach mam łzy.

- Uhm - zgadzam się z nim, wskazując Jona ruchem głowy. - Sexy.

- Sexy. - Odpowiada skinieniem głowy, obejmując mnie w pasie i kciukami delikatnie gładząc mnie po biodrach, jakby to było miejsce stworzone dla jego rąk.

- Hej, Jon. - Przykładam dłoń do ust, jakby nagle coś mnie olśniło. - Wiesz co? Nagle przypomniałam sobie coś jeszcze.

- Co? - Twarz mu się rozjaśnia. - Co sobie przypomniałaś?

- Pamiętam, że weszłam do ciebie do domu... powyłą-czałam wszystkie telefony... i przez dwadzieścia cztery godziny kochałam się jak jeszcze nigdy w życiu - mówię poważnie. - Pamiętam nawet datę.

- Naprawdę? - Jon się uśmiecha, ale wygląda na trochę zdziwionego. - Kiedy to było?

- Szesnastego października dwa tysiące siódmego roku. Około... - Spoglądam na zegarek. - Około czwartej pięćdziesiąt siedem po południu.

- Aha. - Jon zaczyna rozumieć. - Oczywiście. Tak, ja też to pamiętam. Było fantastycznie, prawda? - Przesuwa palcem wzdłuż mojego kręgosłupa i czuję cudowny dreszcz oczekiwania. - Tylko że to chyba trwało czterdzieści osiem godzin.

- Masz rację. - Cmokam z udawaną przyganą pod własnym adresem. - Jak mogłam zapomnieć?

- Chodź. - Jon prowadzi mnie po schodach, mocno trzymając moją rękę w dłoni.

Towarzyszą nam śmiechy i gwizdy dzieci.

- A tak przy okazji - mówię, gdy kopnięciem zamyka drzwi za nami. - Nie kochałam się porządnie od dwa tysiące czwartego. Mówię na wszelki wypadek, żebyś wiedział.

Jon się śmieje. Jednym ruchem zdejmuje polo i czuję nagłą falę pożądania. Moje ciało to pamięta, nawet jeśli ja sama nie.

- Przyjmuję wyzwanie. - Podchodzi do mnie, ujmuję moją twarz w dłonie i patrzy na mnie przez moment, milczący i świadomy tego, co robi, aż topnieję w środku z pragnienia. - Przypomnij mi więc... co się stało po tych czterdziestu ośmiu godzinach?

Nie mogę już dłużej wytrzymać. Przyciągam jego twarz, chcąc, żeby mnie całował. I nigdy tego nie zapomnę; zapamiętam na zawsze.

- Powiem ci - mruczę w końcu, dotykając gorącymi ustami gładkiej skóry Jona. - Powiem ci, gdy sobie przypomnę.

